

Sara Paretsky

Próba Krwi

(Blood Shot)

Przełożył Piotr Cieplak

ROZDZIAŁ 1

Powrót na Drogę 41

Nie pamiętałam już tego zapachu. Nawet teraz, kiedy strajkowały Zakłady Południowe, a zamkniętą na cztery spusty hutę Wisconsin zżerała rdza, ostra woń chemikaliów wdzierła się do środka samochodu przez dysze wentylatorów. Wyłączyłam nawiew ciepłego powietrza, ale smród - nie można było tego nazwać powietrzem - wciąż przenikał do wnętrza przez wąziutkie szczeliny w oknach chevroleta, sprawiając, że piekły mnie oczy i pulsowały skronie.

Droga 41 wiodła na południe. Parę kilometrów wcześniej zjechałam z Lake Shore Drive, minawszy po lewej jezioro Michigan chlustające pianą na skalisty brzeg, a po prawej wyniosłe ekskluzywne wieżowce. Przy Siedemdziesiątej Dziewiątej jezioro nagle się kończyło. Teraz, na mniej więcej półtorakilometrowym pasie ziemi pomiędzy drogą a wodą, ciągnęły się zarośnięte chwastami place wokół ogromnych Zakładów Południowych. W zawieszonym lutowym powietrzu majaczyły na horyzoncie słupy wysokiego napięcia, suwnice i dźwigi. Nie była to już kraina luksusowych wieżowców i plaż, lecz teren wysypisk i wysłużonych fabryk.

Z prawej strony drogi, naprzeciwko Zakładów Południowych, stały chylące się ku ruinie domki. Z jednych podpadał tynk, inne bezwstydnie obnażały połącie złuszczonej farby. Przy niektórych betonowe stopnie frontowych schodków wypaczyły się i popękały, lecz szyby w oknach wszędzie były całe, mocno oprawione kitem, a na podwórkach nie leżał ani jeden kawałek śmiecia. Być może ubóstwo zawładnęło tą okolicą, ale moi dawni sąsiedzi dumnie odmówili złożenia broni.

Dobrze pamiętałam czasy, kiedy tłum osiemnastu tysięcy mężczyzn z małych schludnych domków wlewał się codziennie do Zakładów Południowych, do huty Wisconsin, do Forda czy fabryki rozpuszczalników Xerxes. Co drugiej wiosny każdy kawałek ramy okiennej był świeżo malowany, a nowe buicki czy oldsmobile tworzyły jesienną codzienność. Ale działał się to w innej epoce, innej tak dla mnie, jak i dla całego South Chicago.

Przy Osiemdziesiątej Dziewiątej skręcałam na zachód, opuszczając przysłony nad szybą, aby chronić oczy przed gasnącym zimowym słońcem. Za mierzwą uschniętych drzew, samochodowych

wraków i ruin domostw po lewej płynęła rzeka Calumet. Kiedyś razem z koleżankami wymyślałam się tam w tajemnicy przed rodzicami, aby popływać. Teraz na samą myśl, że mogłabym zanurzyć głowę w tej cuchnącej wodzie, robiło mi się niedobrze.

Liceum stało po drugiej stronie rzeki. Była to ogromna budowla, rozciągająca się na przestrzeni kilkunastu arów, ale jej mury z ciemnoczerwonej cegły wyglądały przytulnie jak dziewiętnastowieczny college dla dziewcząt. Światła bijące z okien i potoki młodych ludzi, które wlewały się do środka przez wielkie podwójne drzwi w zachodnim skrzydle, dodatkowo przyczyniały się do stworzenia niezwykłego wyrazu całości. Wyłączyłam silnik, sięgnęłam po torbę sportową i przyłączyłam się do tłumu wchodzących.

Takie wysokie półkoliste sklepienia budowano w czasach, kiedy ogrzewanie było tanie, a wykształcenie w takim poważaniu, że ludzie chcieli mieć szkoły podobne do katedr. Przepastne korytarze spełniały rolę doskonałych komór akustycznych dla roześmianego, hałaśliwego tłumu. Głosy miały się odbijane od sufitów, ścian i metalowych szafek. Dziwiło mnie, dlaczego będąc uczennicą, nigdy nie zwróciłam uwagi na ten harmider.

Powiadają, że nie zapomina się rzeczy wyuczonych w młodości. Po raz ostatni byłam tu dwadzieścia lat temu, a mimo to przy wejściu do sali gimnastycznej odruchowo skręciłam w lewo, aby pójść w głąb korytarza do szatni dla dziewcząt. Caroline Djiak czekała przed drzwiami z notatnikiem w dłoni.

- Vic! Myślałam, że może trochę wydorosłaś. Cała reszta przyszła pół godziny temu. Są już przebrane, przynajmniej te, które jeszcze mogą wcisnąć się w swoje stroje. Przyniosłaś kostium, prawda? Jest tu Joan Lacey z *Herald-Star* i chciałaby z tobą pogadać. W końcu byłaś naszym najlepszym turniejowym graczem, no nie?

Caroline nie zmieniła się. Pozostała niska, energiczna i nietaktowna. Co prawda miedziane ogonki ustąpiły miejsca lokowanej aureoli wokół piegowatej twarzy, ale była to jedyna różnica, jaką zauważyłam.

Weszłam do szatni. Panujący tu zgiełk konkurował z poziomem hałasu na korytarzu. Dziesięć młodych dziewczyn w różnych stadiach neglizżu wrzeszczało do siebie w sprawach pilnika do paznokci, tamponu i „która podpieprzyła mój dezodorant”. W stanikach i majtkach wyglądały mocno i zgrabnie, znacznie lepiej niż moje koleżanki i ja, kiedy byłyśmy w ich wieku. A już na pewno lepiej od nas takich, jakimi byłyśmy teraz.

W rogu szatni, czyniąc prawie tyle samo hałasu, gnieździło się siedem z dziesięciu dziewczyn Lady Tigers, z którymi zdobyłam mistrzostwo stanu dwadzieścia lat temu. Pięć z nich miało na sobie czarno-złote stroje. Niektórym koszulki ciasno opinały piersi, a spodenki wyglądały tak, jakby miały trzasnąć przy pierwszym gwałtownym ruchu.

Tą, która z największym trudem wcisnęła się w swój kostium, mogła być Lily Goldring, nasza czołowa egzekutorka rzutów osobistych, ale trwała i drugi podbródek sprawiały, że mogłam się co do tego mylić. Pomyślałam, że Alną Lowell jest prawdopodobnie ta Murzynka, która rozrosła się daleko poza rozmiary swego kostiumu i teraz mogła tylko z trudem naciągnąć bluzę od dresu na masywne ramiona.

Jedynymi, które rozpoznawałam z całą pewnością, były Dianę Logan i Nancy Cleghorn. Mocne, smukłe nogi Dianę wciąż nadawały się na okładkę do *Vogue'a*. Była naszą gwiazdą ataku, kapitanem drużyny, prymuską w szkole. Caroline powiedziała mi, że obecnie Dianę prowadzi z powodzeniem ekskluzywną agencję reklamową specjalizującą się w promocji przedsiębiorstw i osób ze środowisk murzyńskich.

Nancy Cleghorn i ja utrzymywałyśmy kontakt w czasie studiów, ale nawet gdyby tak nie było, jej stanowcza, kwadratowa twarz i zmierzwione jasne włosy pozostały tak niezmiennie, że poznałabym ją wszędzie. To ona sprawiła, że przyjechałam tu dzisiaj wieczór. Zajmowała się sprawami środowiska naturalnego w SCRAP-ie, czyli w Programie Odrodzenia South Chicago. Caroline Djiak była tam zastępcą dyrektora. Kiedy dowiedziały się, że Lady Tigers weszły po raz pierwszy od dwudziestu lat do rozgrywek regionalnych, postanowiły zwołać na ceremonię otwarcia stary zespół. Reklama dla dzielnicy, reklama dla SCRAP-u, doping dla drużyny - słowem, Wszyscy zadowoleni.

Nancy widząc mnie skrzywiła się w uśmiechu.

- Ty, Warszawski, rusz no trochę tyłkiem. Za dziesięć minut mamy być na parkiecie.

- Cześć, Nancy. Chyba mi coś odbiło, że dałam się namówić na przyjście tutaj. Nie wiesz, że nic nie zdarza się w życiu dwa razy?

Wyszukałam na ławce kilka centymetrów kwadratowych wolnego miejsca i rozebrawszy się szybko, rzuciłam tam torbę, do której wepchnęłam dzinsy. Włożyłam spłóviały kostium, podciągnęłam skarpety i zawiązałam wysoko sznurowane trampki.

Dianę objęła mnie ramieniem.

- Dobrze wyglądasz, Białasie. Gdyby było trzeba, mogłabyś jeszcze powalczyć.

Spojrzałyśmy w lustro. Podczas gdy niektóre z obecnych Tigersek mierzyły po metr osiemdziesiąt, ja z moimi stu siedemdziesięcioma centymetrami byłam najwyższa w naszej drużynie. Afro Dianę sięgało do wysokości mojego nosa. Murzynka i biała, obie chciałyśmy grać w koszykówkę w czasach, kiedy konflikty rasowe były codziennością na korytarzu i w szatni. Nie przepadałyśmy za sobą, ale w drugiej klasie narzuciłyśmy reszcie zespołu zawieszenie broni, i dzięki temu w lutym drużyna weszła po raz pierwszy do rozgrywek stanowych.

Uśmiechnęła się na myśl o dawnych czasach.

- Jak idiotyczne wydają się teraz te wszystkie wyzwiska, którymi się wtedy obrzucałyśmy, prawda, Warszawski? Idź zobaczyć się z tą reporterką. Powiedz coś miłego o swojej starej dzielnicy.

Joan Lacey z *Herald-Star* była jedyną w mieście kobietą zajmującą się felietonem sportowym. Kiedy oznajmiłam, że regularnie czytam jej teksty, uśmiechnęła się zadowolona.

- Powiedz to mojemu redaktorowi. A będzie jeszcze lepiej, jeśli napiszesz list. No więc, jak się czujesz, włożywszy swój kostium po tylu latach?

- Jak idiotka. Nie trzymałam w rękach piłki od czasu ukończenia studiów.

Korzystałam ze stypendium sportowego na Uniwersytecie Chicagowskim. Dawali je tam na długo przedtem, zanim do reszty kraju dotarło, że kobiety też uprawiają sport.

Rozmawiałyśmy przez parę minut o przeszłości, o starzejących się sportowcach, o pięćdziesięcioprocentowym bezrobociu w dzielnicy, o perspektywach obecnego zespołu.

- Oczywiście, kibicujemy im - powiedziałam. - Ciekawa jestem, jak wypadną na boisku. Wyglądają, jakby traktowały ogólny rozwój fizyczny znacznie poważniej niż my dwadzieścia lat temu.

- Tak, dziewczyny mają nadzieję, że wznowiona zostanie zawodowa liga. W liceach i na uniwersytetach jest masa świetnych zawodniczek, które nie mają się gdzie podziać.

Joan odłożyła swój notatnik i poprosiła fotografa, aby zrobił starej drużynie parę zdjęć na parkiecie. Ósemka weteranek wybiegła ociężale na środek, a Caroline obskakiwała nas jak nadgorliwy terier.

Dianę chwyciła piłkę, pokozłowała za sobą i puściwszy ją pod nogą, podała do mnie. Odwróciłam się i rzuciłam. Piłka odbiła się od obręczy, więc weszłam pod kosz i poprawiłam.

Dawne koleżanki z zespołu klasnęły w moje otwarte dłonie.

Fotograf zrobił nam kilka wspólnych zdjęć, a potem Dianę i mnie w pojedynku pod koszem. Kibice na sali interesowali się tym nieco, ale tak naprawdę to zajmował ich obecny zespół. Gdy Lady Tigers wbiegły w dresach na parkiet, wstali z miejsc. Popykał yśmy z nimi trochę i zeszyliśmy z boiska tak szybko, jak tylko było można: ten wieczór należał do nich.

Kiedy w sali pojawiły się dziewczyny z St. Sophia w czerwono-białych dresach, wymknęłam się do szatni i zaczęłam wkładać prywatne ciuchy. Caroline dopadła mnie, gdy kończyłam wiązać chustkę pod szyją.

- Vic! Dokąd idziesz? Wiesz, że obiecałeś po skończonej grze odwiedzić mamę!

- Powiedziałam, że postaram się, jeśli będę mogła zostać dłużej.

- Ona bardzo liczy na spotkanie z tobą. Jest w takim stanie, że ledwo może wstać z łóżka. To naprawdę dla niej ważne.

Mogłam zobaczyć w lustrze jej pałającą twarz i niebieskie oczy, pociemniałe od spojrzenia pełnego urazy, takiego samego, jakim raczył a mnie, mając pięć lat, gdy nie pozwalał am jej włączyć się za sobą i moimi koleżankami. Poczułam, że znów robię się wściekła jak przed dwudziestu laty.

- Zorganizowałaś tę koszykarską farsę, żeby wmanipulować mnie w odwiedziny u Louisy? Czy też przyszło ci to do głowy już później?

Jej rumieniec przybrał szkarłatną barwę.

- O jakiej farsie mówisz? Ja usiłuję zrobić coś dla tej okolicy. Nie jestem dupodajką, która wyprowadza się na North Side i pozostawia ludzi ich własnemu losowi!

- Co, myślisz, że jakbym została tutaj, to mogłabym uratować hutę Wisconsin? Albo powstrzymać przed strajkiem tych palantów z Zakładów Południowych, jednej z ostatnich czynnych fabryk w okolicy?

Porwałam z ławki kurtkę i ze złością wciągnęłam na siebie.

- Vic! Dokąd idziesz?

- Do domu. Jestem umówiona na kolację. Muszę się przebrać.

- Nie możesz tego zrobić. Jesteś mi potrzebna - zawodziła głośno.

Jej wielkie oczy tonęły teraz we łzach, co stanowiło przygrzywkę do skrzekliwego przywołania opinii naszych matek, jakoby byłam dla niej niedobra. To przypominało mi te wszystkie razy, kiedy Gabriella podchodziła do drzwi, mówiąc: „Co to dla ciebie za róż nica, Victorio? Zabierz dziecko ze

sobą”. Wspomnienie było tak silne, że z trudem mogłam powstrzymać się przed dzieleniem Caroline w rozdziawioną, trzęsącą się gębę.

- Czego ty chcesz? Żebym wypełniła obietnicę, którą złożyłaś bez porozumienia ze mną?

- Mama długo już nie pociągnie - zawołała. - Czy to nie ważniejsze od jakiejś pieprzonej randki?

- Na pewno. Gdyby to było spotkanie towarzyskie, zadzwoniłabym i wykręciła się, mówiąc, że jedna taka smarkata z sąsiedztwa wpakowała mnie w coś, od czego nie mogę się wymigać. Ale tę kolację jem z moim klientem. To narwaniec, lecz płaci w terminie i zależy mi, aby był zadowolony.

Łzy popłynęły strumieniami po piegowatych policzkach.

- Vic! Ty nigdy nie traktowałaś mnie poważnie. Powiedziałam ci, kiedy rozmawialiśmy, jak ważne byłoby dla mamy, gdybyś przyszła się z nią zobaczyć. A ty zupełnie zapomniałaś. Ciągle myślisz, że mam pięć lat i nic, co mówię, czy myślę, nie ma znaczenia.

To mnie zatkało. Trafiła w sedno. A jeśli Louisa była tak bardzo chora, to rzeczywiście powinnam się z nią zobaczyć.

- No dobra. Zadzwonię i odwołam spotkanie. Pierwszy i ostatni raz.

Łzy natychmiast zniknęły.

- Dzięki, Vic. Nie zapomnę ci tego. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Chciałaś powiedzieć: wiedziałam, że mogę cię jeszcze raz naciągnąć - odparłam niechętnie.

Roześmiała się.

- Pozwól, że pokażę ci, gdzie są telefony.

- Nie jestem jeszcze taka stetryczal a, sama sobie poradzę. Ach, nie bój się, nie dam dyla, kiedy nie będziesz patrzeć - dodałam, widząc jej niepewne spojrzenie.

Uśmiechnęła się krzywo.

- I Bóg jest ci świadkiem?

To było stare zakłęcie przejęte od pijanego wuja Stana, który je wypowiadał, aby udowodnić matce Caroline, że jest trzeźwy.

- Bóg mi ś świadkiem - potwierdziłam solennie. - Mam tylko nadzieję, że Graham nie wścieknie się do tego stopnia, aby odmówić zapłacenia rachunku.

Znalazłam automaty telefoniczne w pobliżu głównego wejścia i zmarnowałam kilka monet, zanim udało mi się dopaść Darrougha Grahama w Forty-Nine Club. Nie był zbyt zachwycony -

zamówił stolik w Filagree - ale zdołałam zakończyć rozmowę w przyjaznym tonie. Przerzuciwszy torbę przez ramię, ruszyłam z powrotem do sali gimnastycznej.

ROZDZIAŁ 2

Niańczenie bachora

St. Sophia dała Lady Tigers dobrą szkołę, prowadząc przez większość drugiej połowy. Gra była zacięta i znacznie szybsza niż za moich koszykarskich czasów. Dwie rozgrywające z Lady Tigers zeszyły za pięć przewinień na siedem minut przed końcem i sprawa wyglądała kiepsko. Na trzy minuty przed gwizdkiem zeszyła najmocniejsza z obrony St. Sophii. Wtedy gwiazda ataku Lady Tigers, która do tej pory była skutecznie kryta, ożywiła się i rzuciła osiem punktów bez odpowiedzi ze strony przeciwniczek. Drużyna gospodarzy wygrała 54:51.

Wiwatowałam z takim zapamiętaniem jak nikt inny. Poczułam nawet nostalgiczny sentyment dla własnej dawnej drużyny. To mnie zaskoczyło; moje dziewczęce wspomnienia były tak zdominowane przez chorobę matki i jej śmierć, że zdaje się zapomniałam o wszystkich miłych chwilach.

Nancy Cleghorn wyszła na jakieś zebranie, ale Dianę Logan i ja dołączyłyśmy do reszty dawnej drużyny, aby pogratulować naszym sukcesorkom i życzyć powodzenia w regionalnych półfinałach. Nie zostałyśmy długo: wyraźnie myślały, że jesteśmy za stare, aby rozumieć koszykówkę, nie mówiąc już o graniu w nią.

Dianę podeszła do mnie, by się pożegnać.

- Nie mogłaś uczynić więcej, aby ożywić we mnie wspomnienia - powiedziała, ocierając się policzkiem o moją twarz. - A teraz wracam do swojego świata i zostaję już tam na dobre. Trzymaj się, Warszawski.

Odeszła w mgiełce srebrnych lisów i zapachu Opium.

Caroline kręciła się nerwowo przy drzwiach szatni, zaniepokojona, że mogłabym wyjść bez niej. Była tak napięta, że zaczynałam obawiać się o to, co zastanę w jej domu. Właśnie w taki sam sposób zachowała się kiedyś, gdy ściągnęła mnie do siebie z uczelni, ponieważ Louisa rzekomo zraniła ją w plecy, i szukała pomocy przy wstawianiu wybitej szyby. Kiedy przyjechałam, okazało się, że oczekiwała ode mnie, iż wytłumaczę ją przed matką z faktu przekazania na fundusz wielkopostny w St. Wenceslaus małego pierścionka z perłą należącego do Louisy.

- Czy Louisa rzeczywiście jest chora? - dopytywałam się, gdy w końcu opuściliśmy szatnię.

Spojrzała na mnie trzeźwo.

- Bardzo chora, Vic. Nie będziesz zachwycona jej widokiem.

- Co w takim razie z resztą twego planu?

Jej policzki jak na zawołanie oblały się rumieńcem.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Raptownie pchnęła drzwi wejściowe. Ruszyłam za nią z wolna, akurat żeby zauważyć, jak wsiada do swego zdezelowanego samochodu zaparkowanego niemal na środku ulicy. Gdy przechodziłam obok, odsunęła boczną szybę, krzyżąc, że spotkamy się u niej w domu, i odjechała z piskiem opon. Otworzywszy samochód, wśliznęłam się do środka, czując, jak ogarnia mnie przygnębienie.

Kiedy skręciłam w Houston Street, moja chandra jeszcze się pogłębiła. Ostatni raz byłam tutaj w 1976 roku. Umarł wtedy ojciec i przyjechałam, aby sprzedać nasz dom. Widziałam się wówczas z Louisa oraz Caroline, która miała czternaście lat i zawzięcie próbowała iść w moje ślady - trenowała koszykówkę, ale przy wzroście metr pięćdziesiąt nawet z jej niespożytą energią nie miała szans na zdobycie miejsca w pierwszej drużynie.

Wtedy też po raz ostatni rozmawiałam z sąsiadami, którzy znali jeszcze moich rodziców. Panowała wśród nich prawdziwa żaloba po moim łagodnym i pełnym poczucia humoru ojcu oraz wyczuwało się niechętny szacunek wobec Gabrielli zmarłej dziesięć lat wcześniej. Koniec końców inne kobiety w sąsiedztwie dzieliły z nią wspólne troski oszczędzania, ściubienia i oglądania każdego grosza na wszystkie strony, aby wykarmić i odziać swe rodziny.

Po jej śmierci wygadywano niestworzone rzeczy na temat wybryków, które przyprawiały ludzi o drżenie rąk - żeby zabierać dziecko do opery za dziesięć dolarów, zamiast kupić mu nowe palto na zimę! Żeby nie ochrzcić i nie posłać dziewczynki na religię do sióstr w St. Wenceslaus! To zaniepokoiło ich do tego stopnia, że pewnego dnia przysłano do nas matkę przełożoną, Joseph Jakąś-tam, na pamiętną konfrontację.

Ale zdaje się, że największym ze wszystkich jej szaleństw było dla nich dążenie, aby posłać mnie na studia, i upieranie się przy Uniwersytecie Chicagowskim. Dla Gabrielli liczyło się tylko to, co najlepsze, a gdy miałam dwa lata, uznała, że najlepszy jest właśnie ten. Choć, co prawda, bez porównania z uniwersytetem w Pizie. Podobnie jak buty, które kupiła sobie u Callabrana przy

Morgan Street, nie umywały się do mediolańskich. Ale na bezrybiu i rak ryba, więc w dwa lata po śmierci matki zostałam stypendystką Czerwonego Uniwersytetu, jak go nazywali moi sąsiedzi, i na wpół przerażona i podekscytowana wyruszyłam na spotkanie tamtejszych demonów. Później nigdy już właściwie nie wróciłam do domu.

Louisa Djiak była jedyną kobietą w okolicy, która zawsze stawała po stronie Gabrielli za jej życia i po śmierci. Bo też była jej dłużniczką. Moją także, pomyślałam z nutą gorzkości, która mnie zaskoczyła. Uzmysłowiłam sobie, że wciąż byłam wściekła za te wszystkie wspaniałe letnie dni spędzone na niańczeniu dziecka, za lekcje odrabiane z towarzyszeniem wrzasku bachora Louisy.

Tak, teraz bachor był już dorosły, ale wciąż natrętnie zawodził nad uchem. Zaparkowałam za capri Caroline i wyłączyłam silnik.

Dom był mniejszy od tego, który zapamiętałam, oraz bardziej zaniedbany. Louisa nie czuła się na tyle dobrze, by co parę miesięcy prac i krochmalić firanki, a Caroline należała do pokolenia, które ostentacyjnie unikało takich czynności. Powinnam coś o tym wiedzieć - sama byłam jego częścią.

Caroline, wciąż zdenerwowana, czekała na mnie w drzwiach. Uśmiechnęła się blado, z wysiłkiem.

- Mama jest rzeczywiście przejęta twoją wizytą, Vic. Czekala cały dzień z kawą, żeby napić się z tobą. - Poprowadziła mnie przez małą, zagraconą jadalnię do kuchni, mówiąc przez ramię: - Nie powinna już wcale pić kawy. Ale zbyt trudno jej się tego wyrzec, podobnie jak całej reszty. Więc kompromisowo stanęło na jednej filiżance dziennie.

Zakręciwszy się przy piecyku, energicznie i nieudolnie przystąpiła do przyrządzania kawy. Nie zważając na kałuże rozlanej wody i rozsypane ziarenka, starannie zastawiła tacę porcelaną, serwetkami z materiału i gałązkami geranium wyciętymi z krzaczka rosnącego na oknie w starej puszcze. Na koniec podała małą czarę z lodami i ozdobiła ją zielonym listkiem. Gdy podniosła tacę, zeszałam z mej grędy na wysokim kuchennym stołku i ruszyłam za Caroline.

Sypialnia Louisy mieściła się na prawo od jadalni. Gdy tylko Caroline otworzyła drzwi, zapach choroby uderzył mnie z niemal fizyczną siłą, przywołując wspomnienie odoru lekarstw i zepsutego ciała, który unosił się nad Gabriellą przez ostatni rok jej życia. Wbiłam paznokcie w prawą dłoń i zmusiłam się do wejścia.

Moją pierwszą reakcją był szok, mimo że zdawało mi się, iż jestem przygotowana na wszystko.

Louisa siedziała na łóżku oparta o wezglowie. Miała wychudłą zielonkawo-szarą twarz i przerzedzone włosy. Z luźnych rękawów znoszonego różowego szlafroka wylaniały się poskręcane dłonie. A mimo to, kiedy wyciągnęła je ku mnie z uśmiechem, uchwyciłam w niej cień tej pięknej młodej kobiety, która wynajęła dom obok nas, będąc w ciąży z Caroline.

- Jak to miło, Victorio. Wiedziałam, że wpadniesz. Jesteś w tym podobna do swojej mamy. Z wyglądu też, mimo że masz szare oczy ojca.

Przyklękłam obok łóżka i uścisnęłam ją. Pod szlafrokiem wyczuwało się drobne, kruche kości.

Zaniosła się morderczym kaszlem, który wstrząsał całym ciałem.

- Wybacz mi. Zbyt wiele tych cholernych fajek przez zbyt wiele lat. Ta panienka tutaj ukrywa je przede mną - jakby mogły mi jeszcze bardziej zaszkodzić.

Caroline przygryzła wargi i podeszła do łóżka z drugiej strony.

- Przyniosłam ci kawę, mammo. Może dzięki temu przestaniesz myśleć o tych swoich petach.

- Tak, aż jedną filiżankę. Przekłęci lekarze. Najpierw szprycują cię po dziurki w nosie jakimś gównem, tak że nie wiesz, jak się nazywasz. A potem, jak usadzą cię już na tyłku, to odbierają wszystko, co pozwala jakoś zabić czas. Powiadam ci, dziewczyno, nie daj się nigdy tak urządzić.

Wzięłam z rąk Caroline delikatną porcelanową filiżankę i przekazałam Louisie. Drżały jej lekko dłonie, więc przycisnęła naczynie do piersi. Przesunęłam się na krzesło obok łóżka.

- Chcesz zostać chwilę sama z Victorią, mammo? - spytała Caroline.

- No pewnie. Idź sobie, dziecko. Wiem, że masz robotę. Kiedy zamknęły się drzwi za Caroline, powiedziałam:

- Doprawdy, przykro mi widzieć cię w takim położeniu.

Machnęła niecierpliwie ręką.

- Ach, do cholery z tym. Mam dość myślenia o chorobie i wystarczy, że nagałam się na ten temat z tymi przekłętymi lekarzami. Chcę, żebyś powiedziała, co u ciebie. Śledzę wszystkie twoje sprawy, o których piszą w gazetach. Twoja mama byłaby z ciebie naprawdę dumna.

- Nie jestem tego taka pewna. - Roześmiałam się. - Miała nadzieję, że zostanę śpiewaczką. Albo dobrze opłacaną adwokatką. Mogę sobie wyobrazić, co by było, gdyby zobaczyła, jakie życie prowadzę.

Louisa położyła kościstą dłoń na moim ramieniu.

- Nie myśl tak, Victorio. Nie myśl tak nawet przez chwilę. Znałaś Gabriellę - oddałaby

żebrakowi ostatnią koszulę. Pamiętasz, jak wstawiła się za mną, kiedy przyszli tu ludzie i rzucali jajkami i gównem w moje okna. Nie. Może wolałaby, żeby powodziło ci się lepiej niż teraz. Do licha - tak samo ja myślę o Caroline. Ma głowę na karku, wykształcenie i tak dalej, mogłaby robić coś lepszego, niż zajmować się tymi śmieciami. Ale jestem z niej naprawdę dumna. Jest uczciwa, ciężko pracuje i postępuje zgodnie ze swoimi przekonaniem. I ty jesteś taka sama. Nie, droga pani. Gabriella, widząc cię teraz, byłaby przepelniona dumą po brzegi.

- Nie poradzilibyśmy sobie bez twojej pomocy, gdy byłam taka chora - wymamrotałam zakłopotana.

- Bzdury, dziewczyno. To była jedyna szansa na odpłacenie jej za wszystko, co dla mnie zrobiła. Ciągle ją widzę, jak te cnotliwe panusie z St. Wenceslaus paradowały przed moimi oknami. Gabriella wyszła do nich i puściła im taką wiązanekę, że o mało nie powpadały do Calumetu. - Wybuchła chrapliwym, urywanym śmiechem, który przerodziwszy się w atak kaszlu, pozbawił ją tchu, aż lekko zsiniała. Przez parę minut leżała spokojnie, łapiąc powietrze krótkimi, sapiącymi haustami. - Trudno uwierzyć, że ludziska tak się przejęli jakąś niezamężną nastolatką w ciąży, prawda? - powiedziała w końcu. - Teraz połowa ludzi w tej okolicy jest bez pracy, to sprawa życia i śmierci, dziewczyno. Ale w tamtych czasach ta moja historia wydawała im się końcem świata. Nawet moja własna matka i ojciec odrzucili mnie tak jak reszta. - Zadumała się przez chwilę. - Tak jakby to była tylko moja wina czy coś. Twoja matka jako jedyna wstawiła się za mną. Nawet kiedy moi krewni zaczęli mnie odwiedzać, decydując się przyjąć do wiadomości istnienie Caroline, to nigdy w gruncie rzeczy nie wybaczyli ani jej, że się urodziła, ani mnie, że ją urodziłam.

Gabriella nigdy nie robiła niczego połowicznie: pomagałam jej opiekować się dzieckiem, aby Louisa mogła pracować na nocnej zmianie w Xerxesie. Dni, kiedy musiałam zabierać Caroline do jej dziadków, były najgorszą torturą. Ograniczeni, ponurzy, nie pozwalali mi wejść do środka, chyba że zdjęłam buty. Kilka razy kapali nawet Caroline na zewnątrz, zanim dopuścili ją w swe szacowne progi.

Rodzice Louisy byli dopiero po sześćdziesiątce - w tym samym wieku co Tony i Gabriella, gdyby ci jeszcze żyli. Ponieważ Louisa miała dziecko i mieszkała sama, zawsze myślałam o niej, że należała do pokolenia moich rodziców, choć była tylko pięć czy sześć lat starsza ode mnie.

- Kiedy przerwałaś pracę? - spytałam.

Dawniej dzwoniłam do Louisy, gdy moja pełna poczucia winy wyobraźnia przywoływała

obraz Gabrieli, ale było to jakiś czas temu. South Chicago zbyt ciężko na dnie mej pamięci, abym świadomie chciała ożywiać wspomnienia, minęły więc z górą dwa lata, kiedy po raz ostatni rozmawiałam z Louisa. Wtedy nic nie mówiła o złym samopoczuciu.

- Och, doszło do tego, że nie mogłam już ustać na nogach. Więc odesłali mnie na rentę. A od jakichś sześciu miesięcy w ogóle nie mogę się ruszać.

Odrzuciła koldrę z nóg. Były jak patyki, cieniutkie niczym u ptaka i obleczone szarozieloną marmurkową skórą podobną do tej na twarzy. Na stopach i wokół kostek widniały sine plamy, wskazujące miejsca, gdzie żyły nie przetaczały już krwi.

- To nerki - powiedziała. - Przez te cholery nie mogę właściwie się wysuszać. Caroline wozi mnie dwa, trzy razy w tygodniu i podłączają mnie do takiej przeklętej maszyny, która ma mnie przeczyścić, ale mówiąc między nami, dziewczyno, gdyby zostawili mnie w spokoju, wyszłoby na to samo. - Podniosła w górę chudą dłoń. - Nie mów tego Caroline, ona robi wszystko, żebym miała jak najlepiej. A zakład płaci za to, więc nie uważam, abym ją naciągała. Nie chcę, żeby pomyślała, iż jestem niewdzięczna.

- Nie, nie - powiedziałam uspokajająco, delikatnie podciągając koldrę.

Wróciła do wspomnień o starych czasach, do dni, kiedy jej nogi były smukłe i silne, kiedy wybierała się na tańce po skończonej zmianie o północy. Mówiła o Stewie Ferraro, który chciał się z nią ożenić i Joeyu Pankowskim, który nie chciał. O tym, że gdyby mogła cofnąć czas, to postąpiłaby tak samo, ponieważ miała Caroline, ale dla niej pragnęła czegoś innego, czegoś lepszego niż trwanie w South Chicago i dorabianie się wczesnej starości.

W końcu ujęłam jej kościste palce i uścisnęłam lekko.

- Muszę już iść, Louiso - mam do domu ponad trzydzieści kilometrów. Ale wrócę.

- No dobra, naprawdę było miło znowu cię zobaczyć, dziewczyno. - Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się łobuzersko. - Nie sądzę, żebyś potrafiła znaleźć sposób na podrzucenie mi paczki papierosów, prawda?

Roześmiałam się.

- Nie wtrącam się w nie swoje sprawy, Louiso. Musisz to załatwić z Caroline.

Przed wyjściem poprawiłam jej poduszki i włączyłam telewizor. Louisa nigdy nie przepadała za czułościami, ale na kilka sekund mocno uścisnęła mi rękę.

ROZDZIAŁ 3

W roli starszej siostry

Caroline siedziała w jadalni, pałaszowała pieczonego kurczaka i robiła notatki na kolorowym wykresie. Beładne sterty papierów - raporty, pisma, ulotki - pokrywały całą powierzchnię małego pokoju. Wielki stos obok jej lewego łokcia chwiały się niepewnie na krawędzi stołu. Usłyszawszy, że wchodzi, odłożyła ołówek.

- Kiedy gadałaś z mamą, wyskoczyłam po kurczaka. Chcesz trochę? No i jak - przykra sprawa, nie?

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem.

- To straszne widzieć ją w takim stanie. Jak ty wytrzymujesz?

- Nie było tak źle - skrzywiła się - dopóki nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Pokazywała ci? Wiedziała. To dla niej naprawdę straszne, że nie może się poruszać. Dla mnie okropny był moment, kiedy uzmysłowiłam sobie, jak długo chorowała, zanim cokolwiek zauważyłam. Znasz mamę - w życiu by się nie poskarżyła, zwłaszcza w sprawie tak intymnej jak nerki. - Przeczesła zatłuszczoną dłonią zmierzwione loki. - Dopiero trzy lata temu nagle zauważyłam, że zaczyna gwałtownie tracić wagę i to był pierwszy sygnał, iż coś jest nie tak. Potem wyszło na jaw, że już od dłuższego czasu źle się czuła - zawroty głowy i tak dalej, drętwienie stóp - nie chciała zdradzić się z niczym, co zagroziłoby jej pracy.

Ta historia brzmiała przygnębiająco znajomo. Ludzie z północnych dzielnic chodzą do lekarza z każdym odciskiem na nodze, ale w South Chicago oczekuje się od życia samych nieprzyjemności. Zawroty głowy i utrata wagi zdarzają się wielu innym, takie sprawy dorośli zachowują dla siebie.

- Zadowolona jesteś z jej lekarzy?

Caroline dokończyła obgryzania udka i oblizwała palce.

- Są w porządku. Jeździmy do Pomocy Chrześcijan, ponieważ tam Xerxes ma swoje zaplecze medyczne, i robią tyle, ile można. Chodzi o to, że jej nerki w ogóle nie działają - nazywa się to ostrą niedoczynnością - a poza tym, zdaje się są jakieś kłopoty ze szpikiem kostnym i być może początki astmy. To jest nasz jedyny prawdziwy problem - ona ciągle upiera się przy tych zasranych papierosach. Cholera, umówmy się, one mogły doprowadzić ją do takiego stanu.

- Skoro jest tak źle, to papierosy niczego już nie pogorszą - zagadnęłam zakłopotana.

- Vic! Chyba jej tego nie powiedziałaś? Muszę się z nią użerać o papierosy dziesięć razy dziennie. Jak uzna, że ją popierasz, to ja już mam z głowy. - Uderzyła z pasją w stół. Dygocząca sterta papierów rozsypała się po podłodze. - Byłam pewna, że ze wszystkich ty najbardziej będziesz za mną.

- Wiesz, co myślę o paleniu - powiedziałam rozdrażniona. - Tony nadal by żył, gdyby nie te jego dwie paczki dziennie. Ciągle słyszę w złych snach, jak charczy i kaszle. Ale ile zycia odbierze Louisie palenie w jej sytuacji? Leży tam sama, mając do towarzystwa jedynie telewizor. Mówię tylko, że to mogłoby poprawić jej samopoczucie, a fizycznie już niczego nie pogorszy.

Caroline nieprzejeźdźnie zacięła usta.

- Nie. Nie chcę nawet o tym słyszeć.

Westchnęłam i schyliłam się, aby pomóc jej w zbieraniu papierów. Kiedy byliśmy gotowe, spojrzałam na nią podejrzliwie; znowu stała się napięta i rozkojarzona.

- No dobra, myślę, że będę się zbierać. Mam nadzieję, że Lady Tigers pójdą w nasze ślady.

- Vic... ja. Ja chcę z tobą porozmawiać. Potrzebuję twojej pomocy.

- Caroline. Przyjechałam tu specjalnie dla ciebie i defilowałam w koszykarskim stroju. Widziałam się z Louisa i nie żałuję spędzonego z nią czasu, ale nie interesują mnie dalsze punkty programu, który przygotowałaś na dziś wieczór.

- Chcę cię wynająć. Zawodowo. Potrzebuję twojej pomocy jako detektywa - odpowiedziała buńczucznie.

- Do czego? Oddałaś pieniądze SCRAP-u na kościelną zbiórkę wielkopostną i teraz chcesz je odzyskać?

- Do cholery, Vic! Czy mogłabyś przestać zachowywać się, jakbym wciąż miała pięć lat, i przez chwilę potraktować mnie poważnie?

- Skoro chcesz mnie wynająć, to dlaczego nie wspomniałaś o tym przez telefon? - spytałam. - Takie podchody nie pozwalają traktować cię poważnie.

- Chciałam, żebyś przed naszą rozmową najpierw spotkała się z mamą - wymamrotała, wpatrując się w jakiś wykres. - Pomyślałam, że kiedy zobaczysz, jak jest z nią źle, to sprawa wyda ci się ważniejsza.

Przysiadłam na krawędzi stołu.

- Caroline, pomów ze mną otwarcie. Obiecuję, że wysłucham cię z całą powagą jak każdego innego potencjalnego klienta. Ale przedstaw całą sprawę, początek, środek i koniec. Potem możemy rozstrzygnąć, czy rzeczywiście potrzebny ci detektyw, czy właśnie ja, i tak dalej.

Nabrała tchu i powiedziała szybko:

- Chcę, żebyś odszukała mojego ojca.

Milczałam przez minutę.

- Czy to nie jest zajęcie dla detektywa? - przynagliła mnie.

- Czy wiesz, kto to jest? - spytałam delikatnie.

- Nie, to między innymi jest sprawa, którą miałabyś wyjaśnić. Widzisz, jak źle jest z mamą, Vic. Wkrótce umrze. - Starła się zachować obojętny ton, ale głos drżał jej lekko. - Jej krewni zawsze traktowali mnie jak... nie wiem... w każdym razie nie tak samo jak moich kuzynów. Jak kogoś drugiej kategorii, powiedzmy. Kiedy ona umrze, chciałabym mieć jakąś rodzinę. Może mój stary okaże się małym sukinsynem. Typem faceta, który godzi się, żeby dziewczyna przechodziła przez to wszystko, co mama przeszła, gdy była w ciąży. Ale może on ma rodzinę, która by mnie polubiła. A jeśli nie ma, przynajmniej będę to wiedzieć.

- Co mówi Louisa? Pytałaś ją?

- Mało mnie nie zabiła i siebie przy okazji - była tak wściekła, że omal się nie udusiła. Krzyczała, że jestem niewdzięczna, że zaharowywała się dla mnie do upadłego, że nigdy mi na niczym nie zależało i że dlaczego muszę wsadzać nos w sprawy, które nie są moim głównym interesem. Ale ja muszę się dowiedzieć. Wiem, że to możesz dla mnie zrobić.

- Caroline, może ta nieświadomość jest dla ciebie lepsza? Nawet gdybym miał a pojęcie, jak się do tego zabrać - poszukiwanie osób zaginionych nie jest moją specjalnością - ale skoro dla Louisy to tak bolesne, może byłoby lepiej nie wiedzieć.

- Ty wiesz, kto to jest, prawda? - zawołała.

Potrząsnęłam głową.

- Nie mam pojęcia, mówię uczciwie. Dlaczego tak sądzisz?

Spuściła oczy.

- Jestem pewna, że powiedziała Gabrielli. Sądziłam, że być może ona powiedziała z kolei tobie. Zbliżyłam się do niej i przysiadłam obok.

- Może Louisa powiedziała matce, ale jeżeli tak, to Gabriella uznała, że nie była to sprawa, o

której powinnam wiedzieć.

Słyszając to uśmiechnęła się lekko.

- Więc odnajdziesz go dla mnie?

Gdybym nie znała jej przez całe życie, łatwiej byłoby powiedzieć mi nie. Specjalizuję się w przestępstwach finansowych. Poszukiwanie osób wymaga określonych umiejętności oraz określonych kontaktów, o które nigdy nie dbałam. A ten facet zniknął przed ponad ćwierćwieczem.

Caroline jako dziecko, poza wiecznym skamleniem, drażnieniem mnie i włóceniem się za mną, kiedy tego nie chciałam, również mnie uwielbiała. Kiedy byłam na studiach, wybiegała na spotkanie pociągu, którym przyjeżdżałam na weekendy. Miedziane mysie ogonki powiewały na wietrze, a pulchne nóżki przebierały z całych sił. Chodziła nawet na koszykówkę, bo ja to robiłam. Gdy miała cztery lata, omal nie utonąła, wypłynąwszy za mną na jezioro Michigan. Takich wspomnień było bez liku. Jej niebieskie oczy wciąż wpatrywały się we mnie z pełną ufnością. Nie chciałam tego, lecz nie potrafiłam uchylić się od odpowiedzi.

- Czy masz jakiś pomysł, jak rozpocząć takie poszukiwanie?

- Wiesz. To musiał być ktoś, kto mieszkał na East Side. Ona nigdzie indziej się nie zapuszczała. Nie była nawet w centrum, dopóki twoja matka nie zabrała nas, żeby obejrzeć bożonarodzeniowe dekoracje. Miałam wtedy trzy lata.

East Side było białą dzielnicą na wschód od South Chicago. Odcinała je od reszty miasta rzeka Calumet, a jego mieszkańcy wiedli parafialne, wsobne życie. Rodzice Louisy wciąż tam mieszkali w domu, w którym dorastała.

- To już coś - powiedziałam zachęcająco. - Jak sądzisz, ile ludności mieszkało tam w 1960 roku? Dwadzieścia tysięcy? A tylko połowa to mężczyźni. I jeszcze wiele dzieci. Masz może inne pomysły?

- Nie - odparła z uporem. - Dlatego potrzebny mi detektyw. Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, zabrzączał dzwonek u drzwi. Caroline spojrzała na zegarek.

- To może być ciotka Connie. Czasami wpada tak późno. Za chwilę wrócę.

Wybiegła do wyjścia. W czasie gdy przyjmowała gości, kartkowałam pismo poświęcone przemysłowi utylizacji odpadów, zdumiewając się, czy rzeczywiście byłam na tyle szalona, aby podjąć próbę odzyskania ojca Caroline. Gapiłam się właśnie na zdjęcie gigantycznego pieca, gdy weszła z powrotem do pokoju. W ślad za nią wsunęła się Nancy Cleghorn, moja dawna koleżanka

z boiska, która teraz pracowała dla SCRAP-u.

- Cześć, Vic. Przepraszam, że zawracam głowę, ale chciałam zapoznać Caroline z pewnym problemem.

Caroline spojrzała na mnie przepraszająco i zapytała, czy nie zaczekałabym chwilę, aż skończą.

- Oczywiście - odpowiedziałam uprzejmie, zastanawiając się, czy byłam już skazana na spędzenie nocy w South Chicago. - Chcecie, żebym wyszła do drugiego pokoju?

Nancy potrząsnęła głową.

- To nic poufnego. Tylko po prostu irytujące.

Usiadła i rozpięła płaszcz. Z koszykarskiego stroju przebrała się w brązową sukienkę z czerwoną chustką i zrobiła sobie makijaż, lecz włosy wciąż miała zmierzwione.

- Przyjechałam na zebranie grubo przed czasem. Ron czekał już na mnie, Ron Kappelman, nasz prawnik - wyjaśniła mi - i okazało się, że naszej sprawy nie ma w porządku obrad. Więc Ron poszedł do tego tłustego capa Martina O'Gara i powiedział, że przedstawiliśmy nasze materiały na długo przed wyznaczonym terminem i rozmawialiśmy dziś rano z sekretarką, by się upewnić, czy nas uwzględniono. Na to O'Gara odstawia wielki show pod tytułem: „Nie wiem, co tu się, do cholery, dzieje”, dzwoni do sekretarki i znika na chwilę. Potem wraca i mówi, że było tyle prawnych problemów z naszym podaniem, iż dziś wieczorem postanowiono go nie rozpatrywać.

- Chcemy tu wybudować stację odzyskiwania rozpuszczalników - tłumaczyła Caroline. - Mamy fundusze, lokalizację, specjalistów, którzy przeszli każdy test EPA* [EPA - Agencja ds. Ochrony Środowiska (przyp. tłum.)], jaki można by było wymyślić, no i klientów tuż pod bokiem - Xerxesa i Glow-Rite. Oznacza to dobrą setkę nowych miejsc pracy oraz szansę na ograniczenie wpływu tego świństwa do gruntu. - Zwróciła się do Nancy. - Więc w czym problem? Co powiedział Ron?

- Tak się wściekłam, że mnie замуrowało. A on był w takim stanie, iż bałam się, że skreśli temu O'Garze kark, gdyby mógł go znaleźć pod zwałami sadła. Zadzwoił do Dana Zimringa, prawnika z Agencji, no wiesz. Dan powiedział, żebyśmy przyjechali do niego. Wszystko przejrzał i stwierdził, że papiery nie mogłyby być w lepszym porządku.

Nancy potrząsnęła zmierzwioną czupryną, która nastroszyła się na wszystkie strony. Nieświadomie sięgnęła po kawałek kurczaka.

- Powiem ci, na czym polega problem - warknęła Caroline z wypiekami na twarzy. -

Prawdopodobnie pokazali nasz projekt Artowi Jurshakowi, no wiesz, przez grzeczność albo z powodu innej bzdury. Myślę, że on to zablokował.

- Artowi Jurshakowi? - powtórzyłam. - Wciąż jest tutaj radnym? Musi mieć teraz ze sto pięćdziesiąt lat.

- Nie, nie - niecierpliwie przerwała Caroline. - Jest dopiero po sześćdziesiątce. Co o tym sądzisz, Nancy?

- Myślę, że ma sześćdziesiąt dwa lata - odpowiedziała z pełnymi ustami.

- Nie o jego wieku - zachnęła się Caroline. - Co sądzisz o tym, że Jurshak usiłuje zablokować projekt.

Nancy oblizała palce. Rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby odłożyć kość, i w końcu zostawiła ją na talerzu z resztą kurczaka.

- Nie rozumiem, jak na to wpadłaś, Caroline. Istnieje wielu ludzi, którzy nie chcieliby mieć takiego zakładu w okolicy.

Caroline spojrzała na nią spod przymrużonych powiek.

- Co dokładnie powiedział O'Gara? Musiał przecież podać jakiś powód, że nas nie przyjęli.

Nancy zmarszczyła brwi.

- Powiedział, że nie powinniśmy składać takich propozycji bez poparcia społeczności lokalnej. Mówiłam, że ludzie są w stu procentach za nami, i byłam już gotowa pokazać mu kopie petycji i innych kwitów, ale on na to zarechotał radośnie, mówiąc, że na pewno nie sto procent. Słyszał o ludziach, którzy wcale nas nie popierają.

- Ale dlaczego Jurshak? - spytałam, zainteresowana trochę wbrew sobie. - Dlaczego nie Xerxes albo mafia, albo jakaś konkurencyjna firma odzyskiwania rozpuszczalników?

- Po prostu polityczny układ - odpowiedziała Caroline. - O'Gara jest przewodniczącym rady, bo kumpluje się z tymi starymi wycirusami.

- Daj spokój, Caroline, Art nie ma powodu, żeby być przeciwko nam. Na ostatnim posiedzeniu zachowywał się nawet tak, jakby nas popierał.

- Nigdy nie wyraził tego w tyłu słowach, w ilu ty teraz - odparła zawzięcie Caroline. - A zresztą, ile kosztuje zmiana poglądów, jeśli chce się zdobyć środki na dostatecznie szeroką kampanię przedwyborczą.

- Zapewne - przyznała niechętnie Nancy. - Ja po prostu wolę tak nie myśleć.

- Skąd u ciebie nagle taka sympatia do Jurshaka? - zaatakowała Caroline.

Tym razem Nancy się zarumieniła.

- Znikąd. Ale jeśli on jest przeciwko nam, to cholernie mało prawdopodobne, żebyśmy uzyskali spotkanie u O'Gary. Chyba że Jurshak przekonałby się do nas dzięki odpowiednio dużej łapówce. Więc jak myślisz, Vic, kto występuje przeciwko tej stacji? Jesteś przecież detektywem czy czymś w tym rodzaju.

Spojrzałam na nią ponuro i odpowiedziałam pośpiesznie:

- Czymś w tym rodzaju. Kłopot polega na tym, że w takim politycznym bałaganie istnieje zbyt wiele ewentualności. Mafія. Siedzi w bardzo wielu przedsiębiorstwach przerobu odpadów w Chicago. Może uznała, że wkraczalibyście na ich poletko. Albo Return to Eden. Wiem, że uważa się ich za entuzjastów ekologii, ale ostatnio zarobili mnóstwo pieniędzy na wykonywaniu dramatycznych gestów tu, w South Chicago. Może nie życzą sobie kogoś, kto podważałby ich taktykę zbierania funduszy. Albo Wydział Sanitarny - może dostają kopniaki, żeby ruszyli się w sprawie miejscowych zanieczyszczeń, a nie chcą stracić dotychczasowych dotacji. Albo Xerxes, który...

- Wystarczy! - zaprotestowała. - Masz rację, oczywiście. To mógłby być każdy z nich albo wszyscy razem. Ale na moim miejscu, od czego byś zaczęła?

- Nie wiem - odparłam zamyślona. - Pewnie przycisnęłabym kogoś z otoczenia Jurshaka. Ustaliła, czy naciski pochodziły stamtąd. A jeśli tak, to dlaczego. Oszczędziłabyś sobie kręcenia się pomiędzy nieskończoną liczbą wariantów. W dodatku nie otarłabyś się o kogoś, kto mógłby zapakować cię do drewnianej skrzynki za samo postawienie pytania.

- Ty znasz jakichś ludzi, którzy pracują dla Arta, prawda? - Caroline spytała Nancy.

- Tak, tak, znam. - Obracała w palcach kolejny kawałek kurczaka. - Tyle że nie chciałabym... No, dobra. Jak to się mówi, wszystko na rzecz prawdy i sprawiedliwości.

Wzięła swój płaszcz i ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się na chwilę, patrząc na nas, po czym zacięła usta i wyszła.

- Myślałam, że zechcesz pomóc jej ustalić, kto jest przeciwko naszemu projektowi? - powiedziała Caroline.

- Wiem, że myślałaś, kwiatuszku. I mimo że byłaby przy tym kupa zabawy, to praca dla jednego ubogiego klienta w South Chicago jest wszystkim, co może jednorazowo wytrzymać mój

budżet.

- To znaczy, że mi pomożesz? Znajdziesz mojego ojca? - Jej niebieskie oczy aż pociemniały z przejęcia. - Zapłacę ci, Vic. Poważnie. Nie proszę, żebyś pracowała za darmo. Mam tysiąc dolarów oszczędności.

Moja zwykła stawka wynosi dwieście pięćdziesiąt dziennie plus wydatki. Nawet przy dwudziestu procentach rodzinnego rabatu, miałam wrażenie, że prędzej ona straci wszystko, niż ja uzyskam cokolwiek. Ale nikt nie zmuszał mnie do zgody. Byłam samodzielnym detektywem i kierowało mną tylko moje własne widzimisię oraz poczucie winy.

- Jutro przyślę ci kontrakt do podpisania - powiedziałam. - I nie wydzwaniał co pół godziny, żądając rezultatów. To zabierze sporo czasu.

- Nie, Vic. Nie będę dzwonić. - Uśmiechnęła się drżącymi ustami. - Nie potrafię ci powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy twoja pomoc.

ROZDZIAŁ 4

W rodzinnym gronie

W moim śnie tej nocy znowu widziałam maleńką Caroline z różową buzią całą w plamach od płaczu. Moja matka stała za mną, zlecając mi opiekę nad dzieckiem. Kiedy obudziłam się o dziewiątej, sen nadal ciążył mi w głowie, pogrążając w letargu. Zadanie, którego się podjęłam, nappełniało mnie niesmakiem.

Znaleźć ojca Caroline za tysiąc dolarów. Znaleźć ojca Caroline wbrew głośno wyrażonemu życzeniu Louisy. Jeśli po tylu latach reagowała tak gwałtownie na tego faceta, to znaczyło, że lepiej byłoby zostawić go w spokoju. Przyjąwszy, że nadal żył. Przyjąwszy, że mieszkał w Chicago i nie należał do rozrywkowych obieżyświatów, którzy zabawami z panienkami umilali sobie chwilowy pobyt w mieście.

W końcu wysunęłam spod pościeli stopę ciężką jak ołów. W pokoju było zimno. Miałam tak łagodną zimę, że wyłączyłam ogrzewanie, aby nie robiło się duszno, ale widocznie w nocy spadła temperatura. Na chwilę wsunęłam nogę z powrotem pod koc, ale ruch przełamał gnuśną skorupę. Odrzuciłam kołdrę i wstałam.

Porwawszy ze stosu na krześle bluzę od dresu, podreptałam do kuchni, aby przygotować kawę. Było dziś chyba za zimno na bieganie. Odchyliłam zasłonę na oknie od podwórka. Niebo było szare, a wschodni wiatr poniewierał śmieciami pod płotem. Właśnie opuszczałam kotarę, gdy za szybą pojawiły się dwie łapy i czarny nos, a następnie dobiegło mnie ostre warknięcie. To była Peppy, rudy seter, którą opiekowałam się wspólnie z sąsiadem z dołu.

Otworzyłam drzwi na zewnętrzne schody, ale nie chciała wejść. Zamiast tego wykonała taniec na małej werandzie, dając mi do zrozumienia, że pogoda doskonale sprzyja bieganiu i że mogłabym łaskawie się ruszyć.

- No dobra, niech będzie - mruknęłam.

Wyłączyłam wodę i przeniosłam się do salonu, aby zrobić kilka ćwiczeń. Peppy nie mogła pojąć, dlaczego po wstaniu z łóżka nie byłam od razu zwarta i gotowa. Co chwila słyszałam za sobą ponaglące poszczekiwanie. Kiedy wreszcie pojawiłam się w dresie i trampkach, zbiegła pędem po

schodach, oglądając się na każdym zakręcie, aby być pewną, że za nią idę. Gdy otworzyłam furtkę, zaskamlała w ekstazie, mimo że robiłyśmy takie wyprawy trzy albo cztery razy w tygodniu.

Lubię biegać dystans około ośmiu kilometrów. Ponieważ przekracza on możliwości Peppy, suka po dotarciu do jeziora zatrzymuje się na lagunie. Spędza tam czas, tropiąc kaczki i piżmaki, tarzając się w błocie albo w resztkach zgniłych ryb, a gdy wracam, zadowolona z siebie wybiega mi na spotkanie z wywieszonym jęczorem. Ostatni kilometr pokonujemy spokojnym truchtem, po czym przekazuję ją mojemu sąsiadowi z dołu. Pan Contreras potrząsa głową, ochrzanią nas obie za to, że psica tak się utyliła, a następnie poświęca uwielbiane pół godzinki na szczotkowanie Peppy, aż złocistoruda sierść odzyskuje dawny połysk.

Tego ranka jak zwykle czekał na nasz powrót.

- Solidnie się przebiegłyście co, laleczko? Mam nadzieję, że trzymałaś ją z dala od wody? Wiesz, że nie powinna się moczyć przy takim zimnie.

Marudził przy drzwiach, gotowy do niekończących się pogaduszek. Był emerytowanym maszynistą, a ten pies, gotowanie i moja osoba tworzyły treść jego życia. Uwolniłam się tak szybko, jak tylko mogłam, ale i tak zanim wzięłam prysznic, dochodziła jedenasta. Zjadłam śniadanie, ubierając się w sypialni, bo wiedziałam, że gdy usiądę z kawą nad gazetą, będę szukała usprawiedliwień dla swojej opieszałości. Pozostawiwszy talerze na toalecie, owinęłam szyję wełnianym szalikiem, porwałam torbę i kurtkę z przedpokoju, gdzie leżały od wczoraj, i wyruszyłam na południe.

Wiatr smagał powierzchnię jeziora. Dwumetrowe fale rozbijały się o skalisty brzeg, a strugi wody wlewały na szosę. Ta manifestacja natury, wściekła i pełna pogardy, wzbudzała we mnie poczucie własnej małości.

W miarę jak przemieszczałam się drogą na południe, uderzał mnie każdy szczegół rozpadu okolicy. Na wypaczonej bramie starego South Shore Country Club, niegdyś symbolu bogactwa i ekskluzywności, teraz łuszczyła się biała farba. Jako dziecko wyobrażałam sobie, że kiedy dorosnę, będę jeździć konno po jego prywatnych terenach. Wspomnienie takich marzeń nieco mnie teraz zawstydzalo - arystokratyczne parady nie odpowiadają moim dorosłym sympatiom. Ale życzyłabym klubowi lepszego losu niż powolne gnicie w rękach Zarządu Parków, jego obecnego, obojętnego gospodarza.

Samo South Chicago sprawiało wrażenie konającego, jakby życie zatrzymało się tu w czasie II

wojny światowej. Przejechawszy przez dawne centrum handlowe, zauważyłam, że większość sklepów ma teraz hiszpańskie nazwy. Poza tym wyglądały podobnie jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. Tandetne wystawy z białymi sukienkami komunijnymi, butami z winylu i plastikowymi meblami ozdabiały ponure betonowe ściany. Kobiety opatulone w wytarte palta wciąż nosiły na głowach bawełniane chustki chroniące przed wiatrem. Na rogach, w pobliżu wszechobecnych knajp, wystawiali niechlujnie odziani mężczyźni o pustym spojrzeniu. Byli tutaj zawsze, ale masowe bezrobocie po zamknięciu huty powiększyło ich liczbę.

Zapomniałam, jak się dostać na skróty na East Side, i musiałam podwójnie nadłóżyć drogi, wracając do Dziewięćdziesiątej Piątej, gdzie można przejechać Calumet po staroświeckim zwodzonym moście. Jeśli South Chicago nie zmieniło się od 1945 roku, to East Side trwał w formalinie od czasów, kiedy prezydentem był Woodrow Wilson. Pięć mostów stanowi jedyne połączenie dzielnicy z pozostałą częścią miasta. Jej mieszkańcy uparcie żyją w izolacji, usiłując odtworzyć klimat wschodnioeuropejskich miasteczek ich dziadków. Nie przepadają za przybyszami zza rzeki i każdego, kto pochodzi z północnych rejonów, spotyka takie przyjęcie, że równie dobrze mógłby pojawić się tu na sowieckim czołgu.

Przejechałam pod ogromnymi filarami międzystanowej autostrady do Sto Szóstej. Rodzice Louisy mieszkali na południu, przy Ewing. Miałam nadzieję, że zastanę w domu jej matkę, a nie ojca. Parę lat temu przeszedł na emeryturę, wcześniej prowadził jakąś małą drukarnię, ale nadal był działaczem Rycerzy Kolumba oraz klubu kombatantów wojennych VFW, więc mógł teraz siedzieć gdzieś z chłopakami przy piwie.

Wzdłuż ulicy stały ciasno obok siebie schludne domki wśród obsesyjnie czystych obejsć. Na chodniku nie leżał nawet skrawek papieru. Art Jurshak pieczołowicie doglądał tej części swojej gminy. Okolicę regularnie przemierzały śmieciarki oraz ekipy remontowe. Na całym obszarze południowo-wschodnim chodniki ułożone były około pół metra powyżej pierwotnego poziomu gruntu. Na ulicach South Chicago, nawet w miejscach, gdzie kładziono nową nawierzchnię, widniała niezliczona masa dziur, ale na East Side nie widać było żadnego pęknięcia. Kiedy wysiadłam z samochodu, przyszło mi do głowy, że przed odwiedzeniem tej okolicy powinnam poddać się oczyszczającej lewatywie.

Dom Djiaków stał w połowie drogi między dwiema przecznicami. Przysłonięte firankami okna lśniły mimo pochmurnej pogody. Ganek przed domem jaś niał od częstego szorowania. Nacisnęłam

dzwonek, usiłując zebrać w sobie dość siły, aby móc przystąpić do rozmowy z rodzicami Louisy.

Do drzwi podeszła Martha Djiak. Jej kwadratowa, pomarszczona twarz przybrała ponury wyraz odpowiedni do odprawienia domokrażcy. Po chwili rozpoznała mnie i jej srogość nieco zelżała. Otworzyła wewnętrzne drzwi. Mogłam dostrzec już jej fartuch okrywający nienagannie odprasowaną sukienkę: nigdy nie widziałam, aby chodziła po domu bez niego.

- No proszę, Victoria. Ileż to lat od czasu, kiedy przyprowadzałeś do nas małą Caroline, prawda?

- Tak, wiele lat - przyznałam bez entuzjazmu.

Louisa nie pozwoliłaby Caroline pójść do dziadków samej. Kiedy ani ona, ani Gabriella nie mogły jej zaprowadzić, dawały mi dwie dwudziestopięciocentówki na autobus i dokładne instrukcje, abym pozostała z małą aż do czasu, gdy nadchodziła pora powrotu. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego pani Djiak nie mogła sama zabierać i odprowadzać Caroline. Być może Louisa obawiała się, że jej matka zechce zatrzymać dziecko, aby nie dorastało z niezamężną rodzicielką.

- Skoro tu jesteś, może zechciałabyś napić się kawy?

Nie było to wylewne zaproszenie, ale ona nigdy nie okazywała a swych uczuć. Przyjęłam je z taką dozą dobrej woli, na jaką tylko było mnie stać. Pani Djiak otworzyła zewnętrzne drzwi. Uważała przy tym, aby nie dotykać palcami szklanych szybek. Wśliznęłam się do środka jak najostrożniej, pamiętając, aby przed pójściem do kuchni zdjąć buty w małym przedpokoju.

Tak jak liczyłam, była sama. Przed kuchenką stała rozstawiona deska do prasowania z rozciągniętą koszulą. Zwinawszy ją, odłożyła na kosz z bielizną i szybkimi ruchami, bezszelestnie złożyła deskę. Kiedy wszystko znalazło się w małej komórce za lodówką, nastawiła wodę.

- Rozmawiałam dziś rano z Louisą. Mówiła, że odwiedziłaś ją wczoraj.

- Tak - przyznałam. - Przykro widzieć kogoś tak żywotnego, gdy przykuty jest w ten sposób do łóżka.

Pani Djiak wsypywała łyżeczką kawę do imbryka.

- Wielu ludzi cierpi bardziej, choć mniej na to zasługują.

- I wielu ludzi poczyna sobie jak Attyla, a nie dostaje nawet pryszczycy. Tak to hula na świecie, prawda?

Zdjęła z półki dwie filiżanki i ustawiła je z pedanterią na stole.

- Słyszałam, że jesteś teraz detektywem. Nie wygląda mi to na pracę dla kobiety. Podobnie jak zajęcie Caroline, która pracuje nad rozwojem dzielnicy, czy jak ona to nazywa. Nie rozumiem, dlaczego wy obie nie mogłybyście wyjść za mąż, ustatkować się, stworzyć rodziny.

- Zdaje się, że czekamy, aż trafi nam się taki wspaiały mężczyzna jak pan Djiak.

Spojrzała na mnie poważnie.

- I tu jest właśnie z wami problem, dziewczęta. Myślicie, że życie jest romantyczne, takie jak pokazują w kinach. Dobry, solidny mąż, który przynosi co tydzień do domu wypłatę, jest wart o wiele więcej niż kwiaty i kolacyjki.

- Czy taki był również problem z Louisa? - zapytałam delikatnie.

Ściągnęła usta w wąską kreskę i zajęła się kawą.

- Louisa miała inne problemy - rzuciła krótko.

- Na przykład jakie?

Wyjęła cukiernicę z szafki nad kuchenką i umieściła pośrodku stołu wraz z małym dzbanuszkim śmietanki. Nie odezwała się aż do chwili, gdy zakończyła nalewanie kawy.

- Problemy Louisy to już przeszłość. I nigdy nie powinny cię obchodzić.

- A co z Caroline? Czy w żaden sposób jej nie dotyczą? - Łyknęłam mocnej kawy, którą również Louisa parzyła z fusami, na stary europejski sposób.

- One nie mają z nią nic wspólnego. I zrobiłaby znacznie lepiej, nie wściubiając nosa w nie swoje sprawy.

- Przeszłość Louisy wiele znaczy dla Caroline. Louisa umiera, a Caroline czuje się bardzo samotna. Chciałaby wiedzieć, kto jest jej ojcem.

- A więc dlatego tutaj przyszedł? Żeby pomagać jej w grzebaniu w tych brudach? Powinna się wstydzić, że nie ma ojca, zamiast gadać o tym z byle kim.

- A co ma robić? - rzuciłam zniecierpliwiona. - Zabić się, bo Louisa me poś lubiła mężczyzny, z którym zaszła w ciążę? Postępujecie tak, jakby wszystko było wyłącznie winą Louisy i Caroline. Louisa miała szesnaście lat, piętnaście, gdy zaszła w ciążę. Czy nie myśli pani, że mężczyzna miał w tym swój udział?

Ścisnęła filiżankę tak mocno, że bałam się, iż ją zgniecie.

- Mężczyźni... mają trudności z samokontrolą. Wszystkie to wiemy - powiedziała ochryple. - Louisa musiała go sprowokować. Ale ona nigdy by się do tego nie przyznała.

- Wszystko, czego chciałabym się dowiedzieć, to jego nazwisko - oznajmiłam tak spokojnie, jak potrafiłam. - Uważam, że Caroline ma prawo je znać, skoro tego rzeczywiście chce. I ma też prawo sprawdzić, czy rodzina ojca mogłaby okazać jej odrobinę ciepła.

- Prawo! - rzuciła z goryczą - Prawo Caroline! Prawo Louisy! A co z moim prawem do życia w spokoju i obyczajności? Jesteś taka sama jak twoja matka.

- Tak - odparłam. - W moim kodeksie to brzmi jak komplement. Ktoś przekręcił klucz w drzwiach. Martha pobladła lekko i odstawiła filiżankę.

- Nie wolno ci wspomnieć mu ani słowem o naszej rozmowie - rzekła pośpiesznie. - Powiesz mu, że właśnie odwiedziłaś Louise i zatrzymałaś się przejeżdżając, obiecujesz?

Zrobiłam kwaśną minę.

- Yhm, no, jasne, jasne.

Gdy Ed Djiak wszedł do kuchni, Martha zagadnęła pogodnie:

- Zgadnij, jakiego mamy gościa? Nie poznałbyś teraz tej małej Victorii, którą kiedyś była!

Ed Djiak był wysoki. Wszystkie linie jego twarzy i ciała były wydłużone jak na płótnie Modiglianiego, począwszy od pociągłej, ospowatej twarzy aż do chudych, wiszących luźno dłoni. Caroline i Louisa odziedziczyły swój niski wzrost i grube rysy po Marcie. Skąd w takim razie brał się ich żywy temperament?

- Jak tam, Victorio? Wyfrunęłaś na uniwersytet i zaczęło ci się zbyt dobrze powodzić jak na stare sąsiedztwo, co? - mruknął i postawił na stole siatkę z zakupami. - Mam jabłka i kotlety wieprzowe, ale fasolka nie wyglądała najlepiej, to nie wziąłem.

Martha szybko rozpakowała sprawunki i umieściła je wraz z siatką w odpowiednich schowkach.

- Piłyśmy właśnie z Victorią kawę, Ed. Nalać ci także?

- Czy ja jestem stara baba, żeby pić kawę w środku dnia? Daj mi piwa.

Usiadł przy końcu małego stołu. Martha ruszyła do lodówki, stojącej tuż obok niego, i z dolnej półki wyjęła pabsta. Uważnie przelała piwo do kufla i wyrzuciła puszkę do śmieci.

- Odwiedziłam właśnie Louise - powiedziałam. - Przykro mi, że jest w tak złym stanie. Ale jej animusz jest godny podziwu.

- Cierpieliśmy przez nią dwadzieścia pięć lat. Teraz przyszła na nią kolej trochę pocierpieć, nie? - Spojrzał na mnie oczami pełnymi szyderstwa i złości.

- Niech mi pan to wytłumaczy, panie Djiak - powiedziałam wyzywająco. - Co ona zrobiła, że tak cierpiełście?

Martha odchrząknęła dyskretnie.

- Victoria jest teraz detektywem, Ed. Czy to nie ciekawe?

Zignorował ją.

- Jesteś dokładnie taka jak twoja matka, wiesz? Zachowywała się tak, jakby Louisa była jakąś świętą, a nie zwykłą kurwą. I z tobą jest podobnie. Co ona mi zrobiła? Zrobiła sobie bachora. Splamiła moje nazwisko. Obnosiła się z dzieckiem po sąsiedztwie, zamiast pójść do sióstr, tak jak załatwiliśmy.

- Louisa zrobiła sobie bachora? - powtórzyłam. - Za pomocą tuby do ozdabiania tortów kremem? I nie było przy tym żadnego faceta?

Martha cmoknęła nerwowo.

- Victorio, my nie chcemy rozmawiać o tych sprawach.

- Nie, nie chcemy - przyznał złośliwie Ed, odwracając się do niej. - O twojej córce. Bo nie potrafiłaś jej upilnować. Bo przez dwadzieścia pięć lat sąsiedzi szeptali za moimi plecami, a teraz, w moim własnym domu, muszę być jeszcze obrażany przez córkę tej włoskiej suki.

Zapłonęła mi twarz.

- Jest pan odrażający, panie Djiak. Boi się pan kobiet. Nienawidzi własnej żony i córki. Nic dziwnego, że Louisa zwróciła się do kogoś innego w poszukiwaniu odrobiny uczucia. Kto pana tak wyćwiczył? Wasz tutejszy proboszcz?

Zerwał się zza stołu, przewracając kufel z piwem, i uderzył mnie w twarz.

- Wynoś się z mojego domu, ty skundlona dziwko! I nie przychodź tu nigdy więcej z tym plugastwem w myśli i w mowie!

Podniosłam się powoli i podeszłam tak blisko, że doleciał mnie jego oddech przesycony zapachem piwa.

- Nie wolno ci obrażać mojej matki, Djiak. Inne świństwa pochodzące z tego szamba, które nazywasz swoim rozumem, mogę tolerować. Ale jeżeli kiedykolwiek obrazisz w mojej obecności moją matkę, ukręcę ci łeb.

Wpatrywałam się w niego dzikim wzrokiem do chwili, aż zmieszany odwrócił głowę.

- Do widzenia, pani Djiak. Dzięki za kawę.

Zanim zdążyłam dojść do kuchennych drzwi, wycierała już na klęczkach podłogę. Rozlane piwo zamoczyło mi skarpetki. Przystanawszy w przedpokoju, ściągnęłam je i włożyłam trampki na bosc stopy. Nadeszła pani Djiak, wycierając po mnie piwne ślady.

- Błagałam cię, Victorio, żebyś nie rozmawiała z nim na ten temat.

- Pani Djiak, zależy mi tylko na nazwisku ojca Caroline. Proszę mi je wyjawic, a nie będę już więcej zavracała wam głowy.

- Nie wolno ci tu wracać. On wezwie policję. A może nawet sam cię zastrzeli.

- W takim razie, zgoda. Następnym razem ja też przyniosę broń. - Wyłowiłam z torebki wizytówkę. - Proszę zadzwonić, jeśli coś pani zdecyduje.

Nic nie powiedziała, lecz chwyciwszy kartonik, wsunęła go do kieszeni fartucha. Otworzyłam wymuskane drzwi, pozostawiając ją zasępioną w przedpokoju.

ROZDZIAŁ 5

Zwyczajne radości dzieciństwa

Siedziałam w samochodzie przez dłuższy czas, zanim udało mi się ochłonąć z gniewu i odzyskać normalny oddech. „Jak myś my przez nią cierpieli!” - przedrzeźniałam ich z pasją. Biedna, zastraszona i harda dziewczyna. Jakiej odwagi musiało od niej wymagać samo wyjawienie Djiakom, że jest w ciąży, nie mówiąc już o odmowie pójścia do wybranego dla niej domu dla samotnych matek. Dziewczyny z mojego liceum, które nie były tak odporne, wracały z przerażającymi opowieściami o pracy ponad siły, spartańskich warunkach, ubogim wyżywieniu, jak gdyby była to dziewięćmiesięczna kara wymierzana przez zakonnice.

Poczułam gwałtowny przypływ dumy z mojej matki, która przeciwstawiła się swym cnotliwym sąsiadom. Pamiętałam tamtą noc, kiedy maszerowali pod oknami domu Louisy, rzucając jajkami i wykrzykując obelgi. Gabriella wyszła na ganek i spojrzała na nich z góry. „Tak, jesteście chrześcijanami, prawda?” - przemówiła swoją łamaną angielszczyzną. „Dziś wieczorem wasz Chrystus będzie z was bardzo zadowolony”.

Moje gołe stopy w trampkach zaczynały kostnieć. Zimno pomogło mi z wolna przyjść do siebie. Uruchomiłam samochód i włączyłam ogrzewanie. Kiedy palce u nóg rozgrzały się, przejechałam wzdłuż Sto Dwunastej Ulicy i skręciłam na zachód w stronę Avenue L. Mieszkała tam siostra Louisy, Connie, wraz z mężem i pięciorgiem dzieci. Skoro kręciłam się już po tej okolicy, mogłam i ją uwzględnić w planie poszukiwań.

Connie była pięć lat starsza od Louisy, ale mieszkała nadal z rodzicami, gdy jej siostra zaszła w ciążę. W South Chicago pozostawało się w domu do czasu własnego zamążpójścia. Connie żyła z rodzicami nawet po ślubie, gromadząc wraz z mężem pieniądze na własne lokum. Kiedy w końcu kupili dom z trzema sypialniami, rzuciła pracę, aby stać się matką - jeszcze jedna tradycja South Chicago.

W porównaniu ze swą matką Connie była niechlujna. Na małym trawniku przed domem poniewierała się piłka do koszykówki, a nawet moje niewprawne oko mogło dostrzec, że ganek nie był zmywany w ostatnim czasie. Jednakże szybki w drzwiach oraz okna lśniły bez skazy, a na

framugach nie czerniły się ślady palców.

Kiedy zadzwoniłam, Connie podeszła do drzwi. Widząc mnie, uśmiechnęła się wymuszenie, jakby rodzice ostrzegli telefonicznie, że zamierzam ją odwiedzić.

- Ach, to ty, Vic. Ja właśnie... właśnie wychodziłam do sklepu.

Jej pociągła, koścista twarz nie nadawała się do kłamania. Gdy mówiła, różowe i piegowe policzki jak u jej siostrzenicy oblały się purpurą.

- Jaka szkoda - odparłam sucho. - Minęło ponad dziesięć lat, odkąd widziałyśmy się po raz ostatni. Miałam nadzieję, że poznam się z dziećmi i Mikiem.

Stała w otwartych drzwiach.

- Widziałas się z Louisa, prawda? Mama... mama mówiła mi. Nie jest z nią najlepiej.

- Louisa jest w strasznym stanie. Wiem od Caroline, że nie można nic dla niej zrobić z wyjątkiem prób łagodzenia bólu. Szkoda, że wcześniej nikt mi nie powiedział. Nie było mnie tu od miesięcy.

- Przepraszam... nie myśleliśmy... Louisa nie chciała cię niepokoić, a mama nie chciała, to znaczy nie myślała... - Głos jej się załamał, a rumieniec jeszcze bardziej pogłębił.

- Twoja matka nie chciała, żebym przyjechała tu i wtrącała się w nie swoje sprawy. Rozumiem. Ale już tu jestem i wtrącam się tak czy owak, więc czy nie mogłabyś odłożyć na pięć minut wyprawy do sklepu i porozmawiać ze mną?

Mówiąc to, pociągnęłam do siebie zewnętrzne drzwi i zbliżyłam się do Connie, co było, jak sądzę, niegroźnym sposobem perswazji. Wycofała się niepewnie. Ruszyłam za nią w głąb domu.

- Może... napiłabyś się kawy?

Stała splatając przed sobą dłonie jak uczennica przed groźnym nauczycielem, a nie kobieta z pięćdziesiątką na karku, mająca własne życie.

- Kawa byłaby świetna - odpowiedziałam brawurowo, licząc, że moje nerki poradzą sobie z jeszcze jedną porcją.

- W domu jest taki bałagan - usprawiedliwiała się, uprzętając parę tramppek leżącą w małym przedśionku.

Ja nigdy nie mówiłam tego gościom. To oczywiste, że nie odwieszałam do szaf swoich ciuchów, nie układałam gazet i nie odkurzałam co dwa tygodnie. U Connie, poza tymi trampkami, trudno było zauważyć oznaki bałaganu. Podłogi były wyszorowane, krzesła stały względem siebie

pod odpowiednim kątem, a żadna książka ani gazeta nie leżała porzucona na półkach i stołach, gdy przechodziłyśmy przez salon na tyły domu.

Usiadłam przy zielonym plastikowym stole, a ona napełniła ekspres. Ta mała herezja względem jej matki lekko mnie rozbawiła; skoro potrafiła przestawić się z gotowania wody w imbryku na ekspres, to kto wie, jak daleko mogła się jeszcze posunąć.

- Ty i Louisa nigdy nie byłyście do siebie podobne, prawda? - spytałam dobitnie.

Znowu się zarumieniła.

- Zawsze była tą ładniejszą. Ludzie nie wymagają wiele od kogoś, kto jest ładniejszy.

Ta zgryźliwa niedelikatność jej odpowiedzi była nieznośna.

- Dlaczego, czy wasza matka nie żądała od niej pomocy w domu?

- Wiesz, ona była młodsza, nie kazała jej robić tylu rzeczy co mnie. Ale znasz mamę. Wszystko musiało być codziennie pucowane bez względu na to, czy było w użyciu, czy nie. Kiedy złościła się na nas, szorowałyśmy spody umywalek i ustępy. Przysięgłam sobie, że moje dziewczęta nigdy nie będą robiły takich rzeczy. - Zaciśnęła usta na wspomnienie swych krzywd.

- Brzmi to okropnie - powiedziałam przerażona. - Czy masz poczucie, że Louisa zbyt często się tobą wyręczała?

Potrząsnęła głową.

- Nie była to tyle jej wina, co sposobu, w jaki ją traktowali. Teraz to widzę. Wiesz, Louisa potrafiła odpysknąć, a ojciec mógł sobie myśleć, jaka ona rezolutna. Przynajmniej kiedy była mała. Później nie zniósłby tego nawet u niej.

A brat mamy uwielbiał, jak Louisa tańczyła dla niego i śpiewała, gdy przychodził. Była taka mała i ładniutka, wiesz, to tak jakbyś miała żywą lalkę. Kiedy podrosła, było już oczywiście za późno. To znaczy, za późno, żeby przywołać ją do porządku.

- Wygląda na to, że odwalili kawał porządnej roboty - skomentowałam. - Wyrzucenie jej z domu i tak dalej. Musiało to ciebie też przestraszyć.

- O, tak. - Bez końca miętosila w rękach ścierkę, którą wzięła do wytarcia odrobiny wody rozlanej przy napełnianiu ekspresu. - Na początku nie powiedzieli mi nawet, o co chodzi.

- Nie wiedziałaś, że ona jest w ciąży? - spytałam z niedowierzaniem.

Zrobiła się tak czerwona, jakby krew miała zaraz trysnąć przez skórę.

- Wiedziałaś, że tego nie zrozumiesz - powiedziała głosem niewiele mocniejszym od szeptu. -

Prowadziłaś tak inne życie. Zanim wyszłaś za męża, miałaś chłopaków. Wiem. Mama... mama jakby śledziła twoje życie.

Ale kiedy Mike i ja się pobraliśmy, nie wiedziałam nawet... nie wiedziałam... ja... zakonnice nigdy nie mówiły o takich sprawach w szkole. Mama, oczywiście, nie potrafiła, nie mogła zdobyć się na powiedzenie czegokolwiek. Gdy Louisie opóźniał się... okres... niczego by mi nie powiedziała. Zresztą sama chyba nie wiedziała, co to znaczyło.

Łzy mimowolnie trysnęły jej z oczu. Próbując powstrzymać szloch, ściągnęła kurczowo drżące ramiona. Ścierkę wokół dłoni owinęła tak mocno, że na rękach wystąpiły żyły. Wstałam z krzesła i położyłam dłoń na jej roztrzęsionym ramieniu. Nie poruszała się i nic nie mówiła, ale po paru minutach spazmów udało jej się opanować i uspokoić oddech.

- Więc Louisa zaszła w ciążę, ponieważ nie wiedziała, co robi i jakie są tego konsekwencje?

Przytaknęła milcząco ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Czy wiesz, kto mógł być ojcem Caroline? - spytałam łagodnie, wciąż trzymając rękę na jej ramieniu.

Potrząsnęła głową.

- Tata nie pozwalał nam chodzić na randki. Mówił, że nie po to płaci tyle forsy na katolicką szkołę dla nas, żeby patrzeć, jak... jak uganiamy się za chłopakami. Oczywiście wielu chłopaków lubiło Louisę, ale ona nie umawiała się z żadnym z nich.

- Czy pamiętasz nazwisko któregoś?

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

- Po tylu latach, nie. Wiem, że taki chłopak ze sklepu spożywczego fundował jej prażoną kukurydzę, gdy tam przychodziła. Zdaje mi się, że miał na imię Ralph. Ralph Sow-cośtam. Sower albo Sowing, jakoś tak. - Odwróciła się do ekspresu. - Vic, najgorsze jest to, że tak byłam o nią zazdrosna, iż z początku to nawet cieszyły mnie jej kłopoty.

- Boże, Connie, ależ to jasne. Gdybym ja miała siostrę, o której wszyscy mówiliby, że jest ładniejsza ode mnie i bawili się nią, i dopieszczali w czasie, gdy mnie wysyłało na mszę, to wbiłabym jej siekierę między oczy, a nie czekała, aż zajdzie w ciążę i wykopią ją z domu.

Odwróciła się ku mnie zdumiona.

- Ależ, Vic! Jesteś taka... taka zimna. Nigdy nic cię nie obchodziło. Nawet gdy miałaś piętnaście lat. Kiedy umarła twoja matka, moja mama powiedziała, że masz kamień zamiast serca,

bo taka byłaś obojętna. - Śmiertelnie przerażona zakryła dłonią usta, próbując zaprzeczyć wypowiedzianym słowom.

- Byłabym idiotką, gdybym chodziła wyplakiwać się publicznie przed tymi wszystkimi babami, które nigdy nie znalazły dla Gabrielli dobrego słowa - powiedziałam wstrząśnięta. - Ale wierz mi, napłakałam się dosyć w samotności. W każdym razie, Connie, tu właśnie jest sedno sprawy. Moi rodzice kochali mnie. Wierzyli, że powiesz mi się we wszystkim, co zechcę robić. I mimo że wściekałam się na nich sto razy na tydzień, nie było tak, iż musiałam wiecznie wysłuchiwać tekstów, jaka to moja mała siostrzyczka jest cudowna, a jakim ja jestem śmieciem. Odpręż się, Connie. Zapomnijmy o tym.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Mówisz poważnie? Po tym wszystkim, co powiedziałam? Chwyciłam ją za ramiona i odwróciłam ku sobie.

- Mówię poważnie. No więc co z tą kawą?

Zaczęłyśmy rozmawiać o Mike'u i jego pracy w fabryce przerobu odpadów, o Mike'u juniorze, grającym w amerykański futbol, o trzech córkach oraz o najmłodszym, który miał osiem lat i był taki bystry, że poważnie zastanawiała się nad wysłaniem go w przyszłości do college'u. Denerwowało to Mike'a, który twierdził, że jego absolwenci uważają się za lepszych od swych rodziców i otoczenia. Słyszając tę ostatnią uwagę, uśmiechnęłam się do siebie - jakbym słyszała Eda Djiaka przestrzegającego Connie: „Chyba nie chcesz, żeby z dzieciakiem zrobiło się to co z Victorią, prawda?” - ale słuchałam cierpliwie przez czterdzieści pięć minut, po czym odsunęłam krzesło i wstałam.

- Naprawdę było miło cię znowu zobaczyć, Vic. Cieszę się, że wpadłaś - powiedziała w drzwiach.

- Dzięki, Connie. Trzymaj się i pozdrów ode mnie Mike'a. Wolno podeszłam do samochodu. Lewy trampek obcierał mi stopę. Przyjęłam ten ból w taki sposób, jak to się robi, kiedy myślimy o sobie jak najgorzej, jak taką małą pokutę za wyrządzoną komuś krzywdę.

W jaki sposób ja dowiedziałam się o sprawach seksu? Trochę w szatni, trochę od Gabrielli, trochę od naszej trenerki, swobodnej i rozsądnej kobiety, ale tylko poza boiskiem. Jak Connie mogła przeżyć swoją szkołę bez podszcypywanek któregoś z kolegów? Wywołałam z pamięci jej obraz jako czternastoletniej dziewczyny, wyrosniętej, niezdarnej i bojaźliwej. Może nie miała

żadnych kolegów.

Była dopiero druga. Czulałam się, jakbym spędziła cały dzień przy załadunku drewnianych bali, a nie parę godzin na rozmowach przy kawie w rodzinnym gronie. Wydawało mi się, że już zasłużyłam sobie na te tysiąc dolarów, choć nawet nie wiedziałam, gdzie zacząć poszukiwania. Wrzuciłam bieg w samochodzie i ruszyłam z powrotem za rzekę.

Skarpetki wciąż były wilgotne. Wypełniały wnętrze zapachem piwa i potu, lecz kiedy odsunęłam szybę, było mi zimno w bose stopy. Moja irytacja wzrastała wraz z dokuczliwością jazdy: chciałam zatrzymać się na stacji benzynowej i zadzwonić do SCRAP-u, by poinformować Caroline, że zrywam umowę. Cokolwiek jej matka zrobiła ćwierć wieku temu, przyzwoitość nakazywała pozostawić to w świętym spokoju. Niestety, odruchowo skręciłam w Houston, zamiast jechać na północ, ku Lake Shore Drive i wolności.

Houston wyglądała gorzej za dnia niż w nocy. Samochody stały zaparkowane, jak popadło. Jeden z nich porzucony był wprost na jezdni, a czerń wokół maski i przedniej szyby wskazywała, którędy wydobywał się ogień z silnika. Postawiłam swojego chevy w niedozwolonym miejscu przed hydrantem. Jeśli patrol policyjny był w tej okolicy taką rzadkością jak śmieciarze, to mogłam tu stać bez mandatu do wakacji.

Obeszłam dom od tyłu, gdzie na małej werandzie Louisa zwykle zostawiała zapasowy klucz. Wciąż leżał na swoim miejscu. Kiedy wchodziłam do środka, w oknie naprzeciwko poruszyła się firanka. Za parę minut cała ulica będzie wiedzieć, że jakaś obca kobieta włamuje się do Djiaków.

W środku usłyszałam głosy, więc zawołałam, aby dać znać, że jestem. Zbliżywszy się do sypialni Louisy, zorientowałam się, że telewizor nastawiony był na cały regulator, a rzekomi goście to dialogi z jakiegoś filmidła. Zapukałam, jak się dało najmocniej. Telewizor przycichł, a ona zawołała chrapliwym głosem:

- To ty, Connie?

Otworzyłam drzwi.

- Nie, to ja, Louiso. Jak się masz?

Jej wychudzona twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- No popatrz, popatrz. Włóż. Czuj się jak u siebie. Jak leci?

Przysunęłam sobie krzesło do łóżka.

- Odwiedziłam właśnie Connie i twoich starych.

- Teraz? - Przyjrzała mi się uważnie. - Mama nigdy nie była twoją wielką wielbicieleką. Co ty właściwie kombinujesz, Warszawski?

- Szerzę radość i prawdę. Dlaczego twoja matka tak bardzo nienawidziła Gabrielli, Louiso?

Wzruszyła kościstymi ramionami.

- Gabriella nigdy nie uznawała hipokryzji. Nie ukrywała tego, co myśli o mamie i tacie po tym, jak mnie wyrzucili z domu.

- Dlaczego to zrobili? - spytałam. - Czy wściekli się na ciebie za sam fakt zajścia w ciążę, czy mieli coś przeciwko temu chłopakowi - ojcu dziecka?

Przez długą chwilę nic nie mówiła, leżąc z oczami utkwionymi w telewizorze. W końcu obróciła się do mnie.

- Za to, że grzebiesz się w tej sprawie, mogłabyś wylecieć stąd kuchennymi drzwiami na zbity pysk. - Mówiła spokojnym głosem. - Ale domyślam się, co zaszło. Znam Caroline i wiem, jak potrafi owinąć cię wokół małego palca. Ściągnęła cię tutaj, prawda, bo chce się dowiedzieć, kim był jej ojciec. Zepsuta, uparta mała żmija. Kiedy ja ją wygoniłam, to poszła do ciebie. Zgadza się?

Twarz płonęła mi ze wstydu, ale odpowiedziałam spokojnie:

- Czy nie myślisz, że ona ma prawo wiedzieć?

Ściągnęła usta w wąską kreskę.

- Dwadzieścia sześć lat temu jakiś przeklęty sukinyś chciał zrujnować mi życie. Nie życzę sobie, żeby Caroline kiedykolwiek się do niego zbliżyła. A jeżeli jesteś córką swej matki, Victorio, to zrobisz wszystko, co w twojej mocy, i zamiast pomagać Caroline, powstrzymasz ją od wściubiania w to nosa. - W jej oczach zakręciły się łzy. - Kocham tę dziewczynę. Może myślisz, że ją biłam albo chciałam wyrzucić na ulicę, zamiast się nią opiekować. Robiłam, co się dało, żeby miała inny start w życiu, i nie chcę teraz patrzeć, jak to wszystko szlag trafia.

- Wykonałaś wielką pracę, Louiso. Ale ona jest już dorosła. Nie potrzebuje ochrony. Czy nie możesz pozwolić jej na samodzielne podejmowanie decyzji w tej sprawie?

- Nie, do cholery! A jeśli masz zamiar dalej to wałkować, to lepiej wynoś się i nie wracaj!

Jej twarz zrobiła się czerwona pod zielonkawą powłoką. Zaczęła kaszleć. Grałam dzisiaj o tysiąc dolarów z trzema kobietami z rodziny Djiakó w, każdą z nich doprowadzając do wściekłości, według starszeństwa. Do kompletu brakowało mi tylko najmłodszej, którą wystarczyłoby powiadomić, że rezygnuję z roboty.

Odczekałam, aż ustąpi paroksyzm, po czym delikatnie skierowałam rozmowę na sprawy, o których lubiła mówić, o czasach jej młodości po urodzeniu Caroline. Mając za sobą rozmowę z Connie, mogłam zrozumieć, dlaczego Louisa odnajdywała w nich smak swobody i radości.

W końcu wyszłam około czwartej. W trakcie długiej jazdy do domu przez zatłoczone ulice godzin szczytu wsłuchiwałam się w głosy Caroline i Louisy, toczących w mojej głowie zażartą dyskusję. Rozumiałam stanowcze pragnienie Louisy, aby chronić swą prywatność. W dodatku umierała, a to dawało jej życzeniom inną rangę.

Jednocześnie potrafiłam wczuć się w obawy Caroline przed izolacją i samotnością. A po przyjrzeniu się z bliska Djiakom zrozumiałam, że wolałaby raczej poszukać sobie innych krewnych. Nawet gdyby jej ojciec okazał się zwyczajnym sukinsynem, to nie mógłby mieć bardziej zwariowanej rodziny niż ta, którą już poznała.

Ostatecznie zdecydowałam się poszukać tych dwóch ludzi, o których Louisa mówiła wczoraj i dziś po południu - Steve'a Ferraro i Joeya Pankowskiego. Pracowali razem w Xerxesie, możliwe, że dostała tę pracę dzięki swemu kochankowi. Mogłabym również wytropić tego sprzedawcę ze sklepu spożywczego, o którym wspominała Connie - Rona Sowlinga czy jak mu tam. East Side było tak osiadłą i nieruchawą dzielnicą, że prawdopodobnie sklep prowadzili wciąż ci sami ludzie i pamiętali Rona i Louise. Jeśli Ed Djiak odwiedził ich kiedyś, grając rolę surowego ojca, to mógł za sobą pozostawić niezatarte wspomnienie.

Podejmowanie decyzji, nawet kompromisowych, przynosi pewną ulgę. Zadzwoiłam do swego dobrego kolegi i spędziliśmy miły wieczór przy Lincoln Avenue. Bąble na lewej pięcie nie powstrzymały mnie od tańczenia do północy.

ROZDZIAŁ 6

Fabryka nad rzeką

Rano wstałam wcześniej, przynajmniej jak na mnie. O dziewiątej byłam już po gimnastyce. Zrezygnowałam z biegania, ubrałam się według stadnych norm w uszyty przez krawcową granatowy kostium, w którym miałam wyglądać przedsiębiorczo i kompetentnie. Zignorowałam natarczywe skomlenie Peppy i po raz trzeci w ciągu ostatnich dni wybrałam się na południe. Tego ranka zamiast jechać wzdłuż jeziora, skierowałam się na autostradę, którą mogłam dotrzeć od zachodu do serca okręgu przemysłowego Calumet.

Minęło już przeszło sto lat od czasu, kiedy Wojskowy Korpus Inżynieryjny oraz George Pullman zdecydowali stworzyć na terenach moczarów rozciągających się między jeziorami Calumet i Michigan centrum przemysłowe. Nie był to tylko Pullman, oczywiście - Andrew Carnegie, Judge Gary i plejada pomniejszych magnatów odegrali tu wielką rolę na przestrzeni sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat. Przejawszy teren o powierzchni niespełna siedmiu kilometrów kwadratowych, przykryli go brudem, gliną z pogłębianego Calumetu, fenolem, ropą, siarczkiem żelaza i tysiącami innych substancji, o których nie tylko się nie słyszało, ale też nigdy nie chciałoby się słyszeć.

Kiedy zjechałam z autostrady w Sto Trzecią, doznałam swoistego wrażenia, że ląduję na księżycu albo że wracam na ziemię po wybuchu nuklearnym. W tłustej mazi wokół jeziora Calumet życie zapewne istnieje, z tym tylko, że nie można go dostrzec bez pomocy mikroskopu albo Stevena Spielberga. Nie ma tu drzew ani trawy, ani ptaków. Są tylko zdziczałe psy o wystających żebrach i ślepiach przekrwionych z szaleństwa i głodu.

Fabryką Xerxesa znajduje się w sercu dawnych moczarów przy Sto Dziesiątej Ulicy na wschód od Torrence. Mieści się w starym budynku, zbudowanym we wczesnych latach pięćdziesiątych. Z szosy widać znak firmowy „Xerxes, Król Rozpuszczalników”. Królewska purpura wyblakła w nieokreślony róż, a sam znak, korona z dwoma iksami, prawie w ogóle zanikł.

Fabryka, zbudowana z betonowych płyt, tworzyła gigantyczną literę U, której ramiona dochodziły z tyłu do brzegu rzeki Calumet. W ten sposób rozpuszczalniki tutaj produkowane można było łatwo transportować barkami, a odpady spuszczać do rzeki. Teraz, oczywiście, już tego

nie robią. Kiedy uchwalono Ustawę o Czystości Wód, Xerxes utworzył dla odprowadzanych ścieków ogromne laguny o gliniastych brzegach, stanowiących wątpliwą przegrodę między rzeką a toksynami.

Zaparkowałam samochód na żwirowym placyku i dziarsko ruszyłam przez błotniste koleiny do bocznego wejścia. Ostry zapach, przywołujący na myśl ciemnię fotograficzną, nie zmienił się od czasów, kiedy podwoziliśmy tu z ojcem Louise, spóźnioną na autobus.

Nigdy jeszcze nie byłam wewnątrz tej fabryki. Zamiast w kotle pełnym ludzi i zgiełku, którego oczekiwałam, znalazłam się w pustej hali. Była długa i skąpo oświetlona, miała betonową posadzkę i ściany z pustaków, które wznosiły się na całą wysokość budynku, co sprawiało, że czułam się jak na dnie kopalnianego szybu.

Idąc w głąb jednego z ramion litery U, w kierunku rzeki natrafiłam na rząd małych klitek wbudowanych w wewnętrzną ścianę. Pokoiki ograniczone były taflami gruboziarnistego szkła, jakie stosuje się w prysznicowych kabinach; mogłam przez nie widzieć światło i ruch, lecz nie dawało się rozróżnić kształtów. Zapukałam w jedne takie drzwi. Kiedy nikt nie odpowiedział przekreśliłam gałkę i weszłam do środka. Przeniosłam się w czasie. Umeblowanie tego długiego, wąskiego pokoju najwyraźniej nie zmieniło się od chwili, kiedy fabryka ruszała trzydzieści pięć lat temu. Na wprost drzwi, pod ścianą, stały w szeregu brudnozielone szafy i biurka o metalicznym kolorze. Z sufitu wyłożonego starymi płytami dźwiękochłonnymi zwisały jarzeniówki. Okazało się, że wszystkie drzwi z zewnątrz prowadziły do tego samego pomieszczenia, choć niektóre zastawione były szafami na akta.

Za biurkami urzędowały cztery kobiety w średnim wieku, odziane w liliowe kitle. Pochylone nad wielkimi zwałami papierów, z uporem godnym Syzyfa księgowały, fakturowały i stukwały grubymi palcami w staroświeckie maszyny do liczenia. Dwie z nich paliły. Dym papierosów łączył się z wonią chemikaliów w kwaśnej harmonii.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałam. - Usiłuję znaleźć dział kadr.

Kobieta siedząca najbliżej drzwi podniosła ciężko głowę i spojrzała na mnie obojętnie.

- Nie przyjmują. - Powróciła do swoich papierów.

- Ja nie szukam pracy - wyjaśniłam cierpliwie. - Chcę po prostu porozmawiać z personalnym.

Na to wszystkie cztery podniosły wzrok, by ocenić mój ubiór oraz wiek. Usiłowały odgadnąć, czy byłam z OSHA* [OSHA - Occupational, Safety and Health Administration - odpowiednik inspekcji BHP

(przyp. tłum.)] czy z EPA, stanowego czy federalnego. Spobwiała szatynka, z którą rozmawiałam, kiwnęła głową w stronę drzwi na wprost wejścia.

- Po drugiej stronie - rzuciła lakonicznie.

- Przejdę tędy, czy muszę obejść budynek dookoła? Jedna z palaczek niechętnie zgasila papierosa i wstała.

- Zaprowadzę ją - powiedziała chrapliwie.

Pozostałe spojrzaly na staromodny elektryczny zegar wiszący nad biurkami.

- Ale w ramach twojej przerwy? - zapytał sflaczały babsztyl, siedzący z tyłu.

Moja przewodniczka wzruszyła ramionami.

- Może być i tak.

Pozostałe wyglądały na zmartwione: koleżanka okazała się sprytniejsza niż one. Udało jej się urwać systemowi pięć minut. Jedna z kobiet odsunęła krzesło z iskierką nadziei, ale spłowiała szatynka rzuciła surowo:

- Jedna wystarczy.

Niedoszła rebeliantka czmychnęła z powrotem do pracy.

Wyszliśmy przez tylne drzwi. Za nimi znajdowało się piekło, jakiego oczekiwałam zaraz po wejściu do fabryki. Byliśmy w słabo oświetlonym pomieszczeniu, którego wysokość równa była wysokości całego budynku. Pod sufitem i na dole w różnych odstępach biegły rury z nierdzewnej stali, co wywoływało wrażenie, że jest się zawieszonym w stalowym labiryncie przewróconym do góry nogami. Z rur nad głową wydobywały się z sykiem małe obłoczki pary, wypełniając labirynt mgłą. Na ścianach co dziesięć metrów widniały wielkie czerwone napisy „Palenie wzbronione”. Do rur podłączone były ogromne zbiorniki niczym kadzie odpowiednie na sabat potężnych czarownic. Białe odziane postacie doglądające tego miejsca mogłyby być ich poplecznikami.

Chociaż powietrze wydawało się tu właściwie zdrowsze niż na zewnątrz, niektórzy pracownicy mieli na twarzach maski ochronne. Dziwiło mnie, że większość ich jednak nie nosiła, podobnie jak fakt, iż moja przewodniczka i ja chodziłyśmy sobie po hali ot tak, na skróty. Chciałam ją o to zapytać, przekrzykując świst i klekotanie rur, ale widocznie uznała, że musiałam być szpiclem z OSHA albo czymś takim, i odmówiła odpowiedzi. Nagle z zaworu nad naszymi głowami wydobył się bulgot tak głośny, że podskoczyłam z przerażenia, lecz ona uśmiechnęła się tylko blade, nic nie powiedziawszy.

Klucząc z wprawą po labiryncie, doprowadziła mnie do drzwi znajdujących się po przekątnej od miejsca, skąd wyruszyliśmy. Za nimi był jeszcze jeden wąski korytarz, biegnący wzdłuż podstawy U. Po jego przejściu skręciliśmy w lewo i weszliśmy w drugie ramię. W połowie jego długości moja przewodniczka zatrzymała się przy drzwiach z napisem „Stołówka - Obcym Wstęp Wzbroniony”.

- Pan Joiner urzęduje tam dalej, trzecie drzwi na prawo. W „Administracji”.

- Dobra, dziękuję za pomoc - powiedziałam, lecz ona zdążyła już zniknąć w stołówce.

Drzwi „Administracji” również były zrobione z tafli grubego szkła, ale wewnątrz za nimi miało nieco więcej klasy niż podziemia Tartaru, gdzie spotkałam cztery urzędniczki. Betonową posadzkę kryła tu wykładzina, a nie linoleum. Sufit wybżony płytami i tapety na ścianach tworzyły iluzję przytulnego zakątka w tym lochu z pustaków.

Za biurkiem wyposażonym w nowoczesną konsolę telefoniczną i już nie tak nową elektryczną maszynę do pisania siedziała kobieta, ale bez liliowego kitla. Podobnie jak napotkane urzędniczki była w średnim wieku. Pod solidną warstwą makijażu jej skóra zachowała jeszcze świeżość, a ubiór, jeśli nie gustowny, to przynajmniej dobrany był ze starannością. Miała na sobie nieskazitelnie odprasowaną różową bluzkę, sznur dużych plastikowych pereł na szyi, a w uszach klipsy podobnego rodzaju.

- Szukasz czegoś, kochanie? - spytała.

- Chciałabym zobaczyć się z panem Joinerem. Nie jestem umówiona, ale to nie powinno potrwać dłużej niż pięć minut.

Sięgnęłam do torebki po wizytówkę i wręczyłam kobiecie. Roześmiała się pod nosem.

- Och, kochanie, nie żądaj ode mnie, abym wymówiła takie nazwisko.

Nie było to ekskluzywne biuro w centrum miasta, gdzie recepcjonistki poddawały najpierw delikwenta przesłuchaniu w stylu KGB, aby w końcu zgodzić się niechętnie na sprawdzenie, czy pan taki-a-taki może go przyjąć. Podniosła słuchawkę i oznajmiła panu Joinerowi, że pyta o niego jakaś dziewczyna. Roześmiała się jeszcze raz, mówiąc, że trudno jej oceniać, i wyłączyła się.

- Jest tam - powiedziała pogodnie, wskazując przez ramię. - Środkowe drzwi.

Na ścianie za jej plecami znajdowały się wejścia do trzech małych pokoików, każdy po dwa i pół metra kwadratowego. Drzwi do pierwszego z nich były otwarte i zerknęłam tam ciekawie. Nikogo nie było w środku, lecz stosy papierów i ściana pokryta wykresami wyników w produkcji

wskazywały, że mieściło się tu biuro. Mała tabliczka na środkowych drzwiach oznajmiała przybyłym: „Gary Joiner - Księgowość, Bezpieczeństwo i Kadry”. Zapukałam szybko i weszłam do środka.

Joiner był młodym człowiekiem, może trzydziestoletnim, o płowych włosach obciętych tak krótko, że przez witywała przez nie różowa skóra czaszki. Dumał nad stosem ksiąg rachunkowych, lecz kiedy weszłam, podniósł wzrok i uśmiechnął się. Miał pryszczatą twarz i wystraszone, niewinne oczy.

- Dziękuję za poświęcenie mi chwili czasu - zaczęłam z animuszem, podając mu rękę. Wyjaśniłam, kim jestem. - Z powodów osobistych, niemających nic wspólnego z Xerxesem, usiłuję odnaleźć dwóch ludzi, którzy pracowali tu na początku lat sześćdziesiątych.

Podalam mu kartkę z nazwiskami Joeya Pankowskiego i Steve'a Ferraro. Miałam na podorzędziu historyjkę o tym, dlaczego chciałam ich znaleźć, coś banalnego o świadkach wypadku samochodowego, ale nie chciałam się wyrywać na ochotnika, dopóki o to nie poprosi. W przeciwieństwie do wiary Goebbelsa w wielkie kłamstwo, ja wierzyłam w nudne kłamstwo - przedstawić swoją sprawę tak bezbarwnie, żeby nikomu nie chciało się jej drażyć.

Joiner przyglądał się kartce.

- Nie sądzę, żeby ci faceci teraz tu pracowali. Zatrudniamy tylko stu dwudziestu pracowników, więc skojarzyłbym nazwiska. Ale jestem tu dopiero od dwóch lat, a skoro mowa o latach sześćdziesiątych...

Odwrócił się do szafki i zaczął grzebać w jakichś papierach. Uderzyła mnie nagle nieobecność komputerów tak tutaj, jak i w całej fabryce. Większość kadrowców czy księgowych mogłaby zwyczajnie wyświetlić listę pracowników na monitorze.

- Nic z tego, oczywiście cie. Sama pani widzi, że ledwo mamy miejsce na bieżącą dokumentację. - Zatoczył ręką łuk, zrzucając przy tym na podłogę część ksiąg. Zarumieniony po uszy, schylił się do zbierania. - Jeśli ktoś rezygnuje albo przechodzi na emeryturę, a my nie mamy z nim żadnych kłopotów, no, wie pani, na przykład przeciągająca się sprawa o odszkodowania, to transportujemy te papiery do naszego magazynu w Stickney. Chce pani, żebym sprawdził?

- To byłoby wspaniale. - Podniosłam się. - Kiedy mogę zadzwonić? W poniedziałek za wcześnie?

Zapewnił mnie, że w poniedziałek będzie świetnie - mieszkał w tamtej okolicy i mógł zatrzymać

się przy magazynie w drodze powrotnej dziś wieczorem. Skrupulatnie wpisał notatkę do kalendarzyka, wkładając doń kartkę z nazwiskami. Zanim zdążyłam wyjść z pokoju, on już powrócił do swoich ksiąg.

ROZDZIAŁ 7

Na zapleczu

Miałam dość miasta, brudu i połamanych, bolesnych życiorysów. Wróciwszy do domu, przebrałam się w dzinsy, spakowałam torbę i wyjechałam z Peppy na weekend nad Michigan. Chociaż jezioro było zbyt zimne i wzburzone, aby w nim pływać, spędziłyśmy dwa orzeźwiająco dni na plaży, biegając, wyszukując patyki i czytając, w zależności od indywidualnych upodobań. Kiedy wróciłam do Chicago w niedzielę późnym wieczorem, miałam gruntownie przewietrzoną głowę. Zwróciłam psa zazdrosnemu panu Contrerasowi i powędrowałam na górę do łóżka.

Kadrowemu w Xerxesie zapowiedziałam, że rano będę dzwoniła, ale obudziwszy się, postanowiłam odwiedzić go osobiście. Jeżeli miał adresy Pankowskiego i Ferraro, mogłabym od razu do nich pojechać i wyjaśnić całą aferę w ciągu jednego przedpołudnia. A jeżeli zapomniał zatrzymać się przy magazynie w Stickney, to osobista wizyta postawiłaby go na nogi bardziej niż gadanie przez telefon.

Deszcz padający przez całą noc zamienił żwirowy plac przed Xerxesem w grzęzawisko. Zaparkowałam tak blisko, jak się dało, i przebrnęłam po oleistej mazi do wejścia. W przepastnym korytarzu panował chłód. Zanim dotarłam do oszklonych drzwi działu administracji, dygotałam z zimna.

Joinera nie było w biurze, ale uczynna sekretarka życzliwie skierowała mnie na przystań, gdzie pilnował załadunku. Poszłam w głąb korytarza do końca długiego budynku. Drogę na przystań grodziła trudna do otwarcia ciężka żelazna brama. Za nią rozciągał się świat pełen brudu i wrzawy.

Rozsunięte stalowe wrota otwierały rampę towarową na dwie strony. Na dalszym końcu, na wprost mnie, były o brzeg fale Calumetu, słonawe i mętno-zielone od deszczówki. Przycumowana barka unosiła się bezwładnie na rozkołysanej wodzie. Grupa robotników wyładowywała z niej wielkie beczki i toczyła po betonie z łaskotem, który zwielokrotniało echo odbijane od blaszanych ścian hangaru.

Drugie wrota prowadziły na rampę dla ciężarówek. Stała tam w szeregu falanga srebrnych cystern tankujących rozpuszczalniki z podwieszonych rur. Wyglądały jak złowrogie zwierzęcy

pomiot przyssany do supernowoczesnej karmiącej maszyny. Włączone silniki wypełniały powietrze nieznośnym rykiem, sprawiając, że nie sposób było zrozumieć okrzyków mężczyzn, którzy się tam kręcili.

Wyśledziłam grupkę skupioną wokół jakiegoś człowieka z notatnikiem. Światło było zbyt skąpe, aby móc rozróżnić twarze, ale przyjąłam, że to Joiner, i ruszyłam w tamtą stronę. Nagle ktoś wyskoczył zza beczek i chwycił mnie za ramię.

- Gdzie kask? - wrzasnął mi do ucha. - Czego tu szukasz?

- Gary'ego Joinera - odkrzyknęłam. - Muszę z nim pomówić.

Odprowadził mnie z powrotem do wejścia i kazał czekać. Patrzyłam, jak podchodzi do zagadanych mężczyzn i klepie jednego z nich po ramieniu, kiwając przy tym głową w moją stronę. Joiner odłożył notatnik na beczkę i ruszył ku mnie.

- Ach, to pani.

- Yhm - przytaknęłam. - Właśnie byłam w tej okolicy i pomyślałam, że wstąpię, zamiast dzwonić. Rozumiem, że nie jest to najdogodniejszy czas na rozmowę, chce pan, żebym poczekała w biurze?

- Nie, nie. Ja... eee... niczego nie mogłem znaleźć o tych facetach. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek tu pracowali.

Nawet w panującym półmroku byłam pewna, że jego pryszczate policzki oblewają się rumieńcem.

- Dam głowę, że w tym magazynie jest bajzel - zagadnęłam przychylnie. - Kto ma czas troszczyć się o dokumenty w takiej manufakturze.

- Tak - przyznał ochoczo. - Tak, to pewne.

- Ja mam wprawę w grzebaniu się w papierach. Gdyby dał mi pan jakieś upoważnienie, mogłabym sama poszukać. No, wie pan, zobaczyć, czy ich akta zostały gdzieś przeniesione, czy coś w tym rodzaju.

Rozejrzał się nerwowo dookoła.

- Nie, nie. Aż takiego bałaganu tam nie ma. Ci faceci nigdy tu nie pracowali. Muszę już iść.

Odszedł pośpiesznie, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć. Ruszyłam za nim, ale nawet gdybym minęła ciecia, to nie przychodził mi do głowy żaden sposób, aby wydobyć od Joinera prawdę. Nie znałam jego, nie znałam fabryki, nie miałam pojęcia, dlaczego mnie okłamywał.

Przebyłam powoli długi korytarz i wróciłam do samochodu. Na dworze w zamyśleniu weszłam na podmokłą ścieżkę i ubłociłam prawy but. Zakląłam głośno - te pantofle kosztowały mnie przeszło stówę. Siedząc w samochodzie, starałam się zeszkrobać błoto i upaprałam kostium tłustą mazią. Wściekła na cały świat, cisnęłam buty na tylne siedzenie i włożyłam trampki. Mimo że to nie Caroline wysyłała mnie do Xerxesa, ją właśnie obwinałam za moje kłopoty.

Jechałam przez Torrence i mijając zżerane przez rdzę fabryki, które wyglądały po deszczu jeszcze szpetniej niż zwykle, zastanawiałam się, czy Louisa mogła zadzwonić do Joinera i poprosić go, aby w wypadku gdybym się pojawiła, odmówił mi pomocy. Nie sądziłam, by rozumowała w ten sposób, jakkolwiek kazała mi nie wtrącać się w jej sprawy, a z jej punktu widzenia właśnie to robiłam. Może Djiakowie narobili krzyku w Xerxesie, ale uznałam, że byli zbyt prymitywni, aby wydedukować, jak będę prowadziła poszukiwania. Potrafili tylko rozpamiętywać rany, które zadała im Louisa.

Z drugiej strony, gdyby Joiner nie chciałze mną rozmawiać o tych ludziach z powodu jakichś problemów, które miała z nimi fabryka - powiedzmy procesu - wiedziałby o tym już w piątek. Ale podczas pierwszego spotkania było oczywiste, że nigdy o nich nie słyszał.

Nie wiem, skąd się to wzięło, lecz myśl o procesie podsunęła mi jeszcze jedno miejsce poszukiwań. Ani Pankowskiego, ani Ferraro nie był w książce telefonicznej, ale musieli być umieszczeni w starym rejestrze wyborców w gminie. Skręciłam w prawo, w Dziewięćdziesiątą Piątą, i pojechałam na East Side.

Biura gminy wciąż mieściły się w schludnym jednopiętrowym budynku z czerwonej cegły przy Avenue M. Sprowadzają tu ludzi przeróżne interesy, od reklamacji mandatów za złe parkowanie do prób wyrwania czegoś z miejskiej kasy. Wobec tego kręci się tu mnóstwo miejscowych policjantów. Nawet mój ojciec, którego rewir znajdował się na North Milwaukee Avenue, nieraz mnie tutaj przyprowadzał. Nie zmienił się wielki napis wypełniający całą północną ścianę budynku. Ogłaszał Arta Jurshaka radnym, a Freddy'ego Parmę członkiem zarządu. A w sąsiednim domu wciąż mieściła się agencja ubezpieczeniowa, która była dla Arta odskocznią do kariery.

Otrzeptałam z grubsza błoto z prawego pantofla i włożyłam buty na nogi. Oczyszczywszy kostium chusteczką higieniczną, jak tylko się dało najlepiej, weszłam do budynku. Nie rozpoznałam żadnego z urzędników rozpartych wygodnie za biurkami na parterze, ale sądząc po wieku oraz podobieństwie do otaczających ich mebli, mogłam przypuszczać, że siedzieli tu od czasów mojego

dzieciństwa.

Było ich trzech. Jeden, szpakowaty mężczyzna z grubym, krótkim cygarem w zębach, niegdyś symbolem władzy demokratów, przeglądał sportowe strony gazety. Dwóch pozostałych, jednego łysego, a drugiego z wielką szopą siwych włosów, pochłaniał ożywiony spór. Pomimo odmiennych fryzur byli do siebie uderzająco podobni. Obaj mieli jowialne, gładko wygolone rumiane twarze i po piętnaście kilo nadwagi, niechlujnie wylewających się zza pasków wyświeconych spodni.

Łypnęli na mnie spod oka, kiedy weszłam, lecz żaden się nie odezwał. Byłam kobietą i w dodatku nieznaną. Jeśli przyszłam od burmistrza, to dobrze mi mogło zrobić, gdy nieco skruszę. Jeśli byłam kimkolwiek innym, cóż mogłam im zaoferować.

Dwaj dyskutanci przekonywali się o wyższości swoich pikapów, chevrolet kontra ford. Nikt w tej okolicy nie kupuje zagranicznych wozów - nie wypada wobec siedemdziesięcioprocentowego bezrobocia w przemyśle stalowym.

- Cześć - powiedziałam głośno.

Podnieśli niechętnie głowy. Czytający gazetę nie obrócił się, ale zauważyłam, że wyczekująco przekłada stronicę. Podsunęłam sobie krzesło na kółkach.

- Jestem adwokatem - rzuciłam, wyciągając z torebki wizytówkę. - Szukam dwóch ludzi, którzy swego czasu tu mieszkali, może ze dwadzieścia lat temu.

- Powinnaś spróbować na policji, serdeńko. To nie jest biuro rzeczy znalezionych - odparł łyse.

Gazeta zaszeleściła na potwierdzenie. Stuknęłam się w czoło.

- Do licha! Macie rację. Kiedy tu mieszkałam, Art starał się pomagać obywatelom. Czasy się jednak zmieniły.

- Yhm. Nic już nie jest tak jak dawniej. - Wyglądało na to, że do rozmowy został wydelegowany łyse.

- Z wyjątkiem pieniędzy potrzebnych do prowadzenia kampanii - powiedziałam ze smutkiem. - To ciągle bardzo kosztowne, jak słyszę.

Łyse z białasem wymienili ostrożne spojrzenia: Czy próbowałam dokonać szlachetnego czynu i odpalić im trochę szmalu, czy też należałam do tej bandy magików z urzędu federalnego, którzy mieli nadzieję przyłapać Jurshaka na wyciąganiu grosza od obywateli, Białas skinął dyskretnie głową.

- Po co szukasz tych facetów? - zagadnął łysior.

Wzruszyłam ramionami.

- Normalka. Jeszcze na początku lat osiemdziesiątych mieli wypadek samochodowy. Dostali w końcu odszkodowanie. Nie jest tego dużo, wszystkiego po dwa i pół patyka. Więcej zachodu przy ich tropieniu, niż to warte, a jeśli są na emeryturze, i tak dostają wypłaty.

Podniosłam się, ale mogłam dostrzec, jak w ich głowach pracują małe kalkulatorki. Gazeciarz oderwał się od doniesień o wyczynach Michaela Jordana i włączył się do telepatycznych rozważań. Jeżeli zorganizują spotkanie, ile mogliby urwać? Powiedzmy sześć stówek, to będzie po dwie na twarz.

Sekundanci skinęli głowami i łysior zagaił:

- Więc mówisz, że jak oni się nazywają?

- Nic nie mówię. Macie chyba rację, powinnam od razu pójść z tym na policję.

Powoli ruszyłam do wyjścia.

- Hej, momencik, siostró. Nie znasz się na żartach?

Odwrociłam się niepewnie.

- No dobra, skoro tak... Joey Pankowski i Steve Ferraro. Biały wstał i skierował się wolnym krokiem do rzędu regałów z aktami. Poprosił mnie o powtórzenie nazwisk, litera po literze. Poruszając niemo ustami przy czytaniu, przekładał stare rejestry wyborcze, aż wreszcie rozjaśniła mu się twarz.

- Jesteśmy w domu. Pankowski zarejestrowany był ostatni raz w 1985 roku, Ferraro w 83. Dlaczego nie przyniesiesz czeków do nas? Możemy je spieniężyć w agencji Arta i dopilnować, żeby chłopcy dostali swoją gotówkę. I tak powinniśmy ich ściągnąć do rejestracji, a to zaoszczędziłoby ci jeżdżenia.

- Och, dziękuję - powiedziałam z zapalem. - Kłopot w tym, że muszę mieć ich podpisy na pokwitowaniu. - Po chwili zastanowienia zaproponowałam z uśmiechem: - Wiecie co, dajcie mi ich adresy, żebym mogła po południu sprawdzić, czy ci faceci jeszcze tam mieszkają. A za miesiąc, jak mi wydadzą чеки, przyślę je tutaj.

Powoli roztrząsali propozycję. W końcu uznali, również milcząco, że nie jest zła. Biały zapisał mi adresy Pankowskiego i Ferraro wielkimi, okrągłymi kulfonami. Podziękowałam wylewnie i ponownie skierowałam się do drzwi.

W momencie kiedy je otwierałam, stanął w nich młody człowiek.

Zawahał się, jakby nie był pewien czekającego po przyjęciu. Miał kasztanowe, kędzierzawe włosy, a zdumiewające piękno jego bladej twarzy podkreślał jeszcze granatowy kolor wełnianej marynarki. Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek widziała mężczyznę o tak doskonałej urodzie, a ten mógłby pozować Michałowi Aniołowi do Dawida. Kiedy uśmiechnął się nieśmiało, jego twarz wydała mi się znajoma.

- Sie masz, Art - zawołał Łysior. - Twój stary jest w mieście.

Młody Art Jurshak. Wielki Art nigdy nie miał takiej prezencji, ale uśmiech tego chłopaka kojarzył mi się z plakatami wyborczymi ojca. Zarumienił się.

- Nic nie szkodzi. Chciałem tylko sprawdzić kilka dokumentów. Nie macie nic przeciwko temu, prawda?

Łysior machnął niecierpliwie ramieniem.

- Jesteś przecież współlnikiem ojca. Rób, co chcesz, Art. Ja, w każdym razie, idę coś przekąsić. Idziesz, Fred?

Białas i gazeciarz podnieśli się z miejsc. Pomysł z jedzeniem był przekonujący. Nawet detektyw, który zarabia nędzne grosze, musi od czasu do czasu coś przełknąć. Pozostawiliśmy młodego Artę samego na środku sali.

Restauracja Fratesich znajdowała się, tak jak pamiętałam, na rogu Dziewięćdziesiątej Siódmej i Ewing. Gabriella nie lubiła jej, bo gotowali potrawy z południa Włoch, zamiast swojskich, piemonckich, lecz jedzenie było dobre i przychodziło się tu na specjalne okazje.

Dzisiaj na lunchu nie był tłum. Ozdoby wokół fontanny, która zachwycała mnie, kiedy byłam dzieckiem, uległy zniszczeniu. Rozpoznałam starą panią Fratesi za kontuarem, ale miejsce zanadto nappełniało mnie smutkiem, aby iść się przywitać. Zjadłam sałatkę z zielonej sałaty, pomidora i owoców, zadziwiająco lekką i starannie przyprawioną.

W małej toalecie na tyłach wyczyściłam kostium z najbardziej widocznych plam. Nie wyglądałam rewelacyjnie, ale może to lepiej odpowiadało otoczeniu. Zapłaciłam rachunek, skromne cztery dolary, i wyszłam. Nie wiedziałam, że można się jeszcze w Chicago pożywić za taką sumę.

W trakcie lunchu rozważałam w myślach różne sposoby przeprowadzenia rozmów z Pankowskim i Ferraro. Jeżeli byli żonaci, z dziećmi pod bokiem, mogli nie chcieć słyszeć o Louisie Djiak. A może właśnie na odwrót. Może przypomniaby im szczęśliwą młodość. Ostatecznie

uznałam, że muszę zdać się na wyczucie.

Dom Steve'a Ferraro był bliżej restauracji, więc najpierw pojechałam tam. Stał w jednym z niezliczonych rzędów podobnych mu domków na East Side. Był może trochę bardziej zapuszczony niż sąsiednie. Ganku nie zamiatano od dawna, co stwierdziło moje krytyczne oko gospodyni domowej, a szybko w drzwiach przydałaby się ścierka.

Nacisnęłam dzwonek i czekałam przez długą chwilę. Zadzwoiłam jeszcze raz i miałam już odejść, kiedy usłyszałam, jak otwierają się wewnętrzne drzwi. Stała w nich staruszka, niska, o przeczczonych włosach i złowrogim spojrzeniu.

- Tak - burknęła chrapliwym głosem z silnym akcentem.

- *Scusi* - zagadnęłam. - *Cerco il signor Ferraro.*

Jej twarz rozjaśniła się nieznacznie i kobiecina odpowiedziała mi po włosku:

- Czego od niego chcą? Może wreszcie sąd zamierza coś wypłacić? Tylko jemu czy także rodzinie?

- Tylko jemu - opowiedziałam stanowczo, choć serce mi zadrżało. Jej dalsze słowa potwierdziły moje obawy. *Il signor Ferraro* był jej synem, jedynym dzieckiem, i umarł w 1984 roku. Nie, nigdy się nie ożenił. Mówił raz o jakiejś dziewczynie z fabryki, gdzie pracował, ale *madre de dio*, ona miała już dziecko. Na szczęście nic z tego nie wyszło.

Dałam jej moją wizytówkę z prośbą o telefon, gdyby przyszło jej coś jeszcze do głowy, i bez większych złudzeń pojechałam na Green Bay Avenue.

Tym razem drzwi otworzyła kobieta znacznie młodsza, może nawet w moim wieku, lecz zbyt otyła i zniszczona, aby być tego pewnym. Rzuciła mi zimne spojrzenie zarezerwowane dla sprzedawców polis ubezpieczeniowych na życie i Świadców Jehowy, gotowa zamknąć drzwi przed nosem.

- Jestem adwokatem - rzuciłam pośpiesznie. - Szukam Joeya Pankowskiego.

- Ładny mi adwokat - odparła pogardliwie. - Niech pani lepiej zapyta na cmentarzu Królowej Aniołów, tam spędził ostatnie dwa lata. Taka jest przynajmniej jego wersja. Znaję c tego sukinsyna, nie zdziwiłabym się, gdyby tylko udawał, że zdycha, żeby urwać się ze swoją najnowszą dziwką.

Przygięło mnie nieco pod tym obstrzałem.

- Przepraszam, pani Pankowski. To stara sprawa i ciągnie się bardzo długo. Chodzi tylko o dwa i pół tysiąca dolarów, naprawdę szkoda pani czasu.

Jej niebieskie oczy niemal zniknęły w rozpromienionych policzkach.

- Nie tak prędko, droga pani. Ty masz dwa i pół tysiąca, a mnie ten szmal się należy. Ile ja się przecierpiałam przez tego sukinsyna, tylko Bóg jeden wie. A jak umarł, to nawet nie było żadnego odszkodowania.

- No, nie wiem - cmoknęłam grymaśnie. - Jego najstarsze dziecko...

- Mały Joey - wtrąciła pośpiesznie. - Urodzony w sierpniu 1963. Teraz jest w wojsku. Mogę je dla niego przechować, aż wróci w styczniu do domu.

- Powiedziano mi, że było jeszcze jedno dziecko. Dziewczynka urodzona w 1962 roku. Czy wie pani coś o niej?

- Co za skurwieli! - wrzasnęła. - Zakłamanym krętacz! Kantował mnie za życia i teraz, kiedy zdechł, dalej mnie kantuje!

- Więc coś pani wie o tej dziewczynce? - zapytałam, zaskoczona myślą, że moje poszukiwania mogłyby tak łatwo się zakończyć.

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale wiem coś o Joeyu. Zanim mi zrobił bachora, mógł już mieć z tuzin innych. Jeśli ta dziewczyna myśli, że jest pierwsza, to ja pani lepiej radzę dać ogłoszenie do *Little Calumet Times*.

Wyjęłam z torebki dwadzieścia dolarów i przytrzymałam niedbale.

- Prawdopodobnie moglibyśmy wypłacić jakąś zaliczkę z przyznanej sumy. Czy zna pani kogoś, kto mógłby powiedzieć coś pewnego o dzieciach, które urodziły się przed małym Joeyem. Może brat? Albo ksiądz?

- Ksiądz? - zachichotała. - Musiałam jeszcze dopłacić, żeby zechcieli go pochować na Królowej Aniołów. - Mimo to myślała gorączkowo, starając się nie patrzeć na banknot. W końcu powiedziała: - Wie pani, kto mógłby wiedzieć? Lekarz w fabryce. Rozmawiał z nimi każdej wiosny, pobierał krew, robił wywiady. Znał ich lepiej niż sam Bóg, tak Joey raz powiedział.

Nie potrafiła podać mi jego nazwiska. Nawet jeśli Joey kiedykolwiek je wspomniał, trudno było oczekiwać, aby pamiętała. Pieniądze wzięła z powagą, zapraszając mnie do siebie, gdybym była kiedyś w tych stronach.

- Nie spodziewam się dostać więcej - dodała z nieoczekiwaną pogodą. - Po tym, co przeżyłam z tym sukinsynem. Gdyby mój ojciec go nie zmusił, nie ożeniłby się ze mną. I między nami mówiąc, lepiej bym na tym wyszła.

ROZDZIAŁ 8

Dobry doktor

Kiedy nadjechałam, Louisa i Caroline wracali właśnie z dializy. Pomogłam Caroline przenieść Louise na wózek, którym przewiozłyśmy ją parę metrów po chodniku. Wprowadzenie jej do góry po pięciu schodkach wymagało dziesięciu minut cierpliwej pracy. Ciężko opierała się na moim ramieniu, aby podciągnąć się stopień wyżej, po czym nabierała sił do następnego kroku.

Zanim zdołałyśmy umieścić ją w łóżku, jej oddech stał się płytki i charczący. To sapanie i liliowe plamy pod woskową, zielonkawą skórą przeraziły mnie nieco, ale Caroline zajmowała się nią pogodnie, z dużą wprawą podając tlen i masując wychudłe ramiona do czasu, aż wrócił normalny oddech. Niezależnie od tego, jak bardzo Caroline mnie irytowała, podziwiałam jej niezmordowane poświęcenie w opiekowaniu się matką.

Zostawiła mnie z Louisa, a sama poszła zrobić sobie coś do jedzenia. Louisa odpływała w sen, lecz przypominała sobie lekarza z fabryki, rżąc ze śmiechu jak koń: Chigwell. Nazywali go Chigwell Pluskwa, bo zawsze wysysał z nich krew. Zaczekałam, aż zapadnie w głęboki sen, i uwolniłam dłoń z uścisku jej kościstych palców.

Caroline krążyła po jadalni, drżąc z niecierpliwości.

- Codziennie chciałam do ciebie dzwonić, ale zmusiłam się, żeby tego nie robić. Zwłaszcza w ubiegłym tygodniu, kiedy mama powiedziała mi, że gdy wstąpiłaś, zakazała ci go szukać. - Zajadała kanapkę z masłem orzechowym i jej głos brzmiał grubo. - Dowiedziałas się czegoś?

Potrząsnęłam głową.

- Szukałam tych dwóch facetów, których najlepiej wspomina, ale obaj nie żyją. Możliwe, że jeden z nich mógł być twoim ojcem, ale nie wiem, jak to sprawdzić. Jedyna nadzieja w lekarzu z fabryki. Podobno gromadził liczne zapiski na temat pracowników, a ludzie mówią lekarzom rzeczy, o których nie powiedzieliby nikomu innemu. Jest jeszcze ten sprzedawca, który dwadzieścia pięć lat temu pracował w sklepie spożywczym na rogu, ale Connie nie potrafiła przypomnieć sobie jego nazwiska.

Przejęła mój wąpiący ton.

- I sądzisz, że któryś z tych facetów mógłby być moim ojcem? Zaciśnięłam usta, próbując znaleźć słowa do wyrażenia moich wątpliwości. Steve Ferraro chciał ożenić się z Louisa i przyjąć dziecko. To znaczyłoby, że poznał ją po urodzeniu Caroline, a nie wcześniej. Joey Pankowski rzeczywiście wyglądał na faceta, który mógł przespać się z Louisa i ulotnić bez skrępowań. To by pasowało. Represyjne wychowanie, Connie i jej kompletna ignorancja w sprawach seksu - to wszystko mogło rzucić Louisa w ramiona jakiegoś amatora łatwych przygód. Ale w takim razie, skąd teraz taka agresja? Chyba że przejęła tak wiele z obsesyjnych obaw Djiakó w przed seksem, iż przerażała ją każde wspomnienie o tym mężczyźnie. Lecz to z kolei nie odpowiadało moim wspomnieniom o Louisie jako młodej dziewczynie.

- Nie wiem - odpowiedziałam w końcu bezradnie. - Czuję, że tu się coś nie zgadza. - Po krótkim sporze z sobą samą dodałam: - Myślę, że powinnaś przygotować się na niepowodzenie. Moje niepowodzenie. Jeśli nie dowiem się czegoś od doktora albo nie znajdę tego sprzedawcy, będę musiała je dodać gratis do rachunku.

Zgromiła mnie wzrokiem.

- Ja liczę na ciebie, Vic.

- Nie zaczynaj znowu tej samej śpiewki, Caroline. Jestem wykończona. Zadzwoń za dzień, dwa i zobaczymy, co dalej.

Dochodziła czwarta, pora, kiedy ruch uliczny grzął w korkach wieczornych godzin szczytu. Zanim dowlokłam się te trzydzieści parę kilometrów do domu, było prawie wpół do szóstej. Na dole zatrzymał mnie pan Contreras, żądając wyjaśnień w sprawie rzepów, które przez moją nieuwagę znalazły się na złocistym ogonie jego świętego psa. Pojawiła się też Peppy, wyrażając głośno swoją gotowość do biegania. Słuchałam obojga z taką dozą cierpliwości, do jakiej potrafiłam się zmusić, lecz po pięciu minutach jego słowotoku, w połowie zdania obróciłam się na pięcie i ruszyłam na drugie piętro.

Zdjęłam kostium i zostawiłam w przedpokoju, aby mieć pewność, że nie zapomnę rano zabrać go do pralni. Nie wiedziałam, co zrobić z pantoflem, więc został razem z kostiumem, może w pralni będą wiedzieli, gdzie go oddać do renowacji.

Puściwszy wodę do wanny, wyciągnęłam spod pianina stos książek telefonicznych miasta i okolic. Oczywiście. Żaden Chigwell tam nie figurował. Prawdopodobnie już nie żył. Albo dożywał starości na Majorce.

Nalałam sobie whisky i weszłam do łazienki. Gdy zanurzyłam się już do połowy w staroświeckiej wannie, przyszło mi na myśl, że mógł figurować w spisie lekarzy. Wygramoliłam się więc z powrotem i przeszłam do sypialni, aby zadzwonić do Lotty Herschel. Właśnie zbierała się do wyjścia ze swojej kliniki na rogu Irving Park i Damen.

- Nie mogłabyś, Victorio, poczekać z tym do jutra rana?

- Mogłabym. Ale chcę pozbyć się tej zarazy tak szybko, jak się da. - W paru słowach nakreśliłam jej historię Caroline i Louisy. - Jeżeli dopadnę tego Chigwella, to pozostanie mi do sprawdzenia tylko jeden trop, a potem będę mogła wrócić do normalnego życia.

- Jeśli ono gdzieś istnieje - odparła sucho. - Nie znasz jego imienia ani specjalności, prawda? Oczywiście. Choroby zawodowe, co?

Słyszałam, jak wertuje stronicę katalogu.

- Chan, Chessick, Childress. Chigwella nie ma. Ale to nie jest pełny wykaz. Prawdopodobnie Max będzie go miał - dlaczego nie zadzwonisz do niego? I dlaczego dajesz się tej Caroline wpuszczać w takie maliny? Moja droga, przecież ty pozwalasz sobą manipulować tylko wtedy, kiedy ci na tym zależy.

Tą podnoszącą na duchu uwagą zakończyła rozmowę. Spróbowałam dodzwonić się do Maxa Loewenthala, który był ordynatorem szpitala Beth Israel, ale wyszedł już do domu. Jak każdy rozsądny człowiek. Tylko Lotty zostawała w pracy do szóstej, no i oczywiście detektyw, którego robota nigdy się nie kończy. Nawet jeśli jego rola polega na ochoczym poddawaniu się manipulacjom dawnej sąsiadki.

Wylałam do zlewu resztkę whisky i przebrałam się w dres. Na chandrę najlepiej robi mi ruch. Zabrałam Peppy od pana Contrerasa - ani on, ani pies nie potrafili długo chować urazy. Kiedy wróciliśmy zdyszane do domu, minął mi już zły nastrój. Staruszek usmażył kotlety i siedzieliśmy nad nimi do jedenastej, gadając i popijając obrzydliwą grappę.

Rano łatwo połączyłam się z Maxem. Wysłuchał mojej sagi ze zwykłą sobie kurtuazją, poprosił, abym zaczekała pięć minut, i wrócił z informacją, że Chigwell jest już na emeryturze i mieszka w podmiejskim Hinsdale. Podał mi nawet jego adres oraz imię - Curtis.

- On ma siedemdziesiąt dziewięć lat, Vic. Jeśli nie będzie miał ochoty z tobą rozmawiać, potraktuj go łagodnie - zakończył, tylko trochę żartując.

- Wielkie dzięki, Max. Postaram się powściągnąć w sobie zwierzęce narowy, ale staruszkowie i

dzieci z zasady uruchamiają we mnie wszystko, co najgorsze.

Roześmiał się i odłożył słuchawkę.

Hinsdale jest starym miasteczkiem leżącym około trzydziestu kilometrów na zachód od centrum metropolii. Jego wyniosłe dęby i domy o wdzięcznej architekturze zostały stopniowo wchłonięte przez wielkomijski potop. Nie jest to najmodniejszy adres dla chicagowskiej elity, lecz posiada ustaloną renomę. Z nadzieją, że uda mi się dopasować do wytwornego otoczenia, wbiłam czarną sukienkę z długimi rękawami i złotymi guzikami. Torebka ze skóry dopełniała całości. Zerknęłam, wychodząc, na granatowy kostium w przedpokoju, lecz uznałam, że może jeszcze jeden dzień poleżeć.

Kiedy przyjeżdża się z miasta na północne bądź zachodnie przedmieścia, pierwsza rzecz, która zwraca uwagę, to ład i porządek. Po pobycie w South Chicago czułam się teraz, jakbym wkroczyła do raju. Mimo że drzewa były огоłocone z liści, a trawa spłowiła i brunatna, wszystko było pograbione i gotowe na przyjscie wiosny. Miałam absolutną pewność, że te brunatne połacie trawników zazielenia się, a jednocześnie nie mogłam sobie wyobrazić, jaki cud mógłby przywrócić do życia grzęzawisko wokół Xerxesu.

Chigwell mieszkał przy starej uliczce nieopodal centrum miasteczka. Dom był jednopiętrową neogeorgiańską budowlą. Drewniane poszycie ścian jaśniało bielą mimo pochmurnego dnia. Dobrze utrzymane żółte okiennice nakrapiane cieniem starych drzew i krzewów tworzyły aurę statecznej harmonii. Zlustrowałam werandę wychodzącą na ulicę. Po kamiennych płytach między żywopłotem otaczającym posesję przeszłam do wejścia i nacisnęłam dzwonek.

Po chwili drzwi się otworzyły. To druga rzecz, która zwraca uwagę na przedmieściach - kiedy się dzwoni, ludzie po prostu otwierają, nie łypiąc przez judasza i nie odsuwając rygli.

Spoglądała na mnie ponuro stara kobieta w surowej granatowej sukience. Ta mina wydawała się jej zwykłym wyrazem twarzy, niekierowanym specjalnie pod moim adresem. Uśmiechnęłam się lekko, bez zbędnych słodkości.

- Pani Chigwell?

- Panna Chigwell. Czy my się znamy?

- Nie, madame. Jestem zawodowym detektywem i chciałbym porozmawiać z doktorem Chigwellem.

- Nic mi nie mówił, że kogoś oczekuje.

- No tak, madame, wolimy przeprowadzać nasze wywiady bez uprzedzenia. Kiedy ludzie mają zbyt dużo czasu na myślenie, to ich odpowiedzi często wydają się wymuszone. - Wyjęłam z torebki wizytówkę i wręczyłam pani Chigwell. Postąpiłam kilka kroków w jej stronę. - Victoria Warszawski. Prowadzenie dochodzeń w sprawach finansowych. Proszę tylko powiedzieć doktorowi, że jestem. Nie zatrzymam go dłużej niż pół godziny.

Nie zaprosiła mnie do środka, lecz odebrawszy niechętnie wizytówkę, wycofała się w głąb domu. Spojrzałam na puste okna domów obok i naprzeciwko. Trzecią rzeczą, która zwraca uwagę na przedmieściach, jest to, że można by równie dobrze być na księżycu. W centrum albo w małomiasteczkowych dzielnicach zasłonki aż fruwałyby poruszane ciekawością sąsiadów, chcących się dowiedzieć, co to za obca kobieta odwiedza Chigwelló w. A potem te pogaduszki przez telefon i ploteczki w pralni. „Tak, to ich kuzynka. Wie pani, ta, co jej matka przeniosła się dobrych parę lat temu do Arizony”. A tutaj ani jedna falbanka nie drgnęła. Ani jeden dziki okrzyk nie zdradzał obecności przedszkolaków obwieszczających wojnę lub pokój. Miałam niejasne uczucie, że mimo wszystko wołałam wielkomiejskie życie, z całym jego wrzaskiem i plugastwem.

Panna Chigwell ponownie zmaterializowała się w drzwiach.

- Doktor Chigwell wyszedł.

- Tak znienacka? Kiedy można go oczekiwać?

- Nie... nie powiedział. Ale to potrwa dłuższą chwilę.

- W takim razie poczekam dłuższą chwilę - oznajmiłam uprzejmie. - Zechce pani zaprosić mnie do środka, czy też mam poczekać w samochodzie?

- Ma pani sobie pójść - odpowiedziała jeszcze bardziej ponuro. - On nie życzy sobie z panią rozmawiać.

- Skąd pani wie, madame? Jeżeli go nie ma, to nie mogła pani z nim o mnie rozmawiać.

- Ja wiem, kogo mój brat chce, a kogo nie chce widzieć. A gdyby chciał widzieć panią, toby mi o tym powiedział wcześniej.

Trzasnęła drzwiami z taką siłą, na jaką tylko potrafiła się zdobyć, zważywszy na jej lata i gruby dywan na podłodze.

Wróciłam do samochodu i podjechałam nim w miejsce, skąd byłam wyraźnie widoczna. W NIV nadawało cykl pieśni Hugo Wolfa.

Przymknąwszy oczy, odchyliłam się na siedzeniu i słuchając złocistego głosu Kathleen Battle,

dumałam, co też było takiego w rozmowie z detektywem, że Curtis Chigwell mógł stracić głowę.

W czasie półgodzinnego czekania zauważyłam na ulicy tylko jednego przechodnia. Zaczynałam już czuć się, jakbym była częścią filmowego atelier, wyłączoną zupełnie z ludzkiej wspólnoty, kiedy na chodniku pojawiła się panna Chigwell. Ruszyła z determinacją w stronę samochodu. Jej szczupła sylwetka była sztywna jak rama parasola i równie kanciasta. Szarmancko wysiadłam na przywitanie.

- Muszę prosić cię, abyś odjechała, młoda panno.

Potrząsnęłam głową.

- Miejsce publiczne, madame. Żadne prawo nie zabrania mi być tutaj. Nie nastawiam głośno muzyki, nie handluję narkotykami ani też nie robię niczego, co prawo nazywa zakłócaniem porządku.

- Jeśli zaraz pani nie odjedzie, zamierzam wezwać policję, jak tylko wejdę do domu.

Podziwiałam jej odwagę: mieć ponad siedemdziesiątkę i stawiać czoło młodej nieznajomej, to wymagało charakteru. Widziałam, jak w jej wyblakłych oczach strach miesza się z desperacją.

- Jestem reprezentantką wymiaru sprawiedliwości, madame. Z chęcią wyjaśniłabym policji, dlaczego chcę rozmawiać z, pani... bratem, jeśli się nie mylę.

Odpowiadało to prawdzie tylko w części. Każdy licencjonowany adwokat jest reprezentantem wymiaru sprawiedliwości, ale wołałabym nie mieć nic wspólnego z policją, zwłaszcza lokalną, która z zasady nie cierpi miastowych detektywów. Szczęśliwie panna Chigwell, pod wrażeniem (miałam nadzieję) mojego profesjonalnego sposobu bycia, nie zażądała żadnej odznaki czy legitymacji. Ściągnęła usta tak, że niemal zniknęły z kanciastej twarzy, i wróciła do domu.

Ledwo zdążyłam usadzić się z powrotem w samochodzie, gdy wyszła na chodnik i kiwnęła do mnie zamasyście. Kiedy spotkałyśmy się pod domem, oznajmiła szorstko.

- Przyjmie panią. Był tu cały czas, rzecz jasna. Nie lubię opowiadać kłamstw w jego imieniu, ale po tylu latach trudno zacząć mówić nie. On jest moim bratem, bliźniakiem, i zbyt dawno nabawiłam się zbyt wielu złych nawyków. Ale pani zapewne nie chce tego wszystkiego wysłuchiwać.

Mój podziw dla niej jeszcze sięwzmógł, lecz nie wiedziałam, jak go wyrazić bez popadania w protekcjonalny ton. W milczeniu ruszyłam za nią. Minęłyśmy korytarz prowadzący do garażu. Obok otwartych drzwi stał na boku gumowy ponton. Za nim widniał schludny szereg narzędzi

ogrodniczych.

Panna Chigwell poprowadziła mnie dalej do salonu. Nie był obszerny, ale posiadał harmonijne proporcje, z meblami wyściełanymi sukniem przed kominkiem z różowego marmuru. Kiedy wyszła po brata, mogłam się trochę rozejrzeć.

Na półce kominka stał pośrodku piękny stary zegar z emaliowaną tarczą i mosiężnym wahadłem. Po bokach znajdowały się porcelanowe figurki pasterek i muzykantów. Na półkach w niszy, w rogu pokoju, stało kilka rodzinnych fotografii, jedna z nich przedstawiała małą dziewczynkę w wykrochmalonym marynarskim mundurku, stojącą dumnie ze swym ojcem na tle żaglóвки.

Kiedy panna Chigwell powróciła z bratem, było oczywiste, że się kłócili. Jego policzki, okrągłejsze niż jej kanciasta twarz, pałały, a usta miał zaciśnięte. Panna Chigwell zaczęła mnie przedstawiać, lecz on przerwał jej ostro.

- Nie jesteś mi potrzebna do troszczenia się o moje sprawy, Clio. ... Doskonale potrafię radzić sobie sam.

- W takim razie chciałabym to zobaczyć - odparła gorzko. - Jeżeli masz jakieś kłopoty z prawem, chcę o nich słyszeć teraz, a nie za miesiąc albo kiedy zbierzesz się na odwagę, żeby mi o tym powiedzieć.

- Przepraszam - wtrąciłam. - Zdaje się, że w sposób zupełnie mimowolny stałam się przyczyną tego zamieszania. Z tego, co wiem, nie istnieją żadne kłopoty z prawem, panno Chigwell. Potrzebuję jedynie kilku informacji o ludziach, którzy kiedyś pracowali w fabryce Xerxes, w South Chicago. - Zwróciłam się do jej brata. - Nazywam się Victoria Warshawski, doktorze Chigwell. Jestem adwokatem i prywatnym detektywem. Zajmuję się wykonaniem postanowień sądu, który przyznał w wyroku pewną sumę pieniędzy na rzecz Joeya Pankowskiego.

Zignorował moją wyciągniętą dłoń, więc rozejrzałam się wokoło i wybrałam wygodny fotel, by usiąść. Doktor Chigwell nadal stał. Suchą jak wycior posturą przypominał siostrę.

- Joey Pankowski pracował kiedyś w Xerxesie - ciągnęłam - lecz zmarł w 1985 roku. Obecnie istnieją domniemania, że mógł być ojcem dziecka niejakiej Louisy Djiak, która również była tam zatrudniona. To dziecko ma tytuł do części przyznanej sumy, lecz pani Djiak bardzo choruje i jej umysł nie jest w pełni sprawny, stąd nie potrafimy uzyskać od niej jasnej odpowiedzi na pytanie, kto jest ojcem dziecka.

- Nie jestem w stanie pani pomóc, młoda panno. Nie przypominam sobie żadnego z tych nazwisk.

- Rozumiem, że przez wiele lat, każdej wiosny, przeprowadzał pan badania krwi i robił wywiady z pracownikami. Gdyby zechciał pan tylko zajrzeć do swoich notatek, może można by stwierdzić, czy...

Przerwał mi z gwałtownością, która mnie zaskoczyła.

- Nie wiem, z kim pani na ten temat rozmawiała, ale to absolutne kłamstwa. Nie ścierpię, aby ktoś napastował mnie i obrażał w moim własnym domu. A teraz proszę się stąd wynosić albo wezwę policję. A jeżeli jest pani reprezentantką wymiaru sprawiedliwości, w areszcie będzie czas to wyjaśnić. - Odwrócił się bez czekania na odpowiedź i wymaszerował z pokoju.

Clio Chigwell obserwowała go wzrokiem jeszcze bardziej ponurym niż przedtem.

- Musi pani iść.

- Przecież robił te testy - powiedziałam. - O co mu chodzi?

- Nic o tym nie wiem. Ale nie można prosić go o zdradzanie tajemnic pacjentów. A teraz proszę już iść, chyba że chce pani rozmawiać z policją.

Podniosłam się z taką nonszalancją, na jaką potrafiłam się zdobyć w tych okolicznościach.

- Ma pani moją wizytówkę - powiedziałam w drzwiach. - Jeśli przyjdzie pani coś do głowy, proszę zadzwonić.

ROZDZIAŁ 9

Z życia sławnych i bogatych

Zaczął mżyć drobny kapuśniaczek. Siedziałam w samochodzie, gapiąc się w przednią szybę, i obserwowałam, jak deszcz rozmazuje na niej brud. Po jakimś czasie uruchomiłam silnik, mając nadzieję uszczknąć nieco ciepła od pracującej maszyny.

Czy to nazwisko Pankowskiego tak zatrzęsło Chigwellem? Czy moje zachowanie? A może zadzwonił do niego Joiner i ostrzegł przed polskimi detektywami i pytaniami, z którymi przychodzą? Nie, niemożliwe. Gdyby tak było, Chigwell w ogóle nie zgodziłby się ze mną zobaczyć. A poza tym Joiner nie mógł znać Chigwella. Doktor miał prawie osiemdziesiątkę i musiał odejść na emeryturę na długo wcześniej, nim Joiner zaczął pracować w fabryce dwa lata temu. Zatem to musiała być wzmianka o Pankowskim bądź Louisie. Ale dlaczego?

Zastanawiałam się z rosnącym niepokojem, co wiedziała Caroline, a czego nie raczyła mi wcześniej powiedzieć. Pamiętałam jak dziś tę zimę, kiedy poprosiła mnie, abym interweniowała w sprawie wydanego Louisie nakazu eksmisji. Po tygodniu miotania się między sądem a właścicielem domu zauważyłam artykuł w *Sun-Timesie* o „Nastolatkach, którzy nie są obojętni”. Opisywano w nim żarliwą Caroline, która z pieniędzy na czynsz urządziła darmową garkuchnię. Była to jej ostatnia prośba o pomoc, na którą odpowiedziałam w ciągu dziesięciu lat i nabierałam podejrzeń, że powinno tak zostać przez kolejnych dziesięć.

Grzebiąc na tylnym siedzeniu w poszukiwaniu chusteczki higienicznej, znalazłam ręcznik używany ostatniego lata na plaży. Po wytarciu kawałka przedniej szyby w końcu wrzuciłam bieg i ruszyłam w stronę autostrady. Byłam rozdarta pomiędzy chęcią poinformowania Caroline o zerwaniu umowy a nieposkromioną, szczenięcą ciekawością dowiedzenia się, co tak bardzo wzburzyło Chigwella.

W końcu nie zdecydowałam niczego. Kiedy precyzyjnie się przez zatłoczone ulice śródmieścia do biura, czekały na mnie monity od kilku klientów, których sprawy odłożyłam na bok, zagrzebana w problemach Caroline. Jedna z otrzymanych wiadomości pochodziła od starego klienta potrzebującego pomocy przy zabezpieczeniu komputerów. Poleciłam go memu

przyjacielowi, który był ekspertem w tej dziedzinie, i zajęłam się dwiema następnymi. Dotyczyły rutynowych dochodzeń finansowych, mojego chleba powszedniego. Poczułam się dobrze, pracując wreszcie nad czymś, gdzie byłam w stanie sformułować zarówno pytanie, jak i odpowiedź, i spędziłam popołudnie, buszując wśród akt State of Illinois Building.

Wróciłam do biura około siódmej, aby sporządzić raporty. Były warte pięćset dolarów, a ponieważ obaj klienci płacili bezzwłocznie, zależało mi na wysłaniu faktur pocztą.

Stukałam sobie na mojej starej olimpii, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła ósma. Pomyłka. Caroline. Może Lotty. Podniosłam słuchawkę po trzecim sygnale, na moment przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

- Panna Warszawski? - Był to stary męski głos, kruchy i roztrzęsiony.

- Tak?

- Chciałbym mówić z panną Warszawski. - Przy całej swej kruchości głos brzmiał pewnie i był typowy dla ludzi nawykłych do wydawania poleceń przez telefon.

- Słucham - odpowiedziałam, siłąc się na cierpliwość. Nie jadłam dziś lunchu i marzył mi się stek oraz whisky.

- Pan Gustav Humboldt chciałby się z panią widzieć. Kiedy byłoby najwygodniej wyznaczyć spotkanie?

- Mogę wiedzieć, czego ode mnie chce?

Cofnęłam walek i zamalowałam literówkę. W czasach komputerowych edytorów coraz trudniej dostać płyny korekcyjne i taśmę do maszyny, więc dla oszczędności starannie zakręciłam buteleczkę.

- Rozumiem, że sprawa ma charakter poufny. Gdyby była pani wolna dziś wieczorem, spotkanie mogłoby się odbyć nawet teraz. Lub jutro po południu o trzeciej.

- Chwileczkę, sprawdzę tylko w kalendarzu. - Odłożywszy słuchawkę, sięgnęłam po leżący na szafie tom *Who's Who in Chicago Commerce*. Gustav Humboldt zajmował półtorej kolumny maczkiem.

Urodzony w Bremerhaven w 1904 roku. Wyemigrował w 1930. Prezes i główny udziałowiec Humboldt Chemical, założonego w 1937, fabryki z oddziałami w czterdziestu krajach. Sprzedaż w 1986 roku wartości 8 miliardów dolarów, majątek szacowany na 10 miliardów, dyrektor tego, członek śmego. Siedziba w Chicago. Oczywiście! Mijałam tysiące razy Humboldt Building, idąc po

Madison Street, stary szacowny gmach bez rzucających się w oczy przeszklonych holów nowoczesnych gigantów. Chwyciłam słuchawkę.

- Mogłabym być dzisiaj około dziewiętej trzydzieści - zaproponowałam.

- To świetnie, panno Warszawski. Adres: Roanoke Building, dwunaste piętro. Powiem odźwiernemu, żeby wyglądał pani samochodowi.

Roanoke to stare pieniądze przy Oak Street, jeden z sześciu czy siedmiu budynków stojących na skrawku terenu pomiędzy jeziorem a Michigan Avenue. Wszystkie zbudowano w pierwszych dekadach tego wieku, zapewniając dach nad głową McCormickom, Swiftom i innej hałastrze. Dzisiaj, jeżeli miałeś milion dolarów do zainwestowania w mieszkanie oraz stosunki z brytyjską rodziną królewską, to po roku albo dwóch latach gruntownego sprawdzania mogli cię tam wpuścić.

Ustanowiłam rekord szybkości w pisaniu na maszynie dwoma palcami i o ósmej trzydzieści włożyłam raporty i rachunki do kopert. Musiałam podarować sobie stek i whisky, nie chciałam czuć się jak kloc na spotkaniu z kimś, kto mógł ustawić mnie na całe życie. Było jednak dość czasu na zupę i sałatkę w małej włoskiej restauracyjce przy Wabash, niedaleko mojego biura. Zwłaszcza że nie musiałam się martwić o to, gdzie postawić samochód po przyjeździe na miejsce.

W restauracyjnej toalecie stwierdziłam, że włosy poskręcały mi się od porannej mżawki, ale przynajmniej czarna sukienka wyglądała schludnie i profesjonalnie. Zrobiłam sobie lekki makijaż i wyjechałam samochodem z podziemnego garażu.

Było właśnie wpół do dziesiątej, kiedy wjechałam po półkolistym podejździe pod zielony baldachim Roanoke. Odźwierny, olśniewający w równie zielonej liberii, uklonił się wytwornie, gdy podałam mu swoje nazwisko.

- Ach tak, panna Warszawski. - Głos miał soczysty i mówił dobrodusznie. - Pan Humboldt oczekuje pani. Proszę tylko dać mi kluczyki.

Wprowadził mnie do holu. W większości nowoczesnych gmachów dla bogaczy istnieją hole ze stali i szkła z ogromnymi drzewami i pnączami, ale Roanoke został zbudowany w czasach, kiedy praca była tańsza i wymagająca lepszego rzemiosła. Podłogę pokrywała skomplikowana mozaika geometrycznych wzorów, a festony z wplecionymi egipskimi figurynkami ozdabiały ściany wyłożone drewnem.

Na krześle obok podwójnych drewnianych drzwi siedział staruszek, również w zielonej liberii. Wstał na nasz widok.

- Ta młoda dama do pana Humboldta, Fred. Jak ją zawieziesz na górę, to dam im znać, że przyszła.

Fred otworzył kluczem drzwi, żadnych zdalnie sterowanych bajerów, i statecznym krokiem wprowadził mnie do windy. Znalazłam się w pokoju z kwiecistym dywanem i ławeczką wyściełaną pluszem pod ścianą na wprost wejścia. Usiadłam na niej niedbale, krzyżując nogi, jakby korzystanie z obsługi w windzie było dla mnie szarą codziennością.

Drzwi rozwarły się na coś, co nazwać by można pałacowym foyer. Na szarobiałe płyty marmuru, poprzątkane różowymi żyłkami, rzucone były tu i ówdzie kobierce utkane zapewne w Persji, kiedy dziadek Chomeiniego był jeszcze niemowlęciem. Sala wydawała się mieć kształt atrium, z windą pośrodku, ale zanim zdążyłam to sprawdzić, podchodząc na palcach do marmurowej rzeźby w lewym rogu, otworzyły się przede mną rzeźbione drzwi.

Stał w nich starzec w domowym stroju. Pod pasmami przeredzonych śnieżnobiałych włosów różowiła się czaszka. Skinął przelotnie głową w zdawkowym ukłonie, lecz jego niebieskie oczy pozostały zimne i obojętne. Korzystając z wyjątkowości tej okazji, sięgnęłam do torebki i bez słowa wręczyłam mu wizytówkę.

- Doskonale, młoda panno. Pan Humboldt chce się teraz z panią zobaczyć. Proszę łaskawie za mną.

Szedł powoli, czy to przez wiek, czy przez wzgląd na jakiś kanon chodu właściwego lokajom, dając mi w ten sposób czas, abym zgłupiała kompletnie w moich wyobrażeniach na temat umiaru i dobrych manier. Gdzieś w połowie korytarza długości całego budynku otworzył drzwi po lewej i przytrzymał je, puszczając mnie przodem. Spojrzałam na trzy ściany pełne książek oraz rozłożyste fotele obite czerwoną skórą przed kominkiem na czwartej i moja przenikliwa intuicja powiedziała mi, że znajdowaliśmy się w bibliotece. Przed kominkiem siedział zażywny mężczyzna o zwalistej sylwetce, lecz bez otyłości. Gdy zamknęły się drzwi, odłożył gazetę i wstał.

- Panna Warszawski. Jak miło, że przyszła pani tak szybko po naszym telefonie. - Wyciągnął do mnie mocną dłoń.

- To nic takiego, panie Humboldt.

Wskazał mi skórzany fotel naprzeciw siebie przy kominku. Wiedziałam z hasła w *Who's Who*, że miał osiemdziesiąt cztery lata, ale mógłby upierać się przy sześćdziesięciu bez wzbudzania zdziwienia. Jego gęste włosy wciąż zachowywały odcień jasnoblonde, a niebieskie oczy były

stanowcze i wyraziste w twarzy niemal pozbawionej zmarszczek.

- Anton, przynieś nam trochę koniaku, pije pani koniak, panno Warszawski? Potem poradzimy już sobie sami.

Lokaj zniknął być może na dwie minuty, w czasie których mój gospodarz z kurtuazją upewnił się, że ogień w kominku nie był dla mnie zbyt intensywny. Anton powrócił z karafką i kieliszkami, napelnił je, starannie ustawił karafkę na środku małego stolika po prawej ręce Humboldta i poprawił szczapy w kominku. Zrozumiałam, że był tak samo ciekawy jak ja, czego chciał Humboldt, i próbował zwlekać z wyjściem, ale gospodarz odprawił go energicznie.

- Panno Warszawski, chciałbym porozmawiać na temat bardzo kłopotliwej kwestii i błagam o wyrozumiałość, jeśli nie uda mi się jej przedstawić z pełną delikatnością. Jestem przemysłowcem, inżynierem, który pewniej czuje się wśród chemikaliów niż pięknych kobiet.

Przyjechał do Ameryki już jako dojrzały człowiek, nawet po blisko sześćdziesięciu latach spędzonych tutaj mówił z lekkim akcentem.

Uśmiechnęłam się sardonicznie. Kiedy właściciel dziesięciomiliardowego imperium zaczyna przeproszać za swój styl, to czas najwyższy, aby przygarnąć mocno torebkę i rozpocząć modlitwę.

- Jestem pewna, że pan siebie nie docenia, sir.

Spojrzał na mnie krótko spod oka i pokrył to wybuchem śmiechu.

- Widzę, że jest pani ostrożną kobietą, panno Warszawski. Pociągnęłam łyk koniaku. Był zdumiewająco łagodny. Proszę, każ mu wzywać mnie na częste konsultacje, błagałam złocisty trunek.

- Mogę być też lekkomyślna, kiedy muszę, panie Humboldt.

- Dobrze. To bardzo dobrze. Jest więc pani prywatnym detektywem. I jest to praca, która pozwala pani być ostrożną i lekkomyślną zarazem?

- Lubię być swoim własnym szefem. I nie pragnę być nim na skalę, którą pan osiągnął.

- Klienci wyrażają się o pani bardzo pochlebnie. Akurat dzisiaj rozmawiałem z Gordonem Firthem i wspominał, że dyrekcja Ajaxu była pani wdzięczna za jej wysiłki.

- Niezmiernie miło mi to słyszeć - odpowiedziałam, zatapiając się w fotel i pociągając z kieliszka.

- Gordon załatwia wiele moich ubezpieczeń, oczywiście. Oczywiście. Gustav dzwoni do Gordona i mówi, że potrzebuje tysiąca ton polis ubezpieczeniowych, a Gordon odpowiada: nie ma

sprawy, i trzydziestka młodych ludzi pracuje przez miesiąc po dwanaście godzin na dobę, zbierając wszystko do kupy. Następnie ci dwaj podają sobie ręce w Standard Club i przepraszają wylewnie za sprawiony kłopot.

- Więc pomyślałem, że mógłbym pomóc w jednym z pani dochodzeń. Po wysłuchaniu pełnej zachwyty relacji Gordona wiem, że jest pani inteligentna, roztropna oraz niechętna w dzieleniu się informacjami uzyskanymi w zaufaniu.

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymałam się przed skokiem na równe nogi i rozlaniem koniaku na sukienkę.

- Trudno mi sobie wyobrazić, gdzie sfery naszej działalności mogłyby na siebie nachodzić. A przy okazji, ten koniak jest wyśmienity. To jak spijanie samego bukietu.

Na to Humboldt zahuczał prawdziwym śmiechem.

- Pięknie, moja droga panno Warszawski, pięknie. Przyjąć moje słowa z takim spokojem, a potem pochwalić koniak z jak najbardziej subtelną uszczypliwością. Szkoda, że nie mogę wyperswadować pani rezygnacji z bycia własnym szefem.

Uśmiechnęłam się, odstawiając kieliszek.

- Uwielbiam komplementy jak każda inna osoba, a ponieważ miałam ciężki dzień, to mi się przydadzą. Ale zaczynam się zastanawiać, kto miałby komu pomagać. Nie dlatego bynajmniej, że bycie do pańskich usług nie byłoby przywilejem.

Skinął głową.

- Myślę, że możemy sobie wzajemnie służyć. Pytała pani, gdzie nachodzą na siebie sfery naszej działalności - właściwe określenie. A odpowiedź: w South Chicago.

Zastanowiłam się przez chwilę. Ależ oczywiście. Powinno to była wiedzieć. Xerxes musiał być częścią Humboldt Chemical. Tak przyzwyczyłam się do myślenia o tej fabryce jako części krajobrazu mojego dzieciństwa, że nie skojarzyłam z nią telefonu Antona.

Wspomniałam o tym pobieżnie, a Humboldt ponownie skinął głową.

- Bardzo dobrze, panno Warszawski. Przemysł chemiczny miał wielki udział w wysiłku wojennym kraju. Mówię oczywiście o drugiej wojnie światowej. A ta wojna z kolei przyspieszyła badania i rozwój na wielką skalę. Wiele produktów, które są dla nas wszystkich - mam na myśli Dow, Cibę, Imperial Chemical - podstawą naszej dzisiejszej egzystencji, ma swoje początki w badaniach wtedy prowadzonych. Jednym z wielkich odkryć Humboldta była kserksyna, jeden z 1,2-

dwuchloroetanów. Ostatnim, któremu mogłem jeszcze poświęcić swój czas... - Przerwał podnosząc rękę. - Pani nie jest chemikiem. To pani zapewne nie interesuje. Ale nazwaliśmy nasz produkt Xerxesem z powodu kserksyny, oczywiście, i w 1949 roku uruchomiliśmy fabrykę w South Chicago. Moja żona była plastykiem. Zaprojektowała znak firmowy, koronę na purpurowym tle.

Przerwał opowiadanie, proponując mi koniak. Nie chciałam wyjść na łapczywą, ale z drugiej strony, odmowa mogła wydać się niegrzeczna.

- A więc, fabryka w South Chicago była początkiem międzynarodowej ekspansji Humboldta, a to dla mnie zawsze miało wielkie znaczenie. Ma nawet teraz, mimo że nie zajmuję się już prowadzeniem przedsiębiorstwa - mam wnuki, panno Warshawski, i patrząc na nie, stary czbwięk lubi przeżywać jeszcze raz własną młodość. Moi ludzie wiedzą, że zależy mi na tej fabryce. I kiedy jakaś piękna młoda dziewczyna próbuje węszyć dookoła, zadawać pytania, to naturalnie jestem o tym powiadamiany.

Potrząsnęłam głową.

- Przykro mi, jeśli niepotrzebnie pana zaalarmowano, sir. Nie węszyć wokół tej fabryki. Próbuję tylko odszukać pewnych ludzi w ramach powierzonego mi dochodzenia. Z jakichś powodów pan Joiner, kadrowy, chciał, abym uwierzyła, że oni nigdy tam nie pracowali.

- Więc dotarła pani do doktora Chigwella. - Jego głos obniżył się w dudniący pomruk, trudny do zrozumienia.

- Który był jeszcze bardziej zelektryzowany moimi pytaniami niż młody Joiner. Trudno mi było powstrzymać się od domysłów, że kryją się za tym jakieś jego osobiste sprawy. Jakieś decyzje z młodości, które obciążają na starość jego sumienie.

Humboldt trzymał kieliszek w górze tak, by móc spoglądać przez szkło w ogień.

- Z jaką gorliwością ludzie starają się chronić człowieka, który jest stary, i chcą, żeby wiedział, iż pilnują jego interesów. - Mówił do kieliszka. - I jakie zamieszanie niepotrzebnie wywołują. To ciągły problem z moją córką, wszystko widzi czarno. Znowu zwrócił się do mnie: - Mieliliśmy z tymi ludźmi kłopot, z Pankowskim i Ferraro. Dostatecznie duży, jak pani widzi, abym poznał nawet ich nazwiska spośród pięćdziesięciu paru tysięcy pracowników na całym świecie. Brali udział w próbie sabotażu wymierzonego przeciwko fabryce. Przeciwko produktowi, właściwie. Zmienili proporcje mieszanki, tak że mieliśmy wysoce nierównomierne parowanie i osad, który tamował przepustowość instalacji. W 1979 roku musieliśmy trzy razy zamykać fabrykę, aby wszystko

oczyścić. Śledztwo w sprawie wykrycia sprawców zabrało cały rok. Oni oraz jeszcze dwaj inni zostali wyrzuceni, po czym procesowali się z nami o bezprawne zwolnienie. Cała sprawa była koszmarem. Okropnym koszmarem. - Skrzywił się i opróżnił kieliszek. - Więc kiedy pojawiła się pani, moi ludzie naturalnie przyjęli, że nasłał panią jakiś adwokat bez skrupułów, próbujący rozdrapywać stare rany. Ale od mojego przyjaciela Gordona Firtha dowiedziałem się, że to nie może być prawda. Więc zaryzykowałem. Zaprosiłem panią tutaj. Wyjaśniłem całą historię. I mam nadzieję, iż nie mylę się, sądząc, że nie pójdzie pani teraz do jakiegoś adwokata z oskarżeniem mnie o podżeganie do przestępstwa, czy jak to tam się nazywa.

- Podżeganie skutkuje zachwycająco - odpowiedziałam, dopijając koniak. Odmówiłam ruchem głowy następnej porcji z podsuniętej karafki. - Mogę pana zapewnić, że moje dochodzenie nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek procesem, w który ci ludzie mogli być zamieszani. Jest to sprawa czysto prywatna.

- Skoro dotyczy pracowników Xerxesa, mogę dopilnować, aby otrzymała pani wszelką potrzebną pomoc.

Nie lubię ujawniać interesów moich klientów. Zwłaszcza obcym. Ale w końcu zdecydowałam się mu powiedzieć - był to najprostszy sposób uzyskania informacji. Nie całą historię, rzecz jasna. Pominęłam Gabriellę, opiekowanie się dzieckiem, nieustanne matactwa Caroline i wściekłych Djiaków. Mówiłam o umierającej Louisie, Caroline, która chciała dowiedzieć się, kim był jej ojciec, oraz oporze matki.

- Jestem staroświeckim Europejczykiem - powiedział, kiedy skończyłam. - Nie podoba mi się dziewczyna, która nie chce uszanować życzeń swej matki. No, ale zlecenie jest takie, jakie jest. Więc sądzi pani, że ona mogła wyznać coś Chigwellowi, ponieważ był lekarzem w fabryce? Zadzwoń i zapytam go. Sam, zapewne, z panią nie będzie chciał rozmawiać. Moja sekretarka w najbliższych dniach przekaże pani wiadomość.

To oznaczało koniec rozmowy. Przesunęłam się na skraj fotela, tak abym mogła wstać bez rozpięcia się ramionami na boki, i stwierdziłam z przyjemnością, że poszło mi gładko, a wypity alkohol nie dawał o sobie znać. Gdybym tylko dała jeszcze radę wydostać się na zewnątrz bez zderzenia z jakimś bezcennym dziełem sztuki, dojechanie do domu byłoby już fraszką.

Podziękowałam Humboldtowi za koniak i pomoc. Zbył to jeszcze jednym wybuchem śmiechu.

- To przyjemność dla mnie, panno Warszawski, rozmawiać z atrakcyjną młodą kobietą, która

jest na tyle dzielna, aby obstawać przy swoim wobec takiego starego lwa. Proszę mnie jeszcze odwiedzić, kiedy będzie pani w tej okolicy.

Anton kręcił się niecierpliwie przed biblioteką, aby odeskortować mnie do drzwi.

- Przykro mi - powiedziałam, gdy dotarliśmy do wyjścia. - Obiecałam, że się nie wygam.

Zesztywniały, udawał, że mnie nie słyszy, i wezwał windę z zimną powściągliwością. Nie byłam pewna, jak potraktować odźwiernego, ale kiedy niechcący wyciągnęłam pięciodolarowy banknot, to zniknął podczas gorliwego udzielania pomocy przy ładowaniu mnie do chevroleta.

W czasie jazdy do domu poświęciłam się rozmyśleniom nad przyczynami faktu, że mnie, prywatnemu detektywowi, powodziło się lepiej niż multimilionerowi z branży chemicznej. Odpowiedź była znacznie krótsza niż podróż.

ROZDZIAŁ 10

Strzelać bez ostrzeżenia

Tonęłam w morzu gęstej szarej kserksyny. Dławiłam się, a Gustav Humboldt i Caroline stali na brzegu pogrążeni w gorączkowej rozmowie, nie zwracając uwagi na moje wołania o pomoc. Obudziłam się o wpół do piątej, spocona i dysząca, zbyt wstrząśnięta majakiem, aby znowu zasnąć.

W końcu wstałam, kiedy zaczęło świtać. W sypialni nie było zimno, ale trzęsłam się cała. Ze sterty ciuchów obok łóżka wyciągnęłam bluzę od dresu i krążąc w niej po pokoju, usiłowałam znaleźć coś, co skupiłoby moją uwagę. Zaczęłam ćwiczyć gamę przy pianinie, ale po pierwszym razie dałam spokój: to nie w porządku wobec sąsiadów, aby o tej porze rozś piewywać zardzewiały głos. Przeszłam do kuchni, żeby zrobić sobie kawy, ale odechciało mi się po umyciu imbryka.

Moje cztery pokoje wydają mi się na ogół otwarte i przestronne, lecz teraz było mi w nich za ciasno. Swojska zazwyczaj gmatwanina książek, papierów i ubrań zaczynała wyglądać niechlujnie i plugawo.

Tylko mi nie mów, że zainfekował cię djiakizm, beształam siebie rozzłoszczona. Jeszcze trochę i będziesz co rano na kolanach szorować podłogę.

Ostatecznie włożyłam dzinsy i trampki i wyszłam z domu. Peppy rozpoznała moje kroki zza zamkniętych drzwi na parterze i zaskomlała cicho. Chętnie wzięłabym ją do towarzystwa, ale nie miałam klucza do mieszkania pana Contrerasa. Poszłam nad jezioro sama.

Zapowiadał się kolejny szary dzień. Wschodzące słońce można było rozpoznać tylko po zmianie intensywności światła za chmurami na horyzoncie. Pod pospnym niebem jezioro przypominało zbiornik gęstej szarej cieczy z mego koszmaru. Wpatrywałam się w nie, próbując uciec od nurtującego mnie niepokoju, zagubić w zmiennych formach i kolorach powierzchni wody.

Mimo wczesnej pory amatorzy joggingu byli już na trasie, zaliczając swoje kilometry przed przywdzianiem urzędniczych mundurków. Wyglądali jak wydrażeni od środka, otuleni w kokony dźwięków płynących ze słuchawek walkmanów, z pustymi twarzami i przeraźliwym zobojętnieniem. Zziębnięta, wbiłam ręce głębiej w kieszenie i zawróciłam w stronę domu.

Po drodze wstąpiłam na śniadanie do hotelu Chesterton. Rezydują w nim majątne wdowy.

Mała węgierska restauracyjka, gdzie można dostać cappuccino i croissanty, dostroiła się do ich wolniejszego kroku i lepszych manier.

Mieszając piankę drugiego cappuccino, wciąż dziwiłam się, dlaczego Gustav Humboldt wezwał mnie przed swoje oblicze. Tak, nie chciał, abym weszła wokół jego fabryki. Żaden właściciel tego nie lubi. A także żywił głęboką urazę do Pankowskiego i Ferraro. Ale prezes zarządu, ściągający telefonicznie jakąś nic nieznaczącą płótkę, aby powiedzieć jej to osobiście? Mimo całego gadania o Gordonie Fircie, w trakcie trzech dochodzeń związanych z towarzystwem ubezpieczeniowym nigdy nie widziałam prezesa Ajaxu. Szefowie międzynarodowych korporacji, nawet jeśli mają osiemdziesiąt cztery lata i słabość do swych wnuków, dysponują zastępami urzędasów do wykonywania takiej roboty.

Ostatniego wieczoru moja próżność została mile połączona. Ekscytujący był sam fakt zaproszenia, nie mówiąc już o wyrafinowanej scenerii i niesamowitym koniakowi. Nie przestawałam się jednak dziwić przyjacielskiej rozmowności Humboldta, choć może powinnam.

A co z małą Caroline? Co takiego wiedziała, o czym nie chciała mi powiedzieć? Że dwaj faceci Louisy zostali wyrzuceni z roboty? Albo że sama Louisa była zamieszana w sabotaż w fabryce? Może Gustav Humboldt był dawno temu kochankiem Louisy i teraz wkroczył do akcji, aby ją chronić. Może był ojcem Caroline i zamierza w przyszłości zapisać jej gigantyczny spadek, z którego znakomicie dawałaby się wykroić dla mnie mała pensyjka?

Nastrój poprawiał mi się w miarę, jak spekulacje stawały się coraz bardziej niedorzeczne. Wróciłam do domu znacznie żwawiej, niż z niego wyszłam. Minęłam lokatorów z pierwszego piętra z tak radosnym „dzień dobry”, jak przystoi porządnej sąsiadce.

Zaczynałam już mieć dość rajstop i pantofli, ale włożyłam je znowu, aby zrobić dobre wrażenie w Departamencie Pracy. Mój kolega ze studiów prawniczych pracował w chicagowskiej filii i mógł podać mi jakieś informacje o sabotażu oraz o tym, czy ci ludzie rzeczywiście oskarżyli Humboldta o bezprawne zwolnienie. Czerwone pantofle wciąż leżały w przedpokoju wraz z granatowym kostiumem. Jak już, to już. Zgarnęłam wszystko do kupy i zabrałam ze sobą.

Zanim znalazłam miejsce do parkowania w pobliżu Federal Building, było po dziesiątej. Przez ostatnie lata śródmieście zostało zaatakowane przez gorączkę rozbudowy, która zmieniła to centrum biznesu w zatłoczoną, roztrąbioną kopię Nowego Jorku. Wiele garaży zostało wyburzonych, aby dać miejsce drapaczom chmur wyższym, niż przewiduje prawo miejskie, mamy więc teraz

czterokrotnie więcej kierowców, którzy walczą ze sobą o pierwszeństwo parkowania na stanowiskach, których jest mniej o połowę.

Kiedy wjeżdżałam na szesnaste piętro Dirksen Building, mój nastrój nie należał do najlepszych. Nie poprawiło go zachowanie recepcjonistki, która tylko zerknęła na mnie przelotnie i powróciła do pisania na maszynie. Szorstko oznajmiła, że pana Jonathana Michaela nie ma.

- Umarł? - warknęłam. - Wyjechał? Wsadzili go?

Spojrzała na mnie lodowato.

- Powiedziała, że go nie ma i tylko tyle potrzeba pani wiedzieć.

Drzwi prowadzące do biur były zamknięte. Recepcjonistka albo ktoś po drugiej stronie mogli otworzyć je przez naciśnięcie guzika, ale ta kobieta wyraźnie nie miała zamiaru pozwalać mi na wędrówki po gabinetach w poszukiwaniu Jonathana. Usiadłam na jednym z plastikowych krzeseł oznajmiwszy jej, że poczekam.

- Proszę się rozgościć - syknęła, z furią stukając w maszynę.

Kiedy pojawił się elegancko ubrany Murzyn, odegrała z nim wielką scenę poufałości, z gruchaniem do ucha i zalotami. Na koniec posłała mu cukierkowy uśmiech i życząc dobrego dnia, zwolniła zamek. Gdy weszłam tuż za nim do środka, zamurowało ją tak, że nawet nie pisnęła.

Mój przewodnik podniósł brwi.

- Pani jest stąd?

- Aha - przytaknęłam. - Płacę panu pensję. I jestem tu, aby porozmawiać w tej sprawie z Jonathanem Michaelsem.

Przez moment stał zaskoczony, usiłując odgadnąć, kogo tu mogli nasłać z Waszyngtonu. Po chwili zaświtał mu w głowie prawdziwy sens moich słów i odrzekł:

- Może byłoby lepiej, gdyby zaczekała pani na zewnątrz, aż Gloria panią poprosi?

- Ponieważ nie raczyła nawet zapytać mnie o nazwisko ani o rodzaj sprawy, nie wydaje mi się, aby przejawiała ogromne zainteresowanie w służeniu podatnikom.

Wiedziała, gdzie mieściło się biuro Jonathana, i przyspieszyłam kroku, aby wyprzedzić mojego towarzysza. Słyszając jeszcze za sobą tupot jego nóg i wołanie: „Proszę pani, halo, proszę pani!” otworzyłam narożne drzwi.

Jonathan stał w pokoju sekretarki obok jej biurka. Kiedy mnie zobaczył, jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Ach, to ty, Vic.

Wyszczrzyłam zęby.

- Gloria twierdzi, że wali tu banda punkó w, żeby zrobić demolkę i powyrywać ci z korzeniami twoje złociste pukle?

- Albo to, co z nich zostało - dodał płacząco. W istocie, zdążył już częściowo wyłuszczyć, co upodabniało go do Ojca Williama, telewizyjnego kaznodziei.

Jonathan Michaels był na moim roku cichym idealistą. Kiedy studenci tacy jak ja - zamotani w swe liberalne kaftany bezpieczeństwa, jak to określił jeden z konserwatywnych przedstawicieli Departamentu Sprawiedliwości - palili się do obejmowania funkcji obrońców publicznych, Jonathan spokojnie analizował zagadnienia społeczne. Był potem przez dwa lata urzędnikiem w sądzie okręgowym, a następnie przeniósł się do Departamentu Pracy. Obecnie był starszym radcą i podlegał mu obszar całego Chicago.

Wprowadził mnie do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- W pokoju konferencyjnym mam tuzin prokuratorów z St. Louis. Czy możesz streścić się w trzydziestu sekundach?

Streszczałam się.

- Chcę wiedzieć, czy istnieje jakikolwiek ślad - w OSHA, NLRB* [NLRB - National Labor Relation Board - Krajowa Rada ds. Stosunków Pracy (przyp. tłum.)], u ludzi z Contract Compliance* [Contract Compliance - sprawdzanie zgodności z prawem umów o pracę (przyp. tłum.)] czy w sądach - jakikolwiek ślad facetów o nazwiskach Ferraro i Pankowski. Sabotaż i proces. - Zapisałam ich dane na kartce, dodając jeszcze Louise Djiak. - Ona mogła brać w tym udział. Nie chcę ci teraz opowiadać całej historii, nie ma na to czasu, ale mam te informacje bezpośrednio od Gustava Humboldta. Nie byłby zachwycony ich ujawnieniem.

Jonathan chwycił za telefon, kiedy jeszcze mówiłam.

- Myra, ściągnij tu Duttona, dobrze? Mam dla niego robotę. - Wyjaśnił w paru słowach, o co chodzi, i rozłączył się. - Vic, następnym razem bądź dla mnie taka dobra i zrób, jak mówią w tej reklamie: telefonem, nie balonem.

Pocałowałam go w policzek.

- Zrobię tak, Jonathanie. Ale tylko pod warunkiem, że będę mogła sobie pozwolić na wiszenie przez dwa dni przy słuchawce, zanim uda mi się ciebie dopaść. *Ciao, ciao, bambino.*

Zanim zdołałam wyjść, był już w sali konferencyjnej. Gloria, widząc mnie, znowu zaczęła walić wściekle w maszynę. W złośliwym natchnieniu zaczęłam chwilę na zewnątrz, po czym wyjrzałam przez drzwi. Czytała *Herald-Star*.

- Do roboty - wycodziłam surowo. - Trzeba zasłużyć na pieniądze od podatników.

W oczach miała mord. Poszłam do windy, śmiejąc się pod nosem. Mam nadzieję, że kiedyś wyrosnę z fundowania sobie takich szczeniackich przyjemnostek.

Przeszłam na piechotę cztery kwartały do mojego biura. Sprawdziłam nagrania w telefonie i okazało się, że szukała ze mną kontaktu Nancy Cleghorn. Pierwszy raz wcześniej rano, kiedy rozczulałam się nad sobą, spacerując nad jeziorem, i ponownie dziesięć minut temu. Niektórzy mają jednak tę męczącą cechę, że nie zadają sobie trudu podania własnego numeru telefonu.

Westchnęłam boleściwie i wyciągnęłam książkę telefoniczną spod stosu papierów na parapecie. Pod moimi oknami stoi szaszłykarnia na kółkach, o czym przypomniała mi gruba warstwa sadzy na książce. Usmarowałam sobie przód zielonej sukienki z wełny.

Nancy zajmowała się zagadnieniami środowiska naturalnego w kierowanej przez Caroline lokalnej organizacji. Szukałam jej pod SCRAP, co okazało się stratą czasu, ponieważ figurowała pod pełną nazwą Program Odrodzenia South Chicago. Ale i to był stratą czasu, ponieważ Nancy nie zastałam, nie pojawiła się od rana i nie wiadomo, kiedy będzie. A także nie podano mi jej domowego telefonu, gdyż powiedziałam, że jestem jej siostrą, każdy zaś wie, że ma czterech braci i jak nie przestanę ich niepokoić, to wezwą policję.

- Czy możecie przynajmniej przekazać jej wiadomość? Bez wciągania w to policji, ma się rozumieć?

Przeliterowałam powoli swoje nazwisko, dwukrotnie, nie żeby to miało jakieś znaczenie, i tak wychodzi na końcu Watchski albo jakaś inna potworna mutacja. Sekretarka oznajmiła, że dopilnuje, aby Nancy otrzymała wiadomość, lecz powiedziała to tonem, który informował, iż kartka wyleci do kosza wraz z odłożoną słuchawką.

Wróciłam do książki telefonicznej. Nancy nie było w spisie, natomiast Ellen Cleghorn wciąż mieszkała przy Muskegon. Rozmowa z matką Nancy była miłą odmianą sposobu, w jaki mnie dzisiaj traktowano. Pamiętała mnie doskonale, uwielbiała czytać o moich sprawach, kiedy opisywały je gazety, i chciałyby zaprosić mnie na kolację, jak będę w okolicy.

- Nancy kupiła sobie dom na South Shore. Jedną z tych wielkich starych chałup, które

rozpadają się na kawałki. Remontuje ją samodzielnie. Jak na samotną kobietę to trochę za duże, ale jej odpowiada.

Dała mi numer Nancy i pożegnała się, powtórnie zapraszając na kolację.

Telefon nie odpowiadał. Dałam spokój. Skoro tak bardzo jej zależało, to zadzwoni znowu.

Spojrzałam na pobrudzony przód mojej sukienki. Granatowy kostium wciąż leżał w samochodzie. Gdybym pojechała teraz do domu, mogłabym włożyć dzinsy, wrzucić cały majdan do pralni i mieć resztę popołudnia dla siebie.

Dochodziła piąta. Kiedy w radosnym uniesieniu przedzierałam się właśnie przez synkopy *In dem Schatten meiner Locken*, i to bez głosowego wsparcia Kathleen Battle, zadzwonił telefon. Z przykrością odeszłam od pianina, a zrobiło mi się jeszcze smutniej, gdy usłyszałam w słuchawce głos Caroline.

- Vic, muszę z tobą pogadać.

- No to gadaj - bąknęłam zrezygnowana.

- To znaczy, osobiście. - Mówiła ochryplym głosem w pośpiechu, jak zawsze zresztą.

- Jeśli chcesz podjechać do mnie na Lake Drive, to zapraszam. Ale ja dziś po południu nie zamierzałam się tarabanić do South Chicago.

- Szlag by cię trafił, Vic. Czy mogłabyś kiedyś porozmawiać ze mną, nie udając zidiociałej belferki?

- Mogłabym. Chcesz ze mną rozmawiać, rozmawiaj. Inaczej wracam do pracy, którą mi przerwałeś.

Zaległa cisza, w czasie której mogłam sobie wyobrazić, jak chabrowe oczy ciemnieją z wściekłości. A potem odezwała się tak szybko, że ledwo mogłam ją zrozumieć.

- Daj z tym spokój.

Przez chwilę byłam zdezorientowana.

- Caroline, gdybyś kiedykolwiek pomyślała, jak może mnie męczyć twoje wieczne uganianie się za mną, może byś pojęła, dlaczego wydaję ci się zidiociałą belferką.

- Nie o to mi chodzi - przerwała niecierpliwie. - Daj spokój z szukaniem mojego ojca.

- Co? - krzyknęłam. - Jeszcze dwa dni temu zgrywałaś się na biedną sierotkę i mówiłaś mi płacząco, że na mnie liczysz!

- To było dwa dni temu. Nie wiedziałam wtedy... nie rozumiałam... w każdym razie, dlatego

chcę z tobą osobiście porozmawiać. Nic nie zrozumiesz przez telefon, jeśli masz zamiar się tak pnieć. Po prostu nie prowadź, na Boga, żadnych dalszych poszukiwań, dopóki nie porozmawiamy.

W jej głosie, brzmiała niezaprzeczalnie nuta paniki. Wyrwałam nitkę z rozprutych na kolanie dzinsów. Wiedziała o Pankowskim i sabotażu w fabryce. Wyrwałam następną. Nie wiedziała.

- Za późno, kochanie - odezwałam się w końcu.

- Chcesz powiedzieć, że go znalazłaś?

- Nie. Chcę powiedzieć, że nie masz już wpływu na zatrzymanie dochodzenia.

- Vic, ja ci dałam robotę i ja mogę ci ją zabrać - powiedziała z przerażająco zimną krwią.

- Nie - powtórzyłam stanowczo. - Mogłaś to zrobić w zeszłym tygodniu. Ale dochodzenie weszło w nową fazę. Nie możesz ze mnie zrezygnować. Nie, nie to mam na myśli. Ty, oczywiście, możesz zrezygnować. Właśnie tak się stało. Możesz uznać, że mi nie zapłacisz, ale teraz już nie zatrzymasz moich poszukiwań. A szczyt wszystkiego, palce lizać, że nie powiedziałaś mi o Ferraro i Pankowskim.

- Nie mam nawet pojęcia, kim oni są! - krzyknęła. - Mama nigdy nie mówiła o swoich dawnych kochankach. Ona jest jak ty, myśli, że jestem jakąś pieprzoną gówniarą.

- Nie o nich jako kochankach. O sabotażu i wyrzuceniu z pracy. O procesie.

- Nie wiem, o czym ty, do cholery, mówisz, Wszystkowiedząca Warshawski, i nie mam zamiaru tego wysłuchiwać. Bo jeśli o mnie chodzi, to WW oznacza tyle co wredny wirus i potraktowałabym go jakimś rozpylaczem, gdyby był pod ręką. - Trzasnęła słuchawką, aż zadzwoniło mi w uchu.

Dziecinne obelgi na końcu upewniły mnie, że naprawdę nie wiedziała nic o tych dwóch ludziach. Nagle uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, dlaczego mnie zwalnia. Wściekła zadzwoniłam do SCRAP-u, ale Caroline odmówiła podejścia do telefonu.

- Ach, pieprzę cię, gówniaro - mruknęłam i ja z kolei trzasnęłam słuchawką.

Usiłowałam wrócić do Hugo Wolfa, ale minął mi entuzjizm. Podeszłam do okna w salonie i przyglądałam się ludziom wracającym z biur. Przypuśćmy, że moje poranne spekulacje nie były całkiem chybione. Przypuśćmy, że Louisa Djiak była wmieszana w sabotaż i Humboldt ją osłaniał. Może zadzwonił do Caroline i nakłonił ją do zerwania ze mną kontraktu. Chociaż Caroline nie była z tych, co dają się łatwo popychać. Gdyby ktoś o sile Humboldta chciał na niej coś wymóc, to prędzej byłaby skłonna wbić mu zęby w łydkę i trzymać, dopóki nie rozchorowałby się z bólu.

Przyszło mi do głowy, że o czymkolwiek chciała ze mną rozmawiać Nancy, mogło to rzucić nieco światła na całą sprawę. Spróbowałam do niej zadzwonić, ale wciąż nie odpowiadała.

- Co jest, Cleghorn - mruknełam. - Jeśli zostawiasz dwa razy wiadomość, to chyba ci zależy. Zderzyłaś się z pociągiem, czy jak?

W końcu miałam dość jałowego gdybania i zadzwoniłam do Lotty Herschel. Miała wolny wieczór i ochotę na towarzystwo. Poszłyśmy do Gypsy i po zjedzeniu na spójkę pieczonej kaczki przeniosłyśmy się do niej, gdzie ograła mnie w remika pięć razy z rzędu.

ROZDZIAŁ 11

Opowiadka smarkuli

Następnego dnia rano przeglądałam gazetę przy robieniu kawy i wtedy uderzyło mnie nazwisko Nancy Cleghorn. Informacja była zamieszczona na pierwszej stronie *Chicago Beat* i wyjaśniała, dlaczego Nancy nie odpowiadała wczoraj na telefony. Jej zwłoki zostały znalezione około ósmej wieczorem przez dwóch chłopców, którzy nie bacząc na zakazy władz i rodziców, weszli na zamknięty teren wokół Stawu Martwych Konarów.

Z dawnych mokradeł pozostał mały skrawek, będący ostatnim schronieniem dla wędrownych ptaków w Illinois. Staw Martwych Konarów, kiedyś wielkie żerowisko i miejsce lęgów, teraz był tak zniszczony ściekami, że niewiele stworzeń mogło tam przeżyć. A jednak nawet obecnie, gdzieś wśród umilkłych fabryk, można było spotkać czaple i inne rzadkie ptaki, zabłąkanego bobra lub piżmaka.

Ci dwaj chłopcy wytropili kiedyś właśnie tam piżmaka i liczyli, że uda im się znowu. Nad brzegiem natknęli się na porzucony but. Ponieważ na każdy żywy organizm przypada ich tam pięćdziesiąt, a w dodatku było ciemno, potrzebowali paru minut, aby uzmysłwić sobie, że musiał on do kogoś należeć.

Nancy została uderzona w tył głowy. Obrażenia wewnętrzne doprowadziłyby w końcu do zgonu, ale bezpośrednią przyczyną śmierci było najwyraźniej utonięcie po wrzuceniu ciała do stawu. Policja nie знаła nikogo, kto miałby powody do zabójstwa. Ofiara była szanowana, praca w SCRAP-ie przyniosła jej dużą popularność w zrujnowanej ekologicznie okolicy, i tak dalej. Pozostawiła matkę i czterech braci.

Powoli dokończyłam robienia kawy i wzięwszy gazetę do salonu, przeczytałam artykuł jeszcze sześć czy siedem razy. Nie dowiedziałam się niczego nowego. Nancy. Moja zgryźliwa uwaga wczoraj wieczorem o zderzeniu z pociągiem sprawiała, że jeżyły mi się teraz włosy na głowie. Nie spowodowałam w ten sposób jej śmierci. Mój umysł to wiedział, moje ciało nie.

Gdybym tylko wczoraj rano nie łąziła nad jezioro - przerwałam tę myśl, uzmysłowiwszy sobie, jak była idiotyczna. Gdybym siedziała przykuta do telefonu przez dwadzieścia cztery godziny,

gotowa na wezwanie potrzebujących przyjaciół albo telefonicznych reklamarzy, nie miałabym poza tym innego życia. Ale Nancy. Poznałam ją, gdy miałam sześć lat. Kiedy myślałam o nas razem, wydawało mi się, że jesteśmy ciągle młode, ponieważ razem byliśmy młode, mogliśmy chronić się wzajemnie przed postarzeniem.

Podeszłam do okna. Znowu padał ulewny deszcz i przez gęste strumienie wody nie można było dojrzeć ulicy. Wpatrywałam się w strugi, układając z nich wzory, i myślałam, co robić. Była dopiero ósma trzydzieści, zbyt wcześnie na dzwonienie do moich przyjaciół z gazet, aby dowiedzieć się, czy mieli jakieś wiadomości, które nie zmieściły się wydaniu porannym. Ludzie, którzy chodzą spać o trzeciej lub czwartej nad ranem, są bardziej rozmowni, kiedy dasz im się wyspać.

Znaleziono ją w Czwartym Dystrykcie Policji. Nie znałam tam nikogo, mój ojciec pracował w śródmieściu i dzielnicach północno-zachodnich, a nie na swoim terenie. Zresztą było to ponad dziesięć lat temu.

Ssałam koniuszek palca, próbując podjąć decyzję, do kogo zatelefonować, kiedy zabrzączał dzwonek. Pomyślałam, że to pan Contreras, który zechce namówić mnie na wyjście z psem w taką ulewę, i nie ruszając się z miejsca, ponuro utkwiałam wzrok w zaporowanej szybie. Gdy dzwonek zadźwięczał po raz trzeci, opuściłam niechętnie swoją kryjówkę. Z kubkiem w ręku odryglowałam drzwi i podreptałam boso na dół.

Na korytarzu przy wejściu stały dwie nieforemne postacie. Ich ogolone twarze lśniły od deszczu, a woda, spływając z granatowych nieprzemakalnych płaszczy, tworzyła na posadzce brudne kałuże.

Kiedy otworzyłam drzwi, starszy z mężczyzn odezwał się z przyciężkim sarkazmem.

- Dzieńdoberek, słoneczko. Mam nadzieję, że nie przerwaliśmy słodkiego lulania.

- Nic podobnego, Bobby - odpowiedziałam serdecznie. - Jestem na nogach co najmniej od godziny. Miałam tylko nadzieję, że to pomyłka. Cześć, sierżancie - zwróciłam się do młodszego. - Napijecie się panowie kawy?

Gdy mijali mnie na schodach, zimna woda z ich płaszczy nakapała mi na boscie stopy. Gdyby to zrobił Bobby Mallory, pomyślałabym, że specjalnie. Ale sierżant McGonnigal był wobec mnie zawsze nienagannie uprzejmy i nie uczestniczył w złośliwościach swego przełożonego.

Rzecz polegała na tym, że Bobby był najbliższym przyjacielem mojego ojca, tak na służbie, jak i poza nią. Na jego stosunek do mnie składało się poczucie winy za to, że piął się w górę, podczas

gdy ojciec tkwił na patrolach, a potem za to, że żył, a Tony nie, oraz frustracja, że jestem dorosłą kobietą i zawodowym detektywem, zamiast pozostawać małą dziewczynką, którą mógłby hopsać na swym kolanie.

Rozejrzał się w ciasnym przedpokoju za miejscem, gdzie dałoby się złożyć ociekający płaszcz, i w końcu rzucił go na podłogę za drzwiami. Jego żona była skrupulatną gospodynią i został porządnie wytresowany. Sierżant McGonnigal poszedł w jego ślady, a potem przeczesał dłońmi gęste kędzierzawe włosy, aby strząsnąć z nich resztkę wody.

Uroczyście wprowadziłam ich do salonu i przyniosłam kawę w kubkach, pamiętając o dodatkowym cukrze dla Bobby'ego.

- Miło, że wpadliście - zagadnęłam uprzejmie, gdy usiedli na kanapie. - Zwłaszcza w taki paskudny dzień. Co słychać?

Bobby spojrzał na mnie surowo, ale natychmiast odwrócił oczy, gdy zauważył, że pod koszulką nie mam stanika.

- Nie chciałem tu przychodzić. Kapitan uznał, że ktoś powinien z tobą porozmawiać, a ponieważ ciebie znam, to wypadło na mnie. Nie zgadzałem się, ale on jest kapitanem. Jeżeli odpowiesz poważnie na moje pytania i nie będziesz się wymądrzać, rzecz pójdzie gładko i wszyscy będziemy zadowoleni.

- A ja myślałam, że wpadliście towarzysko - odparłam z żalem. - Nie, nie, przepraszam, wycofuję. Już jestem poważna jak... jak na kolegium do spraw wykroczeń. Możecie pytać mnie o co chcecie.

- Nancy Cleghorn - rzucił sucho Bobby.

- To nie jest pytanie, więc nie mam odpowiedzi. Właśnie przeczytałam w porannej gazecie, że wczoraj została zabita. Sądzę, że wiecie o tym znacznie więcej niż ja.

- O tak - przyznał z westchnieniem. - Wiemy mnóstwo rzeczy. Że zmarła około szóstej po południu. Na podstawie rozległości wewnętrznego krwotoku lekarz twierdzi, że została uderzona prawdopodobnie około czwartej. Wiemy, że miała trzydzieści sześć lat, przynajmniej raz była w ciąży, że jadła zbyt tłusto i już jako dorosła osoba złamała prawą nogę. Wiem, że ktoś, mężczyzna albo kobieta o rozmiarze buta trzynastki i metrowym kroku, zaciągnął ją w zielonym kocu na południowy brzeg Stawu Martwych Konarów. Koc był kupiony w Searsie, gdzieś w Stanach Zjednoczonych, między rokiem 1978, kiedy zaczęli je produkować, a 1984, kiedy wycofano ten

rodzaj. Ktoś inny, prawdopodobnie również mężczyzna, siedł obok, ale nie pomagał ani w niesieniu, ani w topieniu.

- Laboratorium miało więc wczoraj wieczorem nadliczbówki. Nie sądziłam, że traktują w ten sposób każdego zmarłego obywatela.

Bobby nie pozwolił mi używać na nim.

- Jest też parę szczegółów, których nie znam, choć mają znaczenie. Nie mam na przykład pojęcia, komu zależało na jej śmierci. Ale rozumiem, że wy dwie dorastałyście razem i byłyście całkiem dobrymi przyjaciółkami.

- I chciałbyś, żebym znalazła jej mordercę? Wydawało mi się, chłopcy, że macie maszynę, z którą byłoby wam łatwiej to zrobić niż mnie.

Jego spojrzenie zmiękczyłoby najtwardszego rekruta.

- Odpowiadaj.

- Nie wiem.

- Z tego, co słyszę, to jednak coś wiesz. - Zapatrzył się w jakiś punkt nad moją głową.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, lecz po chwili przypomniałam sobie o wiadomości zostawionej Nancy w SCRAP-ie i jej matce. Takie poszlaki są jak małe kamyczki, z których chciano zbudować dom.

- Niech pomyślę - powiedziałam pogodnie. - Nawet nie zaczęły się jeszcze godziny urzędowania, a wy już oblecieliście wszystkich ze SCRAP-u.

McGonnigal poprawił się niespokojnie i spojrzał na Mallory'ego. Porucznik skinął krótko głową. McGonnigal zaczął:

- Wczoraj późnym wieczorem rozmawiałem z panną Caroline Djiak. Powiedziała, że doradziłaś Nancy Cleghorn, jak rozwiązać ich problem związany z uzyskaniem zgody na budowę stacji przerobu odpadów. Powiedziała, że będziesz wiedzieć, z kim denatka prowadziła rozmowy.

Gapiałam się w niego jak zamurowana. W końcu wykrztusiłam:

- Czy to są dokładnie jej słowa?

McGonnigal sięgnął do bocznej kieszeni po notes. Przekartkował kilka stronic, zerkając w notatki.

- Nie zapisałem tego słowo w słowo, ale taki jest sens - powiedział na koniec.

- Nie nazwałabym Caroline Djiak patologicznym kłamcą - zauważyłam ze swadą - Ale

zwyczajnie małą chełpliwą intrygantką. Mimo że jestem na nią tak wściekła, iż mogłabym pojechać i osobiście złamać jej kark, zaś wy nie poprawiacie mi nastroju swoim podejściem. To znaczy, przerabiamy ten temat z niezmiennym założeniem, że jestem zamieszana w zbrodnię, prawda, poruczniku? Atakujecie mnie otwarcie, traktując moje nieczyste sumienie jako pewnik.

Mogliście przecież zacząć od przedstawienia tych księżycowych zeznań Caroline i zapytania mnie, czy są prawdziwe. Wtedy powiedziałabym wam wszystko, co zdarzyło się w czasie pięciominutowej rozmowy w jadalni u Caroline i moglibyście wyjść z poczuciem, że jeden węzeł został rozsupłany.

Podniosłam się i wyszłam do kuchni. Kiedy szperałam w lodówce, szukając czegoś jadalnego, co nadawałoby się na śniadanie, w drzwiach stanął Bobby. Jogurt pokryty pleśnią zmienił się w skwaśniałą ciecz. Owoców zabrakło, a resztkę chleba była tak twarda, że nadawała się na naboje.

Bobby odruchowo pokręcił nosem na widok brudnych naczyń, ale bohatercko powstrzymał się od komentarzy. Zamiast tego zagadnął:

- Jak cię widzę w pobliżu śmierci, to od razu mnie skręca. Wiesz o tym.

Jeszcze trochę i zacząłby się usprawiedliwiać.

- Nie jestem w pobliżu tej śmierci - powiedziałam niecierpliwie. - Nie wiem, dlaczego Caroline chce mnie tam widzieć. W zeszłym tygodniu ściągnęła mnie do South Chicago na spotkanie z dawną drużyną koszykówki. A potem wmanewrowała w rozwiązywanie jej osobistego problemu, żeby następnie zadzwonić i kazać mi się wynosić z jej życia. Teraz chce, żebym wróciła. Albo tylko usiłuje mnie ukarać. - Wygrzebałam z kredensu kilka krakersów i posmarowałam je masłem orzechowym. - Jadłyśmy właśnie pieczonego kurczaka, kiedy przyszła Nancy Cleghorn, żeby pogadać o problemach z ich projektem. To był o dokładnie tydzień temu. Caroline wydawało się, że to Jurshak, tamtejszy radny, blokuje wydanie zezwolenia. Zapytał a mnie, co zrobiłabym prowadząc dochodzenie. Powiedziałam, że najprostsza byłaby rozmowa z kimś z ludzi Jurshaka, gdyby ona bądź Nancy kogoś takiego znały. Nancy wyszła. Oto cały mój udział. - Dolałam kawy do kubka, wściekła na siebie, bo trzęsła mi się ręka, i rozlałam trochę na kuchenkę. - Wbrew twojej teoryjce nie widziałyśmy się ponad dziesięć lat. Nie wiem, kim byli jej przyjaciele i wrogowie. Teraz Caroline zdaje się sugeruje, jakoby to Jurshak zabił Nancy, na co nie istnieje nawet atom dowodu. I ona chce jeszcze dowieść, że ja nakłoniłam go do tego. Szlag by to trafił!

Bobby wzdrygnął się.

- Nie mów tak brzydko, Vicki. To w niczym nie pomoże. Do czego wynajęła cię ta panienka?

- Kobieta - poprawiłam go odruchowo, z ustami pełnymi orzechowego masła. - A może smarkuła. Powiem ci, chociaż to nie twój interes. Jej matka była jedną z podopiecznych Gabrielli. Teraz umiera. W bardzo niemiły sposób. Caroline zależało, abym znalazła paru ludzi, z którymi kiedyś pracowała, w nadziei że będą ją odwiedzać. Ale jak ci już zapewne od niej wiadomo, wczoraj mnie zwolniła.

Niebieskie oczy Bobby'ego zwęziły się w szparki.

- Jest w tym trochę prawdy. Szkoda tylko, że nie wiem ile.

- A ja powinnam się lepiej zastanowić, czy warto z tobą szczerze rozmawiać - odpowiedziałam gorzko. - Zwłaszcza że rozpoczęłeś spotkanie od oskarżenia.

- Włóż coś na siebie, Vicki. - Zarumienił się nagle, poruszony swą wyobraźnią. - I ogarniaj tę kuchnię częściej niż raz do roku. Wygląda tu jak w slumsie.

Kiedy wraz z McGonnigalem wymaszerowałam, wróciłam do sypialni. Wcisnąwszy się znów w czarną sukienkę, wyjrzałam przez okno. Na chodniku pod domem woda tworzyła małe potoki. Włożyłam trampki, a czarne pantofle schowałam do torby.

Mimo męskiego parasola mój sprint do samochodu zakończył się przemoczeniem nóg. Najczęściej jednak w lutym leży śnieg do kostek albo do kolan, więc starałam się nie narzekać.

Słaby nawiew mojego chevy nie mógł poradzić sobie z zaparowaną szybą, ale przynajmniej nie zdechł mu silnik, co było losem wielu innych mijanych samochodów. Burza i zepsute pojazdy spowolniały jazdę na południe. Była prawie dziesiąta, kiedy zjechałam z Drogi 41 w Dziewięćdziesiątą Drugą Ulicę. Zanim znalazłam miejsce do parkowania przy rogu Commercial, deszcz ustał i przejaśniło się na tyle, że mogłam włożyć pantofle.

Biura SCRAP-u mieściły się na pierwszym piętrze nad ciągiem małych sklepików. Obeszłam narożnik i pomaszerowałam do wejścia dla interesantów. Miał tu kiedyś gabinet mój dentysta, co pozwoliło mi dobrze zapamiętać to miejsce.

Przystanąłam na szczycie schodów, by sprawdzić tablicę informacyjną, a przy okazji uczesałam włosy i obciągnęłam sukienkę. Doktora Zdunka już tu nie było. Brakowało również wielu innych lokatorów; idąc w głąb korytarza, minęłam ze sześć pustych biur.

Na samym jego końcu weszłam do pomieszczenia, w którym na odległość czuło się atmosferę społecznikowskiej organizacji. Odrapane metalowe meble i wycinki z gazet przypinane do ścian

migotały w świetle brzęczącej jarzeniówki. Papiery i książki telefoniczne leżały w pryzmach wprost na podłodze, a elektryczne maszyny do pisania były modelami, które IBM wycofało z produkcji, kiedy jeszcze byłam w szkole.

Młoda Murzynka rozmawiała przez telefon, stukając jednocześnie na maszynie. Uśmiechnęła się do mnie i podniosła w górę palec z prośbą, abym zaczekała. Z otwartej sali konferencyjnej dobiegły mnie głosy; ignorując natarczywy syk recepcjonistki, stanęłam w drzwiach, żeby zajrzeć do środka.

Przy koślawym drewnianym stole siedziała grupa pięciu osób, cztery kobiety i mężczyzna. Caroline pośrodku przemawiała ogniście. Widząc mnie w drzwiach, urwała nagle i zaczerwieniła się aż po korzonki swych miedzianych włosów.

- Vic! Ja mam zebranie. Nie możesz poczekać?

- Na ciebie, to nawet cały dzień, kochanie. Czeka na małe tête-à-tête w sprawie Johna McGonnigala, odwiedził mnie dziś z samego rana.

- Johna McGonnigala? - Zmarszczyła nosek badawczo.

- Sierżanta McGonnigala. Policja miasta Chicago - przyszedł jej z pomocą.

Spąsowiała jeszcze bardziej.

- Ach, jego. Może lepiej porozmawiamy teraz. Przepraszam was bardzo.

Wstała i zaprowadziła mnie do pokoiku za salą konferencyjną. Panujący tam rozgardiasz, tworzony przez książki, papiery, wykresy, stare gazety i papierki po cukierkach, sprawił, iż uznałam, że moje biuro przypomina zakonną celę. Caroline przygotowała dla mnie składane krzeselko, zrzuciła z niego książkę telefoniczną i usiadła za biurkiem na wysłużonym obrotowym fotelu. Zaplotła przed sobą ręce i spojrzała buńczucznie.

- Caroline, wiedziałam, że masz dwadzieścia sześć lat i wykonałaś już parę numerów, które zawstydziłyby Olivera Northa, ale ten wskakuje na pierwsze miejsce.

Jęcząc i smarkając mi w rękaw, wymogłaś na mnie zgodę, aby poszukać twego ojca. Następnie bez żadnego powodu wycofałaś się. A teraz, co jest szczytem wszystkiego, nałgałaś policji na temat mojego powiązania z Nancy. Czy zechciałabyś wyjaśnić dlaczego? I to bez cytatów z bajek Andersena? - Miałam kłopoty z powstrzymaniem się od krzyku.

- Lepiej się tak nie wymądrzaj - rzuciła wojowniczo. - Przecież poradziłaś Nancy, żeby...

- Zamknij się! - warknęłam. - Nie rozmawiasz z glinami, kwiatuszku. Mogę sobie wyobrazić,

jak się wdzięczyłaś i zalewałaś łzami przed McGonnigalem. Ale ja wiem, co powiedziałam Nancy tamtego wieczoru, tak dobrze jak i ty. Więc przestań pieprzyć i powiedz, dlaczego nałgałaś o mnie policji.

- Nie kłamałam! Udowodnij to! Nancy przysłała. A ty powiedziałaś jej, żeby porozmawiała z kimś z biura Jurshaka. A teraz ona nie żyje.

Potrząsnęłam głową jak pies otrzepujący się z wody, próbując pozbierać myśli.

- Może zaczniemy od początku. Dlaczego kazałaś mi zaprzestać poszukiwań twego ojca?

Wbiła wzrok w blat biurka.

- Uznałam, że to nie fair wobec mamy. Kombinowała jej plecami, kiedy ona tak bardzo tego nie chce.

- No, no. Tak trzymać. Muszę wybrać się do kardynała Bernardina i do samego papieża, żeby rozpocząć przygotowania do beatyfikacji. Czy ty kiedykolwiek stawiałaś Louise albo kogokolwiek innego przed twoimi własnymi zachciankami?

- Przestań! - krzyknęła, wybuchając płaczem. - Wierz mi albo nie, mam to gdzieś. Kocham moją matkę i nie chcę, żeby ktokolwiek ją krzywdził bez względu na to, co sobie myślisz.

Przyjrzałam się jej uważnie. Caroline potrafiła rozlewać łzy dookoła w ramach swego tragicznego, sierocego nawyku, ale nie miała skłonności do spazmów.

- Okay - odezwałam się wolno. - Wycofuję. To było okrutne. Czy dlatego napuściłaś na mnie gliny? Żeby ukarać mnie za decyzję o kontynuowaniu poszukiwań?

Wyczyściła głośno nos.

- To nie było tak!

- A jak?

Przygryzła dolną wargę.

- Nancy zadzwoniła do mnie we wtorek rano. Powiedziała, że miała telefony z pogrózkami i wydawało jej się, że ktoś ją śledzi.

- Czego dotyczyły te groźby?

- Stacji, oczywiście.

- Caroline, chcę, żebyś odpowiadała najzupełniej jasno. Czy mówiła konkretnie, że te telefony związane były ze stacją?

Otworzyła usta, a potem nabrała tchu.

- Nie - mruknęła w końcu. - Po prostu tak przypuszczam. Bo to był a ostatnia rzecz, o której wspólnie rozmawialiśmy.

- Ale ty poszłaś dalej i powiedziałaś policji, że została zabita z powodu stacji odzyskiwania odpadów oraz że ja podsunęłam, z kim ma rozmawiać. Rozumiesz, jakie to niegodziwe?

- Ależ, Vic. To nie jest tylko czyste przypuszczenie. Myślałam...

- Gównu myślałaś! - Ogarnęła mnie znowu wścikłość i mówiłam ochryple. - Czy nie widzisz różnicy między rozrywkami umysłowymi a rzeczywistością? Nancy została zabita. Zamordowana. Zamiast pomóc policji w szukaniu sprawcy, oczerniłaś mnie i nasłalaś mi ich na kark.

- Nancy wcale ich nie obchodzi. Podobnie jak nikt z nas tutaj, na południu. - Wstała z ogniem w oczach. - Reagują tylko na naciski polityczne, a jeśli chodzi o Jurshaka, to dla niego South Chicago mogłoby być równie dobrze na południowym biegunie. Wiesz to tak dobrze jak ja. Kiedy on ostatni raz remontował tu ulicę? Pewne jak cholera, że jeszcze przed twoim wyjazdem.

- Bobby Mailory jest dobrym, uczciwym i solidnym gliną - powiedziałam zawzięcie. - I fakt, że Jurshak to wyjątkowy egzemplarz sukinsyna, niczego tu nie zmienia.

- Tak, ciebie to też nic nie obchodzi. Pokazałaś to bardzo dobrze, wyprowadzając się stąd. Nigdy byś nie wróciła, gdybym o to nie zabiegała.

Puls w mojej prawej skroni zaczął tętnić boleśnie. Grzmotnęłam w stół dostatecznie mocno, aby zrzucić na podłogę jakieś papiery.

- Uganiałam się przez cały tydzień w poszukiwaniu twego ojca. Twoi dziadkowie obrazili mnie, Louisa zaczęła na mnie wykrzykiwać, a teraz ty! Nie wystarczyło ci wrobienie mnie w ten, a potem parę dalszych numerów. Sprowadziłaś jeszcze policję.

- I myślałam, że dadzą ci w dupę - wrzasnęła. - Myślałam, że skoro ja cię nic nie obchodzę, to przynajmniej zrobisz coś dla Nancy, bo grałyście razem w tej samej drużynie. A teraz udowadniasz, jak bardzo się myliłam.

Ruszyła do drzwi. Chwyciłam ją za ramię i zmusiłam, aby się odwróciła.

- Caroline, jestem dostatecznie wścikła, żeby obedrzeć cię ze skóry, nie na tyle jednak, aby nie myśleć. Wystawiłaś mnie glinom, bo wiesz coś, o czym boisz się mówić. Chcę wiedzieć, co to jest.

Spojrzała na mnie dzikim wzrokiem.

- O niczym nie wiem. Tyle tylko, że ktoś chodził za Nancy w czasie weekendu.

- I zawiadomiła policję. Czy ty to zrobiłaś?

- Nie. Rozmawiała z prokuratorem i powiedzieli jej, że założą jej teczkę. Zdaje się, że teraz mają co do niej włożyć.

Zademonstrowała uśmiech tryumfującej męczenniczki. Zmusiłam się do zachowania spokoju. Po chwili wahania niechętnie zgodziła się usiąść z powrotem i powiedzieć mi, co wiedziała. Jeżeli to była prawda, przy wielkim „jeżeli”, nie było tego wiele. Nie wiedziałam, z kim Nancy rozmawiała w biurze prokuratorskim, choć sądziła, że mógłby to być Hugh McInerney, człowiek, z którym miały styczność przy innych sprawach. Po dalszym badaniu przyznała, że McInerney osiemnaście miesięcy temu przyjmował ich zeznania na temat problemu w, jakie miały ze Steve'em Dresbergiem, miejscową szycią mafii, który zaangażowany był w interesy związane z przerobem odpadów.

Przypominałam sobie mgliście proces Dresberga, ale nie zdawałam sobie sprawy, że ona i Nancy były zaangażowane. Kiedy zażądałam od niej wyjaśnień, zrobiła ponurą minę, ale przyznała, że złożyły zeznania na temat pogroźek otrzymywanych za przeciwstawianie się uruchomieniu spalarni śmieci.

- Oczywiście Dresberg wiedział, komu posmarować w Wydziale Sanitarnym. To, co mówiłyśmy, nie miało znaczenia. Wydaje mi się, że uznał SCRAP za zbyt słaby, żeby się nim przejmować, więc zrezygnował ze spełnienia swoich gróźb.

- Ale tego glinom nie powiedziałaś. - Ze znużeniem przetarłam dłońmi twarz. - Caroline, masz zadzwonić do McGonnigala i złożyć zeznanie pod przysięgą. Masz naprowadzić ich na ludzi, o których wiesz, że grozili Nancy w przeszłości. Jak tylko wrócę do domu, sama zadzwonię do niego i powiem o naszej rozmowie. A jeśli zamierzasz okłamać mnie po raz drugi, to dobrze się zastanów, on zna mnie zawodowo od lat. Może za mną nie przepada, ale wie, że może ufać temu, co mówię.

Spojrzała na mnie z pasją.

- Nie mam już pięciu lat. Nie muszę robić tego, co mi każesz.

Stałam w drzwiach.

- Wyświadczyć mi tylko jedną przysługę, Caroline - następnym razem, gdy będziesz w kłopotach, dzwoń pod 911 jak reszta obywateli. Albo pogadaj z lekarzem. Ale mnie nie zwracaj już głowy.

ROZDZIAŁ 12

Zdrowy rozsądek

Dowlókłam się do chevroleta, mając wrażenie, jakby przybyło mi sto lat. Czułam wstręt do Caroline, do samej siebie za bycie na tyle głupią, aby dać się znów złapać w jej sidła, i do Gabrielli, że kiedyś przyjaźniła się z Louisa Djiak. Gdyby moja matka wiedziała, w co ten cholerny bachor Louisy mnie wpakuje... Słyszałam już złocisty głos Gabrielli w odpowiedzi na podobną skargę dwadzieścia dwa lata temu: „Po niej nie spodziewam się niczego prócz kłopotów, *cara*. Ale od ciebie oczekuję rozsądku. Nie dlatego, że jesteś starsza, ale dlatego, że taka jest twoja natura”.

Skrzywiłam się z goryczą na to wspomnienie i uruchomiłam samochód. Niekiedy brzemię rozsądku i odpowiedzialności, podczas gdy wszyscy dookoła wariowali, było cięższe, niżbym sobie tego życzyła. Lecz zamiast umyć ręce od problemów Caroline i jechać na północ do domu, znalazłam się na drodze zachodniej. Wiodła ku domowi dzieciństwa Nancy przy Muskegon.

Powodem tej podróży nie była jednak chęć pomocy Caroline. Nie przejmowałam się tym, że doradziłam Nancy rozmowę z kimś z biura Jurshaka, ani nawet tym, że dzieliłyśmy wspólne wspomnienia ze szkoły. Liczyłam, na to, że uda mi się uśmierzyć poczucie winy za swoją nieobecność, kiedy Nancy mnie szukała.

Oczywiście mogła dzwonić z kondolencjami z powodu Lady Tigers - nasze sukcesorki zostały wyeliminowane w stanowych ćwierćfinałach. Ale nie sądzę, żeby tak było. Pomyślałam w duchu, że Caroline miała rację: Nancy dowiedziała się czegoś o stacji przerobu odpadów i w związku z tym potrzebowała mojej pomocy.

Nie miałam kłopotów z odnalezieniem domu matki Nancy, co akurat nie sprawiło mi przyjemności. Sądziłam, że udało mi się uwolnić od tych stron, tymczasem okazało się, że z dna pamięci mogłam przywołać dokładne wspomnienie każdego domu, w którym bywałam.

Na krótkim podjeździe stały ciasno obok siebie trzy samochody. Chodnik też był zastawiony, musiałam więc przejechać trochę dalej w dół ulicy, nim udało mi się znaleźć miejsce. Ważyłam w dłoni kluczyki, zastanawiając się, czy nie powinnam poczekać z moją wizytą, dopóki żałobnicy sobie nie pójda. Ale nawet jeśli z natury miałam być rozsądna, to cierpliwość nie należała do moich

naczelnych cnót. Wcisnąwszy kluczyki do kieszeni w sukience, pomaszero wałam w stronę domu.

Drzwi otworzyła mi jakaś obca młoda kobieta koło trzydziestki, w dżinsach i blezerze. Spojrzała na mnie pytająco bez słowa. Gdy milczenie zaczęło się przeciągać, wymówiłam w końcu swoje nazwisko.

- Jestem dawną przyjaciółką Nancy. Chciałabym przez parę minut porozmawiać z panią Cleghorn, jeżeli jest w stanie mnie przyjąć.

- Pójdę zapytać - mruknęła.

Przyszła z powrotem i oświadczyła, że mogę wejść, po czym wróciła do wykonywanego wcześniej zajęcia. W małym holu zaskoczył mnie zgiełk - bardziej przypominał hałaśliwy dom z czasów Nancy i mojego dzieciństwa niż miejsce żałoby.

Gdy ruszyłam śladem odgłosów w stronę salonu, wypadli z niego dwaj chłopcy z rogalikami zamiast pistoletów w dłoniach. Pierwszy runął na mnie i odbił się bez słowa przeprosin. Przed drugim uskoczyłam w bok i wyjrzałam ostrożnie przez drzwi, zanim zdecydowałam się wejść.

Długi, przytulny pokój był wypełniony ludźmi. Nie znałam tu nikogo, ale domyśliłam się, że mężczyźni byli czterema, dorosłymi już, braćmi Nancy. Trzy młode kobiety były zapewne ich żonami. Pod ścianami, jakby całe przedszkole szalało na pełnych obrotach, pyskowała, szturchała się i chichotała dzieciarnia, ignorując napomnienia dorosłych.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, ale w końcu wypatrzyłam Ellen Cleghorn w najdalszym końcu pokoju, jak bez wielkiego entuzjazmu niańczy zanoszące się płaczem niemowlę. Zobaczywszy mnie, podniosła się z wysiłkiem i oddała dziecko jednej z młodych kobiet. Ruszyła w moją stronę, torując sobie drogę wśród mrowia wnuków.

- Tak bardzo mi przykro z powodu Nancy - powiedziałam, ściskając jej dłoń. - I przepraszam, że nachodzę panią w takim momencie.

- Cieszę się, że przyszłaś, kochana - odrzekła, uśmiechając się ciepło i całując mnie w policzek. - Chłopcy chcieli dobrze, wzięli dzień wolnego, myśląc, że pocieszą babcię wnukami, ale ten raban jest ponad moją wytrzymałość. Chodźmy do jadalni. Tam jest ciasto, a jedna z moich synowych robi kawę.

Ellen Cleghorn starzała się pięknie. Była pulchniejszym wcieleniem Nancy, z taką samą rozwichrzoną fryzurą. Z upływem czasu jej włosy ciemniały, zamiast siewiec, a cerę miała wciąż świeżą i pozbawioną zmarszczek. Rozwiodła się wiele lat temu, kiedy jej mąż odszedł z inną

kobietą. Nigdy nie pobierała zasiłku na dzieci ani alimentów i wychowała swe liczne potomstwo ze skromnej pensji bibliotekarki. Zawsze przygotowywała dla mnie miejsce przy stole do kolacji po koszykarskim treningu.

Ellen była na South Side wyjątkiem w swej obojętności dla spraw gospodarskich. Rozgardiasz w jadalni był taki, jak go zapamiętałam, z kłębami kurzu po rogach oraz stosem książek i gazet zsuniętych na krawędź stołu, aby zrobić miejsce do jedzenia. A jednak w czasach mej młodości ten dom wydawał mi się bardzo romantyczny. Był jednym z niewielu dużych domostw w okolicy - pan Cleghorn był, przed swym zniknięciem, dyrektorem szkoły podstawowej - i cała piątka dzieci miała swoje własne sypialnie. Niesłychany luksus na South Side. W pokoju Nancy była nawet mała wieżyczka z oknem, gdzie wystawialiśmy *Sinobrodego*.

Pani Cleghorn usiadła u szczytu stołu za stertą gazet, a mnie wskazała krzesło tuż obok.

Przerzuciwszy parę stron leżącej przede mną książki, odezwałam się sucho:

- Nancy próbowała wczoraj skontaktować się ze mną. Sądzę, że już to mówiłam, kiedy dawała mi pani jej numer telefonu. Czy pani wie, czego ode mnie chciała?

Potrząsnęła głową.

- Nie rozmawiałam z nią od kilku tygodni.

- Wiem, że to nieprzyzwoite wypytywać panią o to dzisiaj. Ale... ciągle myślę, że jej telefon miał coś wspólnego z... z tym, co się stało. Nie widziałyśmy się przez długi czas. Ale na naszym niedawnym spotkaniu była mowa o mojej pracy detektywa oraz o tym, co zrobiłabym w sytuacji Nancy. Mogła pomyśleć o mnie w takim kontekście, wie pani, wynikło coś, do czego moje specyficzne doświadczenie mogło się jej przydać.

- Po prostu nie wiem, kochana. - Drżał jej głos i walczyła z sobą, aby go opanować. - Niech cię to nie martwi. Nie mogłaś nic zrobić, aby jej pomóc, jestem pewna.

- Żałuję, że nie mogę się z panią zgodzić. Proszę posłuchać, ja nie chcę być jakimś wampirem ani nie pragnę męczyć pani w takim zmartwieniu. Ale czuję się odpowiedzialna. Jestem doświadczonym detektywem. Mogłam jej pomóc, gdyby zastała mnie wtedy w domu. Jedyne, co może ukoić moje wyrzuty sumienia, to próba odnalezienia jej mordercy.

- Vic, wiem, że ty i Nancy byliście przyjaciółkami, i z pewnością cię wydaje ci się, że przez swoje działanie w czymś pomożesz. Ale czy nie lepiej zwyczajnie zostawić to policji? Nie chcę już więcej być zmuszona do myślenia i mówienia o tym. Wystarczy mi przygotowywanie pogrzebu wśród

wrzasku tych wszystkich dzieci. A jeżeli już się mam martwić o... dlaczego ktoś chciał jej śmierci, to raczej myślę o niej w tym bagnie. Chodził yśmy tam kiedyś na obserwacje ptaków, kiedy była w dziewczęcej drużynie skautów, i zawsze tak bardzo bała się wody. Nieustannie myślę o niej, jak tam leży, samotna i przerażona... - Urwała, z trudem powstrzymując łzy.

Wiedziałam, że Nancy bała się wody. Nigdy nie brała udziału w naszych pokątnych wyprawach pływackich nad Calumet, a na studiach, żeby zwolnić się z zajęć na basenie, musiała dostarczyć pisemne zwolnienie od lekarza. Nie chciałam myśleć o jej ostatnich chwilach na bagnie. Może nie odzyskała przytomności. To najlepsze, na co można było liczyć.

- Dlatego tak mi zależy, by dowiedzieć się, kto zadał jej takie cierpienie. Mam wrażenie, że gdybym mogła teraz ująć się za nią, byłaby trochę mniej bezbronna. Czy potrafi pani to zrozumieć i powiedzieć mi, z kim Nancy mogła rozmawiać? Jeżeli nie z panią, rzecz jasna.

Ona i Nancy miały w sobie rodzaj niedbałej bezceremonialności, której im zawsze zazdrościłam. Moja matka, którą przecież kochałam, była zbyt spięta, aby pozwolić sobie na poufałość. Jeżeli Nancy nie powiedziała Ellen, co działo się w sprawach stacji, to z pewnością rozmawiały o jej przyjaciółach i kochankach. Po paru minutach łagodnej perswazji pani Cleghorn zaczęła mówić.

Nancy zakochała się, zaszła w ciążę i usunęła ją. Od czasu, kiedy pięć lat temu zerwała z Charlesem, nie było w jej życiu żadnego istotnego mężczyzny. Nie miała też tutaj przyjaciółek.

- To nie było dla niej najlepsze miejsce do zawierania znajomości. Miałam nadzieję, że po kupieniu tego domu... South Shore jest trochę ciekawszą dzielnicą i mieszka tam teraz sporo ludzi z uniwersytetu. Ale tutaj nie było nikogo, z kim utrzymywałyby na tyle bliskie kontakty, aby poważnie rozmawiać. Może z wyjątkiem Caroline Djiak, choć Nancy twierdziła, że to narwaniec i nie powiedziałaaby jej o niczym, czego nie była absolutnie pewna. - Drgnęła, zakłopotana wypowiedzianym niechcący zdaniem.

Przetarłam powieki.

- Nancy rozmawiała z prokuratorem. Jeżeli to miało związek ze SCRAP-em, mogła również konsultować się z ich adwokatem. Jak on się nazywa? Wspomniała o nim tego wieczoru u Caroline, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska.

- Przypuszczam, że to mógł być Ron Kappelman. Umawiała się z nim parę razy na wspólne wieczory, ale nie pasowali do siebie.

- Kiedy to było? - spytałam, nagle zaalarmowana. A może to była zbrodnia w afekcie?

- Zdaje mi się, że jakieś dwa lata temu. Kiedy zaczął pracować dla SCRAP-u.

Jednak nie. Kto czeka dwa lata, aby pomścić zawiedzioną miłość? Poza światem Agathy Christie, ma się rozumieć.

Pani Cleghorn nie potrafiła przekazać mi nic więcej. Z wyjątkiem daty uroczystości pogrzebowej, wyznaczonej na poniedziałek w kościele metodystów Góra Oliwna. Powiedziałam, że będę, i pozostawiłam ją na pastwę wnuków.

Siedząc w samochodzie, zniechęcona rąbnęłam pięścią w kierownicę. Z wyjątkiem wtorkowych kwerend, nie zarobiłam od trzech tygodni ani dolara. A teraz, jeżeli rzeczywiście zamierzałam zająć się zabójstwem Nancy, musiałabym odbyć rozmowę z prokuratorem. Dowiedzieć się, czy ujawniła cokolwiek przy okazji doniesienia, że jest śledzona. Porozmawiać z Ronem Kappelmanem. Zobaczyć, czy wyglądał na zawiedzionego kochanka, i sprawdzić, czy wiedział, czym zajmowała się Nancy przez ostatnich parę dni.

Przetarłam ze znużeniem twarz. Może robiłam się za stara na takie heroiczne gesty. Może powinnam zwyczajnie zadzwonić do McGonnigala, powiedzieć mu o mojej rozmowie z Caroline i wrócić do tego, na czym się znam - tropienia nadużyć finansowych.

Z tą sensowną myślą uruchomiłam samochód i odjechałam. Nie w stronę Lake Shore Drive i zdrowego rozsądku, ale na południe, do miejsca, gdzie zabito Nancy Cleghorn.

ROZDZIAŁ 13

Staw Martwych Konarów

Staw Martwych Konarów znajduje się w głębi labiryntu bagien, wysypisk śmieci i fabryk. Byłam tam tylko raz podczas wyprawy ornitologicznej dziewczęcej drużyny skautowskiej i nie miałam pewności, czy trafię ponownie w to miejsce. Przy Sto Trzeciej Ulicy skręciłam na zachód w stronę Stony Island, na szlak, który przecina tę gmatwaninę. Jego północna część należy do głównych arterii, lecz tutaj zamienia się w żwirowy pas o nieokreślonej szerokości, wyjeżdżony przez ogromne ciężarówki, kursujące tam i z powrotem.

Ulewny deszcz zamienił drogę w błotniste grzęzawisko. Chevy podskakiwał jękliwie i wpadał w koleiny między kępami wysokich bagiennych traw. Przejeżdżające ciężarówki bryzgały błotem na przednią szybę. Kiedy zjeżdżałam na bok, aby je przepuścić, samochód buksował niebezpiecznie i zsuwał się w stronę rowu melioracyjnego, który biegł wzdłuż pobocza.

Cierpły mi już ramiona od mocowania się z kierownicą, kiedy w końcu zobaczyłam po lewej staw. Zatrzymawszy się na wzniesieniu obok szosy, wdziałam trampki na dalszą wyprawę. Ruszyłam wzdłuż drogi do zagrodzonej ścieżki przy wschodniej krawędzi stawu, a potem dziarskim krokiem przez bagniste wertepy i zeschnięte chaszczce. Błoto bulgotało mi pod stopami i wciskało się do trampek.

Staw był częścią rozlewiska Calumetu. Nie był głęboki, ale jego mętne wody pokrywały rozległy obszar. Zbliżywszy się do brzegu, przeczytałam przytwierdzone do drzew tablice o sprzecznej treści, jedną, która włączała ten teren do federalnego programu ochrony wód, i drugą, ostrzegającą przybyszów przed ściekami niebezpiecznymi dla zdrowia. Jakaś nadzorująca agencja podjęła chaotyczną próbę ogrodzenia stawu, lecz płot w wielu miejscach był zwalony i łatwo było go pokonać. Zebrawszy w rękę brzeg sukienki, przekroczyłam jeden z przewróconych segmentów i znalazłam się nad wodą.

Staw Martwych Konarów był kiedyś wielkim żerowiskiem wędrownych ptaków. Teraz woda była matowo-czarna ze sterczącymi nad powierzchnią kikutami drzew o surrealistycznych kształtach. Ryby wycofały się do Calumetu i jego dopływów, a te, które niefortunnie tu wpłynęły,

mają naroślą i przegniłe pletwy. Mimo to minęłam dwóch ludzi usiłujących wyłowić dla siebie z brudnej wody obiad. Ubrani w wiele warstw znoszonej odzieży, byli bez kształtu, bez wieku i bez płci. Czuję, że mnie obserwują, dopóki nie zniknęłam za zakrętem wśród bagiennych traw.

Ścieżka prowadziła na południowy kraniec stawu, gdzie, jak podały gazety, znaleziono Nancy. Dotarłam w to miejsce dosyć łatwo - ciągle było otoczone żółtą taśmą i dużymi tablicami zakazującymi wstępu na miejsce policyjnego dochodzenia. Nie zatroszczyli się o pozostawienie strażnika - kto zgodziłby się tutaj stać? Tak czy owak, ulewa niewątpliwie zmyła wszystko, czego nie znalazł wczoraj wieczorem zespół śledczy. Dałam nura pod żółtą taśmę.

Zabójcy zaparkowali tam, gdzie i ja zostawiłam swój samochód. Albo gdzieś w pobliżu. Nieśli Nancy po ścieżce, którą właśnie przeszłam. W jasny dzień. Minęli wędkującą parę lub miejsce, gdzie stała. Czyżby po prostu mieli szczęście, że nikt ich nie widział? Czy też sądzili, że osoby, które odwiedzają te bagna, z racji swych nieciekawych z yciorysów nie odznaczają się nadmierną dociekliwością?

Deszcz zmył wszelki ślad po Nancy, lecz policja zaznaczyła zarys jej ciała kamykami. Przykucnęłam obok nich. Została wyciągnięta z koca i rzucona na prawy bok, z głową częściowo zanurzoną w wodzie. Leżała tak w oleistej brei aż do zatonięcia.

Zrobiło mi się zimno w wilgotnym powietrzu i w końcu wstałam z kucków. Nie było tu nic do oglądania, żadnego śladu życia lub śmierci. Skierowałam się z powrotem na ścieżkę, przystając co kilka kroków, aby przeszukać krzaki i trawę. Był to próżny trud. Sherlock Holmes bez wątpienia znalazłby wszystko mówiący niedopałek papierosa, niespotykany w tym miejscu kamyk z obcego kraju albo strzęp zgubionej koperty. To, co ja zobaczyłam, było niekończącym się pasmem butelek, opakowań po chipsach, starych butów i szmat. Opanował o mnie wrażenie, jakby Nancy była tylko jednym z wielu śmieci porzuconych na bagnie.

Para wędkarzy stała dokładnie tam, gdzie poprzednio. Odruchowo skierowałam się w ich stronę, aby dowiedzieć się, czy byli tu wczoraj i czy czegoś nie zauważyli. Lecz kiedy zesłam ze ścieżki, poderwał się na równe nogi wychudzony owczarek i wbił we mnie wzrok dzikich, przekrwionych ślepiów. Napiął przednie łapy i obnażył kły.

- Dobry piesek - wymamrotałam, wycofując się na ścieżkę. Niech policja przesłuchuje sobie tę parę, w końcu za coś im płacą.

Wróciwszy do drogi, zaczęłam szukać miejsca, gdzie zabójcy przenosili Nancy przez

ogrodzenie. W końcu znalazłam kilka zielonych nitok zaczepionych na drucie, okolo sześciu metrów od mojego samochodu. Obok widać było połamane pod ciężarem nóg źdźbła zeszłorocznej trawy. Teren wokolo nie był jednak nadmiernie zdeptany, więc pomyślałam, że policja nie trudziła się przeszukaniem tego końca.

Zaczełam starannie przeczesać poszycie, sprawdzając każdy kawałek śmiecia. Przy rozgarnianiu badyli odrapałam sobie ręce, brzeg sukienki zeszywniał od błota, a palce dłoni i stóp miałam skostniałe. W końcu uznałam, że niczego tu nie uda mi się zdziałać. Zawróciwszy chevroleta, pojechałam na północ, aby odszukać znajomego Nancy w biurze prokuratury.

W utyłanej sukience i z nogami nakrapianymi błotem nie miałam wielkich szans na sukces lub przynajmniej na wywarcie przyzwoitego wrażenia na urzędnikach państwowych. Dochodziła jednak trzecia i gdybym pojechała do domu się przebrać, w żaden sposób nie zdążyłabym wrócić na róg Dwudziestej Szóstej i Californii przed końcem urzędowania.

Spędziłam parę lat na państwowym garnuszku jako obrońca z urzędu. Ale nie tylko to postawiło mnie po drugiej stronie sali sądowej, przeciwko prokuratorom, i wzbudziło poczucie nieustannej podejrzliwości wobec nich. Wszyscy pracowaliśmy dla tej samej instytucji sądowej Cook County Board, ale prokuratorzy zarabiali o połowę więcej niż reszta. A jeśli jakaś głośniejsza sprawa trafiała do gazet, to oskarżyciel publiczny zawsze był wymieniany z nazwiska. My nigdy, nawet w wypadku, kiedy nasza błyskotliwa obrona robiła z nich sieczkę. Oczywiście podtrzymywałam z nimi stosunki przy wypracowywaniu aktów oskarżenia i w innych sprawach. Ale w biurze Richiego Daleya nie był nikogo, kto z przyjemnością przekazałby mi jakieś informacje przez wzgląd na pamięć o starych dobrych czasach. Musiałam wcielić się w futbolistę Dicka Butkusa i z byka uderzyć w sam środek linii.

Strażniczka, która przeszukała mnie przy wejściu, jeszcze mnie pamiętała. Miała wyraźnie ochotę zapytać o mój zszargany strój, ale nie usiłowała zatrzymać jako niebezpiecznej współniczki kryminalistów. Wstąpiłam do toalety, aby zmyć błoto z nóg. Z sukienką w tym stanie nie dało się już nic zrobić, mogłabym ją tylko spalić, ale przy odrobinie makijażu i uczesanych włosach przynajmniej nie wyglądałam jak ktoś, kto właśnie uciekł z więzienia.

Weszłam na trzecie piętro i spojrzałam surowo na recepcjonistkę.

- Moje nazwisko Warszawski. Jestem detektywem - rzuciłam obcesowo. - Chcę rozmawiać z Hugh McInerneyem w sprawie Nancy Cleghorn.

Po sądach kryminalnych kręci się bez liku policjantów i szeryfów. Zauważyłam, że nie machają odznaką za każdym razem, kiedy chcą kogoś widzieć, to dlaczego ja miałam to robić? Recepcjonistka, odpowiedziała na mój policyjny ton szybkim wystukaniem przycisków na konsolce. Była urzędnikiem państwowym, jak wszyscy w tym budynku, i na pewno nie przepadała za prywatnymi detektywami.

Oskarżyciele publiczni są młodymi ludźmi płci obojga, którzy szykują się do objęcia stanowisk w wielkich firmach adwokackich bądź zrobienia kariery politycznej. Nigdy nie widzi się starszków po lewej stronie sali sądowej - nie wiem, dokąd odsyłają tych, którzy nie awansują w sposób naturalny. Hugh McInerney nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Był wysoki, miał gęste jasne włosy i ten rodzaj muskulatury, która przychodzi wraz z dużą dawką tenisa.

- Czym mogę służyć, detektywie? - Jego niski głos, odpowiedni do postury, był stworzony do sali sądowej.

- Sprawa Nancy Cleghorn - rzuciłam energicznie. - Możemy porozmawiać na osobności?

Wprowadził mnie przez wewnętrzne drzwi do sali konferencyjnej o nagich ścianach i koślawym umeblowaniu, które pamiętałam jeszcze z dawnych czasów. Zostawił mnie na chwilę aby przynieść akta Nancy.

- Wie pan, że nie żyje? - powiedziałam po jego powrocie.

- Czytałem w porannej gazecie. Właściwie to spodziewałem się, że tu dotrzecie.

- Nie pomyślałeś, żeby wykazać trochę własnej inicjatywy i zadzwonić na policję, McInerney? -

Uniosłam wyniośle brwi.

Machnął ręką.

- Nie miałem wam nic konkretnego do powiedzenia. Przyszła do mnie we wtorek, bo myślała, że ktoś ją śledzi.

- Domyślała się kto?

Potrząsnął głową.

- Proszę mi wierzyć, gdybym miał tu jakieś nazwisko, to z samego rana chwyciłbym za telefon.

- Nie pomyślałeś o Stewie Dresbergu?

Poprawił się na krześle, zakłopotany.

- Ee, ja... rozmawiałem z adwokatem Dresberga, Leonem Haasem. No... i... on powiedział, że Dresberg jest bardzo zadowolony z rozwoju sytuacji na tamtym terenie.

- Nic dziwnego - skwitowałam opryskliwie. - W tym procesie o spalarnię przerobił was, chłopcy, na sałatkę warzywną, no nie? A ty się pytasz Haasa, co Dresberg sobie myśli o stacji odzyskiwania rozpuszczalników, nad którą pracowała Cleghorn? Skoro wysyłał śmiertelne pogrożki przy aferze ze spalarnią, to nie jestem taka pewna, czy skakał z radości, słysząc o stacji. A może uznałeś, że Cleghorn sobie coś ubzdurzyła, McInerney?

- Zaraz, spokojnie. Jesteśmy przecież po tej samej stronie. Wy znajdziecie zabójcę tej Cleghorn, a ja mu dopieprzę wyrok jak cholera. Obiecuję. Nie wydaje mi się, żeby to był Steve Dresberg, ale czemu nie, zadzwonię do Haasa i spróbuję go wyczuć.

Skrzywiłam się kwaśno i wstałam.

- Lepiej zostaw to policji, McInerney. Już oni poszukają i znajdą ci kogoś, komu mógłbyś przypieprzyć wyrok jak cholera.

Wymaszerowałam arogancko z sali, lecz kiedy znalazłam się w windzie, oklapłam jak przekłuty balon. Nie chciałam zadzierać ze Steve'em Dresbergiem. Jeżeli choć połowa rzeczy, które się o nim mówiło, była prawdą, to potrafił wpakować człowieka do rzeki w czasie krótszym, niż potrzeba na zmianę skarpetek. Ale po procesie o spalarnię nic nie zrobił ani Nancy, ani Caroline. Może uznał, że za pierwszym razem należy się tylko ostrzeżenie, dopiero drugi raz oznaczał nagłą śmierć. Spokojnie wjechałam chevroletem w ciąg pojazdów na Kennedy'ego i zaczęłam przemieszczać się w stronę domu.

ROZDZIAŁ 14

Mętnik

Po dotarciu na miejsce zobaczyłam przed domem pana Contrerasa z Peppy. Ona obgryzała wielki badyl, a on zamiatał śmieci na dróźnie. Peppy poderwała się na mój widok, ale stwierdziwszy, że nie mam na sobie sportowego stroju, klapnęła z powrotem na ziemię.

Pan Contreras pomachał mi.

- Cześć, laleczko. Złapał cię deszcz dziś rano? - Wyprostował się i spojrzał na mnie. - Fiu, fiu, co za widok. Wyglądasz, jakbyś brodziła w błocie po sam pas.

- Aha. To by się zgadzało. Byłam na bagnach w South Chicago.

- Naprawdę? Nawet nie wiedziałem, że tam są bagna.

- Są - odparłam krótko, niecierpliwie odpychając psa.

Pan Contreras przyjrzał mi się bliżej.

- Potrzebna ci kąpiel. Gorąca kąpiel i łyk czegoś mocniejszego, laleczko. Idź na górę i odpocznij. A ja już zaopiekuję się jej królewską wysokością. Nie musi przecież codziennie chodzić nad jezioro.

- Słusznie.

Wybrałam pocztę i powoli wdrapałam się po schodach na drugie piętro. Po obejrzeniu się w dużym lustrze na drzwiach łazienki nie mogłam uwierzyć, że bez oporu skłoniłam McInerneya do rozmowy. Przypominałam parę wędkarzy znad Stawu Martwych Konarów. Rajstopy miałam w oczkach, a w miejscach, gdzie zmywałam plamy błota, widniały czarne zacieki. Brzeg sukienki był ciężki od zeschniętej gliny. Nawet czarne pantofle zabrudziły się od moich stóp.

Pozbyłam się butów wykopem za drzwi łazienki, puściłam wodę do wanny i wyrzuciłam do śmieci rajstopy. Miałam nadzieję, że w pralni odratują sukienkę - nie zamierzałam poświęcać całej garderoby w imię dawnej przyjaźni.

Wzięłam ze sobą do kąpiele przenośny telefon. Będąc w wannie, ze szklaneczką whisky w zasięgu ręki, sprawdziłam nagrania automatu. Szukał mnie Jonathan Michaels. Zostawił numer biurowy, lecz centrala była już wyłączona, a numeru domowego nie miałam. Odłożywszy telefon

na umywalkę, zanurzyłam się w wodzie i zamknęłam oczy.

Steve Dresberg. Znany również jako Król Śmieci. Nie z powodu jego reputacji, ale dlatego, że jeśli chciało się grzebać, palić lub wywozić śmieci na terenie Chicago, trzeba było jego dopuścić do interesu. Niektórzy powiadają, że dwaj niezależni przewoźnicy, którzy zniknęli po odmowie współpracy, gniją teraz na jakimś wysypisku nad Calumetem. Inni znowu sądzą, że ślady podpalenia składowiska odpadów, które zeszłego lata spowodowało ewakuację sześciu kwartałów na South Side, mogłyby prowadzić pod jego drzwi - jeśli tylko znalazłoby się do tropienia dosyć myśliwych z opłaconą polisą na życie.

Dresberg zdecydowanie pozostawał robotą dla policji, jeśli nie dla FBI. A ponieważ nikłe były szanse, że Caroline złoży zeznania pod przysięgą, znaczyło to, że powinnam zachować się jak porządna obywatelka i zadzwonić do McGonnigala.

Wstrzymując oddech, zanurzyłam głowę. A co, jeśli Dresberg nie jest w to zamieszany? Gdybym wskazała go policji, mogłabym odwrócić ich uwagę od bardziej obiecujących wątków dochodzenia.

Usiadłam i zaczęłam wcierać szampon we włosy. Woda zrobiła się czarna. Odetkałam wannę i odkręciłam kran z ciepłą wodą. Wiedziałam, że muszę znaleźć kogoś z personelu Jurshaka, kogoś, kto byłby ze mną tak samo szczerzy, jak z Nancy. A potem, gdyby zaczęli mnie tropić jacyś złowróźbni osobnicy, wyciągnęłabym mojego wiernego smitha & wessona i ich zdmuchnęła. Zrobiłabym to najchętniej, zanim oni rozwaliliby mi głowę i cisnęli w bagna.

Owinęłam się we frotowy szlafrok i wyruszyłam do kuchni na żer. Gospodyni od jakiegoś czasu nie robiła zakupów i zdobycz była skromna. Wzięłam ze sobą słoik orzechowego masła oraz butelkę whisky i wróciłam do salonu.

Byłam właśnie przy drugiej szklaneczce i czwartej łyżce masła, kiedy usłyszałam nieśmiało pukanie do drzwi. Jęknęłam zrezygnowana: to był pan Contreras z tacą jedzenia i psem przy nodze.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się, lalczko, za nasze wtargnięcie, ale zobaczyłem światło u ciebie i pomyślałem, iż może reflektowałabyś na małą kolacyjkę. Upiekłem w piecyku kurczaczka z sosie barbecue i chociaż nie na węglu drzewnym, to smakuje wybornie, już ja ci to mówię. Wiem, że starasz się zdrowo odżywiać, więc zrobiłem ci jeszcze dużą sałatkę. No, a teraz, jeśli chcesz zostać sama, to powiedz słówko, a zaraz sobie pójdziemy. Wcale się nie obrażę. Ale na samym drinku długo nie pociągniesz. Masło orzechowe? Whisky i masło orzechowe? Coś podobnego,

laleczko. Jak jesteś zbyt zajęta, żeby kupować jedzenie, to mi powiedz. Dla mnie żaden problem wziąć trochę więcej, kiedy kupuję dla siebie, wiesz dobrze.

Podziękowałam mu niezgrabnie i zaprosiłam do środka.

- Tylko coś na siebie włożę.

Zdaje się, że powinnam odesłać go na dół. Nie chciałam, żeby uznał, iż może przychodzić, kiedy tylko ma na to ochotę. Ale kurczak pachniał aromatycznie, a sałatka wyglądała pożywnie, podczas gdy masło orzechowe leżało mi ciężko na żołądku.

Skończyło się na opowiadaniu o śmierci Nancy i wyprawie nad Staw Martwych Konarów. Nigdy nie dotarł dalej na południe niż do Muzeum Historii Naturalnej i nie miał bladego pojęcia o życiu na South Side. Wyjęłam mapę miasta i pokazałam mu Houston Street, gdzie dorastał, a potem drogę w dół, do Okręgu Przemysłowego Calumet i do bagien, gdzie znaleziono Nancy.

Pokiwał głową.

- Staw Martwych Konarów, co? Nazwa mówi sama za siebie. Ciężko stracić w ten sposób przyjaciółkę, taką, z którą grało się kiedyś w koszykówkę i w ogóle. Nawet nie wiedziałem, że byłaś zawodniczką, chociaż powinienem się domyślić przez to twoje bieganie. Ale musisz na siebie uważać, laleczko. Jeżeli za tym wszystkim stoi ten Dresberg, to ma nad tobą cholerną przewagę. Znasz mnie, nigdy nie pękałem przed walką, ale wiem też, co to znaczy iść z karabinem na dywizję czołgów.

Zabierał się już do rozwijania wątku i przytaczania przykładów własnych doświadczeń spod Anzio, kiedy zadzwonił Jonathan Michaels. Przeprosiłam mojego gościa i przeniosłam się z telefonem do sypialni.

- Chciałem cię złapać przed swoim wyjazdem jutro rano - rozpoczął Jonathan bez wstępów. - Kazałem jednemu z moich ludzi sprawdzić tych dwóch facetów, Pankowskiego i Ferraro. Rzeczywiście procesowali się z Humboldtem. Właściwie nie o bezprawne zwolnienie, ale o odszkodowania pracownicze. Wygląda na to, iż przerwali pracę z powodu choroby i chcieli udowodnić przed sądem, że miała związek z wykonywaną pracą. Niczego nie zdziałali - sprawa była rozpatrywana tutaj, na miejscu, i Humboldt nie miał żadnych trudności z wygraniem. Potem obaj zmarli, a ich adwokat widać nie chciał wnosić apelacji. Nie wiem, jak dalece chcesz to drażyć, ale adwokat, który ich prowadził, nazywa się Frederick Manheim.

Uciał krótko moje podziękowania suchym: „Muszę lecieć”.

Odkładałam już słuchawkę, kiedy wrócił na linię.

- Jesteś tam jeszcze? Dobra. Prawie zapomniałem, nie stwierdziliśmy żadnego sabotażu, ale Humboldt mógł to zatuszować, nie chcąc, żeby pomysł się spopularyzował, no wiesz.

Po skończonej rozmowie usiadłam na łóżku, wpatrując się w telefon. Czułam się tak przeładowana niezbornymi informacjami, że w ogóle nie potrafiłam już myśleć. Moją zawodową ciekawość pobudziła najpierw reakcja, z jaką spotkałam się w Xerxesie, a potem u doktora. Chciałam dowiedzieć się, co powoduje takie histeryczne zachowania. Następnie Humboldt podał pozornie gładkie wyjaśnienie, a śmierć Nancy i tak zmieniła ważność spraw. Humboldt. Caroline. Louisa. Chigwell. Przez głowę beładnie przelatywały mi obrazy.

- Nic ci nie jest, laleczko? - To pan Contreras nerwowo kręcił się pod drzwiami.

- Nie. Nic, zdaje się. - Wstałam i wróciłam do niego z, jak mi się wydawało, pokrzepiającym uśmiechem. - Potrzebuję tylko odrobiny samotności. Okay?

- Aha, jasne. W porządku.

Był trochę urażony, ale heroicznie starał się tego nie okazać. Zebrał brudne talerze, odrzucając machnięciem ręki moją ofertę pomocy, i zabrał na dół tacę oraz psa.

Kiedy sobie poszedł, zaczęłam kręcić się smętnie po mieszkaniu. Caroline poprosiła mnie o przerwanie poszukiwań jej ojca; nie było żadnego powodu, by ciągnąć sprawę z Humboldtem. Ale kiedy dziesięciomiliardowy gość wysiła się, żeby zrobić mnie w konia, to nabierałam ochoty, by przynajmniej wyrwać mu z rąk cugle.

Urządziłam polowanie na książkę telefoniczną. Zakopała się pod stosem nut na pianinie. Rze cz jasna, telefon Humboldta tam nie figurował. Frederick Manheim, adwokat, miał swoje biuro przy Dziewięćdziesiątej Piątej i Halsted oraz dom w sąsiedztwie Beverly. Prawnicy o dużych dochodach bądź z praktyką kryminalną nie podają swych prywatnych telefonów. Nie kryją się też na ogół w południowo-zachodnich dzielnicach, z dala od sądów i ważnych wydarzeń.

Byłam na tyle niecierpliwa, że chciałam ruszyć od razu, zadzwonić do Manheima, wyciągnąć od niego relację, a potem pogalopować na Oak Street i skonfrontować ją z Humboldtem. *Festina lente*, mruknęłam do siebie. Zbierz fakty, a potem strzelaj. Lepiej bę dzie poczekać do rana i wybrać się na południe na osobistą rozmowę z facetem. Co oznaczało jeszcze jeden dzień w nylonach. Co oznaczało, że dobrze zrobię, jeśli oczyszczę czarne pantofle.

Przekopałam szafę w przedpokoju w poszukiwaniu pasty i w koń cu natrafiłam na pudełko pod

śpiworem. W trakcie starannego pucowania zadzwonił Bobby Mallory. Przytrzymałam słuchawkę ramieniem i zabrałam się do polerowania lewego buta.

- Cześć, poruczniku. W czym mogę pomóc?

- Możesz dać mi jakiś argument, żebym cię nie musiał zapuszkować. - Mówił ze swobodą, przyjaznym tonem, co oznaczało, że nerwy miał napięte do granic.

- Za co?

- Podszywanie się pod funkcjonariusza policji traktowane jest jako przestępstwo. Przez wszystkich, z wyjątkiem ciebie, jak sądzę.

- Niewinna. - Spojrzałam na pantofel. Nigdy nie miał już odzyskać lśniącej gładzi, z którą opuszczał Florencję, ale nie było źle.

- Czy nie jesteś tą kobietą - wysoką, trzydzieści parę lat, krótkie kręcone włosy - która powiedziała McInerneyowi, że jest z policji?

- Powiedziałam mu, że jestem detektywem. A kiedy mówiłam o policji, starannie używałam trzeciej, a nie pierwszej osoby. O ile wiem, nie jest to przestępstwo, choć może Rada Miasta wypicchi na mnie jakiś paragraf. - Zająłam się prawym butem.

- Nie uważasz, że powinnaś zostawić dochodzenie w sprawie śmierci Cleghorn policji?

- Nie wiem. Myślisz, że Steve Dresberg ją zabił?

- Gdybym powiedział ci, że tak, czy zmyłabyś się z widoku i zajęła rzeczami, do których się nadajesz?

- Jeśli miałbyś akt oskarżenia z jego nazwiskiem w nagłó wku, to tak. Bez kłótni na temat tego, do czego się nadaję. - Zamknęłam pudełko z pastą i odłożyłam wraz ze szmatką na gazetę.

- Vicki, posłuchaj. Jesteś córką gliniarza. Powinnaś dobrze wiedzieć, co to znaczy wtrącać się do policyjnego dochodzenia. Kiedy rozmawiasz z kimś takim jak McInerney bez uprzedzenia nas, robota staje się sto razy trudniejsza. Zgadza się?

- No dobra, zgadza się - przyznałam niechętnie. - Nie będę więcej rozmawiała z prokuratorem bez powiadomienia ciebie albo McGonnigala.

- Ani z nikim innym?

- Daj spokój, Bobby. Jeżeli zobaczę gdzieś napis dużymi literami SPRAWA DLA POLICJI, zostawię ją wam. To wszystko, co możesz wytargować.

Pożegnaliśmy się wzajemnie poirytowani. Resztę wieczoru spędziłam przed szklanym pudłem,

oglądając ostro okrojoną wersję *Buntownika bez powodu*. Nie pomogło mi na chandrę.

ROZDZIAŁ 15

Lekcja chemii

Biuro Manheima mieściło się między salonem kosmetycznym a kwaciarnią w ciągu małych sklepików gniezdzących się przy Dziewięćdziesiątej Piątej. Umieścił swoje nazwisko na szklanej tablicy, wypisane czarno-złotymi literami, które miały wyglądać staroświecko i dyskretnie - Frederick Manheim Adwokat.

W przedniej części lokalu, tej, którą w innych budynkach przeznaczano na powierzchnię sklepową, urządzona była recepcja. Stały tam dwa plastikowe krzesła oraz biurko, a na nim maszyna do pisania i doniczka afrykańskich fiołków. Na stoliku przy krzesłach leżało kilka starych numerów *Sports Illustrated*. Wertowałam je przez parę minut, chcąc dać szansę personelowi na dobre wejście. Ale kiedy nikt się nie pokazał, zapukałam do drzwi na tyłach i nacisnęłam klamkę.

Wejście prowadziło do małego korytarzyka. Przestrzeń, w której sklepy miały swoje podręczne magazyny, tutaj przegrodzona była kilkoma płytami pilśniowymi. Utworzono w ten sposób biuro i małą ubikację.

Zapukałam do drzwi opatrzonych nazwiskiem Manheima - tym razem w solidnym czarnym gotyku - i usłyszałam zdławione „Jedną chwileczkę”. Zaszleścił papier, trzasnęła szuflada i Manheim otworzył drzwi, wycierając sobie wierzchem dłoni wciąż pełne usta. Był młodym człowiekiem o różowych policzkach i gęstych jasnych włosach, które opadały mu na grube szkła okularów.

- Hej. Annie nie mówiła mi, że mam dziś rano spotkanie. Proszę wejść.

Uścisnęłam jego wyciągniętą dłoń i przedstawiłam się.

- Nie byłam umówiona. Przepraszam za wtargnięcie, ale skoro już się tu znalazłam, to liczę, że poświęci mi pan parę minut.

Machnął zapraszająco ręką.

- Jasne, jasne. Nie ma sprawy. Przepraszam, że nie mogę zaproponować kawy - swoją kupuję po drodze w Dunkin' Donuts.

Między biurkiem a drzwiami wciśnięta była para krzeseł dla gości. Gdyby usiąść na tym po

lewej, waliłoby się głową o szafę na akta. Prawe stało pod ścianą; szara smuga na pilśniowej ścianie wskazywała miejsce, gdzie ludzie za mocno się wiercili. Zrobiło mi się trochę przykro, że nie przyszedłam zasilić firmy gotówką.

Wyjął blok formularzy i ostrożnie odstawił na bok kawę z Dunkin' Donuts.

- Czy mogłaby pani przeliterować swoje nazwisko?

Przeliterowałam.

- Jestem prawnikiem, panie Manheim, ale obecnie pracuję jako prywatny detektyw. Sprawa, którą się zajmuję, przywiodła mnie do dwóch pańskich klientów. Byłych klientów, jak się zdaje, Joeya Pankowskiego i Steve'a Ferraro.

Spoglądał na mnie uprzejmie przez grube szkła, z palcami splecionymi swobodnie wokół pióra. Na wzmiankę o Pankowskim i Ferraro wypuścił je z rąk i zrobił minę tak zakłopotaną, na jaką tylko było stać mężczyznę o różowych policzkach cherubina.

- Pankowski i Ferraro? Nie jestem pewien...

- Pracownicy fabryki Xerxes w South Chicago należącej do Humboldt Chemical. Zmarli dwa albo trzy lata temu.

- Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Potrzebowali jakiejś porady prawnej, ale obawiam się, że nie mogłem dla nich wiele zrobić. - Zamrugnął bezradnie zza okularów.

- Wiem, że nie chce pan mówić o własnych klientach. Ja również nie lubię mówić o swoich. Ale gdybym wyjaśniła, co zainteresowało mnie w Pankowskim i Ferraro, czy odpowie mi pan na kilka pytań z nimi związanych?

Zapatrzył się w blat biurka, potrząsając piórem.

- Ja... ja naprawdę nie mogę...

- O co chodzi z tymi facetami? Za każdym razem, kiedy wspominam ich nazwiska, dorośli mężczyźni zaczynają trząść portkami.

Podniósł na mnie wzrok.

- Dla kogo pani pracuje?

- Dla siebie. „Dla siebie, dla siebie, to wystarczy”, jak powiedziałyby Medea.

- Nie pracuje pani dla tej firmy?

- Ma pan na myśli Humboldt Chemical? Nie.

Pierwotnie zostałam wynajęta przez młodą kobietę, która kiedyś była moją sąsiadką i chciała

dowiedzieć się, kto jest jej ojcem. Istniało nikłe prawdopodobieństwo, że jeden z tych dwóch, raczej Pankowski, mógł nim być, więc zaczęłam kręcić się po Xerxesie, żeby znaleźć kogoś, kto go znał. W środę ta kobieta zrezygnowała z dochodzenia, ale zaintrygowana jestem sposobem, w jaki ludzie na mnie reagują. Przede wszystkim kłamią na temat tego, co zaszło pomiędzy Pankowskim i Ferraro a Xerxesem. A potem facet z Departamentu Pracy, którego znam, powiedział mi, że pan ich kiedyś reprezentował. I dlatego tu jestem.

Uśmiechnął się smutno.

- Nie przypuszczam, żeby ta firma miała jakiegokolwiek powody do nasyłania mi kogoś po tylu latach. A jednak trudno uwierzyć, że pojawiła się tu pani sama z siebie. Tylu ludzi tak bardzo podniecało się tą sprawą, a pani sobie przychodzi jak gdyby nigdy nic. To zbyt... zbyt dziwne. Zbyt proste.

Przetarłam ręką czoło, próbując jakoś ożywić szare komórki. W końcu powiedziałam:

- Zamierzam zrobić coś, czego w swojej karierze detektywa jeszcze nigdy nie zrobiłam. Opowiem panu dokładnie o wszystkim, co się stało. Jeżeli po tym wciąż nie będzie pan chciał mi zaufać, to trudno.

Zaczęłam od samego początku, od Louisy, która pojawiła się z brzuchem w sąsiednim domu na parę miesięcy przed moimi jedenastymi urodzinami. Od Gabrielli i jej donkiszoterii. Od Caroline i jej rozrzutnej filantropii na koszt innych ludzi oraz doskwierającego mi wciąż poczucia, że jestem jej starszą siostrą i spoczywa na mnie odpowiedzialność za jej losy. Nie wspomniałam o historii Nancy zakończonej nad Stawem Martwych Konarów, lecz opisałam wszystko, co zdarzyło się w Xerxesie, moją rozmowę z doktorem Chigwellem i na koniec interwencję Humboldta. Był to jedyny epizod, który poddałam retuszowi. Nie potrafiłam się zmusić do opowiedzenia mu, że właściciel tego przedsiębiorstwa zaprosił mnie na koniak - byłam zakłopotana faktem, że dałam się zwieść magii bogactwa. Więc wymamrotałam tylko, że dzwonił do mnie jeden z jego wyższych urzędników.

Kiedy skończyłam, Manheim zdjął okulary i przystąpił do drobiazgowego rytuału czyszczenia szkielec za pomocą krawata. Był to wyraźnie nawykowy objaw nerwowości, ale jego oczy wydały mi się tak nagie, że odwróciłam wzrok.

W końcu założył okulary na nos i znów chwycił za pióro.

- Ja nie jestem najgorszym prawnikiem. Nawet dość przyzwoitym, tylko że niezbyt ambitnym.

Wychowałem się na South Side i podoba mi się tutaj. Pomagam wielu zwykłym ludziom w problemach z dzierżawą, zatrudnieniem, w tego typu sprawach. Więc kiedy przyszli do mnie ci dwaj, może powinienem odesłać ich gdzie indziej, ale pomyślałem, że dam sobie radę - zajmowałem się już odszkodowaniami pracowniczymi - a poza tym była to jakaś odmiana. Siostra Pankowskiego ma tu obok kwaciarnię, dlatego mnie wybrali, powiedziała im, że kiedyś dobrze się jej przysłużyłem. - Ruszył do szafy z aktami, ale zmienił zdanie. - Nie wiem, po co mi ta teczka, nerwowy odruch, zdaje się. Przecież znam tę cholerną sprawę na pamięć nawet po tak długim czasie. - Zamilkł, ale go nie popędzałam. Cokolwiek miał teraz powiedzieć, służyło to bardziej jemu samemu niż mnie, i nie chciałam przerywać jego toku myśli. Rozpoczął po dłuższej chwili. - To sprawa tej kserksyny, no, wie pani. W trakcie jej produkcji wydzielają się toksyczne opary. Zna się pani trochę na chemii? Ja też nie, ale swego czasu przestudiowałem to zagadnienie dość dokładnie. Kserksyna jest chlorowanym węglowodorem. Żeby uzyskać rozpuszczalnik, łączy się zwykle chlor z gazem etylenowym. Wie pani, takie coś, czym można zmywać z metalu olej albo farbę, albo jeszcze coś innego.

No więc, kiedy wdycha się takie wyziewy podczas produkcji, nie jest to najlepsze dla zdrowia. Atakują wątrobę, nerki, centralny układ nerwowy i wszystko po drodze. W czasie kiedy Humboldt uruchamiał produkcję kserksyny w latach pięćdziesiątych, nikt nie miał pojęcia o takich sprawach. Wiadomo, fabryk nie stawia się po to, żeby zabijać pracowników, ale oni nie dbali zanadto o kontrolowanie w powietrzu stężenia oparów.

Teraz, kiedy pochłonięty był opowiadaniem, zaczął się inaczej zachowywać. Wyglądał na pewnego siebie i kompetentnego. Wcale nie przesadził w przekonaniu o własnej wartości.

- Dopiero w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ludzie zaczęli poważnie myśleć o środowisku naturalnym, tacy faceci, jak Irving Selikoff, zajęli się badaniem zanieczyszczeń przemysłowych i zdrowiem pracowników. No i zaczęto odkrywać, że takie substancje jak kserksyna mogą być toksyczne nawet przy dosyć niskim stężeniu, powiedzmy, sto cząsteczek na milion cząsteczek powietrza. Więc Xerxes zainstalował wentylatory, uszczelnił rury i obniżył zanieczyszczenie do standardów krajowych. Było to w późnych latach siedemdziesiątych, kiedy EPA określiła limity na kserksynę. Pięćdziesiąt cząsteczek na milion. - Uśmiechnął się przeprasząco. - Niech mi pani wybaczy, że wdaję się w takie szczegóły. Nie potrafię już myśleć o tej sprawie w ogólnych zarysach. W każdym razie Pankowski i Ferraro przyszli do mnie na

początku 1983 roku. Obaj byli chorzy jak cholera, jeden miał rakę wątroby, a drugi aplazję szpiku kostnego. Pracowali u Humboldta bardzo długo, Ferraro od 1959, a Pankowski od 1961 roku, lecz zwolnili się, gdy byli już bardzo chorzy. Mogli to zrobić dwa lata wcześniej, ale bali się, że nie dostaną wtedy nic za inwalidztwo. Nie sądzę, żeby ktoś im powiedział, że istnieje alternatywa. Skinęłam potakująco głową. Przedsiębiorstwa niechętnie informują o korzyściach, które wynikają z ubezpieczeń. Zwłaszcza w takim wypadku jak Louisy, gdzie zwracano jej wydatki na opiekę lekarską niezależnie od renty inwalidzkiej.

- Ale co na to ich związek zawodowy? - spytałam. - Czy nie mógł ich ktoś pouczyć?

Potrząsnął głową.

- Istnieje tam tylko jeden związek i jest raczej tubą pracodawcy. Zwłaszcza teraz, przy takim bezrobociu w okolicy, nie chcą za bardzo rozrabiać.

- W przeciwieństwie do hutników - wtrąciłam szorstko.

Po raz pierwszy normalnie się uśmiechnął. Wyglądał przy tym nawet młodziej niż dotąd.

- No, nie można ich za to winić. Mam na myśli związek w Xerxesie. W każdym razie ci dwaj przeczytali gdzieś, że kserksyna mogła być powodem ich schorzeń, a ponieważ obaj byli stratni finansowo, to pomyśleli o uzyskaniu przynajmniej odszkodowań pracowniczych za inwalidztwo. Wie pani, warunki pracy, itede.

- Rozumiem. Więc poszedł pan do Humboldta, żeby coś wyrwać, czy od razu do sądu?

- Musiałem działać szybko - nie było pewne, jak długo jeszcze pożyją. Poszedłem najpierw do firmy, ale ponieważ nie reagowali, nie chciałem robić z siebie głupka. Założyłem sprawę. Oczywiście, gdybyśmy wygrali, rodziny po ich śmierci miałyby tytuł do rekompensat. Finansowo mogło to dla nich wiele znaczyć. Ale chciałoby się przecież widzieć swoich klientów, jak wygrywają za życia.

Skinęłam głową. Byłaby to dla nich duża korzyść, zwłaszcza dla Pankowskiej z gromadą dzieci. Ubezpieczalnie w Illinois płacą po ćwierć miliona rodzinom pracowników, którzy zmarli z powodu wykonywanej pracy, więc było o co walczyć.

- No i co dalej?

- Od razu zorientowałem się, że firma idzie w zaparte, więc ich zaskarżyliśmy. W sądzie szybko wyznaczono rozprawę. Mimo że siedzę tu na South Side, mam trochę znajomości. - Uśmiechnął się pod nosem, ale zrezygnował z opowiedzenia anegdoty. - Kłopot polegał na tym, że

obaj palili i obaj żyli tak, jak się żyje w South Chicago. Przypuszczam, że skoro pani wychowała się tutaj, to nie muszę mówić, czym pachniało powietrze. Więc Humboldt nas przerobił na cacy. Stwierdzono, że z jednej strony nie było sposobu na udowodnienie, że to właśnie kserksyna była powodem ich schorzeń, a nie papierosy albo ogólny smród. Z drugiej zaś, wykazano, że obaj pracowali tam, zanim ktokolwiek wiedział o toksyczności tej substancji. Więc nawet gdyby kserksyna przyczyniła się do ich choroby, jest to bez znaczenia, bo eksploatacja fabryki prowadzona była zgodnie z ówczesną wiedzą medyczną. Więc przegraliśmy gładko. Rozmawiałem z jednym naprawdę dobrym prawnikiem, specjalistą od apelacji, i uznał, że nie było tu już nic do zrobienia. No, i tyle.

Zastanawiałam się przez minutę.

- Tak, ale jeśli to wszystko, co się wydarzyło, dlaczego w Xerxesie na dźwięk ich nazwisk robią miny jak znerwicowane króliki?

Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ja nie chciałem na początku o nich rozmawiać. Oni nie wierzą, że pani pracuje samodzielnie i szuka czyjegoś ojca. Są przekonani, że komuś zależy, by znowu u nich zamieszać. Musi pani sama przyznać, że ta historia z ojcem wygląda na dość naciąganą.

Choć niechętnie, ale przyjrzałam się temu z jego punktu widzenia. Wziąwszy pod uwagę całą tę część historii, której nie znałam, mogłam go zrozumieć, w pewnym sensie. Wciąż nie mogłam jednak pojąć, dlaczego Humboldt uznał, że musi interweniować. Skoro jego przedsiębiorstwo wygrało proces tak gładko i bezboleśnie, to jaka byłaby różnica, gdyby o Pankowskim i Ferraro rozmawiał ze mną wyłącznie jakiś pracownik?

- A także - dodałam głośno - dlaczego pan jest taki strapiiony? Czy sądzi pan, że się mylili? Że proces był manipulowany?

Potrząsnął smutno głową.

- Nie. Z takimi dowodami nie sądzę, abyśmy mogli wygrać. Chociaż powinniśmy. Mam na myśli to, że ci ludzie, za dwadzieścia lat harówki dla tej firmy, zasłużyli na lepszy los, zwłaszcza że najprawdopodobniej ta praca wpędziła ich do grobu. Proszę spojrzeć na matkę pani znajomej. Też umiera. Niedoczynność nerek, powiada pani? Ale prawo mówi wyraźnie, i potwierdzają precedensy, że nie można zaskarżyć fabryki za działania zgodne z najlepszą wiedzą medyczną, jaka

jest dostępna w danym czasie.

- Więc to wszystko? Nie lubi pan po prostu o tym mówić, ponieważ jest panu przykro, że ich sprawa została przegrana?

Znów odprawił obrzęd czyszczenia krawatem okularów.

- Och, to mogło mnie załamać. Nikt nie lubi przegrywać, i na Boga, trudno było nie życzyć zwycięstwa tym ludziom. Ale znowu, wie pani, gdybyśmy ustanowili zwycięski precedens, firma miałaby od razu rozłożoną fabrykę. Każdemu, kto kiedykolwiek był chory albo zmarł, należałaby się podobnie duża rekompensata.

Przerwał. Siedziała cicho jak trusia.

- Nie - odezwał się wreszcie. - To dlatego, że dostałem telefon z pogroźkami. Po zakończeniu sprawy. Kiedy rozważaliśmy złożenie apelacji.

- To byłaby podstawa do zmiany wyroku - wybuchnęłam. - Czy był pan u prokuratora?

Potrząsnął głową.

- Dzwoniono do mnie tylko raz. I ten ktoś nie wspominał o konkretnej sprawie - nawiązał tylko ogólnie do ryzyka związanego z apelacją. Nie jestem, co prawda, twardzielem, ale tchó rzem też nie. Ten telefon mnie wściekł, wściekł bardziej niż cokolwiek dotąd, i na wszystkie sposoby szukałem potem możliwości sformułowania apelacji. Tylko że żadnej nie znalazłem.

- Nie dzwonili później z gratulacjami za skorzystanie z porady?

- Nigdy już nie słyszałem tego faceta. Ale kiedy pojawiła się pani tak znikąd...

Roześmiałam się.

- Miło mi słyszeć, że mogę być wzięta za człowieka od mokrej roboty. Może mi się jeszcze to przydać przed końcem dnia.

Zarumienił się.

- Nie, nie. Nie wygląda pani... nie chciałem... to znaczy, jest pani bardzo atrakcyjną kobietą. Ale w dzisiejszych czasach nic nie wiadomo. Szkoda, że nie potrafię nic powiedzieć na temat ojca pani znajomej, ale nigdy o niczym takim nie rozmawialiśmy. Moi klienci i ja.

- Nie, nie, rozumiem.

Podziękowała mu za jego szczerość i wstałam.

- Jeżeli przyjdzie pani do głowy cokolwiek, w czym mógłbym pomóc, proszę dać znać - powiedział, potrząsając swoją dłońią. - Zwłaszcza jeżeli dałoby mi to jakieś podstawy do

sporządzenia wniosku o rewizję.

Zapewniłam go, że tak zrobię, i wyszłam. Byłam mądrzejsza niż wtedy, gdy wchodziłam, ale wciąż nie mniej skołowana.

ROZDZIAŁ 16

Z domową wizytą

Było dobrze po dwunastej, kiedy zakończyłam rozmowę z Manheimem. Pojechałam do centrum, fundnęłam sobie dietetyczną colę oraz sandwicza z wołowinką, co rezerwuję na okazje, gdy potrzeba mi solidniejszego pożywienia, i zabrałam ze sobą do biura.

Rozumiałam stanowisko Manheima. W pewnym sensie. Gdyby Humboldt przegrał proces, mogłoby to przerodzić się w katastrofę podobną do tej, która zmusiła Johnsa-Manville'a do szukania ucieczki w ogłoszeniu bankructwa. Ale sytuacja Manville'a była inna: oni wiedzieli, że azbest jest toksyczny, i ukrywali swoją wiedzę. Więc kiedy niemiła prawda wyszła na jaw, robotnicy mogli domagać się sądownie grzywnien.

Wszystko, z czym mógłby się spotkać Humboldt, to lawiny żądań o odszkodowania. Ale i tak sprawa była śliska. Powiedzmy, że przez dziesięć lat pracowało w fabryce tysiąc robotników i wszyscy zmarli: po ćwierć miliona na głowę, to nawet gdyby Ajax wszystko spłacił, i tak by poszło w krocie.

Oblizalam musztardę z palców. Może patrzyłam od złej strony - może Ajax nie chciał robić wypłat i Gordon Firth zwrócił się do swego starego kumpla Gustava Humboldta z prośbą, żeby przykrócić wszelkie próby ponownego badania sprawy. Ale Firth nie mógł wiedzieć, że jestem w to zamieszana - aż tak szybko plotka nie obiega Chicago. A może obiega? Człowiek nie wie, co to znaczy magiel, dopóki nie spędzi tygodnia w wielkiej korporacji.

Ale znowu, dlaczego ktoś groził Manheimowi z powodu apelacji? Skoro z prawnego punktu widzenia Humboldt był czysty jak łąza, jaki sens miało naciskanie Manheima. Mogło to tylko skłonić sąd do unieważnienia sentencji wyroku. Zatem to nie firma Humboldta usiłowała go przytemperować.

A może to był ktoś z młodszego personelu. Ktoś, kto liczył, że wyrobi sobie nazwisko w przedsiębiorstwie dzięki mięśniom użytym wobec skarżących. Nie był to zupełnie nieprawdopodobny scenariusz. Wystarczy wczuć się w atmosferę takiej firmy, gdzie zasady etyki są ruchome, a podwładni przekonani, że droga do serca przebżonego wiedzie przez sztych w ciele

jego przeciwnika.

Ale wciąż nie było wyjaśnienia, dlaczego Humboldt kłamał na temat procesu. Dlaczego zwał oskarżenie o sabotaż na tych biednych facetów, którzy nie chcieli niczego więcej, jak tylko parę dolców odszkodowania? Zastanawiałam się, czy byłoby warto jeszcze raz spróbować porozmawiać z Humboldtem. Przypomniałam sobie jego pełną, jowialną twarz i zimne niebieskie oczy. Trzeba pływać ostrożnie, kiedy w wodzie kręci się wielki rekin. Nie byłam pewna, czy zależało mi na oglądaniu go akurat teraz.

Jęknęłam boleśnie. Cała sprawa przypominała mi kręgi na wodzie. Ja byłam kamieniem rzuconym w środek, a fale rozchodziły się dalej i dalej. Po prostu nie potrafiłam sobie poradzić z tyloma niepołączonymi liniami.

Spróbowałam skupić uwagę na paru problemach, które przybyły wraz z pocztą. Zauważyłam, że rachunek, który parę tygodni temu wystawiłam małemu sklepikowi żelaznemu za rozwiązanie ich kłopotów z drobnymi kradzieżami, jest nie w pełni spłacony. Rozmowa telefoniczna niczego nie załatwiła i postanowiłam zakończyć na dzisiaj urzędowanie. Właśnie wrzuciłam do kosza resztę pocztowego śmiecia, gdy zadzwonił telefon.

Rzeczowy alt obwieścił mi, że rozmówczynią jest Clarissa Hollingsworth, osobista sekretarka pana Humboldta.

Usiadłam w fotelu. Alarm bojowy. Nie byłam przygotowana na spotkanie z rekinem, a on właśnie do mnie podpływał.

- Tak, panno Hollingsworth. W czym mogę pomóc panu Humboldtowi?

- Nie sądzę, aby oczekiwał od pani pomocy w czymkolwiek - odpowiedziała chłodno. - Prosił mnie tylko, żeby przekazać wiadomość. Na temat kogoś o nazwisku... ee... Louisa Djiak.

Zająknęła się. Mogłaby przećwiczyć sobie wymowę przed dzwonieniem.

Powtórzyłam poprawnie nazwisko Louisy.

- Tak?

- Pan Humboldt informuje, iż rozmawiał o niej z doktorem Chigwellem i jest prawdopodobne, że Joey Pankowski był ojcem jej dziecka.

Z Pankowskim też miała kłopoty. Spodziewałam się czegoś więcej po osobistej sekretarce Humboldta.

Odsunęłam słuchawkę od ucha i spojrzałam na aparat, jakbym mogła zobaczyć w nim twarze

panny Hollingsworth lub Humboldta. W końcu przysunęłam słuchawkę bliżej ust i spytałam:

- Czy wie pani, kto sprawdzał to dla pana Humboldta?

- Rozumiem, że osobiście jest zainteresowany tą sprawą - odparła sztywno.

- Myślę, że doktor Chigwell mógł wprowadzić pana Humboldta w błąd - powiedziałam powoli. - To ważne, abym zobaczyła się z nim i przedyskutowała tę sprawę.

- Bardzo wątpię, panno Warshawski. Pan Humboldt i doktor pracowali razem przez wiele lat. Skoro podał panu Humboldtowi taką informację, może pani na niej całkowicie polegać.

- Być może. - Staralam się nadać głosowi pojednawczy ton. - Lecz pan Humboldt sam mi powiedział, że jego ludzie czasami starają się osłaniać go przed nieszczęśliwymi wypadkami. Podejrzewam, że właśnie coś takiego mogło się stać w tej sprawie.

- Doprawdy? - parsknęła rozdrażniona. - Pani może pracuje w środowisku, gdzie ludzie nie mogą sobie wzajemnie wierzyć. Ale doktor Chigwell był najbardziej zaufanym współpracownikiem pana Humboldta przez pięćdziesiąt lat. Może ktoś taki jak pani nie potrafi tego docenić, ale pomyśl, że doktor Chigwell okłamuje pana Humboldta, jest kompletnie niedorzeczny.

- Jeszcze jedno słowo, zanim w świątym oburzeniu rzuci pani słuchawkę. Ktoś okropnie oszukał pana Humboldta co do prawdziwej natury procesu, który Pankowski i Ferraro wytoczyli Xerxesowi. Moja nieufność wobec tej ostatniej rewelacji bierze się stąd właśnie.

Zaległa cisza, a potem sekretarka odezwała się niechętnie:

- Wspomnę o tej sprawie panu Humboldtowi. Ale bardzo wątpię, czy zechce z panią rozmawiać.

To było wszystko, co mogłam od niej uzyskać. Dumalam nad telefonem jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co powiedziałabym Humboldtowi podczas spotkania. Bezowocnie. Zamknęłam biuro i pojechałam do sklepiku żelaznego przy Diversey. Przez telefon nie chcieli ze mną gadać, ale widząc, że gotowa jestem urządzić im pyskówkę przy ludziach, zaprosili mnie na zaplecze i niechętnie wypisali drugi czek. Plus dziesięć dolarów za kłopoty z pierwszym. Wpłaciłam zaraz pieniądze do banku i pojechałam do domu.

Weszłam tylnym wejściem i udało mi się ominąć pana Contrerasa i Peppy. Powędrowałam do kuchni, by skontrolować zapasy żywności. Nadal były mizerne. Nasypałam do miseczki trochę prażonej kukurydzy i zabrałam z sobą do salonu. Popcorn i wołowinka z puszki - mniem, mniem.

Czwarta trzydzieści to straszna pora na znalezienie czegoś w telewizji - przeskakiwałam z

teleturniejów, na *Ulicę Sezamkowa* i błyszczącą od tłuszczu bużkę z *Oszczędnego smakosza*. W końcu wyłączyłam szklane pudło z odrazą i sięgnęłam po telefon.

Chigwellowie umieszczeni byli w książce pod imieniem Clio. Odebrała po trzecim sygnale, odzywając się z dystansem, nieprzychylnie. Tak, pamiętała, kim byłam. Nie sądziła, żeby jej brat zechciał ze mną rozmawiać, ale w każdym razie poszła się dowiedzieć. Nie chciał.

- Proszę posłuchać, panno Chigwell. Nie znoszę być takim natrętem, ale jest coś, co chciałabym wiedzieć. Czy w ostatnich dniach odwiedził doktora Gustav Humboldt?

Była zaskoczona.

- Skąd pani wie?

- Nie wiem. Jego sekretarka przekazała mi pewną informację, którą Humboldt uzyskał rzekomo od pani brata. Jestem ciekawa, czy jej sobie nie wymyślił.

- A o jaką informację chodzi?

- Że Joey Pankowski był ojcem Caroline Djiak.

Poprosiła mnie o wyjaśnienie, kim były te osoby, a potem poszła skonsultować to z bratem. Nie było jej przez kwadrans. Skończył mi się popcorn. Zrobiłam parę ćwiczeń nóg, leżąc ze słuchawką przy uchu, aby słyszeć, kiedy panna Chigwell wraca.

Odezwała się zniecka.

- Mówi, że znał Pankowskiego i że matka dziewczyny opowiedziała mu o tym człowieku zaraz po zatrudnieniu się w fabryce.

- Rozumiem - odrzekłam bezsilnie.

- Problem polega na tym, że trudno jest spędzić z kimś całe życie i nie wiedzieć, kiedy ten ktoś kłamie, a kiedy nie. Nie umiem ocenić ile Curtis zmyślił w tej historii, ale jedno wiem - gotów byłby oświadczyć wszystko, czegokolwiek Humboldt by zażądał.

Kiedy mocowałam się z wprowadzeniem tej informacji do steranego mózgu, uderzyło mnie coś jeszcze.

- Dlaczego pani mi to mówi, panno Chigwell?

- Sama nie wiem - odpowiedziała zdziwiona. - Może po siedemdziesięciu dziewięciu latach mam już dość Curtisa kryjącego się za moimi plecami. Żegnam. - Urwała rozmowę nagłym kliknięciem.

Sobotę spędziłam na gorączkowym głowieniu się nad Humboldtem i Chigwellem, ale nie

mogłam znaleźć żadnego powodu, dla którego mieliby pichcić taką historyjkę o Louisie i Joeyu. Nie wymyśliłam sposobu na dobranie się do nich. Więc kiedy w niedzielę zadzwonił Murray Ryerson, kierownik działu kryminalnego w *Herald-Star*, zgodziłam się z nim spotkać. Jeden z jego ludzi wygrzebał gdzieś informację, że Nancy Cleghorn i ja chodziłyśmy razem do liceum.

Murray kibicuje koszykarzom z De Paul. Albo raczej bzikuje na ich punkcie. I chociaż ja żyję - i umieram - co roku dla Cubsów i baseballu oraz zachowuję tęskne wspomnienie o Otisie Wilsonie z Bearsów, to nie obchodzi mnie za bardzo, czy Błękitne Demony rzucą kolejny kosz. W Chicago to okropna herezja - to tak jakby przyznać, że nie znosi się irlandzkiego ubawu w dzień Świętego Patryka. Więc zgodziłam się przyjechać do hali Horizon i obejrzeć, jak patałaszą z Indianą, Loyolą czy jeszcze z kimś innym.

- W każdym razie - powiedział Murray - będziesz mogła sobie usiąść i powspominać, jak ty i Nancy rozgrywałyście te same akcje, tylko lepiej. To doda barw twojej relacji o tamtych czasach.

De Paul przegrał w samej końcówce, co wywołało lawinę komentarzy Murraya. Wyzywał od najgorszych młodego Joeya Meyera i cały atak przez równą godzinę czekania w kolejce samochodów wyjeżdżających z parkingu na autostradę. Dopiero kiedy znaleźliśmy się w EtheFs, litewskiej restauracji w północno-zachodniej części miasta, a Murray napełnił swe cielsko paroma tuzinami pierożków z kapustą, mogliśmy przystąpić do sedna naszego spotkania.

- No więc dlaczego zajmujesz się śmiercią Cleghorn? - zagadnął od niechcienia. - Rodzina cię wynajęła?

- Gliny dostały cynk, że to ja wysłałam ją na śmierć.

Spokojnie przełknęłam kolejnego pulchnego pierożka. Rano trzeba będzie przebiec ze dwadzieścia kilometrów, żeby zrzucić to z siebie.

- Daj spokój. Słyszałem chyba od tuzina ludzi, że wędzysz w tamtej okolicy. O co chodzi?

Potrząsnęłam głową.

- Powiedziałaś ci. Oczyszczam się z zarzutów.

- Tak, a ja jestem sułtanem Detroit.

Uwielbiam sytuacje, kiedy mówię Murrayowi prawdę, a on jest przekonany, że to wielki pic-mam wtedy doskonałą pozycję przetargową. Niestety, tym razem nie było wiele do handlowania. Policja odwiedziła Steve'a Dresberga, jego szczekaczkę Leona Haasa, kilkunastu innych wybitnych obywateli South Chicago, z dawnymi kochankami Nancy włącznie, i nie znalazła niczego, co

uznano by za prawdziwy ślad.

Murray zmęczył się w końcu tą grą uników.

- Wydaje mi się, że wystarczy, jeśli zamieścimy krótką, wzruszającą historię o Nancy i tobie w szkole, jak jadłyście przy jednym stole, wkuwałyście razem łącinę, a jednocześnie byłyście ozdobą najlepszej kobiecej drużyny w regionie. Nie mogę przeboleć, że daję cię do druku, choć wcale nie zasłużyłaś, ale to pomoże prokuratorowi zapamiętać nazwisko Nancy.

- Wielkie dzięki, Murray.

Kiedy podwiózł mnie do domu przy Racine, przesiadłam się do własnego samochodu i wyruszyłam do Hinsdale. Rozmowa z Murrayem nasunęła mi pewien brzydki pomysł na przyciśnięcie Chigwella.

Dochodziła siódma, kiedy zadzwoniłam do drzwi, nie najlepsza pora na domową wizytę. Otworzyła mi panna Chigwell. Staralam się przybrać wygląd poważny i godny zaufania. Jej surowe oblicze nie pozwoliło mi odgadnąć, czy mi się powiodło.

- Curtis nie będzie z panią rozmawiał - powiedziała oschłym tonem, nie wykazując zdziwienia moim przybyciem.

- Proszę spróbować z nim inaczej - zaproponowałam poważnie i szczerze. - Fotografia na pierwszej stronie *Herald-Star* i kilka miłych sercu epizodów z kariery lekarskiej.

Spojrzała na mnie zimno. Nie rozumiałam, dlaczego po prostu nie zatrasnęła mi drzwi przed nosem. A fakt, że poszła przekazać wiadomość, zaskoczył mnie jeszcze bardziej. To przypomniało mi pewne starsze wiekiem kuzynostwo mojego kochanego eks-męża Dicka, dwóch braci i siostrę, którzy mieszkali razem. Jakieś trzynaście lat wcześniej bracia pokłócili się i przestali rozmawiać ze sobą, więc kiedy siedząc przy stole, prosili o podanie soli, marmolady czy dzbanka z herbatą, to zwracali się o pośrednictwo do siostry, a ta posłusznie przekazywała prośbę dalej.

Jednakże doktor wyszedł tym razem do drzwi osobiście, nie powierzając siostrze marmolady. Z głową wysuniętą w przód wyglądał jak nastroszony indyk.

- Słuchaj no, młoda panno. Ja nie muszę obawiać się żadnych gróźb. Jeśli nie odejdziesz stąd w ciągu trzydziestu sekund, wezwę policję i im będziesz tłumaczyła powody tych przesładowczych awantur.

Trafił. Mogłam sobie wyobrazić, jak opowiadam gliniarzowi na podmiejskim posterunku, albo nawet Bobby'emu Mallory'emu, że jeden z dziesięciu najbogatszych ludzi w Chicago okłamuje

mnie i wciąga do zmowy starego lekarza z fabryki. Z rezygnacją pochyliłam głowę.

- Już sobie idę. Reporter, który wpadnie do pana rano, nazywa się Murray Ryerson. Opowiem mu o pańskich dawnych przygodach z medycyną i w ogóle.

- Wynoś się! - Jego głos przeszedł w syk, który zmroził mi krew. Wyniosłam się.

ROZDZIAŁ 17

Nagrobny blues

Pogrzeb Nancy został wyznaczony na jedenastą rano w poniedziałek, w kościele metodystów, do którego chodziłam jako dziecko. Zdaje się, że spędzam zbyt wiele czasu na pogrzebach - mam taki granatowy kostium, który kojarzy mi się z nimi tak mocno, że nie mogłabym go włożyć na żadną inną okazję. Marudziłam przy wciąganiu rajstop i bluzki, nie mogąc pozbyć się nedorzecznego uczucia, że włożenie kostiumu uczyni śmierć Nancy ostateczną.

Nie potrafiłam skupić się na niczym, na Chigwellu, Humboldcie, na układaniu planu naprowadzenia policji na trop zabójcy Nancy, nawet na porządkowaniu papierów rozwleczonych po całym salonie. Stwierdziłam to z samego rana, kiedy mając parę godzin w zapasie, próbowałam trochę ogarnąć bałagan. Byłam jednak za bardzo rozbita, aby wprowadzać ład wokół siebie.

Dziesięć po dziesiątej, ni stąd, ni zowąd, wciąż jeszcze w bieliźnie, odszukałam numer biura Humboldta i zadzwoniłam. Obojętna telefonistka przełączyła mnie do jego sekretarki, ale odezwał się nie Clarissa Hollingsworth, lecz jej asystentka. Kiedy spytałam o pana Humboldta, po pewnych targach oddała słuchawkę panie Hollingsworth.

Zimny alt powitał mnie protekcyjnie.

- Nie miałam okazji spytać pana Humboldta, czy panią przyjmie, panno Warshawski. Upewnij się, czy dotarła do niego wiadomość, on nie przychodzi tu codziennie.

- Aha, nie przypuszczam również, żeby dzwoniła pani do niego do domu na konsultacje. Gdyby jednak tak było, to proszę dodać do poprzedniej wiadomości, że widziałam się wczoraj wieczorem z doktorem Chigwellem.

Zakończyła rozmowę okrągłą formułką ogłoszoną w takim tempie, że odpowiadałam jej krzyżąc już w głuchą słuchawkę. Ubrawszy się roztrzęsionymi rękami, jeszcze raz pojechałam na południe.

Kościół metodystów Góra Oliwna został wybudowany na przełomie wieków. Jego szerniałe ławy o wysokich oparciach oraz wielka rozeta przywoływały czasy, kiedy wypełniony był kobietami w długich sukniach i dziećmi w wysokich bucikach zapinanych na guziki. Obecnej

kongregacji nie było stać na odnowienie witraży ukazujących Jezusa na Kalwarii. W miejscach, gdzie ascetyczna twarz Chrystusa była uszkodzona, wstawiono kawałki zbrojonego szkła, co sprawiało wrażenie, jakby Jezus cierpiał na jakieś ostre zapalenie skóry.

Czterej bracia Nancy stali przy drzwiach, witając przybyłych, a dzieci w przednich rzędach szturchały się i przepychały pomimo bliskości udrapowanej urny z prochami ich ciotki. Chrapliwie szeptane wyzwiska słyhać było w całym kościele i stłumiły je dopiero melancholijne akordy organów.

Podeszłam do przodu, aby przywitać się z panią Cleghorn. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Przyjdź po nabożeństwie do domu - szepnęła. - Napijemy się kawy i porozmawiamy.

Poprosiła, abym usiadła obok, spoglądając z niesmakiem na wnuki. Wymówiłam się delikatnie - nie chciałam być buforem między nią a tymi splecionymi w zapaśniczych przepychankach potworkami. Zresztą wolałam przesunąć się do tyłu, żeby widzieć, kto się pojawi. To oklepany stereotyp, ale mordercy często rzeczywiście nie mogą powstrzymać się od przychodzenia na pogrzeby swych ofiar. Może pokutuje w tym pierwotny przesąd, że trzeba upewnić się, czy dana osoba naprawdę umarła, naprawdę została pogrzebana, a jej duch nie będzie bezdomny.

Gdy usiadłam w pobliżu wyjścia, wpadła Dianę Logan, olśniewająca w swych srebrnych lisach. Otarła się o mój policzek, uściśniła rękę i skierowała w głąb nawy.

- Kto to był? - jakiś głos mruknął mi do ucha. Wzdrygnęłam się i obróciłam. To sierżant McGonnigal udawał żałobnika w ciemnym ubraniu. A więc policja też była bezradna.

- Grała kiedyś w koszykówkę razem z Nancy i ze mną. Ma teraz firmę reklamową - wyszeptałam przez ramię. - Nie przypuszczam, żeby załatwiła Nancy, dwadzieścia lat temu potrafiła ją ograć. A dzisiaj też, jakby się zastanowić. Nie znam tu wszystkich, proszę mi tylko powiedzieć, kto jest mordercą.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Kiedy zobaczyłem cię tutaj, pomyślałem, że moje kłopoty się skończyły - bo właśnie ta mała polska bohaterka ucapi mordercę przed samym ołtarzem.

- To kościół metodystów - mruknęłam. - Oni chyba tego nie nazywają ołtarzem.

Wraz z grupą ludzi, których widziałam w biurze SCRAP-u, wmaszerowała hałaśliwie Caroline. Mieli w sobie cudowną żarliwość osób, które nieczęsto znajdują się na poważnych uroczystościach. Miedziane loki przyczesalała starannie, co dawało pozór schludności. Ubrana była

w czarną sukienkę, uszytą na znacznie wyższą kobietę, Wiązki fałd u dołu naznaczały linię, gdzie fastrygowała podwinięty materiał ze zwykłą sobie gorączkową nieporadnością. Jeśli mnie zobaczyła, nie dała tego po sobie poznać, przesuwając się z oddziałem SCRAP-u do ławek w połowie nawy.

Za nimi weszła gromadka starszych kobiet, zapewne koleżanek pani Cleghorn z miejscowej biblioteki. Kiedy mnie minęły, zauważyłam, jak nadszedł ich śladem młody, szczupły mężczyzna. Przyćmione światło obrysowało jego kanciastą sylwetkę. Rozejrzał się niepewnie dookoła, zauważył, że mu się przyglądam, i uciekł wzrokiem w drugą stronę.

To samokrytyczne zakłopotanie, z którym odwrócił głowę, uświadomiło mi, kim był. Młody Art Jurshak. Wykonał dokładnie taki sam bojaźliwy ruch, gdy rozmawiał ze starymi urzędnikami w biurze swego ojca.

W półmroku nie mogłam dostrzec jego pięknie rzeźbionych rysów. Wszedł do ławki na samym końcu rzędu.

McGonnigal poklepał mnie w ramię.

- Co to za mimoza? - zbulgotał.

Uśmiechnęłam się rozanielona i przyłożyłam palec do ust - organy zaczęły grać głośniejsze, zaznaczając nadejście celebranta. Zaczęliśmy śpiewać „Pozostań przy mnie” w tak wolnym tempie, że przy każdym akordzie musiałam nabierać tchu.

Pastor był niskim, korpulentnym mężczyzną z resztkami ciemnych włosów szesanych w dwa równe rządki po obu stronach pomarszczonego czoła. Wyglądał jak kaznodzieja telewizyjny, na widok którego przewraca się człowiekowi w żołądku, ale kiedy przemówił, zdałam sobie sprawę, jak paskudnie myliłam się, osądzając go na podstawie powierzchowności. Musiał dobrze znać Nancy i mówił o niej z porywającą siłą. Poczulałam znowu skurcz w gardle i odchyliłam się w ławce, aby kontemplować belki sklepienia. Drewno było pomalowane na niebiesko i ozdobione zbitym ornamentem, rozpowszechnionym w wiktoriańskich kościołach. Dzięki skupieniu się na koronkowych wzorach zdołałam na tyle przyjść do siebie, że zaintonowałam wraz z innymi końcowy hymn.

Obserwowałam młodego Artę. Całe nabożeństwo przesiedział przycupnięty na krawędzi ławki, trzymając się kurczowo oparcia przedniego rzędu. Wraz z wybrzmieniem ostatnich bolesnych akordów „W niebieskiej miłości mieszkając” wysunął się z ławki i ruszył do wyjścia. Dogoniłam

go na schodkach, gdzie przestępował nerwowo z nogi na nogę, nie mogąc uwolnić się od pijanego żebraka. Aż podskoczył, kiedy dotknęłam jego ramienia.

- Nie wiedziałam, że przyjaźniłeś się z Nancy - zagadnęłam. - Nigdy mi o tobie nie wspominała.

Wymamrotał coś, co brzmiało jak: „słabo ją znałem”.

- Nazywam się Warszawski. Nancy i ja grałyśmy razem w szkole i na studiach w koszykówkę. W zeszłym tygodniu widziałam cię w biurze Dziesiątej Gminy. Jesteś synem Arta Jurshaka, prawda?

Na to jego rzeźbiona w marmurze twarz stała się jeszcze bardziej biała. Bałam się, że zemdleje. Mimo że był szczuplej postury nie miałam pewności, czy zdołam uchronić go przed upadkiem.

Pijaczek, który przysłuchiwał się nam z zainteresowaniem, podsunął się bliżej.

- Pani przyjaciel kiepsko wygląda, lady. Może by tak pięćdziesiątka na kawę, jedną dla niego, jedną dla mnie?

Stanowczo odwróciłam się do niego plecami i chwyciłam Arta pod rękę.

- Jestem prywatnym detektywem i staram się zbadać sprawę śmierci Nancy. Skoro byliście przyjaciółmi, to chciałabym z tobą pogadać. O jej powiązaniach z biurem twego ojca.

Potrząsnął niemo głową, a jego niebieskie oczy pociemniały ze strachu. Po długiej wewnętrznej walce wydawał się o krok od przełamania się i rozpoczęcia rozmowy. Niestety, w chwili kiedy otwierał usta, pozostali uczestnicy nabożeństwa zaczęli opuszczać kościół. Art wyszarpnął łokieć z uścisku i pobiegł pędem w dół ulicy.

Chciałam go gonić, ale potknęłam się o pijaka. Wstając z ziemi, skłęłam go z góry na dół. Ten nie pozostawał mi dłużny, ale urwał nagle, zauważywszy obecność McGonnigala. Lata spędzone na potyczkach z policjantami wyrobiły w nim szósty zmysł rozpoznawania ich nawet po cywilnemu.

- Czego ten rudzielec się tak boi, Warszawski? - zapytał sierżant, nie zwracając uwagi na żebraka.

Patrzyliśmy, jak wsiada do samochodu, starego chryslera, który stał na końcu ulicy, i odjeżdża z piskiem opon.

- To ja działałam tak na mężczyzn - odparłam krótko. - Wpadają w szal. Znalazłeś mordercę?

- Nie wiem. Ten piękniś był jedyną osobą, która zachowywała się podejrzanie. Czy mogłabyś

postąpić jak przystało na porządną obywatelkę i podać mi jego nazwisko?

Odwrociłam się do niego.

- Żadna tajemnica, jest naprawdę dobrze znane w tych okolicach. Art Jurshak.

McGonnigal zacisnął usta.

- To, że Mallory jest moim szefem, nie upoważnia cię do urządzania sobie ze mnie takich kpin, jak to robisz wobec niego.

Uniosłam w górę prawą rękę.

- Słowo skauta, sierżancie. Jurshak jest jego starym. Młody Jurshak właśnie zaczął pracować w jego agencji, biurze czy czymś w tym rodzaju. Kiedy go dopadniecie, proszę nie używać gumowej pałki - nie wydaje mi się, żeby miał w sobie za dużo pary.

McGonnigal skrzywił się rozwścieczony.

- Nie obawiaj się, Warszawski. On ma lepszą ochronę od swojej delikatnej skóry. Nie zburzę mu kędzierzawej fryzurki... Idziesz na kawę do Cleghorn? Słyszałem, jak kilka tych starszych dam mówiło, co zamierzają ze sobą przynieść. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli wśliznę się razem z tobą?

- My, małe polskie bohaterki, urodziłyśmy się, żeby pomagać policji. Proszę ze mną.

Uśmiechnął się krzywo i przytrzymał otwarte drzwi samochodu.

- Tak ci to dojadło, Warszawski? Przepraszam - nie jesteś znowu taka mała.

Kiedy dotarliśmy do domu przy Muskegon, zebrała się już tam garstka gości. Pani Cleghorn, z makijażem rozmazanym w zaschniętych strużkach łez, pozdrowiła mnie ciepło i uprzejmie przyjęła McGonnigala. Stałam, rozmawiając z nią przez chwilę w małym przedpokoju, a tymczasem sierżant powędrował w głąb domu.

- Kerry zabrała dzieci do siebie, więc dzisiaj będzie trochę spokojniej - powiedziała. - Kiedy przejdę na emeryturę może przeniosę się do Oregonu.

Objęłam ją.

- Jechać na drugi koniec kraju, żeby wymigać się od roli babci? Może powinna pani po prostu zmienić zamki - to byłoby mniej drastyczne.

- Zdaje się, że skoro tak mówię, to dowodzi, jak bardzo jestem załamana, Victorio. Nigdy nie chciałam, żeby ktokolwiek się dowiedział, co myślę o dzieciach moich synów. - Urwała na chwilę, po czym dodała z wahaniem: - Jeżeli chciałabyś porozmawiać z Ronem Kappelmanem o... o Nancy

albo tak w ogóle - jest w salonie.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Poszła otworzyć, a ja tymczasem udałam się do salonu. Nigdy nie widziałam Rona Kappelmana, ale nie miałam żadnych kłopotów z jego rozpoznaniem, gdyż był jedynym mężczyzną w pokoju. Mniej więcej w moim wieku, może trochę starszy, krępy, z ciemnobrązowymi włosami obciętymi krótko przy skórze, miał na sobie szarą tweedową marynarkę, wyświeconą na kołnierzu i mankietach, oraz sztruksowe spodnie. Siedział z boku, na okrągłym pufie, przerzucając obojętnie kartki starego numeru *National Geographic*.

W salonie znajdowały się cztery kobiety, te same, o których pomyślałam w kościele, że są koleżankami pani Cleghorn z biblioteki. Siedziały w drugim końcu pokoju, szepcząc do siebie. Spojrzały na mnie i stwierdziwszy, że jestem im nieznana, wróciły do ściszonych pogaduszek.

Przysunęłam sobie krzesło. Spojrzał na mnie, zrobił strapioną minę i odrzucił pismo na stolik.

- Ja wiem - powiedziałam przyjaźnie. - To bolesne rozmawiać z obcymi o takiej sprawie. Nie robiłabym tego, gdyby nie przekonanie, że mógłby mi pan pomóc.

Uniósł brwi.

- Wątpię, ale proszę spróbować.

- Nazywam się Victoria Warshawski. Jestem starą przyjaciółką Nancy. Jakiś czas temu grałyśmy razem w koszykówkę. Właściwie to długi czas temu.

Nie mogę pojąć, że tak prędko zaczęły biec lata po moich trzynastych urodzinach. Nie tak znowu dawno byłyśmy z Nancy na studiach.

- Jasne. Wiem, kim pani jest. Nancy mówiła o pani wielokrotnie, mówiła, że ratowała ją pani przed utratą zmysłów, kiedy byłyście razem w szkole. Jestem Ron Kappelman, ale zdawał o mi się, że pani mnie rozpoznała, wchodząc tutaj.

- Czy Nancy mówiła ostatnio o tym, że jestem prywatnym detektywem? Nie widziałam jej przez dość długi czas, ale jakiś tydzień temu byłyśmy razem na spotkaniu naszej starej drużyny koszykarskiej.

- Tak, wiem - wtrącił. - Później my mieliśmy zebranie. Mówiła o tym.

W pokoju zaczynało być gwarно. Mimo że ludzie starali się mówić ściszymi głosami, nie było dość miejsca, aby wchłonać taką liczbę osób i dźwięków. Ktoś stojący nade mną zapalił papierosa i poczułam, jak gorący popiół ląduje na okrągłym kołnierzyku mojego bolerka.

- Czy moglibyśmy pójść gdzieś porozmawiać? - spytałam. - Do dawnego pokoju Nancy albo

do baru, gdziekolwiek? Próbuję rozwiązać zagadkę jej śmierci, ale zdaje się, że brakuje mi nitki, za którą mogłabym pociągnąć. Liczyłam, że pan mógłby mi coś powiedzieć.

- Proszę mi wierzyć, gdybym sądził, że mam jakiś sensacyjny trop, pognałbym na policję jak rakietą. Ale będę zadowolony, jeśli stąd wyjdziemy.

Przepchnęliśmy się przez ciżbę i wyszliśmy po złożeniu pani Cleghorn gorących wyrazów współczucia. Serdeczność, z jaką zwracała się do Kappelmana, mogła wskazywać, że on i Nancy pozostawali w dobrych stosunkach. Zastanowiło mnie przelotnie, co się stało z McGonnigalem, ale był przecież starym gliną i sam potrafił sobie radzić.

- A dlaczego by nie pojechać do mnie na Pullman? - zaproponował Kappelman na dworze. - W pobliżu nie ma żadnej czystej i spokojnej kawiarni. Jak zapewne pani wie.

Dojechałam w ślad za jego zdezelowanym rabbitem bocznymi ulicami do St o Trzynastej i Langley. Zatrzymał się przed jednym z tych schludnych szeregowych domków z czerwonej cegły, które stoją wzdłuż ulic Pullman, domów z surowym frontonem i gankiem, przywodzących na myśl obrazki z Filadelfii z czasów podpisywania Konstytucji.

Czyste, dobrze utrzymane obejście nie przygotowało mnie jednak wystarczająco na widok drobiazgowo odrestaurowanego wnętrza. Ściany pokrywała jasna tapeta o kwiecistym wiktoriańskim wzorze, boazerie ciemniały orzechowym drewnem, a starannie wykończoną podłogę z desek pokrywały dywany, które wraz z meblami były doskonale utrzymane w stylu epoki.

- Co za przepych - westchnęłam przytłoczona efektem. - Czy pan sam to urządził?

Skinął głową.

- Stolarka jest moim hobby - dobra odmiana po całych dniach użerania się z tymi matołami w pracy. Wszystkie meble wygrzebałam na pchlich targach.

Poprowadził mnie do małej kuchni. Posadzka i blaty szafek wyłożone były włoską terakotą, a na ścianach lśniły denka miedzianych garnków. Usadawiłam się na wysokim stołku przy kontuarze, a on stanął po drugiej stronie i zajął się przyrządzaniem kawy.

- Więc kto zwrócił się do pani o zbadanie okoliczności śmierci Nancy? Jej matka? Nieprzekonana co do tego, że policja odważy się naprzykrzać tutejszym politykom i przestrzegać nieubłaganych reguł sprawiedliwości? - Łypnął na mnie okiem, zręcznie składając maszynkę.

- Nie. Jeśli choć trochę zna pan panią Cleghorn, to wie pan, że nie pała żądzą zemsty.

- Więc kto jest pani klientem?

Odwrócił się do lodówki i wyjął kolejno śmietankę oraz talerz z rogalikami.

Bezmyślnie gapiłam się na jego spodnie opinające ciasno tyłek przy pochyleniu. Szew zaczynał się pruć. Jeszcze parę takich skłonów, a sytuacja stanie się ciekawa. Wspaniałomyślnie powstrzymałam się od zrzucenia talerza na podłogę i odczekałam, aż Kappelman stanął do mnie przodem.

- Moi klienci opłacają w ramach usługi również dyskrecję. Gdybym wypaplała panu ich sekrety, czyż mogłabym oczekiwać, że pan wygada się ze swoimi?

- Ja nie mam żadnych sekretów. Przynajmniej takich, które związane są z Nancy Cleghorn. Jestem radcą prawnym SCRAP-u. Pracuję dla wielu społecznikowskich grup - zagadnienia praw publicznych to moja specjalność. Z Nancy wspaniale się pracowało. Była zorganizowana, trzeźwa, wiedziała, kiedy walczyć, a kiedy odpuścić. W przeciwieństwie do jej szefowej.

- Caroline? - Trudno było sobie ją wyobrazić jako czyjegokolwiek szefa. - A zatem wszystkie pańskie kontakty z Nancy były czysto zawodowe?

Wycelował we mnie łyżeczką.

- Niech mnie pani nie próbuje kiwać, Warszawski. Ja grywam mecze z dużymi chłopcami. Śmietanki? To zdrowo, wie pani, wiąże się z kofeiną i chroni przed rakiem żołądka. - Ustawił przede mną ciężki fajansowy kubek i włożył talerz z rogalikami do kuchenki mikrofalowej. - Nie. Parę lat temu Nancy i ja mieliśmy przelotny flirt. Kiedy zaczynałem w SCRAP-ie. Ona wychodziła ze sporego dołka, a ja byłem rozwiedziony od dziesięciu miesięcy. Pocieszaliśmy się wzajemnie, nie mając sobie nic specjalnego do zaoferowania. Poza przyjaźnią, która jest na tyle cenna, że się jej nie niszczy. A już na pewno nie wali się obdarzanego nią człowieka po głowie i nie porzuca na bagnach.

Wyjął z piecyka rogaliki i wspiął się na stół przy końcu kontuaru po lewej. Wypiłam łyk mocnej kawy i wzięłam jagodziankę.

- Zostawię policji przepytывanie, co pan robił i gdzie był we wtorek o drugiej po południu. To, czego naprawdę chciałabym się dowiedzieć, dotyczy Nancy i jej przypuszczeń na temat tego, kto ją śledził. Czy sądziła, że ma na karku Dresberga? I czy to w ogóle miało jakiś związek ze stacją odzyskiwania rozpuszczalników?

- To teoria małej Caroline. - Skrzywił się. - Pomysł, który nadaje się tylko do śmieci. Nie najlepszy to pogląd jak na adwokata z jej ekipy. Prawda jest taka, że nie wiem. Oboje byliśmy

wściekli jak cholera po tym spotkaniu dwa tygodnie temu. Kiedy rozmawialiśmy we wtorek, Nancy powiedziała, że zajmie się polityczną stroną, spróbuje dowiedzieć się, czy i dlaczego Jurshak blokuje projekt. Ja pracowałem nad sprawami prawnymi, kombinując, jak dałoby się podejść MSD - Miejski Zarząd Sanitarny - i wyrwać od nich zgodę. A może nawet wciągnąć do gry stanowe i krajowe władze EPA.

W zamyśleniu zjadł drugiego rogalika i posmarował masłem trzeciego. Widząc jego napęczniały brzuch, odmówiłam propozycji dalszego poczęstunku.

- Więc nie wie pan, z kim rozmawiała z biurze Jurshaka?

- Miałem wrażenie, nieoparte na niczym konkretnym, że miała tam kochanka. Kogoś, z kim trochę wstydziła się pokazywać i nie chciała, żeby jej znajomi o nim wiedzieli, albo kogoś, o kim sądziła, że musi go chronić. - Zapatrzył się w dal, próbując znaleźć słowa do wyrażenia swych odczuć. - Odwoływanie umówionych kolacji, rezygnacja z chodzenia na hokejowe mecze Hawksów, na które mieliśmy karnety. Takie drobiazgi. Więc mogła od niego dostawać informacje, nie chcąc, abym ja o tym wiedział. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz - musiało to być tydzień temu - powiedziała, że jest na jakimś tropie, ale potrzeba jej więcej dowodów. Później już jej nie widziałem. - Urwał raptownie i pośpiesznie zajął się pić kawy.

- No dobrze, a co z Dresbergiem? Opierając się na tym, co pan wie o tutejszych układach, czy nie sądzi pan, że on mógł być przeciwko budowie stacji?

- Nie wydaje mi się. Chociaż z facetem takim jak on to nigdy nie wiadomo. Niech pani posłucha.

Odstawił filiżankę i pochyliwszy się nad kontuarem, zaczął opisywać operacje Dresberga, pomagając sobie zamaszystymi gestami. Na jego imperium składało się kontrolowanie wywozu śmieci, spalanie, składowanie i wysypiska. Zapobiegał jakimkolwiek próbom naruszenia monopolu, a nawet stawiania pytań. Stąd pogróżki pod adresem Caroline i Nancy, kiedy rok temu próbowały sprzeciwić się powstaniu nowej spalarni, która nie spełniała ustalonych norm.

- Ale stacja odzyskiwania rozpuszczalników nie ma nic wspólnego z jego operacjami - zakończył. - Xerxes i Glow-Rite w tej chwili po prostu wypuszczają ścieki do lagun. SCRAP nie robiłby nic innego poza ich przerobem.

Zastanowiłam się nad tym.

- Mógł w tym widzieć rozwój potencjalnego zagrożenia dla swych interesów w dalszej

przyszłości. A może chce, żeby SCRAP używał jego cystern do transportu?

- Gdyby tak było, zmusiłby ich do tego, a nie likwidował Nancy. Nie twierdę, że nie jest w to zamieszany. Taka stacja oczywiście leży w sferze jego zainteresowań. Ale nie wyciągałbym pochopnych wniosków.

Powiedziawszy to sobie, zeszliśmy w rozmowie na wspólnych przyjaciół z baru Illinois, na mojego kuzyna Bum-Buma, którego Kappelman kiedyś oglądał na meczach Hawksów.

- Nigdy już później nie było takiego gracza - wyznał z żalem.

- Komu pan to mówi. - Wstałam i włożyłam płaszcz. - Jeśli natknie się pan na coś dziwnego, coś, co mogłoby mieć związek ze śmiercią Nancy albo nie, proszę dzwonić, okay?

- Jasne.

Jego spojrzenie wydawało się trochę nieobecne. Wyglądało na to, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się, uścisnął mi dłoń i odprowadził do drzwi.

ROZDZIAŁ 18

W cieniu ojca

Nie miałam powodu nie wierzyć Kappelmanowi. Ale wierzyć też mu nie mogłam. Facet żył z przekonywania sędziów i zarządców, aby popierali społeczne organizacje, zamiast politycznych bokserów wagi ciężkiej, jak to się na ogół działo. Mimo popartych spodni i wyszmełowanej marynarki wydawał się dość przekonujący. Ale skoro Nancy i on byli takimi przyjaciółmi, jak twierdził, czy rzeczywiście możliwe, żeby nie miał bladego pojęcia o tym, czego dowiedziała się w biurze gminy?

Oczywiście, podejrzewanie Dresberga było z mojej strony mało oryginalne. Choćby dlatego, że uciekał się w przeszłości do pogróżek, miał pod ręką goryli i zainteresowany był przeróbką odpadów.

Lawirując bocznymi ulicami ruszyłam w stronę East Side, do urzędu gminy przy Avenue M. Było tuż po trzeciej i w biurze wrzało. W wejściu minęłam dwóch policjantów z patrolu. W głównej sali moi brzuchaci znajomi opędzali się przed tuzinem petentów dopraszających się łaski. Jeszcze inna para, zapewne robotników miejskich, po skończonym na dziś zmiataniu ulic grała przy oknie w warcaby.

Choć nikt w gruncie rzeczy nie zwrócił na mnie uwagi, rozmowy przycichły.

- Szukam młodego Arta - zwróciłam się przyjaźnie w stronę łysego, który podczas mojej pierwszej wizyty był ich rzecznikiem.

- Tu go nie ma - rzucił krótko, nie podnosząc wzroku.

- A kiedy się go spodziewacie?

Trzej urzędnicy wymienili milczące spojrzenia, które oglądałam już wcześniej, i uznali, że moje pytanie zasługuje na lekkie odchrząknięcie.

- Nie spodziewamy się - odparł łysior, wracając do swego klienta.

- Wiecie, gdzie jeszcze można by go poszukać?

- My tam za nim nie chodzimy. - Łysior rozwinął swoją wypowiedź, myśląc zapewne o spodziewanych czekach. - Czasami pokazuje się po południu, czasami nie. Dzisiaj go nie było, więc

może będzie. Nigdy nie wiadomo.

- Rozumiem. - Zabrałam z jego biurka *Sun-Timesa* i usiadłam na jednym z krzeseł stojących pod ścianą. Był to stary drewniany grząz, z resztkami żółtej farby, okropnie niewygodny. Przeczytałam odcinek powieści *Syha*, przeczuciłam kolumny sportowe i próbowałam zainteresować się ostatnim procesem Graylorda, kręcąc się na twardym siedzisku w poszukiwaniu pozycji, w której nic by mnie nie uwierało. Po jakiejś półgodzinie poddałam się i położyłam moją wizytówkę na biurku Łysiora. - Victoria Warshawski. Za jakiś czas będę z powrotem. Jeśli się miniemy, to proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił.

Poza jagodzianką u Kappelmana właściwie nic jeszcze dzisiaj nie jadłam. Doszłam do rogu Ewing, gdzie swojski bar reklamował podłużne buły - submariny - z rzymską pieczenią. Zamówiłam sobie jedną, a do tego kufelek. Nie jestem zdeklarowanym piwoszem, ale w takim miejscu wydawało się to bardziej odpowiednie niż dietetyczna cola.

Gdy wróciłam do urzędu, interesantów już prawie nie było z wyjątkiem grającej w warcabach pary w kącie. Łysior pokręcił przecząco głową, co miało oznaczać, jak sędzę, że młody Art się nie pojawił. Poczułam dumę z samej siebie - zaczynano traktować mnie jak swoją.

Wyjęłam z torby mały kołonotatnik. Żeby zabawić się podczas czekania, postanowiłam skalkulować wydatki, które poniosłam od czasu rozpoczęcia poszukiwań ojca Caroline Djiak. Zawsze zazdrościłam skrupulantom prowadzenia notatek, bo ja nie miałam nawet rachunków za posiłki czy benzynę. A już na pewno nie za renowację pantofli, która miała kosztować ze trzydzieści dolarów.

Dochodziłam właśnie do dwustu pięćdziesięciu, kiedy Art Jurshak wszedł charakterystycznym niepewnym krokiem. W jego twarzy było coś takiego, jakieś nagie pragnienie akceptacji ze strony tych starych zurnadniczących wycirusów, że zrobiło mi się głupio. Spoglądali na niego bez zmruczenia okiem, czekając, aż przemówi pierwszy. I w końcu się zламаł.

- Czy... czy była jakaś wiadomość od ojca? - Odruchowo oblizał wargi.

Łysior potrząsnął głową i wrócił do gazety.

- Ta pani chce z tobą mówić - oznajmił, zagłębiając się w lekturze *Sun-Timesa*.

Art nie zauważył mnie dotąd - był zbyt pochłonięty przeżywaniami zawodu doznanego od swych rozmówców. Rozejrzał się po sali i dostrzegł mnie, ale w pierwszej chwili nie rozpoznał. Zmarszczył wspaniale sklepienie czoła w chwilowym namyśle. Dopiero kiedy podszedł, aby

uścisnąć mi dłoń, przypomniał sobie nasze spotkanie. Było już jednak za późno, żeby ulotnić się bez narażenia na kompletną kompromitację.

- Gdzie moglibyśmy porozmawiać? - zagadnęłam rażno, ściskając jego rękę mocnym chwytem na wypadek, gdyby zdecydował się jednak wybrać upokorzenie.

Uśmiechnął się żałośnie.

- Na górze, jak sądzę. Ja... ja mam tam biuro.

Małe biuro. Weszłam za nim po schodach pokrytych linoleum do pomieszczenia z nazwiskiem jego ojca na drzwiach. Urzędowała tam jakaś brunetka w średnim wieku o starannie uczesanej fryzurze i w dobrze skrojonej sukience. Biurko było małą dżunglą kwiatów doniczkowych ustawionych wokół rodzinnych fotografii. Za jej plecami widniał dwoje drzwi, z których jedno opatrzone było ponownie nazwiskiem Arta seniora, a drugie pozostawały anonimowe.

- Twojego taty tu nie ma, Art - oznajmiła matczynym tonem. - Cały dzień siedzi na zebraniu rady. Na dobrą sprawę nie spodziewam się go przed środą.

Zarumienił się zdeprymowany.

- Dziękuję, pani May. Chciałem tylko na chwilę skorzystać z mego pokoju.

- Oczywiście, Art. Nie potrzebujesz przecież mojej zgody.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, licząc, że zmusi mnie tym do wyjawienia nazwiska. Pomyślałam, że byłoby to małe, ale znaczące zwycięstwo Arta, gdyby nie dowiedziała się, kogo zaprosił. Uśmiechnęłam się, nic nie mówiąc, ale nie doceniłam jej uporu.

- Jestem Ida Maiercyk, ale wszyscy mówią do mnie pani May - rzuciła, gdy przechodziłam obok.

- Miło mi. - Uśmiechając się nieprzerwanie, minęłam ją w drodze do drzwi, przed którymi stał zrozpaczony Art. Miałam nadzieję, że panią May skręca z bezradnej wściekłości, ale nie odwróciłam się, żeby to sprawdzić.

Art pstryknął włącznik w ścianie i oświetlił jedno z najbardziej surowych wnętrz, jakie widziałam poza klasztorem. Znajdował się tam stół z płyty paździerzowej oraz dwa składane krzeselka. Nic więcej. Nie było nawet szafy na akta, które mogłyby stworzyć pozory pracy. Mądry radny dobrze wie, że nie należy żyć lepiej niż ludność, która go utrzymuje, zwłaszcza jeśli jej połowa jest bezrobotna, ale ten widok był wprost obrażający. Nawet sekretarka opływała przy nim w luksusy.

- Czemu się na to godzisz? - spytałam ostro.

- Na co? - Znów się zarumienił.

- No wiesz, na tę zawistną babę traktującą cię jak zdebilalego dwulatka. Na tych cwaniaków z dołu, którzy tylko czekają, żeby cię pożreć. Dlaczego nie poszukasz sobie posady w jakiejś innej agencji?

Potrząsnął głową.

- Te sprawy nie są takie proste, jak pani się wydaje. Ukończyłem studia dopiero dwa lata temu. Gdybym... gdybym udowodnił mojemu tacie, że potrafię poradzić sobie z niektórymi z jego obowiązków... - Głos ugrzął mu w gardle.

- Jeśli przesiadujesz w tym biurze, licząc na aprobatę ojca, to możesz tu spędzić resztę życia - stwierdziłam brutalnie. - Jeśli nie chce ci jej okazać, to niczym go nie przekonasz. Lepiej daj sobie spokój, bo tylko bardziej się pogrążasz, a to nie robi na nim dobrego wrażenia.

Uśmiechnął się do mnie blado, na co miałam ochotę wziąć go za kark i mocno potrząsnąć.

- Nie wie pani nic ani o nim, ani o mnie, więc c nie ma pani pojęcia, o czym mowa. Ja jestem po prostu... zawsze byłem... po prostu zbyt wielkim rozczarowaniem. Ale to nie ma nic wspólnego z pani sprawą. Jeśli jesteśmy tu, aby rozmawiać o Nancy Cleghorn, to nie potrafię powiedzieć nic więcej, niż powiedziałem rano.

- Ty i ona byliście kochankami, prawda? - Zastanawiało mnie, czy uroda Art'a mogła wynagrodzić Nancy jego niedojrzałość i niezdecydowanie.

Bez słowa potrząsnął przecząco głową.

- Nancy miała tu kochanka i nie chciała, aby ktokolwiek z jej znajomych o tym wiedział. Nie wydaje się zbyt prawdopodobne, żeby był nim Moe, Curly czy Larry z dołu. Albo nawet pani May - Nancy miała jednak lepszy gust. A poza tym, jaki inny mógł być powód twojej obecności na pogrzebie?

- Może zwyczajnie miałem szacunek dla tego, co robiła dla tutejszej społeczności - wymamrotałam.

Pani May otworzyła drzwi bez pukania.

- Potrzeba wam czegoś? Jak nie, to wychodzę. Chcesz zostawić ojcu jakąś wiadomość o waszym spotkaniu, Art'?

Spojrzał na mnie bezradnie przez sekundę, po czym jeszcze raz potrząsnął niemo głową.

- Dziękuję, pani May - powiedział miękko. - Miło było panią widzieć.

Strzeliła we mnie jadowitym wzrokiem i zatrzasnęła drzwi. Widziałam jej cień zarysowany na szybie. Wahała się, rozważając możliwości ewentualnej akcji odwetowej, lecz po chwili sylwetka zbladła, a zatem pani May odtrąbiła odwrót.

- Jeśli nie chcesz rozmawiać o swych stosunkach z Nancy, to może mógłbyś przekazać mi informacje na temat udziału wielkiego Arta w sprawie stacji SCRAP-u. Te informacje, które ujawniłeś Nancy.

Kurczowo chwycił krawędź paździerzowego stołu i spojrzał na mnie błagalnie.

- Nic jej nie powiedziałem. Prawie jej nie znałem. I nie wiem, co mój tata robi w sprawie ich stacji. A teraz, czy może pani już sobie iść? Byłbym szczęśliwy jak... jak każdy, gdyby pani znalazła mordercę, ale proszę przyjąć do wiadomości, że nic nie wiem.

Ogarnęło mnie zniechęcenie. Był zdenerwowany, ale z pewnością cią nie ja byłam tego powodem. Musiał być kochankiem Nancy. Musiał. W innym razie nie przychodziłby rano do kościoła. Ale nie widziałam żadnego sposobu na wzbudzenie w nim dostatecznego zaufania, aby zechciał o tym mówić.

- Tak, zdaje się, że powinnam sobie iść. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy dobrze znasz Leona Haasa?

Spojrzał na mnie obojętnie.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- A Steve'a Dresberga?

Jego twarz zupełnie zbladła i osunął się zemdłony na ziemię.

ROZDZIAŁ 19

Masz tam nie wracać

Zanim przyjechałam do domu, zapadł zmierzch. Zostałam w South Chicago na tyle długo, aby upewnić się, że młody Art był w stanie kierować samochodem. Wydawało mi się niepotrzebnym okrucieństwem oddawanie go w łapy urzędasów z gminy, lecz mój miłosierny uczynek nie sprawił, by Jurshak stał się bardziej rozmowny. Zrezygnowana, zostawiłam go w końcu przed urzędem.

Jazda do domu nie przyniosła mi pocieszenia. Ociężałe poczłapałam chodnikiem do wejścia, przy mocowaniu się z zamkiem wewnętrznych drzwi wypadły mi klucze, a potem upuściłam je jeszcze raz, idąc na górę. Skonana, musiałam cofnąć się, aby ich poszukać. Zza drzwi pana Contrerasa rozległ się powitalny jazgot Peppy. Gdy wreszcie ruszyłam do siebie, usłyszałam szcęk otwieranego zamka. Zastygłam w oczekiwaniu na potok słów.

- To ty, laleczko? Właśnie wróciłaś? Pogrzeb tej twojej przyjaciółki, co? Ale nie byłaś chyba na pijaństwie, prawda? Ludziom się wydaje, że w ten sposób utopia swoje smutki, ale wierz mi, to tylko powoduje, że człowiek jest w jeszcze większym dołku niż na początku. Wiem coś na ten temat - nieraz próbowałam. Ale kiedy po śmierci Gary chwyciłem za kieliszek, to przypomniałem sobie, jak bardzo miała mi za złe chwiejne powroty z pogrzebów. Wtedy powiedziałem sobie, że jej tego nie zrobię. Po tych wszystkich razach, kiedy mówiła mi, jaki byłem głupi, gdy oplakując jakiegoś przyjaciela, byłem tak pijany, że nie potrafiłem poprawnie wymówić jego imienia.

- Nie - powiedziałam z wysiłonym uśmiechem, broniąc się przed psem, który usiłował mnie polizać. - Nie byłam na pijaństwie. Musiałam spotkać się z całą masą ludzi. Niezbyt przyjemne.

- No dobra. Idź na górę i weź gorącą kąpiel, laleczko. Przez ten czas trochę sobie odpoczniesz, a ja przygotuję kolacyjkę. Mam ładniutki kawałek steku, który trzymałem na lepszą okazję, ale skoro jesteś taka markotna, stek dobrze ci zrobi. Trochę krwistego mięska pobudzi krążenie, a życie od razu wyda ci się lepsze.

- Dzięki - powiedziałam. - To bardzo miło z pana strony, ale ja naprawdę...

- Nic z tego. Tobie się wydaje, że chciałabyś być sama, ale wierz mi, pączuszk, to właśnie jest

najgorsze. Jej królewska wysokość i ja nakarmimy cię, a jak już staniesz na nogi szepnij tylko słówko i już nas nie będzie.

Gdybym upierała się przy swoim, jego wyblakłe piwne oczy pociemniałyby z urazy, a widok ten sprawiłby mi przykrość. Przeklinając siebie w duchu za miękkie serce, wgramoliłam się po schodach do mieszkania. Pomimo kategorycznej przemowy mojego sąsiada pierwsze kroki skierowałam do butelki whisky, zrzucając pantofle i ściągając rajstopy przy odkręcaniu zakrętki. Pociągnęłam solidny łyk, który rozszedł się ciepłem po zmęczonym ciele.

Napełniwszy szklaneczkę, zabrałam ją z sobą do łazienki. Zrzuciłam na podłogę swój pogrzebowy kostium i weszłam do wanny. Zanim pan Contreras pojawił się ze stekiem, zdążyłam poczuć lekki rausz i takie rozluźnienie, jakiego nie spodziewałabym się po sobie jeszcze pół godziny temu.

Pan Contreras jadł już kolację; dla dotrzymania mi towarzystwa przyniósł więc butelkę grappy. Po parę kęsach przyznałam niechętnie - i tylko w myśli - że miał rację, mówiąc o jedzeniu: życie zaczynało wydawać się lepsze. Stek usmażony był w sam raz, chrupiąco przyrumieniony na zewnątrz, a krwisty w środku, do tego nieco frytek z czosnkiem. Talerz sałaty był świadomym ukłonem w stronę moich dietetycznych zmaganiań. Pan Contreras jako wdowiec stał się dobrym kucharzem, uczynił z gotowania swoje hobby - kiedy żyła żona, jego prace kuchenne ograniczały się do przynoszenia sobie piwa.

Kończyłam właśnie frytki, maczając je w soku z mięsa, kiedy zadzwonił telefon. Oddałam Peppy kość, na którą zerkiała - wcale o nią nie prosiła, ot tak, zwyczajnie miała ją na oku na wypadek, gdyby ktoś wpadł zniecka i chciał ukraść smaczny kęs - po czym podeszłam do pianina, gdzie zostawiłam aparat.

- Warszawski? - To był męski głos, zimny i chrapliwy. Nie znałam go.

- Tak.

- Chyba już czas, żebyś odpieprzyła się od South Chicago, Warszawski. Nie mieszkasz tam, więc nie masz już w tamtej okolicy nic do roboty.

Pożałowałam, że nie strzeliłam sobie trzeciej whisky i desperacko próbowałam zebrać strzępy myśli.

- A ty masz? - rzuciłam bezczelnie.

Zignorował mnie.

- Słyszałem, że nieźle pływasz, Warszawski. Ale taki pływak, co poradzi sobie w bagnie, jeszcze się nie narodził.

- Dzwonisz w imieniu Arta Jurshaka? Czy Steve'a Dresberga?

- Dla ciebie, Warszawski, to nieistotne. Bo jeżeli jesteś rozsądna to się odpieprzysz, a jeżeli nie - znajdziesz się za daleko stąd, żeby cię o to głowa bolała.

Odwiślał słuchawkę. Ugięły mi się lekko kolana. Przysiadłam na taborecie obok pianina, żeby ochłonać.

- Złe wiadomości, pączuszk?

Na ogorzałej twarzy pana Contrerasa malowało się uprzejme zatroskanie. Na dobrą sprawę jego obecność dzisiaj nie była taka zła.

- Zwyczajny bandzior w starym stylu. Przypomni mi, że Chicago jest światową stolicą śniętych ryb. - Próbowałam mówić lekkim tonem, ale żart zabrzmiał ciężiej, niż chciałam.

- Groził ci?

- W pewnym sensie.

Skrzywiłam się w uśmiechu, ale z irytacją zauważyłam, że drżą mi wargi. Obraz wybujałych bagiennych traw, błota, bezkształtnej pary wędkarzy i ich psa o krwawych ślepiach wywoływał we mnie mimowolny dygot.

Pan Contreras kręcił się nade mną zatroskany: Czy nie powinnam sięgnąć po swojego Smitha & Wessona? Zadzwoić na policję? Zabarykadować drzwi? Zamieszkać w hotelu pod zmienionym nazwiskiem? Kiedy odrzuciłam wszystkie te propozycje, podsunął żebym zadzwoniła do Murraya Ryersona z *Herald-Star* - akt prawdziwie szlachetny, ponieważ był o Murrayu piekielnie zazdrosny. Peppy, wyczuwając jego napięcie, porzuciła swą kość i podbiegła z cichym skomleniem.

- Nie ma sprawy, panie i panowie - zapewniłam ich. - To tylko puste gadanie. Nikt nie zamierza mnie ustrzelić. Przynajmniej nie dziś wieczór.

Pan Contreras, nie mogąc zrobić nic innego, zaproponował mi swą grappę. Odmówiłam. Niebezpieczeństwo otrzeźwiło mnie, nie widziałam żadnego powodu, żeby tumanić się na nowo śmierzącym trunkiem.

Z drugiej strony, niezupełnie byłam jeszcze gotowa do pozostania w samotności. Spod sterty starych zeszytów i notatek szkolnych w szafie wygrzebałam zniszczone pudełko warcabów, nad

którymi zwykli przesiadywać mój ojciec i Bobby Mallory.

Rozegraliśmy pięć czy sześć partii, a pies zadowolony powrócił do swej kości w kącie za pianinem. Pan Contreras podnosił się właśnie z niechęcią, kiedy zabrzączał dzwonek u drzwi. Pies zawarczał głucho. Staruszek strasznie się przejął, zaczął naglić mnie do wyjęcia pistoletu, potem chciał wychodzić tylnymi drzwiami i sprowadzać pomoc.

- Bez sensu - powiedziałam. - Nikt nie będzie strzelać w moim własnym mieszkaniu w dwie godziny po telefonie - zaczekają przynajmniej do rana, żeby zobaczyć, czy ich posłuchałam.

Podeszłam do domofonu przy drzwiach.

- Vic! Wpuść mnie! Muszę z tobą pogadać. - To była Caroline Djiak.

Nacisnęłam guzik otwierający drzwi do holu i wyszłam na klatkę schodową. Peppy stała obok, a jej opuszczony złocisty ogon lekko poruszał się na znak, że jest w pogotowiu. Caroline wbiegła po schodach, dudniąc nogami po kamiennych stopniach niczym stara kolejka elektryczna na zakręcie przy Trzydziestej Piątej.

- Vic! - wrzasnęła na mój widok. - Co ty wyrabiasz? Przecież powiedziałam ci, żebyś nie szukała mojego ojca. Dlaczego przynajmniej raz nie możesz zrobić tego, o co cię proszę!

Peppy, biorąc przykład z wściekłego uniesienia Caroline, zaczęła wyć. Jeden z lokatorów z pierwszego piętra wyskoczył na korytarz i krzyknął na nas, żebyśmy się zamknęły.

- Przecież tu nie można spokojnie żyć!

Zanim pan Contreras zdołał wypaść mi na pomoc, chwyciłam Caroline mocno za ramię i wciągnęłam do mieszkania. Pan Contreras przyjrzał się jej krytycznie. Uznawszy, że nie jest niebezpieczna - przynajmniej nie w fizycznym starciu - wyciągnął swą zrogowaciałą dłoń i się przedstawił.

Caroline nie była w nastroju do prawienia grzeczności.

- Vic, błagam cię. Przejechałam taki kawał drogi, bo wiem, że przez telefon nie chciałabyś ze mną gadać. Zostaw moje sprawy w spokoju.

- Caroline Djiak - poinformowałam pana Contrerasa. - Jest dosyć zdenerwowana. Czy mógłby pan zostawić nas na chwilę same?

Zaczął zbierać talerze po kolacji. Pchnęłam Caroline na sofę.

- Co się z tobą dzieje? Czego się tak boisz?

- Nie boję się - krzyknęła. - Jestem wściekła. Wściekła na ciebie, że nie chcesz zostawić mnie w

spokoju, kiedy cię proszę.

- Posłuchaj, dziecko, ja nie jestem jak telewizor, który można sobie włączać i wyłączać. Mogłam przymknąć oko na rozmowę z twoimi dziadkami - są tak nienormalni, że cokolwiek bym zrobiła, to nie miałyby dla nich żadnego znaczenia. Ale w Humboldt Chemical wszyscy okłamują mnie, gdy mówią o facetach, z którymi pracowała twoja matka, a właśnie któryś z nich najprawdopodobniej był twoim ojcem. Po prostu nie mogę tego odpuścić. Oni kompletnie przeinaczają ostatnie lata ich życia.

- Vic, ty nie rozumiesz. - Schwyciła mnie raptownie za prawą rękę, ściskając mocno. - Nie wolno ci wchodzić im w drogę. Są zupełnie pozbawieni skrupułów. Nie wiadomo, co mogliby zrobić.

- Na przykład co?

Rozejrzała się dzikim wzrokiem po pokoju, szukając natchnienia.

- Mogliby cię zabić, Vic! Mogliby skończyć z tobą w bagnach, tak jak było z Nancy, albo utopić w rzece!

Pan Contreras przestał udawać, że zbiera się do wyjścia. Uwolniłam rękę z uścisku i spojrzałam zimno na Caroline.

- Okay. Chcę teraz usłyszeć prawdę, ale nie jej upiękzoną wersję. Co wiesz o ludziach, którzy zabili Nancy?

- Nic, Vic! Nic. Poważnie. Musisz mi wierzyć. Tylko... tylko...

- Tylko co? - Schwyciłam ją za ramiona i potrząsnęłam. - Kto groził Nancy? W zeszłym tygodniu twierdziłaś, że to był Art Jurshak, bo nie zgadzał się na budowę stacji. Teraz chcesz, żeby to byli ludzie z Xerxesu, bo szukam tam twojego starego? Do jasnej cholery, Caroline, czy nie widzisz, jakie to ważne? Nie widzisz, że to sprawa życia i śmierci?

- Dlatego ci mówię, Vic! - Krzyknęła tak głośno, że pies zaczął znowu szczekać. - Dlatego ci mówię, żebyś pilnowała swojego nosa!

- Caroline! - Czując, że zaczynam mówić piskliwym głosem, spróbowałam wziąć się w garść, aby nie złamać jej karku. Usiadłam w fotelu przy sofie. - Caroline. Kto do ciebie dzwonił? Doktor Chigwell? Art Jurshak? Steve Dresberg? Czy sam Gustav Humboldt?

- Nikt nie dzwonił, Vic. - Jej oczy zalały się łzami. - Nikt. Ty już nie rozumiesz niczego, co się dzieje w South Chicago, nie ma cię tam od tak dawna. Czy nie możesz uwierzyć mi na słowo, że

powinnaś zrezygnować z poszukiwań?

Zignorowałam jej pytanie.

- Ron Kappelman? Czy dzwonił do ciebie dziś po południu?

- Dzwonią do mnie różni ludzie - odparła. - Wiesz, jak to jest. Przynajmniej kiedyś wiedziałaś, kiedy jeszcze...

- Kiedy jeszcze nie byłam takim kurzym łajnem i siedziałam na miejscu - dokończyłam za nią. - Usłyszałaś w biurze jakieś pogłoski, że ktoś - i ty nie wiesz kto - chce się do mnie dobrać i jesteś tu, żeby ratować moją skórę. Wielkie dzięki. Ze strachu płacze ci się rozum, Caroline. Ja chcę wiedzieć, kto cię nastraszył, i nie opowiadaj mi tu gangsterskich bajek o topieniu, bo nie dam się nabrać. Gdyby to było takie proste, nie traciłabyś teraz głowy. Gadaj, o co chodzi, i to zaraz.

Caroline zerwała się na równe nogi.

- Co mam zrobić, żebyś chciała mnie posłuchać? - krzyknęła. - Ktoś dzwonił do mnie dzisiaj z Xerxesa i powiedział, że bardzo im przykro, iż naraziłam się na koszty wynajęcia detektywa, bo oni mają dowód, że Pankowski jest moim ojcem, i proszą abym cię przekonałabyś zrezygnować z poszukiwań.

- I zaproponowali ci przedstawienie jakiegoś znaczącego dowodu?

- Nie muszę go oglądać! Nie jestem takim niedowiarkiem jak ty. Poglądziłam uspokajająco Peppy, która zaczynała warczeć.

- A może zagrozili ci okaleczeniem, jeśli nie skłonisz mnie do wycofania się?

- Nie przejęłabym się, gdyby ktoś mi groził. Nie wierzysz mi?

Spojrzałam na nią tak spokojnie, jak potrafiłam. Była postrzelona, zakłamana i bez skrupułów dążyła do osiągnięcia własnych celów. Ale nigdy, nawet w najdalszym zakamarku mego umysłu nie pojawiła się myśl, że mogła być tchórzem.

- Tak, wierzę - powiedziałam wolno. - Ale chcę usłyszeć prawdę. Czy rzeczywiście powiedzieli ci, że zrobią mi krzywdę, jeżeli nie przestanę u nich węszyć?

Odwróciła wzrok.

- Tak - wymamrotała.

- Nie jesteś przekonująca, Caroline.

- Wierz sobie, w co chcesz. Jak cię zabiją, nie sądzę, że przyjdę na twój pogrzeb, bo mam cię gdzieś. - Zalała się łzami i wypadła z mieszkania jak burza.

ROZDZIAŁ 20

Niedźwiedzia przysługa

Pan Contreras wyszedł w końcu około pierwszej. Spałam niespokojnie, wciąż roztrząsając wizytę Caroline. Ona nigdy niczego się nie bała. Dlatego gdy miała cztery lata, z taką pewnością popłynęła za mną w huczące fale jeziora Michigan. Nawet otarcie się o śmierć jej nie przeraziło - po wypompowaniu wody z płuc była gotowa od razu wrócić do jeziora. Jeśli ktoś powiedział jej, że moje życie wisi na włosku, mogło ją to wściec, ale nie przstraszyć.

Dzwonili do niej z informacją, że Joey Pankowski był jej ojcem. Nie mogła tego wymyślić ot tak sobie. Ale czy rzucali groźby pod moim adresem, czy była to jej improwizacja? Nie widziałam jej od dziesięciu lat, ale nie zapomina się odruchów ludzi, z którymi człowiek dorastał: to uciekające spojrzenie, kiedy zadałam jej konkretne pytanie, kazało mi sądzić, że kłamała.

Jedyny powód, dla którego w ogóle jej wierzyłam - w sprawie pogrózek, ma się rozumieć - był taki, że odebrałam podobny telefon. Do czasu pojawienia się Caroline sądziłam, że groźba pochodziła od Arta Jurshaka, ponieważ napastowałam jego syna i rozmawiałam z Ronem Kappelmanem. Ale jeśli to był Humboldt, co wtedy?

Kiedy pomarańczowe cyferki zegara wyświetliły trzecią piętnaście, włączyłam światło i usiadłam na łóżku, żeby sięgnąć po telefon. Murray Ryerson wyszedł z redakcji czterdzieści pięć minut temu. W domu jeszcze go nie było. Na chybił trafił zadzwoniłam do Golden Glow - Sal zamyka o czwartej. Do trzech razy sztuka.

- Vic! Jestem oszołomiony. Cierpisz na bezsenność i myślisz o mnie. Widzę już tytuł na pierwszej stronie: *Kobieta-Detektyw Nie Może Spać z Miłości*.

- A mnie się wydawało, że to przez tę cebulę, co ją jadłam na kolację. To samo mi dolegało tego dnia, kiedy zgodziłam się wyjść za Dicka. Pamiętasz nasze wczorajsze pogaduszki?

- Jakie pogaduszki? - zachnął się. - Podałem ci masę informacji o Nancy Cleghorn, a ty siedziałaś jak sfinks.

- Coś mi się przypomniało - zagadnęłam niewinnie.

- Byle konkretnie, Warszawski.

- Curtis Chigwell. Jest lekarzem, mieszka w Hinsdale. Pracował kiedyś w fabryce w South Chicago.

- I to on zabił Nancy Cleghorn?

- O ile wiem, nigdy jej nie spotkał.

Poczułam raczej, niż usłyszałam, jak prychnął z wściekłości.

- Miałem ciężki dzień, Vic. Nie baw się ze mną w zgadywanki. Sięgnęłam po koszulkę leżącą obok łóżka. Tej nocy czułam się zbyt odsłonięta w mej nagości. Pochyliwszy się zauważyłam w snopie światła kłęby kurzu w rogu pokoju. Jeśli dożyję przyszłego tygodnia, wezmę się do sprzątanía, postanowiłam.

- To właśnie coś dla ciebie - odpowiedziałam wolno. - Same zgadywanki, żadnych odpowiedzi. Curtis Chigwell wie coś, czego nie chce powiedzieć. Dwadzieścia cztery godziny temu nie sądziłam, że to może mieć jakikolwiek związek z Nancy. Ale dziś wieczorem dostałam telefon z przestrogą, abym odpieprzyła się od South Chicago.

- Od Chigwella? - Nieomal czułam w słuchawce oddech Murraya.

- Nie. Myślę, że pogrożki pochodzą od Arta Jurshaka albo Dresberga. Rzecz w tym, że parę godzin temu usłyszałam podobną historię od kogoś, kto wie jedynie o moich kontaktach z Xerxesem, tą fabryką, w której kiedyś pracował Chigwell.

Wyjaśniłam mu sprzeczności zachodzące między wersjami Manheima i Humboldta w sprawie procesu Pankowskiego i Ferraro, nie wspominając przy tym, że wersja Gustava Humboldta pochodzi od niego samego.

- Chigwell zna prawdę. Tylko nie chce jej wyjawić. A jeżeli ludzie z Xerxesa mi grożą, to on będzie wiedział dlaczego.

Murray próbował na tysiąc sposobów wyciągnąć ode mnie coś więcej. Nie mogłam podrzucić mu Caroline i Louisy - Louisa zwyczajnie nie zasłużyła sobie na wywleknięcie przez gazety jej nieszczęsnej przeszłości. Niczego więcej nie wiedziałam. Niczego, co mogłoby łączyć śmierć Nancy i Joeya Pankowskiego.

- Ty wcale nie starasz się mi pomóc - powiedział Murray na koniec. - Chcesz tylko zaoszczędzić sobie chodzenia. Czuję to. Ale to niezła historia - wyślę kogoś, żeby pogadał z gościem.

Po skończonej rozmowie udało mi się trochę przespać, ale o szóstej trzydziestej obudziłam się

na dobre. Zaczynał się jeszcze jeden szary lutowy dzień. Siarczysty mróz i śnieg byłyby lepsze od tego niekończącego się mglistego chłodu. Włożywszy dres, zrobiłam gimnastykę i brutalnie zerwałam z łóżka pana Contrerasa, pukając do drzwi tak długo, aż obudziło go szczekanie psa. Pobiełam z Peppy do jeziora i z powrotem. Zatrzymywałam się od czasu do czasu, by poprawić sznurowadła, wytrzeć nos lub rzucić patyk - w ten sposób mogłam dyskretnie rozejrzeć się wokół siebie. Nie wydało mi się, żeby ktoś mnie śledził.

Po odprowadzeniu psa poszłam do knajpki na rogu na naleśniki. Gdy wróciłam do domu, zdecydowałam, że odwiedzę Louise i sprawdzę, czy wie coś o powodach paniki Caroline. Zadzwoiła Ellen Cleghorn. Była zupełnie załamana: pojechała do domu Nancy w South Chicago, aby uporządkować jej rachunki, i okazało się, że jest splądrowany.

- Splądrowany? - powtórzyłam głupawo. - Skąd pani wie?

- No bo tak to wygląda, Vic. Wypatroszony do szczytu. Nancy nie miała wiele i zdążyła urządzić tylko parę pokoi. Meble są potrzaskane, a papiery walają się po całym domu.

Zadrzałam.

- Wygląda na to, że ci włamywacze powariowali. Potrafi pani stwierdzić, czy czegoś brakuje?

- Nawet nie sprawdzałam. - Zniosła się nerwowym szlochem. - Zobaczyłam sypialnię i wybiegłam stamtąd, jak tylko dało się najprędzej. Pomyślałam, że... że mogłybyśmy pojechać tam razem i wspólnie przeszukać dom. Nie potrafię sama znieść tego... tego niszczenia Nancy.

Obiecałam, że za godzinę spotkamy się przed jej domem. Chciałam pojechać prosto na miejsce, ale pani Cleghorn zbyt obawiała się intruzów, którzy mogli kręcić się nawet wokół domu jej córki. Włożyłam dzinsy i blezer, po czym, niezbyt chętnie, podeszłam do małego sejfu, który wbudowany był w tylną ścianę wnękowej szafy w sypialni, i wyciągnęłam smitha & wessona.

Nie mam zwyczaju nosić broni - jeśli się to robi, człowiek polega tylko na niej i nie korzysta z szarych komórek. Ale teraz byłam już dostatecznie ogłupiona, czułam się jak w pułapce między śmiercią Nancy a groźbą znalezienia się na bagnach obok niej. I jeszcze to włamanie. Przypuszczałam, że miejscowe męty, wiedząc, iż dom jest pusty, mogły wedrzeć się do środka. Ale żeby rozwałać meble? Może jakiś szprycer, nagrany do tego stopnia, że w poszukiwaniu pieniędzy zdemolował dom. Ale mogli to być również mordercy Nancy, szukający czegoś, co mogło ich obciążać. Wrzuciłam do torebki zapasowy magazynek, a załadowany pistolet wsunęłam za pasek dzinsów; mój dowcip nie był na tyle szybki, aby powstrzymać pędzącą kulę.

W porannej szarówce dom pani Cleghorn wyglądał na opuszczony i zaniedbany. Nawet wieżyczka, w której znajdował się pokój Nancy, wydawała się lekko przekrzywiona. Pani Cleghorn czekała na mnie na chodniku, jej zazwyczaj pogodna, pulchna twarz była wychudzona i napięta. Uśmiechnęła się drżąc i wsiadła do mojego samochodu.

- Zabiorę się z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem taka roztrzęsiona, że nawet nie wiem, jak wróciłam do domu.

- Może po prostu da mi pani klucze - zaproponowałam. - Nie musi pani ze mną jechać, jeśli nie trzeba.

Potrząsnęła głową.

- Gdybyś pojechała sama, martwiłabym się tylko, czy ktoś nie czai się na ciebie w krzakach.

Korzystając z jej wskazówek, pojechałam najkrótszą trasą przez South Chicago do Yates. Po drodze zapytałam, czy zawiadomiła policję.

- Pomyślałam sobie, że zaczekam. Zaczekam, aż zobaczysz, co się stało. A potem - uśmiechnęła się zakłopotana - może ty mogłabyś to za mnie zrobić. Wydaje mi się, że odbyłam z policją tyle rozmów, ile tylko mogłam znieść. Wystarczy mi na teraz i na zawsze.

Wyciągnęłam rękę nad drążkiem biegów i poklepałam jej dłoń.

- W porządku. Cieszę się, że mogę być pomocna.

Dom Nancy znajdował się przy Crandon, w pobliżu Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Zobaczyłam teraz, dlaczego pani Cleghorn nazywała go niedźwiedzią przysługą, wyrządzoną przez Nancy samej sobie - wielki drewniany potwór, który ze swymi trzema kondygnacjami ledwo mieścił się na rozległej parceli. Ale mogłam też zrozumieć, dlaczego Nancy go kupiła. Małe kopułki na narożnikach, witrażowe okna, toczony drewniany schodó wewnątrz - wszystko przywoływało atmosferę harmonii i ładu z książek Alcotta i Thackeraya.

Na pierwszy rzut oka nie było widać, że ktoś włamał się do domu. Nancy widocznie włożyła wszystko, co miała, w jego zakup i w holu nie było żadnych mebli. Dopiero po wejściu dębowymi schodami na górę i znalezieniu głównej sypialni odkryłam spustoszenie. Zgodziłam się z panią Cleghorn, że będzie lepiej, jeśli zaczeka na mnie na dole.

Nancy najwyraźniej zaczęła renowację domu od sypialni. Podłoga była wycyklinowana, a ściany otynkowane i pomalowane. W ścianie naprzeciw łóżka znajdował się czynny kominek obłożony ceglami, z błyszczącymi mosiężnymi przyborami. Efekt mógł być czarujący, gdyby nie

meble i pościel rozrzucone po całym pokoju.

Przeszłam ostrożnie na palcach wśród rumowiska. Gwałciłam w ten sposób wszelkie możliwe zasady policyjne - niezawiadomienie o dokonaniu przestępstwa, chodzenie po miejscu zdarzenia, naruszanie dowodów oraz dodawanie własnych śladów do tych, które pozostawili wandalę. Ale tylko w książkach od kryminalistyki każde przestępstwo może doczekać się drobiazgowego badania w laboratorium. W rzeczywistości nie sądziłam, żeby policja poświęcała temu wiele uwagi, nawet jeśli właścicielka domu została zamordowana.

To coś, czego szukali wandalę, nie mogło zajmować dużo miejsca. Nie tylko podziurawili materace i porozpruwali ich obszycia, ale także usunęli ruszt z kominka i wyjęli kilkanaście cegieł. Albo szukali pieniędzy, jeśli upierać się przy zamroczonych narkomanach, albo papierów. Jakiś rodzaj dowodu, który w rękach Nancy miał tak straszną siłę, że posunięto się nawet do zabójstwa, aby utrzymać go w sekrecie.

Zeszłam po schodach na dół, ręce drżały mi lekko. Zniszczenie domu to taki gwałt prywatności. Jeżeli nie można być bezpiecznym we własnych ścianach, trudno poczuć się pewnie gdziekolwiek indziej.

Pani Cleghorn czekała przy wejściu. Objęła mnie matczynym gestem - moje przygnębienie pomagało jej zebrać się w sobie.

- Poza sypialnią jedynym pomieszczeniem, które Nancy do końca urządziła, jest jadalnia. Wbudowane szafki miały jej służyć za domowe biuro do czasu, kiedy znalazłaby pieniądze na wyremontowanie gabinetu.

Zaproponowałam, aby pani Cleghorn pozostała w holu. Jeśli przestępcy nie znaleźli na górze tego, czego szukali, można było przewidzieć, jak wyglądają kredensy.

Rzeczywistość była daleko gorsza od wszystkiego, co sobie wyobrażałam. Talerze i zastawa leżały potrzaskane na podłodze. Obicia krzeseł były porozpruwane. Połamano w drzazgi wszystkie półki z orzechowych kredensów, które stały przy ścianie na wprost wejścia. A papiery, które tworzyły osobiste życie Nancy, były rozrzucone wokół jak śmieci w dzień po wielkiej paradzie.

Ruszyłam w głąb tej ruiny i zacisnęłam mocno usta, starając się powściągnąć uczucia. Raz po raz pani Cleghorn wywoływała mnie z holu: nie był mnie już tak długo, że zaczęła się niepokoić. W końcu odważyła się sama stawić czoło obrazowi zniszczenia. Razem pozbierałyśmy oświadczenia bankowe, ze sterty wygrzebałyśmy notes z adresami oraz wszystko, co miał

związek z hipoteką i ubezpieczeniami.

Przed wyjściem zajrzałam do pozostałych pokoi. Tu i ówdzie wyrwano deski z podłogi. Z kominków, a było ich w całym domu sześć, wyjęte były ruszty. Staroś wiecka kuchnia podzieliła los jadalni. Zapewne i wcześniej nie wyglądała zbyt okazale, jej wyposażenie pochodziło z lat dwudziestych, stary zlew, stara lodówka, mocno złuszczona farba na ścianach. Z typowym dla siebie wandalizmem intruzi rozsypali na podłodze mąkę i cukier oraz wyrzucili z lodówki jedzenie. Gdyby policja kiedykolwiek ich złapała, zażądałabym, jako pierwszą część kary, aby spędzili rok na doprowadzaniu tego miejsca do porządku.

Weszli do domu tylnymi drzwiami, w których wyłamali zamek. Ogródek był tak zarośnięty, że nikt przechodzący aleją nie mógł dostrzec otwartych drzwi. Pani Cleghorn znalazła w warsztacie urządzonym obok spiżarni młotek i gwoździe. Przybiłam deskę w poprzek, żeby je zamknąć. Wyglądało na to, że nie miałyśmy tu już nic więcej do roboty. Wyszłyśmy bez słowa.

Wróciwszy do domu przy Muskegon, zadzwoniłam do Bobby'ego, żeby powiedzieć mu, co się stało. Odchrząknął i zapowiedział, że przekaże sprawę Trzeciemu Dystryktowi, a mnie kazał zaczekać na wypadek, gdyby chcieli o coś zapytać.

- Jasne - mruknęłam. - Będę siedziała przy telefonie do końca tygodnia, jeśli to uszczęśliwi policję. - Może i lepiej, że Bobby wcześniej odłożył słuchawkę.

Pani Cleghorn zajęła się przyrządzaniem kawy. Przyniosła ją do jadalni z ciastem i sałatką.

- Czego oni szukali, Victorio? - spytała w końcu po wypiciu drugiej filiżanki.

Grzebałam zasępią w kawałku wonnego ciasta.

- Czegoś małego. Płaskiego. Jakichś papierów, przypuszczam. Nie sądzę, żeby udało im się to znaleźć, inaczej nie wyważaliby cegieł w pozostałych kominkach. Więc gdzie jeszcze Nancy mogła coś zostawić? Jest pani pewna, że niczego tutaj nie chowała?

Pani Cleghorn potrząsnęła głową.

- Mogła przyjść, kiedy ja byłam w pracy. Ale... ale nie wiem. Chcesz rzucić okiem na jej dawny pokój?

Wysłała mnie samą po schodach na poddasze do wieżyczki, gdzie Nancy i ja czekałyśmy na Anię z Zielonego Wzgórza albo walczyłyśmy z piratami. To był nieznośnie smutny pokój, z resztkami bezpowrotnie minionego dzieciństwa czającego się wśród zniszczonych mebli. Zajrzałam za pluszowe miśki, odchyliłam dyplomy na ścianach i wyblakły plakat wczesnych Beatlesów w

pozach wystudiowanej nonszalancji, ale niczego nie znalazłam.

Kiedy zesłam na dół, przyjechali policjanci i rozmowa z nimi potrwała jakąś godzinę. Zznałyśmy, że pojechałam razem z panią Cleghorn, aby pomóc jej w odszukaniu papierów Nancy, że nie chciała jechać tam sama, a ja byłam jej dawną przyjaciółką. Na miejscu zastałyśmy pobojuwisko i wezwałyśmy policję. Wypytywali nas dwaj młodzi detektywi, którzy zapisywali wszystko niezdarknymi kulfonami, ale nie wydawali sięcałym tym włamaniem przejęci bardziej niż jakimkolwiek innym w South Chicago. W końcu wyszli, nie dając nam żadnych specjalnych rad ani poleceń. Wstałam do wyjścia zaraz po nich.

- Nie chcę pani przerażać, ale ci ludzie, którzy przeszukiwali dom Nancy, mogą przyjść tutaj. Powinna pani przenieść się do jednego ze swoich synów, niezależnie od tego, jak bardzo to pani nie odpowiada.

Skinęła głową niechętnie; jedyny z jej synów, który nie miał dzieci, mieszkał w przyczepie campingowej ze swoją dziewczyną. Niezupełnie idealne miejsce na przyjmowanie gości.

- Zdaje mi się, że powinnam odstawić w bezpieczne miejsce samochód Nancy. Kto wie, gdzie jeszcze uderzą ci szaleńcy?

- Samochód? - Zatrzymałam się w pół kroku. - Gdzie jest jej samochód?

- Przed domem. Zostawiła go pod biurem SCRAP-u, a jedna z tych dziewczyn, które tam pracują, przyprowadziła go tutaj po pogrzebie. Miałam zapasową parę kluczyków, więc musieli... - Umilkła, widząc moją minę. - Oczywiście. Powinniśmy poszukać w samochodzie, prawda? Jeżeli rzeczywiście Nancy miała coś, czego chciał ten... ten... zabójca. Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, co to mogłoby być.

Mówiła już to samo wcześniej, a ja powtórzyłam moje nic nieznaczące zapewnienia: że Nancy prawdopodobnie nie wiedziała, iż jest w posiadaniu czegoś, co ktoś inny tak bardzo chciał mieć. Wsiadłam z panią Cleghorn do błękitnej hondy Nancy i zgarnęłam z tylnego siedzenia stos papierów. Nancy zostawiła tam też teczkę wraz z plikiem akt zbyt grubym, aby zmieściły się w środku.

- Może po prostu zabierzesz je z sobą, kochana? - Uśmiechnęła się niepewnie. - Gdybyś mogła je przejrzeć i zwrócić potem do SCRAP-u, byłoby to dla mnie wielką pomocą.

Wepchnęłam papiery pod pachę, a prawym ramieniem objęłam panią Cleghorn.

- Oczywiście. Proszę zadzwonić, jeśli cokolwiek jeszcze się zdarzy albo jeśli będzie pani

potrzebować pomocy w kontaktach z glinami. - To akurat było zajęcie, do którego się nie paliłam, ale w takich okolicznościach mogłam zrobić chociażby tyle.

ROZDZIAŁ 21

Maminsynek

Siedziałam w samochodzie z włączonym ogrzewaniem, kartkując akta Nancy. Wszystko, co miało związek z rutynową działalnością SCRAP-u, odkładałam na bok. Chciałam podrzucić te dokumenty do ich biura przed opuszczeniem South Chicago.

Szukałam czegoś, co powiedziałyby mi, dlaczego radny Jurshak sprzeciwiał się budowie stacji SCRAP-u. To właśnie Nancy próbowała ustalić ostatnim razem, kiedy z nią rozmawiałam. Jeżeli została zabita z powodu posiadania jakiejś sensacyjnej informacji o South Side, zakładałam, że miało to związek z projektem.

W końcu znalazłam dokument zawierający nazwisko Jurshaka, ale nie miał on nic wspólnego ze stacją przerobu odpadów ani z żadną inną kwestią ekologiczną. Była to fotokopia listu datowanego w 1963 roku, skierowanego do Towarzystwa Ubezpieczeń Marynarska Przyszań, w którym wyjaśniano, że firma Jurshak & Parma była obecnie powiernikiem fabryki Xerxes należącej do Humboldt Chemical. Do listu załączono ekspertyzę rzeczoznawcy ubezpieczeniowego wykazującą, że wypadki utraty życia lub zdrowia w Xerxesie nie były częstsze niż w innych tego typu zakładach w okolicy i w związku z tym zwracano się o wyznaczenie takich samych stawek ubezpieczeniowych.

Przeczytałam raport trzykrotnie. Nie miał dla mnie żadnego sensu. To znaczy, nie miał sensu jako dokument, który mógł ściągnąć na Nancy śmierć. Ubezpieczenia na życie i zdrowie nie są moją specjalnością, ale ten dokument wyglądał zupełnie zwyczajnie, rutynowa ubezpieczeniowa biurokracja. Nie wydawałby się też tutaj czymś nie na miejscu, gdyby nie data jego wystawienia i zupełny brak powiązania z czymkolwiek, co zajmowało Nancy.

Była tylko jedna osoba, która mogła mi wyjaśnić jego znaczenie. No, może więcej niż jedna, ale do Wielkiego Arta nie miałam zamiaru chodzić. „Gdzie to znalazłaś, młoda panno?” „Ach, fruwało sobie po ulicy, wie pan, jak to czasami przypadki płatają figle”.

Ale młody Art mógłby wiedzieć. Mimo że wyraźnie znajdował się na peryferiach życia swego ojca, mógł wystarczająco znać się na sprawach ubezpieczeniowych, aby wyjaśnić treść dokumentu.

Albo też, jeżeli Nancy znalazła go i coś dla niej znaczył, mogła już z Artem rozmawiać. W gruncie rzeczy musiało tak być: dlatego tak się denerwował. Wiedział, dlaczego została zabita, i nie chciał tego zdradzić.

To wydawało się brzmieć sensownie. Zupełnie innym pytaniem było: jak wydobyć od Arta jego wiadomości. Krzywiłam twarz w wysiłku koncentracji. Kiedy to nie przyniosło efektu, spróbowałam rozluźnić wszystkie mięśnie, licząc, że jakiś pomysł sam wpłynie mi pod czaszkę. Zamiast tego złapałam się na wspomnianiu Nancy i naszego dzieciństwa. Za pierwszym razem, kiedy przyszedłam do niej na obiad, w czwartej klasie, jej mama podała spaghetti z puszki. Bałam się powiedzieć Gabrielli, co jadłyśmy - wydawało mi się, że nie pozwoli mi więcej odwiedzać domu, w którym nie robiono domowego makaronu.

To Nancy namówiła mnie do gry w młodzieżowej drużynie koszykówki. Zawsze byłam dobra w sporcie, ale moją grą był softball. Kiedy przyjęli mnie do zespołu, mój tata przymocował tablicę z koszem do ściany domu i grał razem z Nancy i ze mną. Przychodził na wszystkie nasze mecze w liceum, a po ostatniej szkolnej grze, przeciwko Lake Forest, zabrał nas do Empire Room na drinka i tańce. Uczył nas, jak kryć, jak markować zwód, aby potem obrócić się i włożyć piłkę. Ten ostatni mecz wygrałyśmy w ostatnich sekundach, bo zagrałam właśnie tak: zwód i kosz.

Poprawiłam się na siedzeniu. Nancy i ja przerabiałymy to tyle razy w przeszłości, dlaczego nie teraz? Nie miałam żadnego dowodu, ale niech młody Art sobie myśli, że mam.

Ze sterty na siedzeniu obok wyciągnęłam najnowszy notatnik Nancy. Widniały tam zapisane gryzmołami trzy telefony do Arta. Z największym wysiłkiem odcyfrowałam je i poszłam do budki telefonicznej.

Pierwszy numer okazał się telefonem w urzędzie gminy, gdzie pani May cukierkowym tonem przyznała się do niewiedzy na temat miejsca pobytu młodego Jurshaka, próbując przy tym wybadać, kim jestem i czego chcę. Zanim udało mi się zakończyć rozmowę, zaproponowała mi nawet połączenie z Artem seniorem.

Wykręciłam drugi numer i połączyłam się z biurem ubezpieczalni Jurshak & Parma. Tam jakaś sekretarka wyjaśniła nosowym głosem, że nie widziała młodego Arta od piątku i chciałyby wiedzieć, od kiedy została jego niańką. Dzisiaj rano szukała go tu policja, a ona ma do skończenia pisanie kontraktu na południe, i jak może się z tym wyrobić skoro...

- Nie będę pani dłużej zatrzymywać - rzuciłam krótko i odwiesiłam słuchawkę.

Przekopałam kieszenie w poszukiwaniu monety, ale zużyłam już dwie ostatnie. Przy trzecim z numerów Nancy zapisała ołówkiem adres, gdzieś w okolicy Avenue G. To musiał być dom Arta. Tak czy owak, nawet gdybym dopadła chłopaka telefonicznie, to odwiesiłby zapewne słuchawkę. Lepiej było zobaczyć się z nim osobiście.

Wróciłam do samochodu i pojechałam z powrotem na East Side, do Sto Piętnastej i Avenue G. Dom stał w połowie drogi między przecznicami, nowy ceglany budynek otoczony wysokim ogrodzeniem i z elektronicznym zamkiem przy bramie. Nacisnęłam guzik dzwonka i odczekałam chwilę. Miałam właśnie zadzwonić drugi raz, kiedy w głośniku rozległ się niepewny kobiecy głos.

- Przyszłam zobaczyć się z młodym Artem - zawołałam. - Nazywam się Warszawski.

Zaległa długa cisza, po czym szczerknął zamek. Pchnęłam furtkę i weszłam na teren posiadłości. W każdym razie wyglądała bardziej jak posiadłość niż na typowy domek z ogródkiem na East Side. Jeśli to rzeczywiście był dom Arta, musiał nadal mieszkać z rodzicami.

Jakkolwiek Art swoje biuro utrzymywał skromnie, to nie oszczędzał na domowych wygodach. Na przyłączonej sąsiedniej parceli urządzono pięknie rozplanowany ogród. Na samym końcu stał szklany pawilon, w którym znajdował się zapewne basen. Ponieważ wzdłuż tylnej granicy terenu stała ściana drzew, miało się wrażenie pobytu na wsi, podczas gdy niespełna kilometr dalej znajdowało się jedno z największych skupisk przemysłowych świata.

Przemaszerowałam po kamiennych płytach do zadaszonego ganku, którego kolumny nie pasowały do nowoczesnej bryły budynku. W drzwiach stała wypłowiała blondynka. Sceneria wokół miała w sobie pretensje do wystawności, ale kobieta była typową przedstawicielką South Side, w nienagannie odprasowanej wzorzystej sukience i wykrochmalonym fartuchu.

Przywitała mnie nerwowo, nie próbując nawet zaprosić do środka.

- Kim... kim pani właściwie jest?

Wyciągnęłam z torebki swoją wizytówkę i wręczyłam blondynce.

- Jestem znajomą młodego Arta. Nie niepokoilibym go w domu, ale nie pokazał się w gminie, a mam do niego dosyć ważną sprawę.

Potrząsnęła mechanicznie głową i ten ruch na króciutki moment wydobyl podobieństwo do syna.

- Jego... jego nie ma w domu.

- Nie sądzę, aby miał coś przeciwko rozmowie ze mną. Mówię poważnie, pani Jurshak. Wiem,

że policja usiłuje się z nim skontaktować, ale ja jestem po jego stronie, nie ich. I nie jego ojca dodałam w przeblysku natchnienia.

- Jego naprawdę nie ma w domu. - Spojrzała na mnie z nieszczęśliwą miną. - Kiedy sierżant McGonnigal przyszedł pytać o niego, mąż strasznie się zdenerwował, ale ja nie wiem, gdzie on jest, panno... hmmm. Nie widziałam go od śniadania wczoraj rano.

Staralam się to przeanalizować. Może młody Art jednak nie był gotów do jazdy wczoraj wieczorem. Ale gdyby miał wypadek, jego matka byłaby pierwszą osobą, która zostałaby o tym powiadomiona. Odpędziłam natrętą wizję Stawu Martwych Konarów.

- Czy mogłaby pani podać nazwiska jakichś jego przyjaciół? Kogokolwiek, komu ufa na tyle, aby pójść do niego na noc?

- Sierżant McGonnigal pytał mnie o to samo. Ale... ale on nigdy nie miał żadnych przyjaciół. To znaczy, wolałam, żeby przychodził na noc do domu. Nie chciałam, aby się włóczył jak te chłopaczyska teraz, wdawał w narkotyki i w te bandy. On jest moim jedynym dzieckiem, a inaczej to wygląda, jak się ma jeszcze inne po stracie pierwszego. Dlatego teraz tak się o niego boję. On wie, jak się denerwuję, kiedy nie mam od niego żadnych wiadomości, a tu proszę, zniknął na całą noc.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ponieważ żaden z moich komentarzy, które przychodziły mi do głowy, nie prowokował jej do mówienia. W końcu spytałam, czy to zdarzyło się po raz pierwszy, że nie wrócił do domu.

- Och, nie - odpowiedziała zdawkowo. - Czasami ma tyle pracy, że siedzi w biurze całą noc. Przygotowania do spotkań z ważnymi klientami albo coś takiego. Ostatnimi miesiącami odbywał je bardzo często. Ale zawsze mnie uprzedzał.

Uśmiechnęłam się w duchu: ten chłopak był bardziej przedsiębiorczy, niż mogłam podejrzewać. Po chwili zastanowienia rzekłam ostrożnie:

- Ja zajmuję się właśnie jedną z tych ważnych spraw, pani Jurshak. Moja klientka nazywa się Nancy Cleghorn. Art szuka dla niej pewnych ważnych dokumentów. Czy zechciałaby pani przekazać mu wiadomość, że je posiadam?

To nazwisko wydawało się nic jej nie mówić. Przynajmniej nie zbladła i nie zemdląła ani nie rzuciła się do domu po pomoc. Zamiast tego zapytała, czy mogłabym zapisać wszystko na kartce, bo miała krótką pamięć, a w dodatku tak przejęła się Artem, że mogła mieć trudności z poprawnym

powtórzeniem informacji. Zanotowałam na odwrocie wizytówki nazwisko Nancy i krótką informację o posiadaniu akt.

- Jeśli coś się wyjaśni, może pani zostawić mi wiadomość pod tym numerem. O każdej porze, w dzień lub w nocy.

Kiedy doszłam do bramy, wciąż jeszcze stała w drzwiach, z rękami zawiniętymi w fartuch.

Żałowałam, że nie byłam bardziej nieustraszona w rozmowie z młodym Artem wczorajszego wieczoru. Bał się. Znał tajemnicę Nancy, cokolwiek to był. Więc albo moje przyjście przeważało szalę i uciekł, aby uniknąć jej losu, albo go podzielił. Powinnam udać się do McGonnigala, powiedzieć mu, co wiedziałam albo raczej, co podejrzewałam. Ale... ale... w gruncie rzeczy nie miałam nic konkretnego. Może powinnam dać chłopakowi dwadzieścia cztery godziny na ujawnienie się. Jeśli nie żył, nie miało to już znaczenia. Lecz jeśli wciąż był przy życiu, powinnam powiadomić McGonnigala, aby pomógł mu je zachować. Wciąż i wciąż kręciłam się w kółko.

Ostatecznie odłożyłam decyzję na później. Wróciłam do South Chicago, podrzuciłam akta Nancy do SCRAP-u, a potem odwiedziłam Louise. Była zachwycona moją wizytą. Za pomocą pilota wyłączyła telewizor i uściśniła mi rękę kruchymi palcami.

Kiedy zahaczyłam w rozmowie o Pankowskiego i Ferraro oraz o ich niefortunny proces, wydawała się prawdziwie zdziwiona.

- Nie wiedziałam, że byli tak bardzo chorzy - powiedziała swym chropowatym głosem. - Widywałam ich na pełnym chodzie i nigdy nie wspomnieli o chorobie ani słowem. Nie wiedziałam, że procesowali się z Xerxesem. Zakład jest dla mnie bardzo dobry - może chłopcy sami wpakowali się w jakieś kłopoty? Joey zawsze komuś założył za skórę. Zwykle dziewczynom, które nie były dosyć cwane. Ale Steve? To był naprawdę nietknięty szpikulec, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ciężko powiedzieć, dlaczego nie dostał odszkodowania.

Powiedziałam jej, co wiedziałam o ich chorobach i śmierci oraz o smutnym życiu, które wiodła pani Pankowski. To wywołało w niej śmiech, który przeszedł w męczący kaszel.

- Tak, mogłabym opowiedzieć jej parę historii o Joeyu. My, dziewczyny na nocnej zmianie, wszystkie mogłybyśmy, jeśli o to chodzi. Przez pierwszy rok w robocie nawet nie wiedziałam, że jest żonaty. Ale jak wyszł o to na jaw, mówię ci, dałam mu popalić. Żeby robić za taką panienkę na boku, co to, to nie. Oczywiście były inne, które się tak nie szczypały, bo on potrafił zabajerować. Straszne, jak się pomyśli, że przeszedł przez to, co ja teraz.

Rozmawialiśmy, dopóki nie zapadła w sen, charcząc ciężko. Wyraźnie nic nie wiedziała o obawach Caroline. Musiałam zdać się na córeczkę - ona rzeczywiście chroniła matkę.

ROZDZIAŁ 22

Dylemat doktora

Po powrocie do domu zastałam pana Contrerasa czekającego niespokojnie na chodniku. Peppy, której udzieliło się napięcie, ziewała nerwowo u jego stóp. Na mój widok oboje wyrazili swoją radość: suka obiegała mnie wokół, a staruszek sztorcował za niepozostawienie mu planu dnia.

Objęłam go ramieniem.

- Przecież nie zamierza pan uganiać się za mną krok w krok, prawda? Proszę powtarzać sobie dwadzieścia razy na dzień: ona jest dużą dziewczynką i jak zechce, to zrobi użytek ze swojej spluwy.

- Nie żartuj sobie, pączuszk. Wiesz, nie powinienem tego mówić, nie powinienem nawet tak myśleć, ale ty jesteś dla mnie bardziej rodziną niż moja własna rodzina. Za każdym razem, gdy widzę Ruthie, zdumiewa mnie, że Clara i ja mogliśmy spłodzić takie dziecko. A kiedy patrzę na ciebie, to jak na własną krew. Mówię poważnie, laleczko. Musisz na siebie uważać. Ze względu na mnie i jej królewską wysokość.

Uśmiechnęłam się wymuszenie.

- Zdaje się, że jednak coś z pana mam - jestem tak samo wyrachowana i krnąbrna.

Zastanowiło go to przez chwilę.

- Okay, laleczko - przyznał niechętnie. - Rób po swojemu. Nie podoba mi się to, ale rozumiem.

Kiedy ruszyłam do wejścia, usłyszałam, jak mówi do psa:

- Ma to po mnie. Słyszałaś, księżniczko? Moja krew.

Pomimo buńczucznej mowy przez cały dzień oglądałam się za siebie. Zanim usiadłam do otwierania poczty, starannie sprawdziłam mieszkanie, ale nikt nie próbował forsować hartowanej stali we frontowych drzwiach ani rygla z tyłu.

Nie potrafiłam sprostać kolejnemu wieczorowi z whisky i masłem orzechowym. Nie chciałam też, aby mój sąsiad z dołu poczuł, że ma prawo mi nadskakiwać. Jeszcze raz starannie zamknęłam drzwi i pojechałam zrobić zakupy do Treasure Island na Broadwayu.

Max Loewenthal zadzwonił, kiedy smażyłam kurze udka z czosnkiem i oliwkami. Gdy go

usłyszałam, przeraziłam się, że coś się stało z Lotty.

- Nie, nie, Lotty ma się dobrze, Victorio. Ale ten lekarz, o którego pytałaś mnie jakieś dwa tygodnie temu, ten Curtis Chigwell - chciał się zabić. Nie wiedziałaś o tym?

- Nie. - Poczulałam woń palącej się oliwy i naciągnawszy kabel telefonu, lewą ręką wyłączyłam kuchenkę. - Co się stało? Skąd to wiesz?

- Podawali w wiadomościach o szóstej. Siostra Chigwella znalazła go około czwartej, schodząc do garażu po jakieś narzędzia ogrodnicze. Victorio, czuję się bardzo nie w porządku, jeśli chodzi o tę sprawę. Bardzo nie w porządku. Dwa tygodnie temu prosiłaś mnie o jego adres, a dzisiaj facet usiłuje popełnić samobójstwo. Jaką odegrałaś w tym rolę?

Zesztywniałam.

- Dzięki, Max. Doceniam komplement. Na ogół nie czuję się aż tak wpływową.

- Proszę, nie zbywaj mnie swoją nonszalancją. Wciągnęłaś mnie w to. Chcę wiedzieć, czy przyczyniłam się do desperackiego kroku tego człowieka.

Próbowałam panować nad gniewem.

- Pytasz, czy wyciągnęłam mu jego brudną przeszłość, a on, nie mogąc tego znieść, usiłował otruć się spalinami?

- Coś w tym rodzaju, tak. - Max był śmiertelnie poważny, a jego wiedeński akcent wyraźniejszy niż zazwyczaj. - Wiesz, Victorio, w twoim poszukiwaniu prawdy często zmuszasz ludzi do konfrontacji ze sprawami, o których woleliby zapomnieć. Mogę wybaczyć ci, co zrobiłaś Lotcie, ona jest twarda, da sobie radę. Nie oszczędzasz też siebie. Ale ponieważ jesteś bardzo silna, to nie dostrzegasz, że inni ludzie nie potrafią znieść ciężaru prawdy.

- Posłuchaj, Max. Ja nie wiem, dlaczego Chigwell próbował się zabić. Nie widziałam raportu lekarskiego, więc nie wiem nawet, czy rzeczywiście tak było, może miał zapaść w momencie uruchamiania samochodu. Ale gdyby tak się stało z powodu pytań, które mu zadawałam, to nie czuję ani odrobiny skruchy. On bierze udział w tuszowaniu brudnych spraw Humboldt Chemical. W jaki sposób, dlaczego i jak dalece, nie wiem. Ale nie ma to nic wspólnego z jego osobistą siłą lub słabością - natomiast dotyczy życia wielu innych ludzi. Gdybym - a stawiam tu wielki znak zapytania - gdybym dwa tygodnie temu wiedziała, że moje spotkanie z nim popchnie go do samobójstwa, uwierz mi, zrobiłabym tak samo. - Gdy skończyłam mówić, zacisnęłam usta i dyszałam ciężko.

- Doprawdy wierzę ci, Victorio. I nie mam ochoty rozmawiać z tobą dalej takim tonem. Lecz mam jedną prośbę - nie bierz mnie pod uwagę, kiedy będziesz potrzebować pomocy przy kolejnym polowaniu.

Wyłączył się, zanim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć.

- Nie ma sprawy, pies ci mordę lizał, ty cnotliwy gnojku - wrzasnęłam do głuchej słuchawki. - Zdaje ci się, że jesteś moją matką? Czy tylko wyrocznią sprawiedliwości?

Pomimo pasji poczułam się nieswojo. Nasłuchałam facetowi w środku nocy Murraya Ryersona. Może nastraszyli go, a w wyobraźni zobaczył swe małe sprawki dorównujące morderstwu. Chcąc ulżyć swemu sumieniu, wytropiłam w redakcji szefa działu kryminalnego *Herald-Star*. Był oburzony - wysłał do doktora reporterów z pytaniami o Pankowskiego i Ferraro, ale nie zostali wpuszczeni do środka.

- Nie posługuj się mną do szczucia ludzi, panno Spryciarski. To ty rozmawiałś z facetem. Wiesz coś, czego nie chcesz mi powiedzieć, ale ja nie zamierzam nawet spekulować co to takiego. Mam paru ludzi w Xerxesie i dojdziemy do tego szybciej bez korzystania ze sprzecznych sygnałów od ciebie. Jutro dajemy wzruszającą historię o pani Pankowski i liczę, że będziemy mieli jeszcze coś od tego prawnika, Manheima, który ich reprezentował.

Na koniec Murray niechętnie podzielił się paroma szczegółami nieudanego samobójstwa Chigwella. Zniknął po lunchu, ale jego siostra nie była tym zaniepokojona, ponieważ zajmowała się domem. O czwartej zeszła do garażu, aby przejrzeć narzędzia ogrodnicze do wiosennych robót. Jej komentarze dla prasy nie zawierały żadnej wzmianki o mnie ani o Xerxesie, tyle tylko że nachodzono brata przez ostatnie kilka dni. Miał skłonności do depresji, a ona nie pomyślała o tym w swoim czasie.

- Czy istnieją jakieś wątpliwości, że zrobił to sam?

- Pytasz, czy ktoś wszedł do garażu, związał doktora, zakneblował i wrzucił do samochodu, po czym zdjął liny, sądząc, że Chigwell nie żyje i że będzie to wyglądać jak samobójstwo? Nie rozśmieszaj mnie, Warszawski.

Kiedy zakończyliśmy rozmowę, byłam w jeszcze gorszym nastroju niż przedtem. Popełniłam kardynalny błąd, dając Murrayowi więcej informacji, niż otrzymałam w zamian. W rezultacie wiedział więcej o Pankowskim i Ferraro niż ja. A ponieważ miał zespół ludzi do pracy, był w stanie rozwikłać, co kryje się za kłamstwami Humboldta i Chigwella wcześniej niż ja.

Jestem tak samo ambitna jak każdy inny człowiek, no, może trochę bardziej niż większość ale martwiła mnie nie tylko myśl, że dobiegnę do mety za Murrayem. Chodziło o prawo Louisy do zachowania swej prywatności - nie zasługiwała na to, aby prasa grzebała się w jej minionych losach. A poza tym wciąż męczyło mnie uczucie winy - irracjonalnie, przyznaję - że nie byłam w domu, kiedy Nancy próbowała się za mną skontaktować w dniu jej śmierci.

Spojrzałam żałośnie na niedosmażone udka. Jedyнным strzępem informacji, którego nie oddałam Murrayowi, był list do Marynarskiej Przystani znaleziony w samochodzie Nancy. A teraz jeszcze zniknął młody Art i nie miałam pojęcia, z kim na ten temat rozmawiać. Nalałam sobie drinka (jeden z dziesięciu znaków ostrzegawczych - czy szukasz ucieczki w alko holu w chwilach napięcia lub frustracji?) i weszłam do salonu.

Marynarska Przystań była poważną firmą ubezpieczeniową z siedzibą w Bostonie, ale mieli też dużą filię w Chicago. Setki razy widziałam ich reklamówki telewizyjne z wylegającym się na hamaku marynarzem o pewnej sobie minie - zawiń do marynarskiej przystani, a będziesz spał spokojnie.

Wyjaśnianie renomowanej firmie ubezpieczeniowej, skąd wzięłam dane, byłoby dość zawile. Niemal tak trudne jak próba wyjaśnienia tego wielkiemu Artowi. Towarzystwa ubezpieczeniowe strzegą swych tajemnic z pieczołowitością kojarzoną zazwyczaj ze Świętym Graalem. Więc nawet gdyby uwierzyliby mi na słowo, że posiadam prawa do tych dokumentów, trudno byłoby zmusić ich do powiedzenia mi, czy te papiery mają jakieś znaczenie, na przykład czy dane tam zawarte są prawdziwe. Musieliby uzyskać zezwolenie z centrali w Bostonie, a to potrwałoby miesiąc albo dłużej.

Caroline mogłaby wiedzieć, co znaczy ten dokument, ale ona ze mną nie rozmawiała. Jedyłą osobą, którą mogłam jeszcze brać pod uwagę, był Ron Kappelman. Nie sądziłam, aby raport ubezpieczeniowy miał coś wspólnego ze stacją SCRAP-u, ale Nancy lubiła Rona i blisko z nim współpracowała. Być może potrafiłby dostrzec w liście te same rewelacje co ona.

Łaska boska, jego prywatny numer znajdował się w książce i - o jeszcze większy cudzie - Kappelman był w domu. Kiedy powiedziałam mu, z czym dzwonię wydawał się wielce zainteresowany. Zadał wiele konkretnych pytań o to, w jaki sposób weszłam w posiadanie akt. Odpowiedziałam zdawkowo, że Nancy obarczyła mnie odpowiedzialnością za załatwienie paru jej prywatnych spraw, i umówiliśmy się, że wpadnie do mnie o dziewięć rano następnego dnia przed

pójsiem do pracy.

Spojrzałam znowu na bałagan w salonie. Nawet wyrzucenie wszystkich starych numerów *The Wall Street Journal* nie uczyniłoby tego miejsca podobnym do wymuskanego domu przy Langley. Wstawiłam patelnię z kurzymi udkami do lodówki - straciłam ochotę do gotowania, nie mówiąc już o jedzeniu. Zadzwoiłam do swojej starej przyjaciółki Velmy Riter i poszłyśmy razem obejrzeć *Czarownice z Eastwick*. Udało mi się na tyle uwolnić od Chigwella i Maxa, że po powrocie do domu bez problemu zasnęłam.

ROZDZIAŁ 23

Ostatnia prosta

Byłam w garażu Chigwella. Max trzymał mnie za nadgarstek w żelaznym uścisku. Zmusił, abym podeszła do czarnego sedana, gdzie siedział doktor. „Zabijesz go teraz, Victorio”, powiedział Max. Próbowałam się wyrwać, ale trzymał zbyt mocno. Zmusił mnie do podniesienia ręki i naciśnięcia spustu. Kiedy wystrzeliłam, twarz Chigwella zniknęła, a pojawił się łeb psa o krwawych ślepiach znad Stawu Martwych Konarów. Miotalam się wśród bagiennych chaszczki, próbując uciec, ale zdziczałe zwierzę tropiło mnie nieubłaganie.

Obudziłam się o szóstej, lepka od potu, zdyszana, mając ochotę rozpląnąć się we łzach. Pies z bagien w moim śnie wyglądał dokładnie jak Peppy.

Pomimo wczesnej pory nie chciałam pozostawać w łóżku ani chwili dłużej - leżałabym spotniała, z głową ciężką jak kamień. Odrzuciłam prześcieradła i zwinęłam je razem z brudnym dressem. Włożyłam dzinsy oraz koszulkę i poczłapałam do pralni w piwnicy. Gdybym miała w czym biegać, zabrałabym psa na spacer. Bieg i zimny prysznic mogły odświeżyć mi głowę przed wizytą Rona Kappelmana.

Po długich poszukiwaniach znalazłam stare ocieplacze ze studenckich czasów, wciśnięte na dno pudła w szafie w przedpokoju. Guma w pasie była sparciała - spodnie ledwo trzymały się na troku - a kasztanowy kolor wypłówał do rozmytego różu, ale na jeden bieg jeszcze się nadawały. Zważyłam w dłoni pistolet, ale sen tkwił we mnie zbyt mocno - nie mogłabym teraz mieć przy sobie broni. Nikt przecież nie zamierzał atakować mnie w obecności tylu biegaczy tłoczących się wzdłuż brzegu jeziora. Zwłaszcza jeżeli będzie mi towarzyszył duży pies. Miałam nadzieję.

Zanim skończyłam gimnastykę, pan Contreras wypuścił już Peppy na dwór. Spotkałam ją na schodach przed kuchennymi drzwiami i wyruszyliśmy.

Był to jeszcze jeden mglisty poranek przy około pięciu stopniach ciepła pod ołowianym niebem. Bez względu na pogodę suka była zachwycona przebywaniem na dworze. Zostawiłam ją przy lagunie, merdającą złotym proporcem ogona i pobiegłam w stronę jeziora.

Na skałach wzdłuż brzegu stała garstka wędkarzy, niezniechęconych paskudną pogodą.

Kiwnęłam na powitanie trójce w czarnych pelerynach, która siedziała na falochronie przede mną i podążyłam dalej, w stronę wejścia do portu. Przez chwilę stałam na cyplu, patrząc w mętne fale rozbijające się o skały, ale w mglistym chłodzie przepocone ubranie zaczęło przyklejać mi się do ciała. Podciągnęłam więc obluźowany trok w ocieplaczach i zawróciłam.

Zimowe sztormy naniósł masę otoczków. Nieraz musiałam zbaczać ze ścieżki, aby nie potknąć się o leżący kamień. Zanim wróciłam do początku falochronu, nogi bolały mnie od stąpania po nierównym gruncie. Zwolniłam bieg.

Trójka wędkarzy w pelerynach obserwowała, jak się zbliżam. Nie wyglądali na zajętych łowieniem. Właściwie to nie mieli nawet żadnego sprzętu. Kiedy dotarłam do podstawy falochronu, wstali tworząc przypadkową barierę między mną a drogą. Jakiś samotny biegacz przebiegł za ich plecami.

- Hej! - zawołałam.

Ale on zatopiony był w dźwiękach płynących ze słuchawek walkmana. Nie zwrócił na nas uwagi.

- Daj spokój, ślicznotko - rzucił jeden z nich. - My jesteśmy tylko rybakami, co bwią sobie czasem ładną dziewczynkę.

Odsuwałam się od nich, próbując gorączkowo zebrać myśli. Mogłabym pobiec z powrotem na falochron, w stronę jeziora. I utknąć wśród kamieni otoczona wodą, starając się przekrzyczeć muzykę ze słuchawek czyjegoś walkmana. A gdybym rzuciła się w bok...

Błyszcząca czarna ręka wysunęła się w przód i porwała mnie za lewy nadgarstek.

- Która godzina, ślicznotko? Popatrzymy sobie tylko na zegarek. Zawinęłam się błyskawicznie wokół jego ramienia i uderzyłam kantem dłoni powyżej łokcia. Napastnik miał na sobie grube warstwy ubrania, ale na tyle mocno nadwerżyłam mu kość, że jęknął i zwolnił uścisk. Kiedy jego palce popuściły lekko, wyrwałam się i rzuciłam do ucieczki przez park, wołając o pomoc. Żaden z paru ludzi, którzy przemykali we mgle, nie był na tyle blisko, aby mnie usłyszeć.

Zazwyczaj biegam tam i z powrotem wzdłuż falochronu. Nie znałam tej części parku, jego kryjówek i nie wiedziałam, dokąd uciekam. Miałam nadzieję, że dotrę do Lake Shore Drive, ale mogłam też skończyć w ślepej uliczce.

Moi napastnicy byli obciążeni grubymi pelerynami. Mimo zmęczenia zyskałam nad nimi nieco przewagi. Zauważyłam, jak jeden z nich stara się zabiec mi drogę od lewej. Pozostali trzymali się z

tyłu, chcąc zapewne wziąć mnie w kleszcze. Wszystko zależało od tego, jak szybko uda mi się dobiec do drogi.

Dobryłam z siebie resztę energii i pobiegłam na skróty w zamierzonym kierunku. Zaskoczyło to osobnika, którego mogłam obserwować - krzyknął ostrzegawczo do pozostałych. Dodało mi to pewności i zaczęłam biec z całych sił. Pędząc tak zobaczyłam przed sobą wodę.

Jezioro. Wdzierało się tutaj w park wąską zatoczką. Jej koniec znajdował się około trzydziestu metrów po lewej. Człowiek, którego uderzyłam, biegł w tamtą stronę odcinając mi drogę. Po prawej zauważyłam dwóch innych peleryniarzy, posuwających się wolnym truchtem.

Zaczekałam, aż podeszli na piętnaście metrów. Starłam się odzyskać oddech i odwagę. Kiedy byli na tyle blisko, aby móc do mnie krzyżeć - po co to bieganie - poddaj się, ślicznotko - nie będziemy się bić - skoczyłam.

Woda była prawie lodem. Nabrałam do ust śmierdzący haust i wyplułam. Płuca i serce łomotały w proteście. Zaczęły mnie boleć kości i głowa. Dzwoniło mi w uszach, a przed oczami tańczyły ogniste punkciki. Metry. To tylko metry. Dasz radę. Najpierw jedno ramię, potem drugie. Jedna stopa w górę, jedna w dół, nie martw się o ciężkie buty, już prawie jesteś po drugiej stronie, prawie na brzegu, tu jest kamień, podciągnij się, teraz możesz iść, możesz wspiąć się na brzeg.

Trok w moich ocieplaczach rozlał się zupełnie. Wysuplałam się z nich i pokuś tykałam w stronę drogi. Od wilgotnego zimna kręciło mi się w głowie, przed oczami przepływały atramentowe kształty. Nie widziałam ostro, nie potrafiłam dostrzec, czy ten człowiek z końca zatoczki mógł przebiec na drugą stronę, zanim ją przepłynęłam, nie widziałam pogoni. W mokrych butach, z dzwoniącymi zębami ledwo mogłam się ruszać, ale ratunek był przede mną. Uparcie ruszyłam naprzód.

Doszłabym, gdyby nie te cholerne kamienie. Byłam zbyt wyczerpana, zbyt rozbita, aby widzieć wyraźnie. Potknęłam się o wielki głaz i upadłam ciężko. Łapiąc wielkie hausty powietrza, próbowałam wstać, a potem szarpiąc się w błyszczących czarnych ramionach, kopałam, młóciłam rękami, nawet gryzłam, aż wreszcie te wszystkie atramentowe plamy zlały się w wielką kulę i eksplodowały w moim mózgu.

Po jakimś czasie stwierdziłam, że jestem bardzo chora. Nie mogłam oddychać. Gruźlica. Czekałam na dworze, w deszczu, na mojego tatę. Obiecał, że podjedzie po mnie w czasie przerwy w służbie, ale przerwy nie było - nie przypuszczał, że będę czekała tak długo. Leż pod tym

namiotem, oddychaj powoli, słuchaj mamy, ona mówi, że wszystko będzie dobrze, a wiesz, że ona nigdy nie kłamie. Spróbowałam otworzyć oczy. Ten ruch wbił mi w mózg wielkie pazury bólu, zmuszając do pozostania w ciemności.

Obudziłam się znowu, kołysana bezwolnie w przód i w tył, ze związanymi rękami. Jakiś kamień wpijał mi się w bok. Owinięta byłam w coś ciężkiego, co zatykało mi usta. Gdybym wymiotowała, mogłabym się zadławić. Leż tak spokojnie, jak potrafisz. Nie czas na walkę.

Wiedziałam teraz, kim jestem. Victoria Warshawski. Detektyw w spódnicy. Idiotka *extraordinaire*. Ta ciężka powłoka to był koc. Nie widziałam go, ale mogłam sobie wyobrazić - zielony, seryjny towar Searsa. Wciśnięta byłam pod tylne siedzenie samochodu. Żaden kamień, tylko wał korbowy. Kiedy wydostanę się stąd, zmuszę Radę Miejską, aby wydała wszystkim kryminalistom Chicago nakaz wożenia swych pasażerów na przednim siedzeniu. Łapią cię, bratku, z kimś na wale korbowym i idziesz siedzieć. Kiedy się stąd wydostanę.

Moi peleryniarscy przyjaciele rozmawiali o czymś, ale nie mogłam wyłowić słów przez szum w uszach i gruby koc. Z początku myślałam, że szum był rezultatem zimnej kąpieli, ale stopniowo mój znużony umysł rozpoznał ten dźwięk jako dudnienie kół na drodze, dochodzące spod podłogi. Kołysanie i ciepło kokonu pogrążyły mnie z powrotem we śnie.

Obudziło mnie zimne powietrze. Ramiona związane z tyłu zdrętwiały, a język skołowaciał od powstrzymywanych mdłości.

- Ciągle sztywna?

Nie znałam tego głosu. Zimny, obojętny. Głos człowieka, który dzwonił do mnie z pogroźkami? Niespełna dwa dni temu? Tak niedawno? Nie mogłam odgadnąć ani czasu, ani głosu.

- Nie rusza się. Chcesz, żebym odwinął ją i sprawdził? - Niski ton jakiegoś Murzyna.

- Zostaw tak, jak jest. - Znów zimny głos. - Wyrzucamy stary dywan. Nigdy nie wiadomo, kto cię może zobaczyć, nawet tutaj. A jeszcze zapamięta twarz.

Starałam się leżeć zupełnie bezwładnie. Nie był mi potrzebny jeszcze cios w głowę. Zostałam wyciągnięta brutalnie z samochodu. Uderzyłam moją biedną czaszką, zbolałymi ramionami, drętwym karkiem o drzwi, zaciskając przy tym kurczowo palce, aby powstrzymać się od krzyku. Ktoś przerzucił mnie sobie przez ramię niczym belę starego dywanu, jakby te siedemdziesiąt kilogramów było lekkim i nieważnym pakunkiem. Słyszałam trzask łamanych nogami badyli i szelest zeschniętej trawy. To, na co nie zwróciłam uwagi podczas poprzedniej wyprawy nad staw,

to był zapach. Cuchnący odór gnijącego zielska zmieszany z chemikaliami, którymi nasiąknęły bagna. Powstrzymywałam się przed zakrztuszeniem, powstrzymywałam się przed myśleniem o rybach z przegniłymi płetwami, powstrzymywałam falę mdłości, która wzbierała we mnie wraz z bólem głowy tłukącej się o plecy niosącego mnie człowieka.

- Okay, Troy. Będzie tego dobrego.

Troy chrząknął i zsunął mnie z ramienia, rzucił na ziemię.

- Nie za blisko?

- Ona nigdzie się nie wybiera. Spadamy.

Bujna trawa i błoto wytłumiły mój upadek. Leżałam na chłodnej ziemi. Zimny muł przesiąkał przez koc, przynosząc chwilową ulgę rozpalonej głowie, ale gdy leżałam tak dłużej, swoim ciężarem zaczęłam wyciskać wodę z grząskiego bagna. Poczułam wilgoć w uszach i ogarnięta paniką szamotałam się bezładnie. Samotna w mrocznym kokonie, muszę zatonać, smolista woda bagien zaleje moje płuca, moje serce, mój mózg. Krew zahuczała mi w głowie i zapłakałam łzami kompletnej bezsilności.

ROZDZIAŁ 24

Pograżona

Znowu zemdlalam. Kiedy w końcu przyszlam do siebie, bylam juz cala mokra. Woda oblepila włosy i laskotala uszy. Czulam, jakby ktos wbil mi w ramiona zelazne sztaby, aby oddzielic je od mostka. Mimo to sen i zimna bbnista woda jakos zlagodzily bol glowy. Nie chcialam mysliec - to bylo zbyt przerazajace. Ale przeciez milimetr po milimetrze wciaz mialam szanse z tego wyjść - gdybym uzyla odrobiny rozsądku.

Przetoczyłam się na bok, koc był ciężki od błota. Zgromadziwszy w sobie wszelkie, najmniejsze okruchy siły, pchnęłam ciało do pozycji siedzącej. Nogi miałam związane w kostkach, a ręce za plecami, w przegubach dłoni - nie było sposobu, aby przenieść je przed siebie. Ale gdy przesunęłam je w dół pod kość ogonową, mogłam spiąć się na tyle, aby pracując nogami po centymetrze posuwać się naprzód.

Musiałam przyjąć, że nieśli mnie wzdłuż tego samego szlaku, którym przywlekli Nancy - w każdym razie było to daleko od drogi. Po pewnym okresie pró b i błędów, co pozbawiało mnie tchu w błotnistym kokonie, zorientowałam się, że woda była z prawej strony. Uważnie wykonałam obrót o sto osiemdziesiąt stopni tak, aby posuwisty ruch zbliżał mnie do drogi. Starłam się nie myśleć o dystansie i nie obliczać możliwej szybkości. Odpędziwszy myśli o jedzeniu, kąpieli i łóżku, wyobraziłam sobie, że jestem na słonecznej plaży. Może na Hawajach. Może jakiś Tarzan pojawi się nagle i wyrwie mnie z matni.

Trzęsły mi się nogi i ramiona. Za dużo wysiłku, za mało glukozy. Musiałam zatrzymywać się co kilka posunięć i odpoczywać. Przy drugim przystanku zapadłam znów w sen i obudził mnie dopiero upadek w trawę. Po tym zdarzeniu zmusiłam się do wyliczania rytmu. Pięć posunięć, liczę do piętnastu, pięć posunięć, liczę do piętnastu, pięć posunięć, liczę do piętnastu. Nogi z galarety, mózg się przekręca, piętnaście. Moje piętnaste urodziny. Gabriella umarła dwa dni wcześniej. Wydała ostatnie tchnienie w ramionach Tony'ego, kiedy ja byłam na plaży. Może raj jest naprawdę, a Gabriella ze swym czystym głosem w anielskim chórze czeka na mnie z rozpostartymi skrzydłami, z ramionami otwartymi w bezgranicznej miłości, czeka na mój kontrakt, aby splótnąć się z

jej sopranem.

Szczekanie psa przywróciło mnie do rzeczywistości. Bestia o krwawych ślepiach. Tym razem nie mogłam już nic poradzić: zwymiotowałam małą strużką żółci. Słyszałam, jak pies się zbliża, dyszy ciężko, krótko i zajadle szczeka, a potem przewróciwszy mnie, wpycha mordę pod koc. Leżałam na boku, zamotana w ubbconym kołtunie, kopiąc bezsensownie powietrze, i czułam łapy przygniatające ciężko moje ramię.

Kopałam bezradnie w koc, starając się odpędzić zwierzę. Łzy strachu wpłynęły mi do nosa. Tymczasem czułam, jak z zewnątrz kły docierają do mej głowy i ramion. Skoro mogły przebić się przez gruby koc, to jak ochronię gardło? Z rękami związanymi z tyłu? Pies nie zwracał uwagi na moją żalosalną szamotaninę.

Przerażenie huczało mi w uszach, a bezużyteczne nogi zmieniły się w watę. Ponad tym zgielkiem usłyszałam głos. Resztkami sił spróbowałam krzyknąć.

- Masz ją? Znalazłaś ją? To ty, laleczko? Jesteś tam? Słyszysz mnie? To nie bestia z piekła rodem, ale Peppy. Z panem Contrerasem.

Moja euforia była tak wielka, że obolałe mięśnie momentalnie przestały mi dolegać. Jęknęłam słabo. Staruszek mocował się gorączkowo z węzłami, mówiąc cały czas do siebie.

- Trzeba ci było ruszyć głową i wziąć nóż zamiast tego francuza. Mógłbyś na to wpaść, głupi staruchu, po co taszczyć ze sobą klucz, skoro tutaj potrzeba noża. Leż spokojnie, laleczko, już prawie gotowe, nie odpływaj, jesteśmy już przy brzegu.

W końcu udało mu się zerwać koc z twarzy.

- O mój Boże, źle z nami. Dalej, wydostańmy cię stąd. Gorączkowo, bezładnie szarpał węzły za plecami. Suka przyjrzała mi się niespokojnie, a potem zaczął a lizać moją twarz - byłam jej na dobre utraconym szczenięciem odnalezionym w samą porę. Przez cały czas, kiedy pan Contreras uwalniał mi ręce i nacierał ramiona, przywracając w nich ślady krążenia, Peppy obmywała mi twarz jęzorem.

Staruszek był zszokowany, gdy zobaczył mnie w samych majtkach. Podejrzewał, iż zostałam zgwałcona i z niedowierzaniem przyjął moje zapewnienia, że topiłam goniących mnie napastników. Opierając się ciężko na jego ramieniu, pozwoliłam mu się prowadzić, a w części nieś z powrotem do drogi.

- Mam tu ze sobą jednego palanta. Mówi, że niby adwokat. Nie chciał mi uwierzyć, że tutaj jesteś, więc czeka w samochodzie. Kiedy jej królewska wysokość wróciła sama znad jeziora, trochę

się zaniepokoiłem. Potem pojawia się ten smarkacz i mówi, że byłaś z nim umówiona o dziewiątej i nie będzie czekać cały dzień. Wiem, że nie chcesz, żebym węszył za tobą, laleczko, ale byłem przy tym, jak zadzwonił ten facet, słyszałem, jak ta twoja mała przyjaciółka mówiła, że chcą utopić cię w bagnie, więc zmusiłem go, żeby tu nas przywiózł. Mnie i jej królewską wysokość, wiesz. Uznałem, że znajdziemy to miejsce, bo pokazywałaś mi kiedyś na mapie, no i tego.

Mówił i mówił przez całą drogę. Na szosie stał Ron Kappelman, opierając się o swego zdezelowanego rabbita. Pogwizdywał pogodnie i gapił się w pustkę. Zobaczywszy nadchodzącą trójkę, zerwał się raptownie i puścił pędem w naszą stronę. Pomógł panu Contrerasowi przenieść mnie przez płot i umieścić na tylnym siedzeniu samochodu. Peppy szczerknęła krótko i przemknąwszy obok nich, wepchnęła się całym swym ciężarem obok mnie.

- Cholera, Warszawski. Jak już zawałasz spotkanie, to w wielkim stylu. Co się, u diabła, stało?

- Zostaw ją w spokoju, młody człowieku, i nie mów tak brzydtko. Jest wystarczająco dużo innych słów w języku angielskim, aby nie trzeba było bez przerwy przeklinać. Nie wiem, co pomyślałaby pańska matka, słysząc pana. Teraz mamy odwieźć tę panią do lekarza i wykurować, a potem może pan sobie wściubiać swój nos i wypytywać, jak znalazła się tam, gdzie się znalazła, jeżeli zechce w ogóle z panem rozmawiać.

Kappelman zeszywniał, gotując się do odparcia ciosu, ale uzmysłowił sobie, że to bezcelowe, i usiadł za kierownicą. Straciłam przytomność, zanim jeszcze wykręcił samochód.

Nie pamiętam niczego z reszty dnia. Jak Kappelman zatrzymał patrol policji stanowej i zapewnił nam eskortę w drodze do kliniki Lotty z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, jak pan Contreras uparcie odmawiał oddania mnie do szpitala bez uzyskania diagnozy. Nie pamiętam, jak Lotty, spojrzawszy tylko na tylne siedzenie, wezwał ambulans, aby zabrać mnie na syrenie do Beth Israel. Nie pamiętam nawet, że Peppy nie chciała dopuścić do mnie sanitariusza. Chwyliła jego nadgarstek mocnymi szczękami i nie pozwalała podejść. Opowiadali mi, że trzeba było mnie długo cucić, abym kazała jej puścić rękę chłopaka, ale nie pozostał mi po tym w pamięci żaden ślad, nawet jako fragment snu.

Ostatecznie wynurzyłam się na powierzchnię rzeczywistości około szóstej rano w czwartek. Po paru minutach konsternacji dotarło do mnie, że leżę w szpitalnym łóżku, lecz nie mogłam pojąć, co robię i jak się tu znalazłam. Jednakże kiedy tylko spróbowałam wstać, ból moich ramion stał się tak dotkliwy, że pamięć powróciła gwałtownym strumieniem.

Staw Martwych Konarów. Ten potworny kokon śmierci. Wyciągnęłam przed siebie ręce mimo koszmarne bólu, który je powstrzymywał. Nadgarstki i dłonie owinięte miałam gazą; spod białego opatrunku wyzierały palce przypominające jasnoczerwone kiełbaski. W lewym przedramieniu, powyżej opatrunku, tkwiła igła wenflonowa. Powiodłam wzrokiem po wyprowadzonej od niej rurce do kiści torebek zawieszonych nad gbwą i zerknęłam na etykiety. D5.45NS. Ten obrazek wiele mi powiedział.

Zetknęłam razem opuszki palców. Były nabrzmiące, ale czułam w nich dotyk. Położyłam się z powrotem, przepelniona pogodną satysfakcją. Przeżyłam. Ręce miałam sprawne. Chcieli mnie zabić, chcieli upokorzyć w chwili śmierci, a jednak byłam żywa. Z powrotem zapadłam w sen.

Kiedy obudziłam się, wokół wrzała codzienna szpitalna krzątanina - mierzenie ciśnienia i temperatury, obchody - i żadnych wyjaśnień: lekarz pani powie. Po pielęgniarzach nadszedł energiczny internista, który obejrzał mi oczy i wkłuł igły w stopy. Wyglądało na to, że akupunktura jest najbardziej wyrafinowaną techniką neurologii. Jakiś inny lekarz zajmował się sąsiadką, kobietą w moim wieku, która właśnie przeszła operację plastyczną. Kiedy skończyli, wpadła Lotty, jej ciemne, oczy pałały z przejęcia dalekiego od lekarskiej rutyny. Mój internista przytrzymał ją za łokieć, gorączkowo dzieląc się swymi odkryciami. Przysłuchiwała mu się przez chwilę, po czym odesłała władcym gestem.

- Jestem pewna, że odruchy masz w najlepszym porządku, ale pozwól, że sama sprawdzę. Najpierw oddychanie. Nabierz powietrza. Zatrzymaj. Wypuść. Dobrze. - Osłuchiwała mnie centymetr po centymetrze, po czym kazała zamknąć oczy i zetknąć ręce, następnie wstać z łóżka - w powolnym i chwiejnym manewrze - i przejść na piętach i na palcach. Nie przypominało to moich zwykłych ćwiczeń, ale jednak wróciłam do łóżka bez tchu. - Ty naprawdę powinnaś mieć dzieci, Victorio - mogłabyś spłodzić całą nową rasę supermenów. Z medycznego punktu widzenia to cud, że w ogóle żyjesz, nie mówiąc o tym, że możesz chodzić.

- Dziękuję ci, Lotty. Jestem z siebie dumna. Powiedz mi, jak się tu dostałam i kiedy mogę wyjść.

Opowiedziała w szczegółach o Peppy i sanitariuszu.

- A ten twój przyjaciel, pan Contreras, czeka w holu na dole jak na szpilkach. Siedział tu przez całą noc, z psem, absolutnie wbrew przepisom szpitalnym, ale wy oboje dobrze do siebie pasujecie - krnąbrni, uparci, dopuszczający tylko jeden sposób postępowania - swój własny.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odpowiedziałam bez skruchy, kładąc się na poduszkach. - I nie mów mi, że pies został tu bez cichego przyzwolenia z twojej strony. Albo przynajmniej Maxa.

Ugryzłam się w język, pochmurniejac, przypomniawszy sobie moją ostatnią rozmowę z ordynatorem szpitala. Lotty spojrzała na mnie z sympatią.

- Tak, Max też chce z tobą rozmawiać. Trapią go wyrzuty sumienia. I nie mam wątpliwości, dlaczego ten pies spędził noc w szpitalu. Ale teraz musi stąd pójść, więc jeśli byłabyś taka dobra i powiedziała swemu męczącemu sąsiadowi, że nadal zamierzasz walczyć z wiatrakami, to każemy im się wynieść. W tym czasie, ponieważ twój mózg działa nie gorzej niż zwykle, każę komuś wyciągnąć tę igłę.

Wyfrunęła z pokoju ze zwykłą sobie prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Pan Contreras wszedł w minutę czy dwie po niej, z oczami pełnymi łez i drżącymi lekko rękami. Spuściłam nogi z łóżka i wyciągnęłam ku niemu ramiona.

- Och, pączuszk, nigdy nie zapomnę twojego widoku, kiedy cię znaleźliśmy. Więcej było w tobie śmierci niż życia. A ten smarkacz jeszcze nie wierzył, że tam mogłaś być i mało nie doszło do bójki, żeby zechciał nas zawieźć. A potem nie mogłem od pielęgniarek wyciągnąć słowa, jak się miewasz, pytałem i pytałem, a one nie powiedzą, bo nie z rodziny. Ja - nie z rodziny. A kto ma większe prawo, chciałbym wiedzieć, powiadam, jakiś kuzyn z Melrose Park, co nie przysłał nawet kartki na święta, czy ja, który uratowałem jej życie. Ale pojawiła się pani doktor Lotty i wszystko wyprostowała, ona i pan Loewenthal. Umieścili mnie w pustej sali na dole, ale musieliś my obiecać, że ci nie będziemy przeszkadzali. - Wyciągnął z tylnej kieszeni wielką czerwoną chustkę i głośno wyczyścił nos. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Muszę zabrać jej wysokość do domu i nakarmić, ale nie mów mi już więcej, żeby pilnował swego nosa, pączuszk, nie wtedy, kiedy masz do czynienia z takimi facetami.

Podziękowałam mu tak gorąco, jak tylko potrafiłam, ściskając mocno i całując. Kiedy wyszedł, położyłam się znowu, przeklinając swój brak sił. Lotty chciała, abym została tu jeszcze jeden dzień - twierdziła, że nie wypocznę, jeżeli będę sama sobą kierować. Miała rację: już teraz byłam dosyć rozdrażniona, a ból ramion jeszcze bardziej potęgował moją irytację. Wyrzuciła zresztą moje ubranie i nie miała zamiaru przynieść mi nowego przed piątkiem.

Jak się okazało, większość ludzi, z którymi starałabym się zobaczyć, przyszło mnie odwiedzić, podobnie jak paru takich, bez których mogłabym się obejść, na przykład policja. Porucznik Mallory

przybył osobiście, dowodząc tym nie tyle mojej ważności, ile swego podszytego irytacją niepokojem - irytacją, ponieważ powinnam się trzymać z dala od spraw należących do policji, niepokojem, ponieważ był bliskim przyjacielem moich rodziców.

- Vicki, wejdź dla odmiany w moje położenie. Jeden z twoich najlepszych przyjaciół umiera i gdzie tylko się obrócisz, jego jedyne dziecko gra ci na nosie. Jak byś się czuła?

- Wiem, jak ty się czujesz; mówiłaś mi to już sześć milionów razy - odpowiedziałam grubiańsko. Nie znoszę takich szpitalnych odwiedzin. To tak, jakby był się dzieckiem, a ludzie przychodzili usypiać cię w łóżeczku na noc.

- Gdybyś została zabita, czułbym się odpowiedzialny do końca życia. Nie rozumiesz tego? Nie widzisz, że skoro wydaję ci polecenia, to wynikają one z troski o twoje bezpieczeństwo, bo jestem dłużnikiem Tony'ego i Gabrielli? Co może sprawić, byś nabrała trochę rozumu?

Zapatrzyłam się ponuro w prześcieradła.

- Jestem wolnym strzelcem właśnie po to, aby nie musieć słuchać niczyich poleceń. W każdym razie, Bobby, zgodziłam się nie chodzić do prokuratora w sprawie Nancy Cleghorn. I zgodziłam się mówić ci o wszystkim, na co się natknę, co mogłoby wyglądać na ślad jej morderców. Nie natknęłam się.

- Oczywiście, że tak! - zawołał.

Walnął w szafkę obok łóżka z taką siłą, że przewróciła się karafka z wodą. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej - wrzasnął przez drzwi na posługacza, a potem krzyczał na niego, dopóki podłoga nie została zadowolająco wytarta do sucha. Moja sąsiadka wyłączyła telewizor i wybiegła pędem na korytarz.

Kiedy wszystko zostało uporządkowane, Bobby zdobył się na wysiłek ściszenia głosu. Wypytał mnie o szczegóły wydarzenia, czekając cierpliwie w momentach, kiedy było mi trudno mówić, i pomagając, kiedy nie mogłam sobie czegoś przypomnieć. Fakt, że zapamiętałam imię, nawet bez nazwiska, poprawił mu nieco humor; jeśli Troy był zawodowcem związanym z jakąkolwiek znaną organizacją, policja mogła mieć jego teczkę.

- A teraz, Vicki - zagadnął dobitnie - przejdźmy do sedna sprawy. Skoronie wiedziałaś nic o śmierci Cleghorn, dlaczego ktoś usiłował cię zabić w ten sam sposób i w tym samym miejscu, co ją?

- Nie, Bobby, stawiasz tak sprawę, jakbym miała wiedzieć, kto ją zabił. Albo przynajmniej

dlaczego.

- Właśnie. A teraz słucham.

Potrząsnęłam głową, ostrożnie, ponieważ plecy wciąż mnie bolały.

- Ale to tylko ty tak ją stawiasz. Ja widzę to inaczej, musiałam rozmawiać z kimś, kto sądzi, że wiem więcej, niż wiem naprawdę. Kłopot w tym, że przez ostatnich parę dni rozmawiałam z tyloma ludźmi i wszyscy byli tak niemili, że nie wiem, kogo bym wybrała na głównego podejrzanego.

- Okay - Bobby postanowił być cierpliwy. - Wyliczmy sobie, z kim rozmawiałaś.

Wpatrzyłam się w wodne zacieki na suficie.

- Jest młody Art Jurshak. Wiesz, ten syn radnego. I Curtis Chigwell, lekarz z Hinsdale, który usiłował się zabić poprzedniego dnia. I Ron Kappelman - radca prawny SCRAP-u. Gustav Humboldt, oczywiście. Murray Ryerson...

- Gustav Humboldt? - Głos Bobby'ego podniósł się o jeden rejestr.

- No wiesz, prezes Humboldt Chemical.

- Wiem, kogo masz na myśli - rzucił kaśliwie. - Czy zechciałabyś podzielić się ze mną wyjaśnieniem, dlaczego z nim rozmawiałaś? W związku z tą Cleghorn?

- Właściwie o tej Cleghorn w ogóle z nim nie rozmawiałam - odparłam poważnie, kierując wzrok na zaciśnięte szczęki Bobby'ego. - O to mi właśnie chodzi, z żadnym z tych facetów nie rozmawiałam o Nancy. Ale ponieważ wszyscy byli bardziej lub mniej nieprzyjemni, każdy z nich mógł chcieć utopić mnie w bagnach.

- Chętnie poszukałbym kogoś, kto by cię tam z powrotem wrzucił. To zaoszczędziłoby masę czasu. Ty coś wiesz i wydaje ci się, że za chwilę znowu będziesz strugać bohaterkę w poszukiwaniach, nie puszczając pary z gęby. Tym razem nieomal cię załatwili. Następnym razem poprawią się, ale zanim tak się stanie, ja muszę marnować miejskie pieniądze i płacić człowiekowi, żeby miał cię na oku. - Jego niebieskie oczy jarzyły się. - Eileen tak się martwi, że tu jesteś. Chciała ci przysłać kwiaty, chciała wziąć cię do nas i ci nadskakiwać. Powiedziałem jej, że po prostu nie jesteś tego warta.

ROZDZIAŁ 25

Godziny odwiedzin

Kiedy Bobby wyszedł, znowu się położyłam. Próbowałam zasnąć, ale ból z barków przeniósł się do moich myśli. Pod powiekami zbierały mi się łzy wściekłości. Niemal zostałam zabita, a on potrafił mnie tylko obrażać. Nie zasługiwałam na opiekę tylko dlatego, że nie byłam papłą, która powiedziała mu wszystko, co wie. Próbowałam wspomnieć nazwisko Gustava Humboldta, w zamian usłyszałam okrzyk niedowierzania.

Było mi niewygodnie. Węzelek szpitalnej koszuli wpijał się w obolałe mięśnie szyi. Oczywiście, mogłam wygłosić cały referat na temat moich poczynań ostatniego tygodnia. Ale Bobby po prostu by nie uwierzył, że taka gruba ryba jak Gustav Humboldt mogłaby mieć związek z tłuczeniem jakiejś młodej kobiety po głowie. Chociaż gdybym spróbowała pomówić z nim otwarcie... Czy miał rację? Czy rzeczywiście robiłam z siebie bohaterkę, licząc, że jeszcze raz zagram mu na nosie?

Kiedy tak leżałam, pozwalając swobodnie przepływać myślom, uzmysłowiłam sobie, że tym razem chęć dokopania tak zwanym czynnikom oficjalnym nie przynosił a mi zadowolenia. Byłam porządnie i prawdziwie przestraszona. Za każdym razem, kiedy próbowałam wrócić myślami do trzech mężczyzn w czarnych pelerynach, cofałam się przed tym obrazem jak koń przestraszony ogniem. W opowiadaniu o napadzie istniało wiele szczegółów, o których nie wspomniałam Bobby'emu nie dlatego, że zależało mi na ich ukryciu, ale dlatego że nie potrafiłam znieść dotyku tych wspomnień. Nadzieja, że ton głosu czy jakiś zwrot mogły naprowadzić na ślad kogoś, dla kogo pracowali napastnicy, nie wystarczała mi, aby wrócić pamięcią do tego strasznego wydarzenia.

Gdybym wygadała wszystko Bobby'emu, zwalając na niego cały ten zawikłany mętlik, byłaby to forma głośnego powiedzenia: „Hej, chłopcy, kimkolwiek jesteście, trzymacie mnie w garść ci. Nie udało wam się mnie zabić, ale mam takiego stracha, że zrzekam się odpowiedzialności za swoje życie”.

Odkąd pozwoliłam tej odrobinie samowiedzy usadowić się na czele moich rozmyślań, zaczęło

ustępować to straszne wewnętrzne napięcie. Nie pozwolę zamienić się w eunucha, nie będę wiodła życia na marginesie wyznaczonym przez wolę kogoś innego. Nie wiedziałam, co się święci w South Chicago, ale nikt, niech to będzie Steve Dresberg, Gustav Humboldt albo nawet Caroline Djiak, nie powstrzyma mnie od dowiedzenia się prawdy.

Kiedy krótko po jedenastej pojawił się Murray Ryerson, spacerowałam boso po pokoju w koszuli majtającej się między nogami. Kątem oka widziałam wcześniej, jak moja współlokatorka najpierw niezdecydowana stoi w drzwiach, a potem wychodzi na korytarz. Gdy więc poczułam znów czyjąś obecność w pokoju, byłam pewna, że to ona wróciła.

- Mówili mi, że brakowało ci piętnastu minut do śmierci, ale ja zamiast im wierzyć, wiedziałem swoje.

Poderwałam się.

- Murray! Matka nie uczyła cię pukania przed pakowaniem się komuś do pokoju?

- Pukałem, ale nie było cię w okolicach tej planety. - Przysunął z hałasem krzesło w pobliże łóżka. - Wyglądasz jak tygrys syberyjski na ogromnym wybiegu w Lincoln Park. Denerwujesz mnie. Siadaj i przedstaw tę sensacyjną przygodę, w której byłeś o krok od śmierci. Kto chciał cię załatwić? Siostra doktora Chigwella? Chłopaki z Xerxesu? Czy ta twoja przyjaciółka Caroline Djiak?

To mnie zastopowało. Przysunęłam sobie krzesło współlokatorki, aby usiąść naprzeciw Murraya. Miałam nadzieję, że uda mi się trzymać sprawę Louisy z dala od gazet, ale kiedy Ryerson zabierał się do roboty, zawsze potrafił zrobić coś z niczego.

- Co powiedziała ci Caroline, że zasłużyłam sobie na taką nauczkę?

- Z Caroline trochę trudno się rozmawia. Powiada, że badałaś sprawę śmierci Nancy Cleghorn na zlecenie SCRAP-u, chociaż zdaje się, że tam nikt o tym nie słyszał. Twierdzi, że nic nie wie o Pankowskim i Ferraro, ale nie jestem pewny, czy jej wierzyć. - Murray nalał sobie szklankę wody z karafki przyniesionej przez posługacza. - Ludzie w Xerxesie ciągle odsyłają nas do radcy prawnego, jeśli chcemy dowiedzieć się czegoś o tych dwóch facetach. Albo o tym samobójczym doktorze. A to zawsze budzi podejrzenia, kiedy ludzie chcą z tobą rozmawiać przez adwokata. Rozpracowujemy teraz sekretarkę z fabryki, taką kobitkę z księgowości i kadr. A jeden z moich asystentów wysiaduje w barze, gdzie chodzą ludzie po zmianie, więc coś będziemy mieć. Ale ty mogłabyś nam to ułatwić, panno Intrygancka.

Zsunęłam się z krzesła z powrotem na łóżko i podciągnęłam kołdrę pod brodę. Caroline chroniła Louise. Oczywiście. To właśnie kryło się za jej tańcem wariatki. Niebezpieczeństwo grożące Louise było jedyną rzeczą, która mogłaby przestraszyć Caroline, jedynym powodem mogącym wyciszyć jej temperament bojowego teriera. Nie troska o własne bezpieczeństwo, a już na pewno nie o moje, była przyczyną tak histerycznej reakcji na moją odmowę zaprzestania poszukiwań.

Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób można grozić kobiecie w sytuacji Louisy. Ujawnieniem prywatnych losów, które tak żarliwie pragnęła zachować w sekrecie? Chociaż, kiedy widziałam Louise w czwartek, nie wydawała się zaniepokojona...

- Hej, Vicki. No dawaj. - Natrętny głos Murraya wyrwał mnie z rozmyślań.

- Murray, nie minęły jeszcze dwa dni od czasu, kiedy spoglądałeś na mnie z wysoką tą swoją mordą zdebilalego dziecka i mówiłeś, że niczego ode mnie nie potrzebujesz i w niczym mi nie pomożesz. Więc podaj powody, dla których nagle miałabym ci pomagać.

Zatoczył ręką szeroki gest wokół sali.

- To jest powód, panienko. Ktoś bardzo chce cię ukatrupić. Im więcej ludzi będzie wiedzieć to, co ty wiesz, tym mniej prawdopodobne, że jeszcze raz spróbują cię sprzątnąć.

Uśmiechnęłam się słodko - przynajmniej taki miałam zamiar.

- Rozmawiałam z policją.

- I wszystko im powiedziałam.

- To zabrałoby więcej czasu, niż porucznik Mallory dla mnie przeznaczył. Powiedziałam mu, z kim rozmawiałam w dzień przed... przed napadem. Uwzględniłam też ciebie, nie byłeś dla mnie zbyt przyjemny, a on chciał usłyszeć o wszystkich, którzy wydawali mi się wrogo nastawieni.

Oczy Murraya zwęziły się w szparki.

- Przyszedłem tutaj z sercem, gotów nawet nacierać olejkami bolące miejsca. Ale ty, dziecko, masz dar niszczenia w ludziach ciepłych odruchów.

Zrobiłam kwaśną minę.

- Zabawne, Bobby Mallory też powiedział coś w tym sensie.

- Jak każdy rozsądny człowiek... Okay. Przejdźmy do tej historii z napadem. Wszystko, co mam, to strzępy informacji, jakie szpital przekazał policji. Załapałaś się wczoraj wieczorem do wszystkich czterech dzienników, jeśli to pomoże ci poczuć się trochę ważniejszą. Nie pomogło.

Miałam wrażenie, że jestem jeszcze bardziej wystawiona na cel. K imkolwiek był ten, kto próbował utopić mnie w bagnach South Chicago, wiedział już, że zdołałam się stamtąd wykaraskać. Nie było żadnego powodu, aby prosić Murraya o zachowanie dyskrecji; powiedziałam mu tyle, ile tylko mogłam znieść przy ujawnianiu tego przeżycia.

- Odszczekuję, Victorio - powiedział, kiedy skończyłam. - To przerażająca historia, nawet jeśli brakuje w niej wielu elementów. Masz prawo pokazać czasem rogi.

Mimo to starał się wyciągnąć ode mnie jeszcze więcej informacji i pozwolił odetchnąć tylko w czasie lunchu, na który podano kurczaka z rozgotowanym grochem. Potem wróciła podenerwowana współlokatorka po operacji plastycznej. Salowa dość surowo zbesztła mnie za przyjmowanie gości, którzy wyganiają z łóżek innych pacjentów. A ponieważ Murray zajmuje sobą mniej więcej tyle miejsca, ile dorodny grizzly, poświęciła mu tak dużo krytycznej uwagi, że ulotnił się speszony.

Po jedzeniu pojawiła się drobniutka azjatycka pielęgniarka, aby mnie poinformować że doktor Herschel zapisała mi saunę w gabinecie fizykoterapii na dole. Znalazła dla mnie szpitalny szlafrok. Mimo że byłam dwa razy większa od niej, pomogła mi troskliwie przenieść się na wózek i zawiozła do gabinetu, głęboko w podziemiach szpitala. Przez godzinę poddawano mnie przyjemnym zabiegom: robiono okłady, masaże, a na zakończenie dziesięć minut spędziłam w wodnej wirówce.

Zanim pielęgniarka dowiozła mnie do sali, byłam tak senna, że oczy same się zamykały. Niedane mi było jednak zasnąć: na krzeselku dla gości zastałam Rona Kappelmana. Gdy mnie zobaczył, odłożył na bok plik gazet i wręczył krzaczek geranium.

- Wygląda pani tak dobrze, że dwadzieścia cztery godziny temu nie uwierzyłbym w to - powiedział trzeźwo. - Bardzo mi przykro, że nie potraktowałem poważnie pana Contrerasa. Przypuszczałem, że wypadło pani coś ważnego i po prostu pani wyszła. Ciągle nie mogę zrozumieć, jakim sposobem wyciągnął mnie na te bagna.

Zsunęłam się na łóżko i położyłam na wznak.

- Pan Contreras jest trochę nadpobudliwy, przejmuje się zwłaszcza moim zdrowiem, ale nie jestem teraz w stanie z tym walczyć. Dowiedział się pan czegoś o tym raporcie ubezpieczeniowym? Albo dlaczego Jurshak został wyznaczony na powiernika?

- Pani powinna wypoczywać, a nie łamać sobie głowy jakimś plikiem starych papierzysk - powiedział z naganą.

- Czy zmieniło się ich znaczenie? We wtorek był pan mmi dość podekscytowany. Co sprawiło, że stały się nagle starymi papierzyskami? - Leżenie na wznak nie było dobrym pomysłem - odpływałam w sen. Podniosłam górną część łóżka, tak aby móc się oprzeć.

- Pani widok, kiedy ten staruszek przeciągał panią przez płot. One nie wydają się warte takich kłopotów.

Przyjrzałam się jego twarzy w poszukiwaniu śladów złości, kłamstwa lub czegoś podobnego. Wszystko, co dostrzegłam, to ludzkie zatroskanie. Czego to dowodziło?

- Czy dlatego porzucono mnie na bagnach? Z powodu raportu dla Marynarskiej Przystani?

Wyglądał na zaskoczonego.

- Zdaje mi się, sądziłem... ponieważ rozmawialiśmy o tym, a potem nie pojawił a się pani na spotkaniu.

- Czy mówił pan komuś, że mam ten list, Kappelman?

Pochylił się na krześle, ściągając usta w wąską kreskę.

- Zaczyna mi się nie podobać to, jaki obrót przybiera ta rozmowa, Warszawski. Czy pani próbuje sugerować, że mam coś wspólnego z tym, co się z panią wczoraj stało?

To już trzecia życzliwa osoba, której nastawienie zmieniło się w parę minut po wejściu do sali.

- Chcę się tylko upewnić. Niech pan posłucha, Ron. Wszystko, co o panu wiem, to że miał pan przelotny romans z moją dawną przyjaciółką. Ale to nic mi nie mówi, bo ja, na przykład, kiedyś wyszłam za faceta, któremu nie powierzyłabym dziecięcej skarbonki. Wszystko dowodzi jedynie, że hormony są silniejsze od rozumu.

O tych dokumentach rozmawiałam z panem i z nikim innym. A jeśli one są powodem, dla którego zostałam wczoraj wrzucona w moczary - i tu wielki znak zapytania, ponieważ tego po prostu nie wiem - to musiało tak się stać przez kóregoś z was, chłopcy.

Zrobił kwaśną minę.

- Okay. Powiedzmy, że kupuję, choć z trudem. Nie wiem, jak panią przekonać, że nie wynajęłam tych bandytów - chyba tylko słowem honoru skauta. Kiedyś nim byłem, jakieś trzydzieści lat temu. Czy przyjmie je pani jako dowód mojej prawdomówności?

- Wezmę to pod uwagę. - Obniżyłam znów łóżko. Byłam zbyt zmęczona, aby prowadzić walkę. - Wypisują mnie jutro. Spróbuj pan jeszcze z tymi papierami?

Zmarszczył brwi.

- Pani rzeczywiście jest zimnokrwistą suką, czyż nie? Jednego dnia otrzeć się o śmierć, a następnego wrócić z pasją na trop. Sherlock Holmes nie był do pani podobny. Sądzę, że jeszcze się zajmę tymi cholernymi papierami - wpadnę o szóstej, jeśli wypuszczą panią do domu. - Podniósł się i wskazał na geranium. - Proszę tego nie jeść, to coś dla ducha. Służy poprawie nastroju.

- Bardzo śmieszne - mruknęłam, gdy już się odwrócił.

Zanim zniknął za drzwiami, spałam głębokim snem.

Kiedy obudziłam się o szóstej, na krześle dla gości siedział Max. Czytał jakiś magazyn z umiarkowanym zainteresowaniem, lecz zauważywszy, że się obudziłam, złożył starannie pismo i umieścił w dyplomatce.

- Byłbym znacznie wcześniej, ale przesiedziałem cały dzień na zebraniach. Lotty twierdzi, że masz się dobrze i nie potrzeba ci niczego więcej poza odpoczynkiem, aby zupełnie wyzdobrzeć.

Przyglądałam ręką włosy. Byłam rozczochrana i lepka, co sprawiało, że czułam się niezręcznie. Spojrzałam na Maxa badawczo.

- Victorio. - Chwył mnie za lewą dłoń. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi ostre słowa sprzed paru dni. Kiedy Lotty powiedziała mi, co ci się przydarzyło, poczułem prawdziwe wyrzuty sumienia.

- Niepotrzebnie - odparłam szorstko. - Nie byłeś odpowiedzialny za nic, co się stało.

Jego łagodne brązowe oczy wpatrywały się we mnie przenikliwie.

- Nic w naszym życiu nie dzieje się bez związku. Gdybym nie naskoczył na ciebie w sprawie doktora Chigwella, zapewne nie działałabyś tak nierozważnie, aby popaść w tarapaty.

Chciałam zaraz coś odpowiedzieć, ale się powstrzymałam. Gdyby mnie nie sprowokował może nie poczułabym takiej niechęci do wzięcia pistoletu na wczorajszy bieg. Może nawet nieświadomie wystawiłam się na niebezpieczeństwo, aby uśmierzyć własne poczucie winy.

- Ale za to ja mam rzeczywiście coś na sumieniu - powiedziałam głośno. - Nie pomyliłeś się za bardzo, wiesz? Przycisnęłam Chigwella, bo mnie zdenerwował. Więc może posunęłam się o krok za daleko.

- A zatem może to być dla nas obojga dobra nauka, żeby pomyśleć, zanim zaczniesz się gadać głupstwa. - Max wstał, odsłaniając wspaniały bukiet kwiatów w wazie z chińskiej porcelany. - Wiem, że wychodzisz jutro, ale zabierz je ze sobą, aby cieszyły cię, dopóki nie wyzdobrzejesz.

Max był znawcą wschodniej porcelany. To naczynie pochodziło zdaje się z jego prywatnej

kolekcji. Próbowałam dać mu odczuć, jak bardzo ucieszył mnie jego gest; przyjął podziękowania ze zwykłą sobie pogodną kurtuazją i wyszedł.

ROZDZIAŁ 26

Z powrotem w domu

Rano powitałam nową sąsiadkę, dwudziestoletnią dziewczynę o nazwisku Jean Fishbeck. Jej kochanek zranił ją strzałem w ramię, zanim ona trafiła go w brzuch. Ofiara chirurgii plastycznej przeniosła się o trzy sale w głąb korytarza.

Pełnej relacji o strzelaninie wraz z głośno modulowanymi ozdobnikami wysłuchałam o północy, kiedy pannę Fishbeck przeniesiono z sali pooperacyjnej. O siódmej pojawiła się poranna zmiana, aby zobaczyć, czy przypadkiem w nocy nie wyzionęłyśmy ducha. Panna Fishbeck przywitała pielęgniarki wybuchem wściekłości za wczesne obudzenie. Zanim o ósmej trzydzieści przybyła Lotty, byłam gotowa pójść gdziekolwiek, nawet na oddział psychiatryczny, aby tylko uwolnić się od przekleństw i papierosowego dymu.

- Nie obchodzi mnie, w jakim jestem stanie - powiedziałam Lotcie zirytowana. - Tylko podpisz moje zwolnienie i wypuść mnie stąd. Wyjdę w nocnej koszuli, jeśli będzie trzeba.

Lotty rzuciła okiem na pogniecione papierki od gumy do żucia i pudełko papierosów leżące na podłodze. Uniosła brwi, usłyszawszy potok sprośności wylewający się zza parawanu, gdzie lekarz usiłował przeprowadzić badanie.

- Salowa powiedziała, że wczoraj zachowywałaś się ordynarnie wobec współlokatorki, oraz że mają ci przysłać kogoś bardziej odpowiadającego twojej osobowości. Czy to prawda, że wyładowywałaś na pacjentce swój zły nastrój, dając jej parę kuksańców? - Przystąpiła do oględzin mięśni moich ramion.

- Aj, cholera. Boli. A słowo, którego powinnaś użyć, to nie dawać, ale walnąć. Ewentualnie zasunąć.

Lotty sięgnęła po oftalmoskop, by zbadać moje oczy.

- W środę, po opanowaniu sytuacji, prześwietliliśmy cię rentgenem i tomografem. Jakimś cudem nie masz żadnych pęknięć i złamań. Jeszcze trochę fizykoterapii przez najbliższe dni powinno pomóc twoim mięśniom, ale nie oczekuj, że odzyskasz sprawność tak od razu. Jeżeli nie będziesz folgowała mięśniom, pozrywane tkanki mogą zrastać się nawet do roku. No dobrze,

możesz wracać do domu, na zabiegi będziesz dochodzić. Jeśli dasz mi swoje klucze, pošlę Carol, aby przywiozła ci z domu jakieś ciuchy.

Przed wyruszeniem na śródowny bieg umocowałam klucze w sznurówkach moich trampek. Lotty odzyskała je przed wydaniem polecenia pozbycia się wszystkiego, co miałam na sobie w chwili przybycia do Beth Israel.

Wstała i przyjrzała mi się z powagą. Kiedy przemówiła, jej wiedeński akcent był bardzo wyraźny.

- Poprosiłabym cię, żebyś nie była tak nierozważna, Victorio. Poprosiłabym, gdybyś nie wydawała się zakochana w niebezpieczeństwie i śmierci. Bardzo utrudniasz życie ludziom, którzy cię kochają.

Nic nie przychodziło mi na myśl w odpowiedzi. Spoglądała na mnie przez długą chwilę ciemnymi oczami, po czym pokiwała lekko głową i wyszła.

Po dwudziestu czterech godzinach pobytu w szpitalu zestawienie cech mojego charakteru nie wypadło zbyt zachwycająco: zimnokrwista suka zakochana w śmierci i niebezpieczeństwie, która doprowadza ciche pacjentki chirurgii kosmetycznej do szukania ratunku u personelu szpitalnego. Kiedy w godzinę później przyszła pielęgniarka, aby zabrać mnie na dół do gabinetu, dalej tkwiłam w przygnębieniu. Zwyczajna szpitalna rutyna, która depersonalizuje pacjentów na ich własny koszt, zwykle doprowadza mnie do wściekłości i niepotrzebnego sarkazmu. Dzisiaj poddałam się jej jak potulny baranek.

Po fizykoterapii wołałam się udać na tułaczkę, by nie przebywać dłużej z pomstującą sąsiadką, i czekałam w holu na ubranie, przeglądając stertę starych numerów *Glammers* i *Sports Illustrated*. Carol Alvarez, pielęgniarka i szef personelu pomocniczego w klinice Lotty, przyjechała na krótko przed drugą. Przywitała się ze mną serdecznie, wyściskała i wycalowała, okrzykami przerażenia komentując moje przejścia.

- Nawet mama modliła się do Najświętszej Pani o twoje zdrowie, Vic. - To rzeczywiście było coś, pani Alvarez spoglądała zwykle na mnie z milczącą pogardą.

Carol przyniosła dzinsy, bluzę od dresu i parę butów. Ubranie i bielizna wyglądały nienaturalnie czysto. W środę zostawiłam je w pralce i zupełnie o nich zapomniałam. Widocznie któryś z sąsiadów z dołu zrzucił to wszystko na mokrą kupę przed drzwiami, załączając złośliwą karteczkę, a Carol wspaniałomyślnie poświęciła swój czas, aby powtórnie je przeprać.

Pomogła mi szybko załatwić formalności wypisu. Ponieważ знаła pielęgniarki na moim piętrze, ich wrogość wobec mnie nieco zelżała, kiedy zobaczyły nas razem. Ja niosłam chińską wazę Maxa, a Carol geranium. Przeszliśmy długimi korytarzami do służbowego parkingu na tyłach szpitala.

Moja głowa zdawała się wypchana watą, oderwana nie tylko od ciała, ale od otaczającego mnie świata. Minęły dopiero dwa dni od fatalnego biegu, a ja czułam się, jakbym była nieobecna na ziemi od miesięcy. Buty wyglądały na nowe i obce, nie mogłam przyzwycząić się do opinających dzinsów. Przy czym nie były tak ciasne jak zwykle - te kilka dni wyciągnęło ze mnie prawie trzy kilo.

Kiedy weszliśmy do mieszkania przy Racine, czekał pan Contreras. Na szyi Peppy zawiązał wielką czerwoną kokardę, a jej kasztanową sierść wyszczotkował tak, że lśniła w świetle pochmurnego dnia. Carol przekazała mnie im, ucałowała na pożegnanie i zostawiła w drzwiach.

Wolałabym zostać sama, aby doprowadzić do ładu własne myśli, ale staruszek zdobył sobie prawo do wtrącania się w moje sprawy. Pozwoliłam, aby poprowadził mnie do fotela, zdjął buty i pieczolowicie otulił nogi i stopy pledem.

Przygotował wystawną tacę owoców i serów, umieszczając ją na stoliku wraz z dzbankiem herbaty.

- A teraz, pączuszk, zostawiam tu jej wysokość do towarzystwa. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, po prostu zadzwoń. Wypisałem swój numer tuż obok telefonu, żebyś nie musiała szukać. I zanim wyruszysz dalej pakować się w kłopoty, daj mi znać. Nie zamierzam się nad tobą trząść, wiem, że tego nie znosisz, ale ktoś powinien wiedzieć, gdzie cię szukać. Obiecuj mi to albo będę musiał wynająć detektywa, aby za tobą chodził.

Podniosłam w górę dłoń.

- Załatwione, wujaszku.

Ten honorowy tytuł poruszył go tak bardzo, że przemówił surowo do suki, streszczając jej obowiązki wobec swojej pani, po czym klepnął mnie po bolącym ramieniu i zszedł na dół.

Nie jestem wielką amatorką herbaty, ale było przyjemnie zostać w miejscu, gdzie mnie usadzono. Nalałam sobie filiżankę, dodałam dużą ilość tłustej śmietanki i na zmianę urywałam winogrona dla siebie i psa. Peppy siedziała czujnie, wpatrzona nieruchomymi ślepiami, i posapywała lekko. Poważnie potraktowała swe strażnicze obowiązki, chciała mieć pewność, że nie zniknę znowu bez niej.

Zmusiłam mój sterany umysł do cofnięcia się do czasu sprzed napadu. Tylko trzy dni temu, ale neurony działały tak, jakby od lat pokrywała je rdza. Kiedy boli każdy mięsień, trudno pamiętać, że kiedyś było się zdrowym.

Telefon z przestrogą, aby trzymać się z dala od South Chicago, zadzwonił w poniedziałek wieczorem. W środę zajęto się mną z największą wprawą. Oznaczało to, że coś, co zrobiłam we wtorek, wywołało natychmiastową reakcję. Zadumałam się, próbując sobie przypomnieć wszystko, co zdarzyło się tego dnia.

Odnalazłam raport ubezpieczeniowy Jurshaka i rozmawiałam o nim z Ronem Kappelmanem. Zostawiłam także wiadomość młodemu Artowi, wspominając, że mam te papiery. To były istotne dokumenty i musiałam przyjąć, że ujawniały coś tak strasznego, że ludzie gotowi byli zabić, aby utrzymać je w tajemnicy. Kappelmana byłoby trudno skłonić do powiedzenia prawdy, gdyby coś ukrywał, ale Jurshak był tak delikatnym chłopcem, że mogłabym wydusić z niego konkretne informacje. Jeśli tylko dałabym radę go odszukać. Jeśli wciąż jeszcze żył.

Chociaż nie powinnam była ograniczać się do nich dwóch, pomijając inne osoby. Curtisa Chigwella, na przykład. We wtorek nad ranem nasłama na niego Murraya Ryersona, a dwanaście godzin później chciał się zabić. No, a dalej był jeszcze ten rekin, sam Gustav Humboldt. Cokolwiek wiedział Chigwell, cokolwiek zostało uzgodnione w sprawie Joeya Pankowskiego i Steve'a Ferraro, Gustav Humboldt miał w tym pełne rozeznanie. Inaczej nigdy by mnie nie szukał, żeby mi kazać przełykać kłamstwa o dwóch nic nieznaczących robotnikach w jego światowym imperium. A raport ubezpieczeniowy znaleziony przy Nancy dotyczył jego przedsiębiorstwa. To musiało coś znaczyć - tylko nie wiedziałam jeszcze co.

Wreszcie, rzecz jasna, pozostawała Caroline. Teraz, kiedy ustaliłam, że chroniła Louise, mogłam liczyć, iż uda mi się ją zmusić do rozmowy. Mogła nawet wiedzieć, co Nancy wyczytała w tym raporcie ubezpieczeniowym. Ona była najlepszym punktem zaczepienia.

Zdjęłam pled z nóg i podniosłam się. Suka natychmiast poderwała się na równe nogi, zamiatając ogonem. Skoro wstawałam, oznaczało to najwyraźniej, że czas na bieganie. Zobaczywszy, że idę tylko do telefonu, przygnębiona klapnęła na podłogę.

Caroline miała zebranie, jak oświadczyła sekretarka w SCRAP-ie. Nie wolno był o jej przeszkadzać.

- Proszę zapisać tylko następującą wiadomość i przekazać panie Djiak: Historia życia Louisy

na pierwszej stronie *Herald-Star*? I dodać moje nazwisko. Gwarantuję, że podejdzie do telefonu w ciągu sekundy.

Musiałam jeszcze trochę się potargować, ale w końcu zgodziła się ją wezwać. Przyniosłam sobie telefon do fotela. Peppy spozierała na mnie zdeglustowana, ale chciałam usiąść przed nadchodzącą burzą.

Caroline odezwała się bezzwłocznie. Pozwoliłam jej się wygadać w bombastycznym przemówieniu, w którym przeklinała mój charakter, wyrażała żal, że zdołałam bezwstydnie wydostać się z bagien, a nawet lamentowała, iż dalej nie gniję gdzieś w błocie.

Na te słowa zdecydowałam się jej przerwać.

- Caroline, to było podłe i obraźliwe. Gdybyś miała odrobinę wyobraźni albo wrażliwości, nigdy byś nie pomyślała, a już na pewno głośno nie wyrażała takich sądów.

Umilkła na chwilę, po czym odezwała się chrapliwie:

- Przepraszam, Vic. Ale nie powinnaś mi przysyłać karteczek z groźbami pod adresem mamy.

- W porządku, dziecko. Rozumiem. Rozumiem też, że jedynym powodem, dla którego zachowywałaś się bardziej małpowato niż zazwyczaj, był fakt, że ktoś groził Louisie. Muszę wiedzieć, kto i dlaczego?

- Skąd wiesz? - wygadała się.

- To twój charakter, kochanie. Potrzebowałam tylko trochę czasu, żeby to sobie przypomnieć. Jesteś intrygantką, nagniesz każdą zasadę, aby tylko wyjść na swoje, ale nie jesteś strachliwą gęsią. Strach może oblecieć cię tylko z jednego powodu.

Zamilkła ponownie na długą chwilę.

- Nie zamierzam rozstrzygać, czy masz rację, czy nie - odezwała się w końcu. - Po prostu nie mogę o tym mówić. Jeśli masz rację, zrozumiesz dlaczego. Jeśli nie masz racji - w takim razie powód tkwi w tym, że jestem małpowata.

Spróbowałam użyć całej siły perswazji.

- Caroline, to jest ważne. Czy ktoś powiedział ci, że zrobią krzywdę Louisie, jeśli nie powstrzymasz mnie przed dalszymi poszukiwaniami twego ojca? Muszę to wiedzieć. Ponieważ to oznacza, że istnieje związek między śmiercią Nancy a moim badaniem sprawy Pankowskiego i Ferraro.

- Musiałabyś mnie sprzedać, a nie sądzę, żebyś potrafiła. - Była poważna, jej głos brzmiał

dojrzej, niż przywykłam to słyszeć.

- Przynajmniej daj mi jakiś cynk, mała. Wpadniesz do mnie jutro o jakiejś porze? Jak możesz sobie wyobrazić, nie jestem w tej chwili za bardzo na chodzie, chociaż mogłabym wpaść do ciebie dziś wieczorem.

W końcu, choć niechętnie, zgodziła się przyjechać po południu. Pożegnałyśmy się w większej komitywie, niż mogłam się tego spodziewać jeszcze dziesięć minut temu.

ROZDZIAŁ 27

Kroi się zabawa

Moje ciało ogarnęło dokuczliwe znużenie. Nawet taka krótka rozmowa z Caroline mnie wyczerpała. Nalałam sobie jeszcze trochę herbaty i zaczęłam przełączać kanały telewizji. Ponieważ sezon sportowy jeszcze się nie rozpoczął, w ciągu dnia nie było wiele do oglądania. Przeskakiwałam od mydła do mydła, od ławego kaznodziei - zapłakanego sukcesora Tammy Faye - do *Ulicy Sezamkowej* i wreszcie zniesmaczona wyłączyłam pudło. Układanie papierów albo wypisywanie rachunków było czynnością przekraczającą moje możliwości. Owinęłam się w pled i położyłam na sofie, by trochę podrzemać.

Ocknęłam się na dwadzieścia minut przed spodziewanym przyjściem Kappelmana i powlokłam do łazienki, aby obmyć twarz zimną wodą. Ktoś ukradł wszystkie brudne ręczniki, wyszorował umywalkę i wannę oraz uporządkował kosmetyczne rupiecie. Gdy weszłam do sypialni, ujrzałam ze zdumieniem posłane łóżko oraz uprzątnięte ubrania i buty. Przyznanie się do tego przyszło mi z trudem, ale widok posprzątaných wnętrz koił moje zszargane nerwy.

Ukryłam dokumenty Nancy w stosie nut na pianinie. Krasnoludki odbżyły je starannie na ich miejsce pod taboretem, lecz akta ubezpieczeniowe leżały nienaruszone między *Italienisches Liederbuch* a *Ariami Koncertowymi* Mozarta. Nuciłam sobie arię *No, no, che no sei capace*, której tytuł wydawał się niezwykle trafny, rzeczywiście bowiem niczego nie pojmowałam, kiedy zadzwonił Kappelman. Zanim dotarłam do domofonu, pan Contreras wypadł już do holu, aby zlustrować gościa. Otworzyłam drzwi i usłyszałam, jak rozmawiają idąc na górę. Pan Contreras próbował złagodzić podejrzliwość, jaką odczuwał wobec każdego mężczyzny, który mnie odwiedzał, Kappelman zaś tłumił irytację z powodu eskorty.

Mój sąsiad zaczął mówić do mnie, gdy tylko jego głowa pokazała się zza zakrętu schodów.

- O, cześć, pączuszk. Dobrze wypoczęłaś? Właśnie idę zabrać jej wysokość, żeby zaczerpnęła trochę świeżego powietrza i sobie podjadła. Nie karmiłaś jej serem, mam nadzieję? Miałem ci powiedzieć, ona sera nie toleruje. - Wszedł do pokoju i przystąpił do oględzin Peppy w poszukiwaniu oznak choroby. - Chyba nie chcesz teraz wychodzić nią na spacer ani wyprawiać

się sama na to twoje bieganie? Nie pozwól temu młodzieńcowi zbyt długo cię zajmować, bo się zmęczysz. Jak będziesz potrzebowała pomocy w czymkolwiek, to ja i Peppy jesteśmy w gotowości, tylko krzyknij.

Z tym lekko zawołanym ostrzeżeniem zabrał Peppy. Kręcił się jeszcze przy drzwiach z jakimiś następnymi napomnieniami, aż wreszcie wypchnęłam go delikatnie na klatkę schodową.

Kappelman spojrzał na mnie skwaszony.

- Gdybym wiedział, że staruszek zamierza badać moje usposobienie, przyprowadziłbym adwokata. Sądzę, że przy nim może pani czuć się bezpiecznie, każdego napastnika zagada na śmierć.

- Po prostu lubi sobie wyobrazać, że mam szesnaście lat, a on jest obojgiem moich rodziców - powiedziałam z większym pobłażaniem, niż czułam w sobie. To, że zawdzięczałam mu życie, powstrzymywało mnie przed opinią, że był trochę nieznośny.

Zaproponowałam Kappelmanowi drinka. Jego wybór padł na piwo, które rzadko miewam w domu, następnie poprosił o bourbona. Po usilnych poszukiwaniach wynalazłam butelkę w głębi kredensu.

- Taki stary chicagowski południowiec jak pani powinien mieć pod ręką kielicha i piwko - mruknął.

- Zdaje się, że to jeszcze jeden dowód, jak gruntownie odcięłam się od swych korzeni.

Wprowadziwszy go do salonu, zwinęłam pled zostawiony na sofie, aby Kappelman mógł usiąść. Moje mieszkanie nigdy nie mogłoby się równać z jego salonem wystawowym w Pullman, dobrze, że przynajmniej było wysprzątane. Nie doczekałam się żadnych komplementów, ale przecież nie mógł wiedzieć, jak tu wyglądało przedtem.

Po paru zdawkowych uwagach o moim zdrowiu i jego dniu pracy, wręczyłam mu teczkę Nancy. Wyjął okulary z wewnętrznej kieszeni wyszmelcowanej marynarki i uważnie zaczął studiować dokument, niespiesznie, strona po stronie. A ja sączyłam moją whisky i przeglądałam dzisiejsze gazety, starając się nie denerwować.

Kiedy skończył, zdjął okulary w bezradnym geście zakłopotania.

- Nie wiem, dlaczego Nancy to trzymała. Albo dlaczego sądziła, że mogło być ważne.

Zgrzytnęłam zębami.

- Niech pan tylko nie mówi, że są kompletnie bez znaczenia.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Może pani zobaczyć, czym są, równie łatwo jak ja. Nie znam się aż tak bardzo na ubezpieczeniach, ale wygląda na to, że Xerxes miał płacić więcej niż inne przedsiębiorstwa i Jurshak starał się nakłonić firmę - spojrział w dokument, szukając nazwy - Marynarską Przystań do obniżenia stawek. Najwyraźniej to coś znaczyło dla Nancy, ale na pewno nie dla mnie. Przykro mi.

Wykrzywiłam się okropnie, robiąc sobie zmarszczki, przed którymi ostrzega się młode gwiazdy filmowe.

- Może rzecz tkwi nie w danych, ale w fakcie, że to Jurshak zajmował się ubezpieczeniem. Może nadal się zajmuje. A nie byłby moim pierwszym kandydatem na agenta czy powiernika.

Ron uśmiechnął się lekko.

- Pani może sobie pozwolić na wymądrzanie się, nie prowadzi pani interesów w South Chicago. Może Humboldt uznał, że łatwiej mu będzie płynąć z prądem z Jurshakiem niż z niezależnym agentem. A może to był prawdziwy altruizm, dawanie pracy ludziom z terenu, gdzie założył fabrykę. W 1963 roku Jurshak nie był nikim ważnym w South Chicago, nie mówiąc już o mieście.

- Może.

Kołysałam szklanką, obserwując, jak złoty kolor trunku zmienia się w bursztynowy pod światłem lampy. Art i Gustav dobroczyńcami społeczności lokalnej! Mogłam zobaczyć to na plakacie, ale nie w codziennym życiu. Wyrastałam w cieniu Arta, śledząc związane z nim rewelacje - układy, które czyniły jego bądź wspólnika Freddy'ego Parmę dyrektorem i dostawcą ubezpieczeń - lokalnej firmy transportowej, stalowni, przewozów kolejowych i innych przedsięwzięć. Dotacje na kampanię wyborczą płynęły z tych firm szczodrym strumieniem. Marynarska Przystań mogła o tych sprawach nie wiedzieć, ale Ron Kappelman powinien.

- Wygląda pani strasznie złowroźnie. - Kappelman przerwał moje rozważania. - Jakby mnie pani podejrzewała o mordowanie ludzi siekierą.

- To tylko mina zimnokrwistej suki. Zastanawiałam się, co pan wie o interesach ubezpieczeniowych Arta Jurshaka.

- Myśli pani o takich sprawach, jak Kolej Środkowych Stanów? Oczywiście, że wiem. Dlaczego miałaby pani... - urwał w połowie zdania, a jego oczy rozwarły się lekko. - Tak. W tym świetle zabieganie u Jurshaka o powiernictwo nie miało wielkiego sensu. Myśli pani, że Jurshak

miał coś na Humboldta?

- Mogło być też na odwrót. To Humboldt mógł mieć coś do ukrycia i uznał, że Jurshak jest dla niego odpowiednim człowiekiem.

Szkoda, że nie wiedziałam, czy mogę zaufać Kappelmanowi - to nie ja miałam mówić. Zabrałam dokumenty i wpatrzyłam się w niezadumana.

Po chwili Kappelman uśmiechnął się do mnie zagadkowo.

- Co powiedziałaaby pani na wspólny obiad, zanim wrócę na południe? Czuje się pani na tyle dobrze, aby wyjść?

Prawdziwe jedzenie. Uznałam, że warte było zachodu. Na wszelki wypadek, gdyby Kappelman miał zaprowadzić mnie z powrotem do moich kolegów w czarnych pelerynach, poszłam do sypialni, aby zabrać pistolet. I zadzwonić z telefonu przy łóżku.

Telefon odebrała matka młodego Art; jej syn nadal się nie pojawił, wyznała mi zatroskanym szeptem. Oznajmiła, że Jurshak nie wiedział jeszcze, iż on zniknął, i podziękowała mi za dyskrecję.

- Gdyby się pokazał albo gdyby miała pani od niego jakieś wiadomości, proszę dopilnować, aby się ze mną skontaktował. Nie potrafię pani nawet powiedzieć, jak jest ważne, żeby to zrobił. - Zawahałam się, nie będąc pewna, czy ten melodramat zupełnie ją rozłoży, czy też zagwarantuje przekazanie mu mojej wiadomości. - Jego życie może być w niebezpieczeństwie, ale gdybym mogła pomówić z Artem, to sądzę, że udałoby mi się go przed nim uchronić.

Zaczynała nerwowym szeptem zadawać mi pytania, ale wtrącił się Wielki Art, chcąc wiedzieć, z kim rozmawia. Pośpiesznie rzuciła słuchawkę.

Im dłużej młody Art pozostawał nieobecny, tym mniej mi się to podobało. Chłopak nie miał żadnych przyjaciół i życiowego doświadczenia. Potrząsnęłam bezradnie głową i wsunęłam mojego smitha & wessona za pasek dzinsów.

Kiedy weszłam z powrotem do salonu, Kappelman spokojnie czytał *The Wall Street Journal*. Nie wyglądało na to, że podsłuchiwał, chociaż gdyby faktycznie był kapusiem, mógł przybrać niewinną pozę. Dałam spokój z rozgryzaniem tego problemu.

- Muszę powiedzieć panu Contrerasowi, że wychodzę - w innym razie, kiedy tylko zauważy, że mnie nie ma, wezwie policję i każe pana aresztować za morderstwo.

Wykonał gest obrazujący fatalizm jego losu.

- Wydawało mi się, że takie bzdury zostawiłem za sobą, wyprowadzając się z domu od

mamusi. Dlatego mieszkam w Pullman - tak daleko, jak tylko było można od Highland Park.

Kiedy położyłam słuchawkę na widełki, telefon zaczął dzwonić. Licząc, że może to być młody Art, przeprosiłam Rona i wróciłam do sypialni. Ku mojemu zdumieniu była to panna Chigwell, w najczarniejszej rozpaczy. Spięłam się w sobie, przygotowana na zarzuty o doprowadzenie jej brata do próby samobójstwa. Spróbowałam zakłopotana wyrazić moje ubolewanie.

- Tak, tak, to było bardzo przykre. Ale Curtis nigdy nie miał mocnego charakteru - nie zaskoczył mnie. Ani to, że nie potrafił tego zrobić z dobrym skutkiem. Podejrzewam, że chciał być w porę odnaleziony - zostawił w garażu pozapalane wszystkie światła, a przecież wiedział, że przyjdę zobaczyć, dlaczego się palą. A poza tym on uważa, że to ja go do tego doprowadziłam.

Zamurowała mnie trochę swoją pogardliwą pobłażliwością. Na pewno nie dzwoniła, aby koić wyrzuty sumienia. Poprosiłam ją o wyjaśnienie.

- No więc, dziś po południu zdarzyło się doprawdy coś... coś dziwnego... - nagle zaczęła dukać, tracąc swą szorstką pewnością siebie.

- Tak? - zachęcałam.

- Wiem, że to nieuprzejmie niepokoić panią w chwili, kiedy sama miała pani takie straszne przejścia, ale jest pani detektywem i wydało mi się, że to odpowiedniejszy adres niż policja.

Znowu zaległa cisza. Położyłam się na łóżku, aby ulżyć trochę zboląłym ramionom.

- No więc... Curtis... Jestem pewna, że dzisiaj po południu włamał się tutaj.

Było to na tyle zaskakujące, że znowu usiadłam.

- Włamał się? Myślałam, że mieszkał razem z panią!

- Oczywiście, że tak. Ale kiedy znalazłam go we wtorek, popędziłam z nim do szpitala. Nie był w złym stanie i zwolnili go następnego dnia. Było mu strasznie głupio, nie chciał nawet razem ze mną zjeść śniadania i powiedział, że zamierza zostać z przyjaciółmi. A mówiąc szczerze, panno Warszawski, byłam szczęśliwa, że na parę dni uwolnię się od niego.

Przyszedł Kappelman. Pomachał mi przed nosem karteczką - zejdzie na dół do pana Contrerasa, by uzyskać pozwolenie na moje wyjście. Skinęłam machinalnie głową i poprosiłam pannę Chigwell, aby mówiła dalej.

Słyszać było, jak nabierała tchu.

- Piątki są moimi dniami w szpitalu. Pracuję jako wolontariusz, opiekując się starszymi paniami, które już dłużej... no, ale co ja tu pani zawracam głowę. Kiedy wróciłam, okazało się, że

do domu było włamanie.

- I wezwała pani policję, czekając z jakąś swoją przyjaciółką na jej przybycie?

- Nie. Nie wezwałam. Ponieważ zorientowałam się prawie od razu, że to musiał być Curtis. Albo że wpuścił kogoś, kto nie znał dostatecznie dobrze domu i zostawił ślady.

Zamęt w głowie sprawiał, że robiłam się niecierpliwa. Przerwałam jej, aby zapytać, czy zginęło coś wartościowego.

- Nic z tych rzeczy. Ale widzi pani, brakuje lekarskich zapisków Curtisa. Schowałam je przed nim, kiedy chciał wszystko spalić i dlatego... - urwała. - Wyjaśniam to tak niejasno. Liczyłam, że może mogłaby pani przyjechać, mimo że to kawał drogi, a pani taka zmaltrętowana. Jestem pewna, że cokolwiek Curtis robił w Xerxesie, o czym nie chciał pani powiedzieć, to zapisane jest w tych notatnikach.

- Które zginęły - dodałam krótko.

Roześmiała się bezgłośnym śmiechem.

- Tylko kopie. Ja trzymam oryginały. Latami przepisywałam mu notatki na maszynie. To wszystko zginęło. Nigdy nie mówiłam mu, że zachowuję oryginalne notatniki.

Widzi pani, on zapisywał te dane w starych diariuszach, które ojciec kazał sobie kiedyś specjalnie oprawić w skórę, w Londynie. Wydawało mi się, że to byłby rodzaj profanacji, gdyby je wyrzucić. Curtis strasznie by się wściekł, gdyby się dowiedział, że trzymam je przez pamięć o ojcu. Więc nigdy mu się nie przyznałam.

Poczułam lekkie mrowienie w karku wywołane adrenaliną, która wyzwalała tak pierwotne uczucie, że stajesz się niemal tygrysem o kłach jak bagnety. Powiedziałam, że przyjadę do niej za niespełną godzinę.

ROZDZIAŁ 28

Złote notatniki

Kappelman i pan Contreras zawarli nad butelką grappy niełatwy układ o zawieszeniu broni. Kiedy weszłam, Ron wstał pośpiesznie, chcąc położyć kres długiej anegdocie o tym, jak to pan Contreras od razu się poznał, jakim zerem był jeden z moich dawnych kochanków. Rzuciłam bez zająknięcia, że otrzymałam pilny telefon od ciotki na przedmieściu z prośbą o pomoc, której nie mogłam odmówić.

- Od ciotki, laleczko? Myślałem, że ty z nią.. - Pan Contreras spostrzegł stalowe spojrzenie moich oczu. - Ach, od ciotki! Czy to coś poważnego?

- Zwyczajny niepokój o moje zdrowie - odpowiedziałam twardo. - Ale to jedyna żyjąca krewna mojej mamy. Jest już stara i nie mogę jej tak zostawić. - Mieszanie nieustraszonej panny Chigwell z chorą na umyśle ciotką Rosą nie było całkiem w porządku, ale trzeba sobie radzić z tym, co się ma pod ręką.

Kappelman zgodził się ze mną uprzejmie - czy mi wierzył, to inna sprawa. Dopił grappę jednym haustem, skrzywił się przetykając alkohol i zaproponował, że odprowadzi mnie do samochodu.

- Same utrapienia z tą rodziną, prawda? - dodał sardonicznie. Odczekał cierpliwie, zanim sprawdzę, czy w samochodzie nie ma jakichś jawnych śladów bomb, a potem zatrzasnął za mną drzwi ze staroświecką kurtuazją będącą w niezgodzie z jego zaszarganym ubraniem.

Temperatura spadła trochę poniżej zera. Po smętnej mgle ostatnich paru tygodni, ostrzejsze powietrze dodało mi wigoru. Na szybko spadło kilka płatków śniegu, ale drogi były czyste i szybko przeskoczyłam przez autostradę Eisenhowera do York Road.

Panna Chigwell czekała na mnie w drzwiach, bolesne zdarzenia ostatnich dni nie zmieniły jej chudej, zaciętej twarzy. Bez uśmiechu podziękowała mi za przyjazd, ale zaczynałam już się z nią oswajać i wiedziałam, że ta szorstkość nie miała oznaczać takiej niechęci, jak mogłoby się wydawać.

- Piję właśnie herbatę. Mój brat wiecznie mi powtarza, że to oznaka słabości zwracać się ku

używkom w trudnych chwilach, ale sędzę, że okazałam się silniejsza od niego. Czy pani również chciałyby się napić?

Jeden dzbanek używki herbacianej dziennie to kres tego, co mogłam zdzierżyć. Wymówiłam się tak uprzejmie, jak potrafiłam, i weszłyśmy do salonu. Przedstawiał obrazek przytulnego gniazdko domowego godny Harriet Beecher Stowe. Ogień buzujący na kominku odbijał się intensywnymi barwami w srebrnej zastawie na niskim stoliku nie opodal. Panna Chigwell wskazała mi jeden z wyściełanych foteli na wprost kominka.

- Za moich czasów młode kobiety nie wiodły samodzielnego życia poza domem rodzinnym - powiedziała oschle, nalewając herbaty do przezroczystej porcelanowej filiżanki. - Przygotowywano nas do małżeństwa. Mój ojciec pracował jako lekarz, kiedy jeszcze było tu małe miasteczko, zupełnie oddzielone od Chicago. Często mu pomagałam. Gdy nie miałam szesnastu lat, potrafiłam złożyć proste złamanie, leczyć większość chorób zakaźnych, z którymi ojciec miał do czynienia. Ale kiedy przyszedł czas studiów i praktyki lekarskiej, musiałam ustąpić miejsca Curtisowi. Po śmierci ojca w 1939 roku Curtis starał się utrzymać praktykę. Nie był jednak w tym zbyt dobry, pacjenci zaczęli odchodzić gdzie indziej, aż w końcu musiał przyjąć posiadłość w fabryce. - Spojrzała na mnie groźnie. - Widzę, że jest pani aktywną młodą kobietą, która robi to, co chce, i nie godzi się z przeciwnościami. Żałuję, że w pani wieku nie miałam podobnego kręgosłupa, to wszystko.

- Tak - odparłam delikatnie. - Ale ja miałam pomoc. Moja matka wykończyła się, żyjąc w obcym kraju - nie potrafiła mówić tym językiem. Jedyną rzeczą, którą mogła robić, było śpiewanie. W rezultacie mało od tego nie umarła, więc ja przysięgłam sobie, że nigdy nie będę tak bezradna i przestraszona jak ona. Proszę mi wierzyć, to duża różnica. Żąda pani od siebie zbyt wiele, oczekując, że sama da sobie radę.

Panna Chigwell piła herbatę dużymi łykami, mięśnie na szyi drgały, lewa dłoń kurczowo zaciskała się i rozwierała. W końcu na tyle odzyskała panowanie nad sobą, że mogła mówić dalej.

- No dobrze, jak pani widzi, nigdy nie wyszłam za mąż. Moja matka umarła, gdy miałam siedemnaście lat. Opiekowałam się domem ojca, a potem Curtisa... Nauczyłam się nawet pisać na maszynie, więc mogłam pomagać im w pracy. - Uśmiechnęła się markotnie. - Nie starałam się śledzić tego, co robił Curtis dla firmy, w której miał posiadłość. Mój ojciec był wspaniałym wiejskim lekarzem, mistrzem diagnostyki. Podejrzewam, że wszystko, co robił Curtis, to mierzenie ludziom temperatury, kiedy poczuli się gorzej, dla stwierdzenia, czy mieli uzasadnioną wymówkę, aby

wyjsć wcześniej z pracy. W 1955 roku, kiedy zaczął prowadzić te swoje szczegółowe zapiski, ja już w ogóle nie miałam orientacji, co dzieje się w świecie medycyny - od czasów mojego dzieciństwa postęp był zbyt wielki. Ale wciąż wiedziałam, jak pisać na maszynie, więc przepisywałam wszystko, co przyniósł do domu.

Jej historia przyprawiła mnie o lekki dreszcz. I kazała wyszeptać słówko podziękii duchowi mojej matki. Zapalczywa, spięta, kaśliwa, była trudną osobą we współżyciu, ale moje wspomnienia od najwcześniejszych czasów łączyły się z jej silną wiarą we mnie i w to, co mogę osiągnąć.

Panna Chigwell musiała wyczytać myśli z mojej twarzy.

- Proszę mnie nie żałować. Miałam w życiu wiele pięknych chwil. I nigdy nie pozwalałam sobie na utyskiwanie, to daleko większa słabość niż herbata. Właśnie Curtis jej ulega.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Nalała sobie drugą filiżankę i wypila powolnymi, odmierzonymi łykami, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ogień. Skończywszy, odstawiała filiżankę stanowczym ruchem i odsunęła tacę na bok.

- No dobrze, nie wolno mi zaudzać pani gładzeniem. Przejechała pani szmat drogi i widzę że wszystko ją boli, chociaż stara się to ukryć.

Stała wyprostowana bez większego wysiłku. Zrobiłam to samo powoli i sztywno, po czym udałam się za nią po schodach wyłożonych chodnikiem na pierwsze piętro. Wzdłuż korytarza ciągnęły się półki z książkami. Najwyraźniej bardzo wiele pięknych chwil panny Chigwell wydarzyło się dzięki książkom - było ich lekko licząc z tysiąc, wszystkie starannie odkurzone i ustawione w szeregach. Zdumiewające było, w jaki sposób mogła się zorientować, że czegoś brakuje wśród tego wymusztrowanego wojska. U mnie ktoś musiałby rozwalić w drzazgi siekierą drzwi wejściowe, abym zorientowała się, że nastąpiło włamanie.

Panna Chigwell wskazała mi otwarte drzwi po prawej.

- Gabinet Curtisa. W poniedziałek wieczorem przyszedł tu, czując dym. Próbował spalić swoje notatki w koszu na śmieci. Przeróżający pomysł, zwłaszcza że kosz był ze skóry i też zaczął się palić. Zrozumiałam wtedy, że jeśli cokolwiek go niepokoiło, to musiało mieć związek z tymi zapiskami. Ale pomyślałam, iż najgorszym dla niego sposobem ucieczki przed faktami byłoby ich niszczenie.

Poczułam niejasną sympatię dla Curtisa Chigwella, żyjącego z tym uosobieniem prawości. Mnie przywiódłaby do mocniejszych używek niż herbata.

- W każdym razie zabrałam je i ukryłam za moimi książkami żeglarskimi. Oczywiście, głupi błąd, ponieważ łódki zawsze były moją wielką miłością. To było pierwsze miejsce, o którym Curtis mógł pomyśleć. Prawdopodobnie poczuł się tak upokorzony przyłapaniem go na gorącym uczynku albo był tak przestraszony obawą, że nie będzie mógł uwolnić się od swych nieczystych tajemnic, iż następnego popołudnia spróbował się zabić.

Potrząsnęłam głową. Więc Max miał rację. Robiąc zamieszanie w kotle z szyldem Xerxers, wywarłam taką presję na Chigwella, że poczuł, iż nie ma innego wyjścia. To wywołało we mnie lekkie objawy choroby morskiej. Ruszyłam cicho za panną Chigwell w głąb korytarza, stopy zapadały mi się w miękkim szarym dywanie.

Pokój na końcu zawierał taką obfitość kwitnących roślin, że nie dawało się ogarnąć ich wzrokiem. Był to pokój dzienny panny Chigwell, z fotelem na biegunach, koszem z robó tkami i poręcznym starym remingtonem na małym stoliku. I tutaj znajdowały się książki, stały na półkach spiętrzonych do wysokości pasa wśród czerwonych, żółtych i liliowych kwiatów.

Przyklękła przed półką obok maszyny do pisania i zaczęła zdejmować z niej oprawione w zieloną skórę tomy. Były to staromodne diariusze z wytłoczonymi na okładkach złotymi literami: Horace Chigwell, dr med.

- Nie znosiłam tego, że Curtis używa osobistych dzienników ojca, ale on nie widział żadnego powodu, by tego nie robić. Oczywiście wojna - wojna Hitlera - położyła kres takim rzeczom, jak pisanie dzienników. Curtis nigdy nie prowadził własnych i strasznie ich pożywał.

Było ich razem dwanaście, obejmowały okres dwudziestu ośmiu lat. Kartkowałam je zaciekawiona. Doktor Chigwell wypełnił je pedantycznym, pająkowatym pismem. Strony wyglądały czysto, wszystkie litery stały w równych rzędkach, lecz okazały się trudne do odczytania. Księgi te wydawały się rejestrem historii zdrowotnych pracowników Xerxesa. W każdym razie sądziłam, że nazwiska zapisane nieczytelnym charakterem pisma należały do zatrudnionych tam ludzi.

Siedząc w wiklinowym krześle, szperałam wśród tomów, aż udało mi się znaleźć rok 1962 - rok, w którym Louisa zaczęła pracę u Humboldta. Powoli kartkowałam stronicę z nazwiskami - nie były ułożone w porządku alfabetycznym - ale nazwiska Djiak nie znalazłam. W 1963, a więc po roku pracy, pojawiła się pod sam koniec listy jako kobieta rasy biały, wiek siedemnaście lat, adres przy Houston. Uderzył mnie widok nazwiska mojej matki - Gabriella Warshawski była osobą, którą należało zawiadomić w razie nagłego wypadku. Nic o dziecku, nic o jego ojcu. Oczywiście, to

nie dowodziło, że Chigwell nie wiedział o Caroline - tyle tylko że nie zapisał takiej informacji w dzienniku. Reszta notatki wydawała się sekwencją lekarskich zapisków: CT 110/72, Hgb 13, UREA 10, Bili 0.6, KR 0.7. Domyślałam się, że CT oznaczało ciśnienie tętnicze, ale pozostałych znaków nawet nie próbowałam rozszyfrowywać. Spytałam pannę Chigwell, ale kiwnęła bezradnie głową.

- Cała technika medycyny zmieniła się ogromnie od moich czasów. Ojciec nigdy nie robił badań krwi - wtedy nie rozróżniano nawet jej grup, nie mówiąc już o tym, co można z nią dzisiaj zrobić. Przypuszczam, że byłam zbyt rozgoryczona faktem, iż nie zostałam lekarzem, aby chcieć dowiadywać się czegokolwiek na ten temat.

Głowiłam się jeszcze chwilę nad zapiskami, ale była to robota dla Lotty. Złożyłam książki na stos. Nadszedł czas na zrobienie czegoś, co mogłam zrozumieć: zapytać pannę Chigwell, w jaki sposób intruzi weszli do domu.

- Sądzę, że Curtis ich wpuścił - powiedziała sztywno. Oparłam się na krzesło i wpatrzyłam w nią zamyślona. Może nikt tu się dzisiaj nie włamywał? Może wykorzystywała okazję stworzoną przez zniknięcie jej brata, aby zemścić się na nim za zniweczenie wieloletniego dorobku ich ojca? A może w zamieszaniu ostatnich paru dni zapomniała, gdzie ukryła maszynopisy. Mimo wszystko miała prawie osiemdziesiątkę. Spróbowałam to wy badać, ale niezbyt zręcznie. Zmarszczyła groźnie brwi.

- Młoda panno, proszę nie traktować mnie jak pomyloną staruszkę. Jestem w pełni władz umysłowych. Widziałam Curtisa, jak pięć dni temu próbował spalić swoje zapiski. Mogę nawet pani pokazać dziurę w dywanie wypaloną przez kosz. Nie mam pojęcia, dlaczego chciał je zniszczyć. Ani też dlaczego miałby się wkradać tu po złodziejsku. Ale oba te fakty miały miejsce.

Poczułam na twarzy rumieniec. Wstałam mówiąc, że eliminuję tylko kolejne ewentualności. Nadal była trochę urażona, lecz zabrała mnie na obchód całego domu. Chociaż twierdziła, że usunęła wszelki nieporządek wśród książek i sreber, to jednak nie odkurzyła dywanów i nie wytarła kurzu z półek. Po opłaconych bólem poszukiwaniach godnych Sherlocka Holmesa, znalazłam ślady zeschniętego błota na chodniku pobżonym na schodach. Nie byłam pewna, czego to dowodziło, ale łatwo przyszło mi uwierzyć, że nie naniósł ich panna Chigwell. Na żadnym z zamków nie widać było znaków siłowego otwierania.

Uważałam, że nie powinna pozostać tu na noc sama - ktoś, kto mógł wejść do domu w taki

sposób, mógł łatwo powrócić, z bratem albo bez niego. A jeżeli widzieli moje przybycie, mogli zażądać wyjaśnień takimi sposobami, że ta starsza pani - jakkolwiek mogła być dzielna - nie byłaby w stanie ich znieść.

- Nikt mnie z domu nie wyrzuci. Wychowałam się tu i nie opuszczę go teraz - warknęła na mnie zapalczywie.

Ze wszystkich sił próbowałam jej to wyperswadować, ale pozostała nieugięta. Albo się bała i nie chciała do tego przyznać, albo wiedziała, dlaczego jej brat był tak zdesperowany, że zdecydował się zniszczyć zapiski. No, ale wtedy nie dawałaby mi oryginałów.

Potrząsnęłam głową zirytowana. Miałam dość, bolały mnie ramiona, głowa pulsowała lekko w miejscu, gdzie zostałam uderzona. Czy panna Chigwell mówiła prawdę, czy nie, dzisiejszego wieczoru nie mogłam tego rozstrzygnąć - musiałam się położyć. Kiedy wychodziłam, przyszło mi coś do głowy.

- U kogo zatrzymał się pani brat?

Usłyszawszy to, wydała się nieco zakłopotana - nie wiedziała.

- Byłam zaskoczona, kiedy oświadczył, że zamierza przenieść się do przyjaciół, ponieważ żadnych nie ma. W środę po południu zadzwoniono do niego w jakieś dwie godziny po przyjeździe ze szpitala, a w chwilę potem oznajmił, że wyprowadza się na kilka dni. Ale zniknął, kiedy miałam swój ochotniczy dyżur w szpitalu, więc nie mam pojęcia, kto mógł po niego przyjechać.

Panna Chigwell nie domyślała się również, kto do niego dzwonił. To musiał być mężczyzna, ponieważ podniosła słuchawkę w drugim pokoju w tym samym czasie co brat. Słyszac, jak ten człowiek wymienia imię brata, natychmiast się rozłączyła. Naprawdę szkoda, że jej poczucie godności było zbyt duże, aby mogła podsłuchiwać brata, ale nie można mieć wszystkiego na tym niedoskonałym świecie.

Zbliżała się jedenasta wieczorem, kiedy wreszcie wyszłam. Obejrzawszy się za siebie, zobaczyłam w przedpokoju jej wychudłą sylwetkę. Podniosła dłoń w formalnym geście pożegnania i zamknęła drzwi.

ROZDZIAŁ 29

Nocni kowboje

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem zmęczona, dopóki nie wsiadłam do samochodu. Ból w ramionach powrócił falą, która pchnęła mnie bezwładnie na siedzenie. Pod powiekami zapiekły łyzy bólu i rozżalenia nad sobą. „Mięczaki nigdy nie wygrywają, a zwycięzcy nigdy nie miękną”, ponuro powtórzyłam powiedzonko mojej dawnej trenerki. Graj razem ze swoim bólem, a nie przeciwko niemu.

Opuściłam szybę w samochodzie, obolałe ramiona z trudem wypełniały polecenia mózgu. Siedziałam w aucie przez jakiś czas i podrzemując obserwowałam dom Chigwellów oraz pobliską ulicę, lecz stwierdziwszy w końcu, że nieugięta staruszka nie była pod obserwacją, uruchomiłam samochód i wyruszyłam w drogę do domu.

Autostrada Eisenhowera nigdy nie jest wolna od ruchu - przez całą noc z łoskotem wjeżdżają tędy do miasta ciężarówki, jacyś ludzie wracają z wieczornych zmian, inni wyruszają do akcji, która rozpoczyna się dopiero po zmierzchu. W Hillside przyłączyłam się do szeregu anonimowych pojazdów. Monotonny strumień świateł, czerwonych w samochodach, pomarańczowych po bokach ciężarówek, rzędy latarni ciągnących się w dal jak okiem się gnąć, wszystko to sprawiło, że poczułam się samotna i opuszczona. Jak mały punkcik w wielkim kosmosie świateł, pyłek, który mógłby wtopić się w muł Stawu Martwych Konarów, nie pozostawiając śladu.

Ten ponury nastrój trzymał się mnie przez całą drogę przez Belmont do domu przy Racine. W głębi duszy liczyłam, że pan Contreras i Peppy będą jeszcze na nogach, by mnie powitać - rozum kategorycznie mówił, że nie chcę, aby staruszek sterczał mi bez przerwy nad głową.

Ta sekretna tęsknota zapewne uratowała mi życie. Zatrzymałam się przed drzwiami mieszkania pana Contrerasa na parterze, odkładając na ziemię dzienniki, aby zasnurować but. Chciałam przy tym sprawdzić, czy moja obecność nie zerwie ze snu Peppy. Miałabym wtedy towarzystwo przed pójściem do łóżka.

Cisza po drugiej stronie drzwi powiedziała mi, że mieszkanie było puste. Peppy z pewnością odezwałaby się usłyszawszy mnie, a staruszek nigdy nie zostawiłby jej samej na zewnątrz o tak

późnej porze. Spojrzałam na schody, zastanawiając się głupio, czy mogli czekać na mnie na górze.

Intuicja mówiła mi, że coś jest nie tak. Zmusiłam się, aby stanąć w bezruchu i uruchomić sterany mózg. Klatka schodowa pogrążona była w ciemności. Żarówka na jednym piętrze mogła się wypalić, ale żeby na obu tego samego wieczoru? Taki zbieg okoliczności wyglądał na nieprawdopodobieństwo. Ponieważ hol na dole był oświetlony, każdy, kto wchodził na pierwsze bądź drugie piętro, musiał pojawić się w jasnym kręgu.

Z najwyższego piętra dobiegł mnie cichy pomruk, ale nie był to pan Contreras, mój wiący do Peppy. Pozbierałam z podłogi dzienniki i przemknęłam przez hol. Wepchnęłam stertę pod pachę, wyciągnęłam pistolet i go odbezpieczyłam. Odwróciłam głowę w stronę ulicy. Pochyliwszy się nisko, otworzyłam drzwi i wymknęłam się w noc.

Nikt do mnie nie strzelał. Jediną osobą na ulicy był wyglądający na podbitego młody człowiek, który mieszkał parę domów dalej. Nie spojrzał nawet na mnie, kiedy przebiegłam pędem obok niego w stronę Belmont. Nie chciałam brać samochodu - jeśli ktoś czekał na mnie pod drzwiami mieszkania, mógł też obserwować chevroleta: niech sobie myślą, że kręcę się w pobliżu. Jeżeli ktoś czekał. Może to strach i zmęczenie podpowiadały moim nerwom fantastyczne interpretacje ś wiatel i ulicznych odgłosów.

Na Belmont zatknęłam z powrotem za pas smitha & wessona i zatrzymałam taksówkę, by pojechać do mieszkania Lotty. Mieszkała ode mnie niecałe dwa kilometry, ale dzisiaj nie byłam w formie, aby chodzić tak daleko. Poprosiłam taksówkarza, żeby zaczekał, dopóki nie dowiem się czy kogoś zastałam.

- Co to ja, prywatny szofer? Wynajęłam się na jedną jazdę, a nie na usługi do końca życia - warknął na mnie w życzliwym stylu dzisiejszych taksówkarzy.

- Świetnie. - Schowałam z powrotem pięć dolarów, które miałam mu wręczyć. - W takim razie zapłacę, jak dowiem się, czy spędzam tutaj noc.

Zaczął na mnie wrzeszczeć, ale zignorowałam te krzyki i otworzyłam drzwi. To skłoniło go, aby zatrzymać mnie siłą; odwrócił się do tyłu i rzucił na mnie. Rąbnęłam go w ramię stosem książ z całą siłą zgromadzonej frustracji ostatnich dni.

- Dziwka! - ryknął. - Wyłaż. Wynoś się z wozu. Wsadź sobie swoje centy.

Wysunęłam się z tylnego siedzenia, nie spuszczając kierowcy z oka aż do chwili, kiedy odjechał z przeraźliwym piskiem opon. Brakowało mi teraz tylko tego, aby Lotty była na ostrym

dyżurze albo spała zbyt mocno, żeby usłyszeć dzwonek. Ale bogowie nie skazali mnie na doświadczenie wszystkich plag dzisiejszego wieczoru. Po dłuższej chwili, kiedy wzmogła się już we mnie nerwowa irytacja, usłyszałam zaspany głos.

- To ja, Vic Mogę wejść?

Czekała na mnie w drzwiach mieszkania, owinięta w jasnoczerwoną szatę. Wyglądała jak mały mandaryn. Mrugała ciemnymi oczami, odpędzając z nich sen.

- Przepraszam, Lotty, przepraszam, że cię obudziłam. Musiałam wyjść dziś wieczorem. Kiedy wróciłam do domu, zauważyłam, że czeka tam na mnie jakiś komitet powitalny.

- Jeżeli chcesz, żebym poszła z tobą wykurzyć paru bandziorów, to moja odpowiedź brzmi: stanowczo nie - powiedziała z sardonycznym śmiechem. - Ale miło mi widzieć, że zatroszczyłaś się o swoją skórę na tyle, żeby nie rzucić się na nich w pojedynkę.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na jej zaczepki.

- Chcę zadzwonić na policję. I nie chcę wracać na Racine, dopóki nie sprawdzą mieszkania.

- Bardzo dobrze, w rzeczy samej - odparła Lotty zdumiona. - Zaczynam nawet podejrzewać, że dożyjesz czterdziestki.

- Wielkie dzięki - mruknęłam, idąc do telefonu.

Nie lubiłam podwijać pod siebie ogona i zrzucić problemów na barki kogoś innego, ale rezygnowanie z szukania pomocy tylko z powodu sarkazmu Lotty byłoby głupie.

Bobby Mallory był w domu. Podobnie jak Lotty miał ochotę poużywać sobie na mnie za zwracanie się do niego o pomoc, ale kiedy usłyszał o zdarzeniu, jego zawodowstwo wzięło w nim górę. Zadał parę zwięzłych pytań, a potem zapewnił, że zanim zdąży wyjść, pod moim domem stać już będzie ekipa z wyłączonymi światłami. Przed odłożeniem słuchawki nie mógł jednak powstrzymać się od utarcia mi nosa.

- Tylko nigdzie się teraz nie ruszaj, Vicki. Nie mogę uwierzyć, że pozwalasz policji załatwiać sprawy policji, ale pamiętaj - jeśli chodzi o ciebie, to ostatnią rzeczą, którą wolno ci zrobić, jest wdawanie się w tę aferę i włożenie między nas i tych zbirów.

- W porządku - odparłam kwaśno. - Przejrzę poranne gazety, żeby zobaczyć, jak wyszło.

Wyłączył się, kiedy jeszcze trzymałam słuchawkę przy uchu. Następną godzinę spędziłam chodząc niespokojnie po salonie Lotty. Z początku próbowała namówić mnie na położenie się w gościnnym łóżku i szklankę gorącego mleka z brandy, ale wreszcie zostawiła samą.

- Ja muszę się wyspać, nawet jeżeli ty tego nie potrzebujesz, Victorio. Nie zamierzam prawić ci kazań na temat konieczności wypoczynku po twoich przejściach - skoro tego nie zrozumiałeś, żadne moje słowa nie przyniosą efektu. Pamiętaj tylko - twoje ciało się starzeje. Z czasem regeneruje się wolniej i wolniej i im mniej mu będziesz pomagać, tym mniej na nim będziesz mogła polegać.

Wywnioskowałam zarówno z tonu, jak i ze słów, że Lotty naprawdę się złościła, ale wciąż byłam zbyt rozbita, aby zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź. Kochała mnie; bała się, że wystawiam życie na ryzyko, że je stracę. Rozumiałam to, ale dzisiaj po prostu nie mogłam niczego naprawić.

Dopiero kiedy zatrasnęła ze złością drzwi, przypomniałam sobie o dziennikach Chigwella. Nie był to właściwy moment, aby pukać do niej i prosić o pomoc w odcyfrowywaniu lekarskiej stenografii. Wypiłam trochę mleka i ściągnawszy buty położyłam się na kozetce, lecz nie mogłam się rozluźnić. Myślałam tylko o tym, że uciekłam od moich problemów, zwróciłam się do policji i czekałam płochliwie na ratunek jak jakaś starodawna dziewczica.

Miałam tego dość. Krótco po północy włożyłam buty i pozostawiwszy na stole w kuchni kartkę dla Lotty, cicho wymknęłam się z mieszkania. Zaczęłam iść na południe, trzymając się głównych ulic z nadzieją, że znajdę taksówkę. Mój niepokój odsuwał zmęczenie w cień; dotarłszy do Belmont, zrezygnowałam z łapania taksówek i pokonałam ostatni kilometr szybkim marszem.

Wyobrażałam sobie ulicę rozbłyskującą niebiesko-białym światłem kogutów i wypełioną rozbieganymi ludźmi w mundurach. Tymczasem gdy dotarłam do domu, nie zauważyłam jakiegokolwiek śladu obecności policji. Pochyliwszy się lekko, ostrożnie weszłam do holu, trzymając się ścian niewidocznych z klatki schodowej.

Światło na górze znów było włączone. Kiedy weszłam na półpiętro, ocierając się plecami o ścianę, otworzyły się drzwi mieszkania pana Contrerasa. Wypadła z nich Peppy, a w ślad za nią staruszek.

Gdy mnie zobaczył, łzy zaczęły spływać mu po policzkach.

- Och, laleczko, Bogu dzięki, żeś cała i zdrowa. Była tutaj policja, nie chcieli nic powiedzieć, nie chcieli mnie wpuścić do twojego mieszkania ani zdradzić, czy wiedzą, gdzie jesteś. Co ci się stało? Gdzie byłaś?

Po paru minutach zamieszania opowiedzieliś mi nasze historie. Około dziesiątej

trzydzieści ktoś zadzwonił do niego z informacją, że jestem w biurze w bardzo złym stanie. Nie przyszło mu do głowy, aby wezwać pomoc albo zapytać, kim był dziwny rozmówca. Zamiast tego wziął Peppy na smycz, zmusił przejeżdżającego taksówkarza, aby zabrał ich oboje, i popędził do miasta. Nigdy nie był w moim biurze, więc zmarnował sporo czasu na poszukiwania. Zobaczywszy, że drzwi są zamknięte, a światła pogaszone, był zbyt niecierpliwy, żeby szukać stróża: użył swego wiernego francuza i wyłamał zamek.

- Przykro mi, laleczko - wyznał płaczący. - Rano ci go naprawię. Gdybym używał głowy, sądzę, że wpadłbym na to, iż ktoś chce usunąć z drogi mnie i psa.

Przytaknęłam mu, nie słuchając. Mieli mnie na oku wystarczająco dokładnie, aby wiedzieć, że mój sąsiad będzie pilnował, czy ktoś nie czai się za rogiem. Ron Kappelman. Kto jeszcze widział ze mną pana Contrerasa w tak bliskiej komitywie?

- Czy policja coś znalazła? - spytałam obcesowo.

- Zabrali dwóch facetów do furgonetki, ale nie było żadnego sposobu, żeby im się przyjrzeć. Nawet dla ciebie nie mogłem tego zrobić. Uganiali się za tobą z bronią, a mnie sprzątnęli z drogi takim tanim chwytem, że sześciolatek by się połapał. A na dodatek nie wiedziałem, dokąd poszłaś ani nic. Zorientowałem się, że to nie mogła być twoja ciotka po tym, jak powiedziałeś mi o niej i o twojej mamie, ale poza tym po prostu nie miałem pojęcia, gdzie mogłaś być.

Dłuższą chwilę zabrało mi uspokojenie go na tyle, aby pozwolił mi zostać samej w nocy. Po jeszcze paru falach strachu i wymówek pod własnym adresem w końcu zgodził się odprowadzić mnie po schodach do mieszkania. Ktoś próbował włamać się do środka, ale żelazne sztaby, założone na drzwiach po ostatniej domowej inwazji, wytrzymały. Nie mogli się przez nie przebić i sforsować trzeciej zasuw. Mimo to dokonaliśmy wraz z psem dokładnych oględzin całego mieszkania. Pan Contreras czekał na zewnątrz do momentu, aż usłyszał szczęk ostatniego zamka, i zszedł na dół.

Próbowałam złapać Bobby'ego w centrali, ale gdzieś zniknął - albo nie chciał podejść do telefonu. Nie było też nikogo ze znanych mi policjantów, a ci, których nie znałam, nie powiedzieliby niczego o zatrzymanych ludziach. Musiałam z tym poczekać do rana.

ROZDZIAŁ 30

Naprawianie mostu

Grzebano mnie żywą. Wykonawca wyroku w czarnym plastikowym kapturze sypał na mnie ziemię. „Powiedz nam tylko, która godzina, ślicznotko”. Lotty i Max Loewenthal siedzieli nie opodal, jedząc szparagi i sącząc koniak, i nie zwracali uwagi na moje bezsilne wołania. Budziłam się ze snu spocona i dysząca, ale za każdym razem, gdy próbowałam zasnąć, koszmar powracał.

Kiedy wreszcie obudziłam się na dobre, był późny poranek. Zesztywniała i obolała, z głową wypełnioną watą, na opuchniętych, miękkich nogach powlokłam się do łazienki. Wraz z Peppy, która warowała niespokojnie pod drzwiami, spędziłam długi czas mocząc się w wannie.

To Kappelman musiał nagrać wczorajszą robotę. Tylko on wiedział, że opuszczam mieszkanie, tylko on wiedział, jak troskliwą opieką otaczał mnie pan Contreras. Lecz choć bardzo się starałam, nie mogłam pojąć, dlaczego miałby to zrobić.

Nie można było zupełnie wykluczyć myśli, że mógł zamordować Nancy. Zawody miłosne sprowadzają przed oblicze prokuratora przy Dwudziestej Szóstej i Californii przynajmniej jedną osobę dziennie. Ale zbrodnia w afekcie nie miała nic wspólnego z atakiem na moją osobę. Wszystkie domysły na temat Humboldta, powody, dla których Pankowski i Ferraro procesowali się z fabryką, sprawy Chigwella, nie wydawały się mieć związku z Kappelmanem. Chyba że wiedział coś o dokumentach ubezpieczeniowych Jurshaka, co desperacko próbował ukryć. Ale jakież mógłby mieć z nimi związek?

Łatwiej było przyjąć, że to Art Jurshak urządził ten nocny desant. Mógł w końcu wyciągnąć staruszka z domu, nie wiedząc, że wyjechałam, a potem zdecydował przycząć się i oczekiwać na mój powrót. Kotłowało mi się w głowie. Bezowocnie. Woda zdążyła już wystygnąć, ale nie ruszyłam się, dopóki nie zaczął dzwonić telefon. To był Bobby, weselszy i bardziej rześki, niż mogłam znieść przy moim rozgorączkowaniu.

- Doktor Herschel powiada, że wyszłaś od niej w środku nocy. Zdawało mi się, że ci powiedziałem, abyś trzymała się z dala od swojego mieszkania, dopóki nie damy ci znać, że wszystko w porządku.

- Nie miałam zamiaru czekać aż do Drugiego Przyjścia Chrystusa. Kogo znalazłeś u mnie w nocy?

- Nie wyrażaj się przy mnie w ten sposób, młoda panno: - rzucił Bobby. Uważał, że młode panny nie powinny plugawić języka, robią to dostatecznie dobrze uliczne dziwki. I mimo że wiedział, iż pragnę jedynie w ten sposób sobie na nim poużywać, nie potrafił powstrzymać się przed pokusą połknięcia przynęty. Zanim zdążyłam wściubić swój złośliwy komentarz, że nie jestem jego podkomendną, której mógłby rozkazywać - istnieją też dla mnie pokusy nie do odparcia - on pośpiesznie ciągnął dalej: - Zwinęliśmy dwóch facetów kręcących się pod twoimi drzwiami. Mówią, że akurat weszli na górę na dymka, ale obaj mieli wytrychy i broń Prokurator dał nam na nich dwadzieścia cztery godziny za posiadanie nierejestrowanej broni. Chcemy, żebyś przyjechała na identyfikację - zobaczysz, czy mogłabyś w którymś z tych dżentelmenów rozpoznać uczestnika środowowego ataku na ciebie.

- Tak, w porządku - zgodziłam się bez entuzjazmu. - Mieli na sobie czarne peleryny z takimi kapturami, które zakrywały większą część twarzy. Nie jestem pewna, czy bym ich poznała.

- Świetnie. - Bobby zignorował mój brak zapału. - Za pół godziny przyślę po ciebie jakiegoś mundurowego - chyba że dla ciebie to za wcześnie.

- Ja nigdy nie śpię, tak jak sprawiedliwość - odpowiedziałam uprzejmie i odłożyłam słuchawkę.

Jako następny zadzwonił Murray. Poranne wydanie zostało zamknięte, zanim od jego wtyczki w policji dotarła informacja o aresztowaniu pod moim mieszkaniem. Jego szef, wiedząc o naszych stosunkach, obudził go tą wiadomością. Przez parę minut Murray wypompowywał z siebie niewyczerpaną energię, aż w końcu przerwałam mu gniewnie:

- Jadę teraz na identyfikację. Jeśli będzie tam Art Jurshak albo siostra doktora Chigwella, oddzwonię. Ach, to mi przypomniało - nasz dobry doktor ulotnił się z kolesiami, którzy lubią włamywać się do cudzych domów.

Rzucając słuchawkę, słyszałam jeszcze jego krzyki. Telefon zadzwonił znów, kiedy wchodziłam do łazienki, aby się ubrać. Postanowiłam go zignorować - niech Murray otrzymuje wiadomości z radia albo skądkolwiek. Czesząc włosy ze złośliwą satysfakcją, usłyszałam, jak wchodzi pan Contreras ze śniadaniem. Moje pragnienie jego towarzystwa z ostatniej nocy ulotniło się. Wypiłam bez podziękowania kubek kawy i oznajmiłam, że nie będę miała czasu na jedzenie. Kiedy zaczął coś marudzić, straciłam panowanie nad sobą i warknęłam na niego.

Jego wyblakłe brązowe oczy popatrzyły na mnie z urazą. Spokojnie zabrał psa i wyszedł z godnością. Natychmiast poczułam się zawstydzona i pobiegłam za nim. Ale on zszedł już do holu, a ja nie miałam ze sobą kluczy. Ruszyłam z powrotem na górę.

Kiedy zbierałam klucze i torebkę, wsuwając za pasek smitha & wessona, pod dom zajechał samochód, aby zabrać mnie na rozpoznanie. Starannie zamknęłam za sobą zasuwę - często o to nie dbam - i zbiegłam po schodach. Prędzej zaczniesz, prędzej skończysz, jak by powiedziała lady Makbet.

Mundurowy policjant okazał się kobietą. Funkcjonariusz patrolowy Mary Louise Neely. Była spokojna, poważna, trzymała się w mocno opiętym granatowym mundurku prosto jak struna i nazywała mnie „madame” w sposób, który boleśnie dawał mi odczuć dwanaście albo więcej lat różnicy między nami. Otworzyła drzwi holu z wojskową służbistością i poprowadziła do samochodu patrolowego.

Pan Contreras stał z Peppy przed domem. Chciałam wykonać jakiś pojednawczy gest, ale obecność funkcjonariuszki Neely pozbawiła mnie słów. Wyciągnęłam rękę, ale on skinął tylko sztywno głową, przywołując ostro sukę, która pobiegła za mną.

Próbowałam zagadnąć policjantkę o jej pracę i o to, czy drużyna Cubsów albo Soxów mogła ponieść jeszcze większą porażkę niż w poprzednim sezonie. Zignorowała mnie jednak kompletnie, skupiając surowy wzrok na zbrodniarzach jadących po Lake Shore Drive i mrużąc coś czasem do radiotelefonu.

Przejechałyśmy dziesięć kilometrów do centralnej siedziby policji w dobrym czasie. Zajechała zgrabnie na parking w jakieś piętnaście minut po wyjściu z domu. Okay, była sobota, niewielki ruch, ale i tak wyczyn robił wrażenie.

Neely powiodła mnie przez labirynt korytarzy w starym budynku, wymieniając z kamienną twarzą pozdrowienia z kolegami, i wprowadziła do pokoju obserwacyjnego. Byli tam Bobby, sierżant McGonnigal i detektyw Finchley. Neely zaszalutował a im tak zamaszycie, że myślałam, iż się przewróci do tyłu.

- Dzięki, Neely - Bobby zwolnił ją łagodnie. - Damy już sobie radę.

Zaczęły mi się pocić dłonie, a serce bić trochę pośpieszniej. Nie chciałam zobaczyć mężczyzn, którzy w środę zawinęli mnie w koc. Dlatego wczoraj uciekłam spod domu. Bałam się ich jak najstraszniejszych duchów. A teraz miałam zachowywać się niczym tresowany pies pod baczny

okiem policji?

- Macie nazwiska tych dwóch zgarniętych? - spytałam, zachowując spokojny ton zabarwiony nutą arogancji.

- Aha - mruknął Bobby. - Joe Jones i Fred Smith. Robota z nimi jest prawie tak zabawna, jak z tobą. I owszem, sprawdzają odciski palców, ale to nigdy nie dzieje się tak szybko, jak by się chciało. Możemy zrobić sprawę za wałęsanie się po prywatnym domu i noszenie nierejestrowanej broni. Ale ty wiesz i ja wiem, że w poniedziałek będą już chodzić po ulicy, chyba że wesprzemy to usiłowaniem morderstwa. Więc masz mi powiedzieć, czy oni są twoimi kolegami, którzy w środę zafundowali ci pływanie.

Skinął na Finchleya, Murzyna ubranego po cywilnemu, którego poznałam, jak jeszcze chodził w patrolach. Detektyw wszedł za drzwi po drugiej stronie pokoju i wydał polecenie niewidocznym osobom, aby stanęły w szeregu.

Identyfikowanie przez świadków nie jest tak wielką rewelacją, jak ją się przedstawia w czasie spektaklu na sali sądowej. W stresie pamięć płata człowiekowi figle - jest się pewnym, że to był wysoki czarny mężczyzna w niebieskich dżinsach, a tymczasem w rzeczywistość ci był to biały grubas w garniturze. Historie tego typu. Chyba trzecia część moich przemówień jako obrońcy z urzędu opierała się na wyliczaniu znanych przykładów mylnej identyfikacji. Z drugiej jednak strony, stres może ożywić zatarte wspomnienie jakiegoś gestu, znamienia na twarzy, które wraca na widok powtórnie widzianej osoby. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Trzymając ręce w kieszeniach, aby ukryć drżenie, podeszłam do okna obserwacyjnego. McGonnigal wyłączył światło po naszej stronie i pokój zatonął w mroku. Poczułam ulgę.

- Mamy przygotowane dwie grupy - Bobby mruknął mi do ucha. - Znasz zasady - nie śpiesz się, każ im się obrócić albo co ci przyjdzie do głowy.

Weszło sześciu mężczyzn o buńczucznych minach. Wszyscy wyglądali podobnie do siebie - biali, krzepcy, gdzieś koło czterdziestki. Próbowałam wyobrazić ich sobie w czarnych kapturach, jak tego grabarza z mojego majaku nad ranem.

- Każ im, żeby mówili - powiedziałam nagle. - Każ im powiedzieć: „Powiedz nam, która godzina, ślicznotko”, a potem „Rzuć ją tutaj, Troy. Będzie tego dobrego”.

Finchley przekazał prośbę niewidocznym policjantom prowadzącym to przedstawienie. Jeden po drugim mężczyźni posłusznie mamrotali po nosie tekst. Obserwowałam drugiego faceta od

lewej. Na jego twarzy czaił się uśmiezek - wiedział, że w ten sposób nigdy nie zbudujemy poważnego oskarżenia. Jego oczy. Czy mogłam zapamiętać oczy tego człowieka, który podszedł do mnie na skraju zatoki? Zimnego, obojętnego, cedzącego słowa, aby wy badać moją słabość.

Lecz kiedy się odezwał, nie rozpoznałam głosu. Był matowy, zatracał akcentem z South Side, ale nie brzmiał tak beznamiętnie, jak ten zapamiętany.

Potrząsnęłam głową.

- Myślę, że ten drugi facet od lewej. Ale nie rozpoznaję głosu i nie jestem zupełnie pewna.

Bobby skinął lekko głową i Finchley dał rozkaz, aby wyprowadzić grape.

- No i co? - dopytywałam się. - Czy to on? Porucznik uśmiechnął się niechętnie.

- Myślałem, że trafisz kulą w płot, a tymczasem to jego zwinęliśmy sprzed twoich drzwi. Nie wiem, czy twoje rozpoznanie wystarczy prokuratorowi, ale może jeszcze uda nam się dowiedzieć, dla kogo pracuje.

Wprowadzono drugą grupę, paradę czarnych. Widziałam z bliska tylko jednego z napastników. Mimo że przypuszczałam, iż Troy był jednym ze stojących w szeregu ludzi, nie mogłam go wskazać nawet po sprawdzaniu głosu.

Bobby był w świetnym humorze po identyfikacji pierwszego z mężczyzn. Dobrotliwie poddał mnie papierkowym formalnościom i wezwał funkcjonariuszkę Neely, aby odwiozła mnie do domu. Pożegnał się klepieniem w ramię i obietnicą powiadomienia o dacie pierwszej rozprawy.

Mój nastrój nie był aż tak radosny. Kiedy Neely podjechała pod dom, weszłam na górę, aby włożyć trampki. Nie byłam jeszcze gotowa do biegania, ale potrzebowałam długiego spaceru, aby przewietrzyć umysł przed popołudniowym spotkaniem z małą Caroline.

Najpierw jednak musiałam naprawić zerwane mosty. Pan Contreras przyjął mnie chłodno, próbując maskować swe urażone uczucia pod warstewką zewnętrznej uprzejmości. Ale wyrafinowane gry nie były jego żywiołem. Rozchmurzył się po paru minutach, obiecał nigdy nie przychodzić na górę bez uprzedniego telefonu i usmażył na lunch kilka jajek na bekonie. Usiadłam z nim potem do rozmowy, biorąc w ryzy niecierpliwość, aby wysłuchać długiego potoku niezwiązanych z niczym dygresji. W każdym razie im dłużej rozmawiałam, tym dalej mogłam odsuwać perspektywę trudniejszego spotkania. O drugiej jednak uznałam, że już zbyt długo unikam Lotty i udałam się w kierunku Sheffield.

Lotty nie dawała się udobruchać całusem. Zastałam ją w domu pomiędzy porannym dyżurem w

klinice a popołudniowym wyjściem na koncert z Maxem. Rozmawiałyśmy w kuchni, a w tym czasie ona stępnowała drobnym ścięciem brzeg czarnej sukienki. Dobrze przynajmniej, że nie zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

- Nie wiem już, ile razy musiałam cię składać do kupy w ciągu ostatnich dziesięciu lat, Victorio. Sporo. I prawie zawsze w sytuacjach zagrażających twojemu życiu. Dlaczego tak mało siebie cenisz?

Gapiałam się w podłogę.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek rozwiązywał za mnie moje problemy.

- Ale ostatniej nocy przyszedłeś tutaj. Wciągnęłaś mnie w swoje sprawy, a potem zniknęłaś bez słowa. To nie jest niezależność - to jest bezmyślne okrucieństwo. Musisz zdecydować, czego ode mnie chcesz. Jeśli mam być tylko twoim lekarzem, osobą, która łąta ci w głowie dziury po kulach - w porządku. Dochodzimy właśnie do tak chłodnych stosunków. Ale jeżeli chcesz, żebyśmy były przyjaciółkami, nie wolno ci bezceremonialnie traktować moich uczuć do ciebie. Rozumiesz?

Przecierałam czoło ze znużeniem. Wreszcie podniosłam na nią wzrok.

- Lotty, boję się. Nigdy jeszcze tak się nie bałam, od czasu kiedy mój ojciec powiedział mi, że Gabriella umiera i nic nie można dla niej zrobić. Wtedy pojęłam, jak strasznym błędem było oczekiwać od kogoś rozwiązania moich problemów. A teraz, zdaje się, jestem zbyt sterroryzowana, żeby sobie z tym poradzić i miotam się bezładnie. Ale proszenie o pomoc zwyczajnie doprowadza mnie do szału. Wiem, że to dla ciebie przykre. Przepraszam. Ale w tej chwili nie potrafię zdobyć się na dostateczny dystans, aby coś z tym zrobić.

Lotty skończyła obszywanie brzegu sukienki i odbżyła ją na bok. Uśmiechnęła się wymuszenie.

- Tak. To niełatwe stracić matkę. Czy mogłybyśmy pójść na mały kompromis, moja droga? Nie będę oczekiwała od ciebie odpowiedzi, których nie potrafisz udzielić. Ale kiedy poczujesz się w odpowiedniej formie, zrób to, abym nie musiała się na ciebie tak denerwować.

Skinęłam głową, mając gardło zbyt ściśnięte, aby się odezwać. Podeszła do mnie i przyciągnęła blisko siebie.

- Jesteś dla mnie córką, Victorio. Wiem, że to nie to samo, co mieć Gabriellę, ale kocham cię taką samą miłością.

Uśmiechnęłam się drżącymi ustami.

- Wasza surowość jest w każdym razie podobna.

Potem powiedziałam jej o dziennikach. Obiecała zajrzeć do nich w niedzielę i stwierdzić, czy dałoby się coś z nich wyczytać.

- A teraz muszę się ubierać, moja droga. Ale co powiedziałabyś na spędzenie tutaj nocy? Może obie poczujemy się trochę lepiej?

ROZDZIAŁ 31

Stare nowe burze

Wróciwszy do domu, wstąpiłam do pana Contrerasa, aby powiadomić go, że jestem, i uprzedzić, iż wkrótce przyjedzie Caroline. Moja rozmowa z Lotty pomogła mi odzyskać równowagę. Poczułam się na tyle dobrze, że porzuciłam plan spaceru na rzecz zajęcia się domem.

Częściowo usmażony kurczak, którego wsadziłam do lodówki we wtorek wieczór, zaczął nieźle cuchnąć. Wyniosłam go do kubła na śmieci w podwórku, wyszorowałam lodówkę, używając octu dla zabicia zapachu, oraz związałam w paczkę gazety dla ekipy zabierającej makulaturę sprzed domu. Zanim o czwartej pojawiła się Caroline, zdążyłam wypisać wszystkie moje grudniowe rachunki i uporządkować zeznania podatkowe. Poczułam też wszystkie mięśnie.

Caroline weszła cicho po schodach, uśmiechając się nerwowo. Wprowadziłam ją do salonu. Odmówiła przyjęcia napoju miękkim, bezdźwięcznym głosem. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek widziała ją tak skrępowaną.

- Jak się miewa Louisa? - spytałam.

Machnęła ręką, zrezygnowana.

- W tej chwili zdaje się, że w normie. Ale ta niewydolność nerek zupełnie człowieka dołuje, bo dializa wydobywa z systemu tylko część zanieczyszczeń, więc zawsze czujesz się koszmarnie.

- Czy powiedziałaś jej o otrzymanej wiadomości - że Joey Pankowski jest twoim ojcem?

Potrząsnęła głową.

- Nic jej nie mówiłam. O tobie, że go szukałaś, ani... ani, no, ani o niczym. Musiałam jej powiedzieć, że Nancy nie żyje, oczywiście, zobaczyłaby to w telewizji albo usłyszała od swej siostry. Ale nie może więcej dowiadywać się o takich przykrościach. - Międlila nerwowo w palcach róg jednej z poduszek na sofie, aż wreszcie wybuchła. - Żałuję, że w ogóle cię prosiłam o szukanie mojego ojca. Myślałam, że dokonasz nie wiem jakiego cudu. I nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że znalezienie go zmieni moje życie. - Roześmiała się gorzko. - Co ja gadam? Nawet sam fakt zlecenia ci poszukiwań zmienił moje życie.

- Czy mogłybyśmy właśnie o tym trochę porozmawiać? - spytałam delikatnie. - Ktoś zadzwonił

do ciebie około dwóch tygodni temu i powiedział, żebyś mnie wygoniła, zgadza się? To było wtedy, kiedy zadzwoniłaś do mnie z tymi pierdołami, że nie chcesz go szukać.

Pochyliła głowę tak nisko, że widziałam tylko jej zmierzwione rude loki. Czekałam cierpliwie. Nie wybrałaby się taki kawał drogi aż do Lakeview, gdyby nie postanowiła powiedzieć mi prawdy - potrzeba jej było tylko trochę czasu.

- To sprawa hipoteki na dom - wyszeptała w końcu do swych stóp. - Wynajmowaliśmy go przez całe lata. A potem, kiedy zaczęłam pracować, mogłyśmy wreszcie tyle zaoszczędzić, żeby zapłacić gotówką pierwszą ratę. Dostałam telefon. Od faceta - nie wiem, kim był. Powiedział... powiedział... że zajmował się naszą pożyczką. Uważał, że wycofają się z niej, jeżeli nie każę ci zaprzestać poszukiwań mojego ojca i zadawania pytań o Ferraro i Pankowskiego.

Nareszcie podniosła na mnie wzrok, jej piegi odbijały się wyraźnie na pobludłej twarzy. Wyciągnęła do mnie błagalnie ręce, a ja wstałam z krzesła i ją objęłam. Przez parę chwil tuliła się do mnie drżąc, jakby wciąż była małą Caroline, a ja dużą dziewczyną, która mogła obronić ją przed wszelkim niebezpieczeństwem.

- Dzwoniłaś do banku? - spytałam przytomnie. - Dowiedziałaś się, czy coś o tym wiedzą?

- Bałam się, że gdyby usłyszeli, iż zadaję pytania, to mogliby zrobić, no wiesz. - Jej głos ugrzązł gdzieś w moim ramieniu.

- Który to bank?

Na to wyprostowała się i spojrzała na mnie zaalarmowana.

- Vic! Nie masz chyba zamiaru chodzić tam i rozpytywać? Nie wolno ci!

- Mogę znać kogoś, kto tam pracuje albo jest w zarządzie - odpowiedziałam cierpliwie. - Jeśli się okaże, że nie mogę dyskretnie zadać paru pytań, obiecuję nie namącić. Okay? A zresztą mogę się założyć, że to Ironworkers Savings & Loan - ludzie z tej okolicy zawsze tam chodzili.

Jej wielkie oczy niespokojnie badały moją twarz.

- To tam, Vic. Ale musisz mi obiecać, naprawdę obiecać, że nie zrobisz niczego, co zagroziłoby naszej hipotece. Gdyby coś takiego się stało, byłaby dla mamy śmiertelnym ciosem. Wiesz, że tak.

Skinęłam uroczyście głową i dałam słowo. Nie uważałam, że przesadzała ze skutkiem, jaki wywarłoby na Louisie większe zamieszanie. Myśląc o historycznej reakcji Caroline na groźbę, która mogła dotknąć jej matkę, przyszło mi do głowy jeszcze coś innego.

- Kiedy Nancy została zamordowana, powiedziałaś policji, że wiesz, dlaczego została zabita.

Dlaczego to zrobiłaś? Czy dlatego, że w rzeczywistości chciałaś, żebym miała oko na ciebie i Louise?

Zarumieniła się gwałtownie.

- Tak. Tylko że nie wyszło mi na dobre. - Jej głos zmienił się niemal w popiskiwanie.

- Chcesz powiedzieć, że zrobili to? Weszli wam na hipotekę?

- Gorzej. Oni... oni dowiedzieli się jakoś, że rozmawiałam z tobą o tym morderstwie. Zadzwonili do mnie znowu. Przynajmniej był to ten sam człowiek. I powiedział, że jeśli nie chcę zobaczyć, jak mamie obcinają dotacje na leczenie, będzie lepiej, żebym wygoniła cię z South Chicago. Więc wtedy naprawdę się przestraszyłam. Próbowałam, jak się dało, ale kiedy połączył się ze mną, powiedziałam mu... powiedziałam mu, że nie mogłam... nie mogłam cię powstrzymać, że działasz na własną rękę.

- Więc zdecydowali się powstrzymać mnie sami. - Czułam suchość w gardle; głos mi chrypiał.

Spojrzała na mnie trwożliwie.

- Wybaczysz mi, Vic? Kiedy zobaczyłam wiadomości, zobaczyłam, co ci się stało, byłam wstrząśnięta. Ale gdybym miała to zrobić drugi raz, zrobiłabym tak samo. Nie mogłam pozwolić im na skrzywdzenie mamy. Nie po tym wszystkim, przez co dla mnie przeszła.

Wstałam i podeszłam zdenerwowana do okna.

- Nie przyszło ci do głowy, że gdybyś mnie uprzedziła, to mogłabym coś z tym zrobić? Ochronić ją i ciebie? Zamiast gonienia na ślepo, tak że niemal mnie zabito?

- Nie sądzę, żebyś potrafiła - odpowiedziała zwykłym tonem. - Kiedy prosiłam cię, żebyś znalazła mego ojca, ciągle wyobrażałam sobie, że jesteś moją starszą siostrą, że możesz rozwiązać za mnie wszystkie problemy. Ale potem zobaczyłem, że nie jesteś tak potężna, jak myślałam. Z chorą mamą i z tym wszystkim strasznie potrzebowałam po prostu kogoś, kto by się mną opiekował i myślałam, że ty ciągle jesteś tą osobą.

Jej oświadczenie rozproszyło moją złość. Wróciłam do sofy i uśmiechnęłam się krzywo.

- Myślę, że w końcu dorosłaś, Caroline. I to jest w porządku, żadnych cudotwórców do uprzątnięcia bałaganu wokół nas. Ale mimo że nie jestem już dzieckiem, który mógł wyzwać na pojedynek całą dzielnicę w obronie twojej skóry, nie jestem też kompletnie bezskuteczna. Myślę na przykład, że można usunąć nieco brudu panoszącego się wokół tej sprawy.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Okay, Vic. Zobaczę, czy mogę ci pomóc.

Weszłam do jadalni i wyciągnęłam z kredensu butelkę Barolo. Caroline rzadko pije, ale to ciężkie wino pomogło jej się rozluźnić. Rozmawiałyśmy przez chwilę, nie o naszych bieżących problemach, ale sprawach ogólnych - czy Caroline naprawdę chce studiować prawo, skoro nie musiała się już bawić w porównania ze mną. Po kieliszku albo dwóch obie poczułyśmy się na siłach powrócić do przerwanej dyskusji.

Powiedziałam jej o Pankowskim i Ferraro oraz o sprzecznych relacjach na temat ich procesu przeciwko Humboldt Chemical.

- Nie wiem, co to ma wspólnego ze śmiercią Nancy. Albo z atakiem na mnie. Ale właśnie kiedy dowiedziałam się o tym i zaczęłam wypytywać ludzi, ktoś zadzwonił z pogrozkami.

Wysłuchała szczegółowego raportu o moich spotkaniach z doktorem Chigwellem i jego siostrą, ale nie potrafiła rzucić nowego światła na badania krwi prowadzone przez Chigwella u pracowników Xerxes.

- Pierwszy raz o tym słyszę. Wiesz, jakim człowiekiem jest mama - wysyłali ją co roku na badania lekarskie, więc chodziła na nie, wcale o nich nie myśląc. Wiele rzeczy, które ludzie kazali jej robić w pracy, nie miały dla niej żadnego sensu, a to mogło być jedną z nich. Nie wierzę, że to ma coś wspólnego ze śmiercią Nancy.

- Okay. Spróbujmy z innej beczki. Dlaczego Xerxes wykupywał swoje ubezpieczenie u Arta? Czy Jurshak nadal jest ich powiernikiem w sprawach ubezpieczeń na życie? Dlaczego było to tak ważne dla Nancy, że nosiła z sobą te dokumenty?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Art trzyma u nas łapę na wielu interesach. Mógł dostać ich ubezpieczenia w zamian za obcięcie im podatków albo coś takiego. Oczywiście, kiedy został wybrany Washington, Art nie miał już do rozdawania tylu łask, ale ciągle może jeszcze wiele zrobić dla tej firmy, jeżeli oni zrobią coś dla niego.

Wyciągnęłam raport dla Marynarskiej Przystani z *Arii Koncertowych* Mozarta i wręczyłam go Caroline. Dumiała nad nim przez kilkanaście minut.

- Nie wiem nic o ubezpieczeniach - powiedziała w końcu. - Mogę tylko powiedzieć, że świadczenia dla mamy są pierwsza klasa. Nie wiem jak w innych zakładach.

Jej słowa pobudziły moją zawodną pamięć. Ktoś mi coś powiedział w ciągu ostatnich kilku

tygodni o Xerxesie i ubezpieczeniach. Głowiłam się nad tym, próbując wydobyć to wspomnienie na powierzchnię, ale pozostało nieuchwytnie.

- To znaczyło coś dla Nancy - powiedziałam niecierpliwie. - Co? Czy gromadziła dane na temat stawek ubezpieczeniowych na zdrowie i życie dla któregoś z tych przedsiębiorstw? Może miała jakiś sposób na sprawdzenie ścisłości tych danych? A może ten raport jednak nic nie znaczył. Ale w takim razie dlaczego nosiła go ze sobą?

- Tak. Śledziła wszystkie te statystyki zdrowotności - była dyrektorem działu Zdrowia i Środowiska Naturalnego.

- Więc jedźmy do SCRAP-u i przeszukajmy jej akta. - Wstałam i zaczęłam rozglądać się za butami.

Caroline potrząsnęła głową.

- Akta zniknęły. Policja zajęła wszystko, co Nancy miała w biurku, ale ktoś wyczyścił dokumenty przed wejściem glin. Po prostu uznaliśmy, że wzięła je ze sobą do domu.

Znowu ogarnął mnie przyływ złości, spotęgowanej rozczarowaniem: byłam pewna, że osiągnęliśmy przełom w sprawie.

- Dlaczego, do cholery, nie powiedziałaś tego policji dwa tygodnie temu? Albo mnie? Nie masz oczu, Caroline? Papiery zabrał ten, kto ją zabił. Mogliśmy szukać wyłącznie wśród ludzi związanych z tymi firmami zamiast błąkać się za mściwymi kochankami i całym tym gównem!

Podgrzała się równie szybko.

- Powiedziałaś mi wtedy, że zabili ją za jej pracę! Tylko że, jak zwykle, byłaś w tym swoim pieprzonym, aroganckim, intelektualnym transie i nie zwracałaś na mnie uwagi!

- Powiedziałaś, że z powodu stacji przerobu odpadów, a to jest zupełnie inna sprawa. A poza tym dlaczego nie poinformowałaś mnie o zaginięciu jej papierów?

Skoczyliśmy sobie do oczu jak para sześciolatek, dając upust furii zgromadzonej w nas przez groźby i upokorzenia minionych tygodni. Nie wiem, jak wybrnęłybyśmy z narastającej wymiany wzajemnych obelg, gdyby nie przerwał nam dzwonek u drzwi. Zostawiłam Caroline w salonie i wybiegłam do przedpokoju.

Stał tam pan Contreras.

- Nie chcę być wścibski, pączuszk - zaczął przepaszająco, ale ten młody kolega sterczy przy dzwonku w holu od paru minut. Jesteście tak zajęte sobą, że pomyślałem, iż mogłyście nic nie

usłyszeć.

W ślad za panem Contrerasem wszedł młody Art. Jego kanciasta, przystojna twarz oblana była rumieńcem, a kasztanowa czupryna zmierzwiona. Przygryzał wargi, splatał i rozplatał dłonie z takim zakłopotaniem, że gubiła się gdzieś jego uroda. Rodzinne podobieństwo w jego rozbieganych oczach uderzyło mnie tak bardzo, że stłumiło nawet zaskoczenie faktem jego obecności.

- Co ty tu robisz? - w końcu odezwałam się cicho. - Gdzieś ty był? Matka cię przysłała?

Odchrząknął, chcąc coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Pan Contreras, wciąż pamiętając o obietnicy niewtrącania się w moje sprawy, nie zwlekał z odejściem i zrezygnował z typowych dla niego mało subtelnych pogroźek pod adresem odwiedzających mnie mężczyzn. A może otaksował już Artę i uznał, że jego nie musi się obawiać.

Kiedy starszek sobie poszedł, Art wydobył z siebie piskliwy szept:

- Muszę z panią porozmawiać. Sprawy wyglądają gorzej, niż myślałem.

Caroline stanęła w drzwiach salonu, aby zobaczyć skąd to zamieszanie. Odwróciłam się do niej i oznajmiłam tak uprzejmie jak mogłam:

- To jest młody Art Jurshak, Caroline, syn radnego. Nie wiem, czy kiedykolwiek się spotkaliście. Ma mi coś do powiedzenia w zaufaniu. Mogłabyś zadzwonić do swoich kolegów ze SCRAP-u i dowiedzieć się, czy ktoś z nich nie wie czegoś o raporcie, który Nancy ze sobą nosiła?

Bałam się, że znowu zacznie się wyklócać, ale dotarło do niej moje oszobotwienie. Spytała, czy dobrze się czuję i czy może zostawić mnie z Artem. Kiedy zapewniłam ją, że tak, wróciła do salonu po płaszcz.

Zatrzymała się na krótko w drzwiach wyjściowych i powiedziała cicho:

- Ja nie mówiłam serio tych wszystkich rzeczy. Przysłałam tu, żeby wrócić z tobą do dobrych układów, a nie wrzeszczeć.

Chwyciłam ją lekko za ramiona.

- W porządku, ty grzmocie ognisty, burza przeszła bokiem. Ja też mówiłam głupie rzeczy. Zapomnijmy o tym.

Uściskała mnie pośpiesznie i wyszła.

ROZDZIAŁ 32

Królik z kapelusza

Zaprosiłam Arta do salonu i nalałam mu kieliszek barolo. Wypił go jednym haustem. Przy jego samopoczuciu zapewne nie zauważyłby różnicy, nawet gdyby dostał wody.

- Gdzie się ukrywałeś? Wiesz, że każdy gliniarz w Chicago nosi przy sobie twój rysopis? Twoja matka odchodzi od zmysłów! - Nie takie pytania chciałam zadać, ale nie wiedziałam, jak zacząć.

Jego usta wykrzywiły się w nerwowej karykaturze zwykłego pięknego uśmiechu.

- Byłem w domu Nancy. Uznałem, że nikt mnie tam nie będzie szukać.

- Hmm - potrząsnęłam głową. - Zniknąłeś w poniedziałek wieczorem, a ja byłam w jej domu we wtorek z panią Cleghorn.

- Noc z poniedziałku na wtorek spędziłem w swoim samochodzie. Potem pomyślałem, że nikt nie będzie się interesował domem Nancy. Widziałem, że został nieźle przetrząśnięty. Czułem się, jakbym mieszkał z duchami, ale wiedziałem, że będę tam bezpieczny, bo oni już tam byli.

- Jacy oni?

- Ludzie, którzy zabili Nancy.

- A kim oni są? - Wydawało mi się, że przesłuchuję garnek melasy.

- Nie wiem - mruknął, odwracając wzrok.

- Ale możesz zgadywać - naciskałam. - Powiedz mi o ubezpieczeniach, które twój ojciec załatwia dla Xerxes. Co w nich interesowało Nancy?

- Skąd pani wzięła te papiery? - wyszeptał. - Dzisiaj rano dzwoniłem do mojej matki. Wiedziałem, że będzie się martwić. Ona powiedziała mi o pani wizycie. Mój... mój stary... Wielki Art znalazł kartkę, którą pani zostawiła, i naprawdę szlag go trafił, tak powiedziała. Wrzeszczał, że... że jeśli dostanie mnie w swoje ręce, dopilnuje, żebym go nigdy więcej nie zdradził. Dlatego przyszedłem tutaj. Dowiedzieć się, co pani wie. Zobaczyć, czy może mi pani pomóc.

Spojrzałam na niego kwaśno.

- Przez ostatnie dwa tygodnie usiłowałam wydobyć od ciebie kilka informacji, a ty

zachowywałeś się, jakby angielski był twoim drugim językiem i to niezbyt biegle opanowanym.

Skrzywił twarz w rozpacz.

- Wiem. Ale po śmierci Nancy za bardzo się bałem. Bałem się, że mój stary ma z tym coś wspólnego.

- Więc dlaczego wtedy nie uciekłeś? Dlaczego czekałeś do rozmowy ze mną?

Zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

- Myślałem, że nikt się nie dowie o - o naszym związku. Ale skoro pani go dostrzegła, to znaczyło, że każdy mógł.

- Chcesz powiedzieć, policja? Albo Wielki Art? - Ponieważ nie odpowiadał, powiedziałam z największym spokojem, na jaki potrafiłam się zdobyć: - Okay. Dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś?

- Rano dzwoniłem do mamy. Wiedziałem, że stary będzie miał zebranie i mogłem liczyć, że nie zastanę go w domu. Ustalanie list wyborczych, wie pani. - Uśmiechnął się gorzko. - Po śmierci Washingtona wszyscy zebrali się dzisiaj rano, żeby ustalić plan działań wyborczych. Tata - to znaczy Art - mógłby nie pójść na zebranie rady, ale tego by nie przepuścił.

W każdym razie mama powiedziała mi o pani. O tym, że była pani u nas, a potem prawie skończyła w... ten sam sposób co Nancy. Nie mogłem zostać w jej domu na zawsze, nie było tam zresztą jedzenia, a po nocach bałem się palić światło, bo ktoś mógłby zauważyć i wejść. A jeśli oni zamierzają dopaść każdego, kto wiedział o Nancy i ubezpieczeniach, to chcąc zostać przy życiu, lepiej zrobić, gdy poszukam pomocy.

Powściągałam swoją niecierpliwość, jak tylko mogłam. Zapowiadało się długie popołudnie poświęcone wyciąganiu informacji. Pytania, które dosłownie paliły mi język - o jego rodzinę - musiały poczekać. Najpierw musiałam wysłuchać wynurzeń o nim samym.

Pierwsze, co chciałam wyjaśnić, to jego związek z Nancy. Ponieważ poszedł do jej domu, nie mógł dłużej zaprzeczać, że byli kochankami. I prawda wyszła na jaw, banalna, smutna i głupia.

Spotkali się z Nancy rok temu przy okazji omawiania projektu stacji. On reprezentował SCRAP, on urząd radnego. Natychmiast wpadła mu w oko, zawsze podobały mu się kobiety starsze od niego, które miały jej urodę i ciepło. Chciał ją od razu poderwać, ale ona wykręcała się w taki czy inny sposób. Zaczęli umawiać się dopiero kilka miesięcy temu i nagle wynikła z tego wielka miłość. On był oszalały ze szczęścia. Ona ciepła i kochająca, i tak dalej, i tak dalej.

- Więc dlaczego nikt o tym nie wiedział, skoro byliście tacy szczęśliwi? - spytałam. Choć od

biedy mogłam zrozumieć. Kiedy nie był targany swymi cierpieniami, jego niesamowita uroda kusila wręcz, aby się do niego zbliżyć. Może Nancy to wystarczyło. Może sądziła, że wygląd kompensował jego niedojrzałość. Mogła też z zimną krwią utrzymywać z nim stosunki, aby mieć dojście do urzędu gminy, ale w to wątpiłam.

Poprawił się niezgrabnie na poduszkach.

- Mój ojciec zawsze tak bardzo najeżdżał na SCRAP, że wiedziałem, iż byłby wściekły, gdybym umawiał się z kimś, kto tam pracował. Sądził, że usiłują odebrać mu urząd, wie pani, przez wieczne krytykowanie takich spraw, jak nierówne chodniki w South Chicago czy bezrobocie. To nie jego wina, wiadomo, bo kiedy Washington objął władzę, na białe dzielnice nie wydano ani centa.

Otwierałam już usta, żeby podważyć tę opinię, ale się powstrzymałam. Upadek South Chicago rozpoczął się pod koniec rządów świętej pamięci burmistrza Daleya i trwał za czasów Bilandica i Byrne'a. A Art Senior sprawował funkcję radnego przez cały ten czas. Lecz rozpoczynanie o to wojny tego popołudnia nie przyniosłoby mi nic dobrego.

- Więc nie chciałeś, żeby się dowiedział. A Nancy nie chciała, żeby jej przyjaciele wiedzieli o tobie. Z tego samego powodu?

Wiercił się nerwowo.

- Nie, nie sądzę. Wydaje mi się... ona była trochę starsza ode mnie, no, wie pani. Tylko dziesięć lat. No, prawie jedenaście. Ale myślę, że bała się ludzi, którzy mogliby się śmiać z tego, że ma takiego młodego faceta.

- Okay. Więc to był jej wielki sekret. W każdym razie trzy tygodnie temu przysłała do ciebie dowiedzieć się, czy Wielki Art oponował przeciwko budowie stacji. Co się działo dalej?

Sięgnął nerwowo po butelkę wina i wlał sobie resztkę barolo do kieliszka. Wypiwszy prawie wszystko, zaczął wyrzucać z siebie po kawałku fragmenty opowieści. Wiedział, że Art był przeciwko stacji przerobu odpadów. Jego tata usilnie zabiegał o sprowadzenie do South Chicago nowoczesnego przemysłu i bał się, że stacja będzie zniechęcać niektóre przedsiębiorstwa, którym nie zależało na działaniu w okolicy, gdzie miałyby jeszcze dodatkowy kłopot z pompowaniem ścieków do cystern, zamiast zwyczajnego spuszczenia ich do lagun.

Powiedział to Nancy, ale ona się upierała, że chce zobaczyć dokumenty dotyczące projektu. Najwidoczniej, podobnie jak ja, uznała, że nie było warto dyskutować, czy oficjalnie deklarowane

motywy Arta Seniora były prawdziwymi powodami odmowy.

Młody Art nie chciał tego zrobić, ale ona mocno obstawała przy swoim. Pewnej nocy weszli do biura ubezpieczeniowego i Nancy przeszukała biurko Arta. To była straszna, najstraszniejsza noc, jaką kiedykolwiek przeżył. Bał się, że jego ojciec albo sekretarka nakryją ich albo zjawi się patrol policyjny zaintrygowany widokiem zapalonych świateł.

- Rozumiem to. Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Ale dlaczego Nancy wybrała akta ubezpieczeniowe zamiast czegoś o przerobie odpadów?

- Nie wiem. Szukała wszystkiego, co zawierało nazwy przedsiębiorstw zaangażowanych w przerób odpadów. I wtedy zauważyła te papiery. Nie wiedziała, że my, to znaczy agencja taty, zajmowaliśmy się ubezpieczeniami w Xerxesie, potem przeczytała je i powiedziała, że to sensacyjny towar oraz że lepiej będzie, jak zrobi kopie i zabierze z sobą. Więc zeszła do holu, aby to skserować. Wtedy wszedł mój stary.

- Twój ojciec ją zobaczył? - sapnęłam z wrażenia.

Skinął głową w rozpacz.

- Był z nim Steve Dresberg. Nancy uciekła, ale rozsypała oryginały po całej podłodze. Więc zorientowali się, że je kopiowała.

- A co ty zrobiłeś?

Jego twarz zmięła się w maskę tak nikczemnego wstydu, że niemal go pożałowałam.

- Nigdy nie dowiedzieli się, że tam byłem. Ukryłem się w moim pokoju i zgasłem światło.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Jak mógł pozostawić Nancy swojemu losowi, wiedząc, że Dresberg był razem z jego starym? Ale w tym samym czasie inny zakamarek mojego umysłu u biegał nad następującym problemem: Czy chodziło o papiery ubezpieczeniowe, czy o fakt, że Nancy widziała Arta z Dresbergiem? To, że radny miał powiązania z Królem Śmieci, nie było zaskoczeniem. Natomiast było zrozumiałe, że utrzymywał to w tajemnicy.

- Czy ty nie rozumiesz? - wykrzyknęłam w końcu niemal zawodząc. - Gdybyś w zeszłym tygodniu powiedział o twoim ojcu i Dresbergu, moglibyśmy do czegoś dojść w śledztwie. Nic cię nie obchodzi znalezienie jej zabójców?

Wpatrywał się we mnie niebieskimi oczami pełnymi rozpacz.

- Gdyby to był pani ojciec, czy chciałaby pani się dowiedzieć - naprawdę się dowiedzieć - że robił takie rzeczy? Zresztą on już myśli, że jestem lajzą. A co by pomyślał, gdybym oddał go w ręce

policji? Powiedziałby, że trzymam przeciwko niemu ze SCRAP-em i frakcją Washingtona.

Potrząsnęłam głową, aby sprawdzić, czy to przywróci mi trzeźwość myślenia, ale zdaje się, że nic nie pomogło. Próbowałam coś powiedzieć, ale każde zdanie kończyło się paroma bełkotliwymi słowami. W końcu spytałam słabym głosem, czego ode mnie chce.

- Potrzebuję pomocy - wymamrotałam.

- Wiem, że nie bujasz, chłopcze. Ale nie wiem, czy nawet najdroższy psychoanalityk z Michigan Avenue mógłby coś dla ciebie zrobić, bo jeśli o mnie chodzi, to nie ma najmniejszych szans.

- Wiem, że nie jestem zbyt twardy. Nie tak jak p ani czy... czy Nancy. Ale nie jestem też imbecylem. Nie musi pani stroić sobie ze mnie żartów. Nie potrafię pozbierać tego do kupy. Potrzebuję pomocy i myślałam, że skoro była pani jej przyjaciółką, to może... - głos mu się załamał.

- Mogłabym cię uratować? - dokończyłam sardonicznie. - Okay. Pomogę ci. W zamian za kilka informacji o twojej rodzinie.

Spojrzał na mnie dzikim wzrokiem.

- O mojej rodzinie? A co to ma do rzeczy?

- Tylko mi powiedz. To nie ma nic wspólnego z tobą. Jak brzmi panińskie nazwisko twojej matki?

- Panińskie nazwisko mojej matki? - powtórzył ogłupiały. - Kludka. Po co pani to wiedzieć?

- A nie Djiak? Nie słyszałeś nigdy tego nazwiska?

- Djiak? Oczywiście, że je znam. Siostra mojego ojca wyszła za jakiegoś faceta o nazwisku Djiak. Ale przenieśli się do Kanady przed moim urodzeniem. Nigdy ich nie spotkałem. Nie usłyszałbym też pewnie o istnieniu siostry mego taty, gdybym nie zobaczył jej nazwiska na liście zaraz po rozpoczęciu pracy w agencji. Kiedy spytałem ojca, wyjaśnił mi, że nigdy nie byli ze sobą związani i że ona urwała kontakty. Dlaczego pani pyta?

Nie odpowiedziałam. Czułam takie mdłości, że oparłam głowę na podkurczonych kolanach. Kiedy Art wszedł z zarumienioną twarzą, kasztanowymi włosami dziko sterczącymi na wszystkie strony, jego podobieństwo do Caroline było tak uderzające, że mogliby być bliźniakami. On odziedziczył kolor swych włosów po ojcu, Caroline po matce. Oczywiście. Jakie to proste. Jakie proste i przerażające. Wszystko te same geny. Wszyscy z tej samej rodziny. Kiedy zobaczyłam ich obok siebie, nie chciałam nawet próbować myśleć w ten sposób. Zamiast tego usiłowałam szukać

jakiegoś pokrewieństwa między żoną Arta a Caroline.

Z całą siłą wróciło do mnie wspomnienie rozmowy sprzed trzech tygodni z Edem i Martha Djiakami. I z Connie. Jak to jej wujek lubił przychodzić i patrzeć na tańczącą Louise. Pani Djiak znała prawdę. Jak ona się wyraziła? „Mężczyźni mają trudności z kontrolowaniem się”. A winna była Louisa, ona go sprowokowała.

Wszystko podniosło mi się do gardła tak gwałtownie, że myślałam, iż zwymiotuję. Winić ją. Winić piętnastoletnią córkę, kiedy brat własnej matki czyni ją brzemienną? Jediną moją myślą było wyjść stąd, pojechać na East Side z pistoletem i tłuć w Djiaków, aż wyznają prawdę.

Wstałam, ale pokój rozpływał się przede mną w ciemności. Usiadłam z powrotem, uspokajając nerwy. Nagle dotarło do mnie, że młody Art mówi dalej przestraszony.

- Odpowiedziałem na pani pytanie. Teraz ma mi pani pomóc.

- Tak. W porządku. Pomogę ci. Chodź ze mną.

Zaczął protestować, domagać się wyjaśnień, co zamierzam zrobić, ale ucięłam ostro.

- Masz iść ze mną. W tej chwili nie mam więcej czasu. Bardziej niż słowa poderwał go ton mojego głosu. Obserwował w milczeniu, jak wkładam płaszcz. W kieszeń dzinsów wetknęłam prawo jazdy i pieniądze, aby nie zawadzała mi torebka. Gdy zobaczył, jak wyjmuję smitha & wessona i sprawdzam magazynek, zaczął jękając się zadawać dalsze pytania w stylu: czy zamierza pani zastrzelić mojego starego?

- Teraz zmiana ról - ucięłam szorstko. - Chłopcy twojego tatusia polowali na mnie przez cały tydzień.

Oblał się znów rumieńcem wstydu i zamilkł. Zabrałam go na dół do pana Contrerasa.

- To jest Art Jurshak. Jego papcio mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Nancy, a teraz nie jest zbyt uprzejmy dla własnego dzieciaka. Czy mógłby go pan przechować, aż nie znajdę mu czegoś innego? Może Murray zechciałby go przygarnąć.

Staruszek nadał się przemądrzale.

- Jasna sprawa, lalczko. Nikomu nie pisnę słówka i możesz liczyć na jej wysokość, że zrobi to samo. Nie potrzebujesz dopraszać się łaski u tego Ryersona. Jestem absolutnie gotów zatrzymać go tak długo, jak sobie życzysz.

Uśmiechnęłam się blado.

- Po spędzeniu z nim paru godzin, może pan zmienić zdanie - nie jest z nim wesoło. Niech pan

tylko nikomu o nim nie mó wi. Może się pojawić ten adwokat - Ron Kappelman. Niech pan powie, że nie wiadomo, dokąd poszłam i kiedy wrócę. I ani słowa o pańskim gościu.

- Dokąd idziesz, lalczko?

Zacisnęłam usta w odruchu irytacji, ale przypomniałam sobie nasz układ. Wyciągnęłam go skinieniem głowy do holu, aby nie słyszał nas Art. Pan Contreras podszedł skwapliwie z Peppy przy nodze i kiwnął solennie głową na znak, że zapamiętał oba nazwiska i adres.

- Będę tu czekał, aż wrócisz. Dzisiaj nie dam się już tak wykiwać. Ale jeśli nie będziesz z powrotem przed północą, dzwonię po porucznika Mallory'ego, lalczko.

Suka podbiegła za mną do drzwi, ale kiedy pan Contreras zawołał ją, wróciła wydawszy z siebie ciche, zrezygnowane sapnięcie. Wiedziała, że mam na nogach buty, a nie trampki - ale pomarzyć zawsze można.

ROZDZIAŁ 33

Rodzinna sprawa

Po naciśnięciu dzwonka usłyszałam pośpieszne kroki pani Dziak. Otworzyła drzwi, wycierając ręce w fartuch.

- Victoria! - Była przerażona. - Co ty tu robisz o tej porze? Prosiłam cię, żebyś nigdy więcej nie wracała. Mąż będzie wściekły, jak się dowie, że przyszedłaś.

Z przedpokoju doleciał nosowy baryton Eda Dziaka, domagający się wyjaśnienia, kto przyszedł.

- To... to tylko dziecko sąsiadów, Ed - zawołała bez tchu. A do mnie wyszeptala w pośpiechu: - Idź teraz prędko, zanim cię zobaczy.

Potrząsnęłam głową.

- Wchodzę, pani Dziak. Musimy porozmawiać wszyscy troje, o czbwieku, który spłodził dziecko Louisy.

Rozwarła szeroko oczy. Twarz miała napiętą. Chwyciła mnie błagalnie za ramię, ale byłam zbyt wściekła, aby jej współczuć. Nie zwracając uwagi na jej żalosne okrzyki, wepchnęłam się przez drzwi obok niej i ruszyłam w głąb domu. Nie zdjęłam butów w przedpokoju nie dlatego, aby rozmyślnie dokładać jej zmartwień, ale dlatego iż chciałam mieć, w razie potrzeby, możliwość szybkiego wyjścia.

Ed Dziak siedział przy stole w nieskazitelnie czystej kuchni przed czarno-białym telewizorem i z kuflem piwa w ręce. Nie podniósł na mnie wzroku od razu, przypuszczając, że była to tylko żona, ale kiedy mnie zauważył, jego pociągła ciemna twarz przybrała kolor umbry.

- Nie masz tu nic do szukania, młoda kobieto.

- Chciałabym się z panem zgodzić - powiedziałam, odsuwając krzesło od stołu tak, aby usiąść naprzeciw Dziaka. - Pobył tutaj przyprawia mnie o mdłości i nie będę go przedłużała. Chcę tylko porozmawiać o bracie pani Dziak.

- Ona nie ma brata - odpowiedział chrapliwie.

- Proszę nie udawać, że Art Jurshak nie jest jej bratem. Nie sądzę, abyśmy mieli dużo kłopotu z

ustaleniem panińskiego nazwiska pani Djiak - musiałabym poczekać do poniedziałku, pojechać do ratusza i sprawdzić wasz akt ślubu, ale sądzę, że widnieje tam nazwisko Martha Jurshak. Następnie mogłabym uzyskać odpisy aktów urodzenia Arta i pańskiej żony, co najprawdopodobniej zamknęłoby sprawę.

Umbra na jego twarzy zmieniła się w mahoń. Odwrócił się do żony.

- Ty cholerna, gadatliwa dziwko! Komu mówiłaś o swoich prywatnych sprawach?

- Nikomu, Ed. Naprawdę. Nikomu nie powiedziałam ani słowa. Nikomu przez te wszystkie lata. Nawet Ojcu Stepankowi, kiedy błagałam cię...

Przerwał jej gestem ręki.

- Kto z tobą rozmawiał, Warszawski? Kto rozpowiada oszczerstwa o mojej rodzinie?

- Oszczerstwo oznacza fałszywą informację - odparłam niewinnie. - Wszystko, co pan powiedział od momentu, kiedy weszłam do tego domu, potwierdza, że to jest prawdą.

- Że co jest prawdą? - dopytywał się, odzyskując z wysiłkiem zimną krew. - Że panińskie nazwisko mojej żony brzmiało Jurshak? No i co z tego?

- Tylko tyle, że jej brat Art spłodził dziecko waszej córki Louisy. Pani mówiła mi, że nie miał zbyt silnej woli. Czy zdarzały mu się jakieś historie z małymi dziewczynkami?

Wycierała nieustannie ręce w fartuch.

- On... on obiecał, że już nigdy więcej tego nie zrobi.

- Do jasnej cholery, nie gadaj z nią! - ryknął Djiak, zrywając się z krzesła. Odepchnął mnie grubiańsko ze swojej drogi i spoliczkował żonę.

Zanim zdałam sobie sprawę z tego, co robię, zerwałam się na równe nogi i uderzyłam go pięścią w twarz. Był trzydzieści lat starszy ode mnie, ale wciąż bardzo silny. I tylko przez zupełne zaskoczenie mogłam dosięgnąć go z całą siłą. Zatoczył się na lodówkę i stał przez chwilę, potrząsając głową, aby oprzytomnieć po uderzeniu. Po chwili odzyskał morderczy wigor i runął w moją stronę.

Byłam gotowa. Rzuciłam mu krzesło pod nogi. Potknął się o nie, spadając całym ciężarem ciała na stół. Jego upadek zrzucił na podłogę telewizor, którego szczątki legły w masie potrzaskanego szkła i rozlanych płynów. Djiak padł wyciągnięty pod stołem, z kuflem na głowie.

Martha Djiak wydała z siebie cichy jęk przerażenia, nie wiem, czy na widok swego męża, czy spustoszenia na podłodze. Stanęłam nad nim, dysząc w furii, trzymając pistolet za lufę, gotowa

trzasnąć go w głowę, gdyby tylko próbował wstać. Miał szklistą twarz - żadna kobieta nigdy nie ośmieliła się podnieść na niego ręki.

Pani Djiak nagle wrzasnęła. Odwróciłam ku niej wzrok. Nie mogła mówić, pokazywała tylko palcem na ogień błyskający spod obudowy telewizora, gdzie wyrwane przewody czymś się zalały. Może rozpuszczalnikiem trzymanym w słoiku na wypadek pojawienia się w kuchni plameczki tłuszczu. Wsunęłam pistolet z powrotem za pasek dżinsów i wyszarpnęłam z kieszeni jej fartucha ścierkę do naczyń. Starannie omijając kałuże piwa, wczołgałam się pod stół i wyrwałam z gniazdko kabel telewizora.

- Proszek do pieczenia - zawołam ostro do pani Djiak.

Prośba o pospolity produkt w gospodarstwie domowym przywróciła ją nieco do rzeczywistości. Zauważyłam kątem oka, jak kieruje się do kredensu. Pochyliwszy się, podała mi pudełko ponad ciałem swego męża. Wysypałam zawartość na niebieskie płomienie migające wokół telewizora i patrzyłam, jak ogień gaśnie.

Djiak powoli wygrzebał się spod stosu drewna i potłuczonego szkła. Stał przez chwilę popatrując na zdemolowane wnętrze i mokre plamy na spodniach. Następnie nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł z kuchni. Usłyszałam jego ciężkie kroki w korytarzu, a potem dobiegł nas huk zatraskiwanych drzwi wejściowych.

Martha Djiak trzęsła się cała. Usadziłam ją na plastikowym krześle i zagotowałam wodę w czajniku. Patrzyła na mnie niemo, jak szperałam w kredensie w poszukiwaniu herbaty. Znalazłam torebki Liptona ułożone starannie w pojemniczku i zaparzyłam jedną w filiżance, dodając dużo cukru i mleka. Posłusznie wypila gorący napój.

- Czy jest pani gotowa powiedzieć mi teraz o Louisie? - spytałam, kiedy opróżniła drugą filiżankę.

- Jak się dowiedziałaś? - Miała martwe oczy, a głos trochę silniejszy niż naderwana nić.

- Dziś po południu syn pani brata przyszedł do mnie z wizytą. Za każdym razem, kiedy go widziałam, wydawał mi się podobny do kogoś, ale tłumaczyłam to sobie wieloletnim patrzeniem na twarz Arta na plakatach lub w telewizji. Ale dzisiaj była ze mną Caroline. Właśnie kłóciłyśmy się zawzięcie, kiedy wszedł z rozpaloną twarzą, i nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo jest podobny do Caroline. Niemal mogliby być bliźniakami - po prostu nie skojarzyłam tego wcześniej, bo było to tak nieoczekiwane. Oczywiście, on jest niezmiernie przystojny, a ona zawsze taka rozczochrana,

więc dopiero kiedy wzburzeni stanęli obok siebie, można było to naprawdę zobaczyć.

Słuchała mojego wyjaśnienia z wykrzywioną boleśnią twarzą, jakby to był wykład po łacinie, a ona starała się mnie upewnić, że nadała ze zrozumieniem. Ponieważ nie odzywała się, popędziłam ją trochę.

- Dlaczego wyrzuciła pani Louise z domu, kiedy zaszła w ciążę?

Spojrzała mi prosto w oczy. Na jej twarzy widać było strach pomieszany z obrzydzeniem.

- Trzymać ją w domu? Żeby cały świat dowiedział się o tym wstydzie?

- To nie był jej wstyd, lecz Art, pani brata. Jak można ich dwoje w ogóle porównywać?

- Nie zaszłaby... nie zabrnęłaby w kłopoty, gdyby go nie sprowokowała. Wiedziała, jak on lubi, kiedy dla niego tańczy i go całuje. On... on miał do niej słabość. Powinna trzymać się z dala od niego.

Moje obrzydzenie było tak wielkie, że powstrzymywałam się z całych sił, aby na nią nie skoczyć i nie pchnąć w rumowisko pod stołem.

- Skoro pani wiedziała, że miał słabość do małych dziewczynek, dlaczego, do diabła, pozwoliła mu pani zbliżać się do swoich córek?

- On... on powiedział, że nie będzie tego więcej robić. Kiedy go zobaczyłam... jak igra sobie z... z Connie, kiedy miała pięć lat, powiedziałam mu, że poskarżę się Edowi, jeśli kiedykolwiek znowu to zrobi. Obiecał. Bał się Eda. Ale Louisa była dla niego zbyt wielką pokusą, ona miała w sobie diabła, prowokowała go wbrew jego woli. Kiedy zobaczyliśmy, że będzie miała dziecko, powiedziała nam, jak to się stało, a Art wyjaśnił, że sprowokowała go wbrew jego woli.

- Więc wyrzuciliście ją na bruk. Gdyby nie Gabriella, kto wie, co mogłoby się z nią stać? Co za para skurwysyńskich, świętoszkowatych cnotliwców.

Przyjęła moją obelgę ze stoickim spokojem. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mogło mnie wściekać tak rozsądne, rodzicielskie zachowanie, ale widziała, jak przed chwilą rozprawiłam się z jej mężem. Nie miała zamiaru jeszcze bardziej mnie denerwować.

- Czy Art był już wtedy żonaty? - spytałam ostro.

- Nie. Oświadczyliśmy mu, że ma sobie znaleźć żonę, założyć rodzinę, bo inaczej będziemy musieli powiedzieć ojcu Stepankowi, naszemu księdzu, o Louisie. Obiecaliśmy, że nie powiemy, jeśli ona się wyprowadzi, a on założy rodzinę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Mogłam myśleć wyłącznie o szesnastoletniej Louisie w ciąży,

zdanej na siebie, o świętobliwych paniusiach z St. Wenceslaus paradujących przed jej drzwiami. I Gabrielli pędzącej z odsieczą na białym koniu Apokalipsy. Przypomniały mi się wszystkie obelgi Djiaków wypowiedane o Gabrielli, która była Żydówką.

- Jak możecie nazywać siebie chrześcijanami? Moja matka była tysiąc razy bardziej chrześcijańska niż wy. Nie paplała wokoło tych religijnych bzdur; ona żyła miłością. Ale pani i Ed pozwoliliście waszemu bratu uwieść własną córkę i nazwaliście ją grzesznicą. Jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, to powinien unicestwić was za śmiałość zbliżenia się do jego ołtarza i mówienia o waszej cnocie. Jeśli Bóg istnieje, to powinnam się modlić wyłącznie o to, abym nigdy więcej nie musiała się znaleźć od was bliżej niż kilometr.

Zerwałam się na nogi, z oczami piekącymi od łez wściekłości. Wcisnęła się w swoje krzesło.

- Nie uderzę pani - powiedziałam. - Co dobrego mogłoby nam to przynieść?

Zanim doszłam do korytarza, zbierała już na kolanach potłuczone szkło.

ROZDZIAŁ 34

Skok na bank

Zataczając się wróciłam do samochodu. Miałam ciężki żołądek i ściśnięte gardło, spalone żółcią. Chciałam jedynie dojechać do Lotty bez zatrzymywania się po drodze. Nie myślałam ani o umyciu zębów, ani o zmianie bielizny. Byle pręcej do normalności.

Udało mi się to przy dużym szczęściu. Trąbiący klakson przy Siedemdziesiątej Pierwszej przywołał mnie na krótko do porządku. Objechałam ostrożnie Jackson Park, ale o mały włos nie wpadłam na rowerzystę pędzącego przez Drive od Pięćdziesiątej Dziewiątej. Nawet po tym zdarzeniu bez przerwy odnajdywałam wskazówkę szybkościomierza przy stu dziesięciu.

Gdy dojechałam do domu Lotty, w salonie zastałam Maxa, popijającego koniak. Uśmiechnęłam się głupawo. Z wielkim wysiłkiem przypominałam sobie, że byli przecież razem na recitalu i spytałam, jak podobała im się muzyka.

- Wyśmienite. Kwintet Celliniego. Znamy ich jeszcze z Londynu, gdzie włąśnie zaczęli po wojnie.

Przypomniłam Lotty wieczór w Wigmore Hall, kiedy wysiadła elektryczność i stali oboje z latarkami, oświetlając nuty, aby ich przyjaciele mogli kontynuować koncert.

Lotty roześmiała się i zaczęła snuć własne wspomnienia, ale nagle urwała.

- Vic! Nie widziałam twojej twarzy w świetle, kiedy weszłaś. Co się stało?

Zmusiłam usta, aby ułożyły się do uśmiechu.

- Nic, co zagroziłoby mojemu życiu. Po prostu dziwna rozmowa, o której kiedyś ci powiem.

- Tak czy owak, muszę już iść - powiedział Max wstając. - Zbyt długo przesiedziałem nad tym doskonałym koniakiem.

Lotty odprowadziła go do drzwi i pośpiesznie przybiegli z powrotem.

- O co chodzi, *Liebchen*? Wyglądasz jak śmierć.

Próbowałam znów, się uśmiechnąć. Ku mej rozpaczy okazało się, że szlocham.

- Lotty, wydawało mi się, że widziałam już w tym mieście wszystko najgorsze, co ludzie mogą sobie wzajemnie uczynić. Mężczyzn zabijających się o butelkę wina. Kobiety oblewające kwasem

swoich kochanków. Dlaczego to miałyby mnie tak załamać, nie wiem.

- Masz. - Lotty podsunęła mi trochę koniaku. - Wypij i odetchnij. Spróbuj powiedzieć mi, co się stało.

Wypiłam łyk koniaku. Spłukał z gardła smak żółci. Lotty trzymała mnie za rękę, a ja wyrzuciłam z siebie całą historię. Jak zauważyłam podobieństwo między młodym Artem i Caroline i jak pomyślałam, że jego matka musiała być spokrewniona z ojcem Caroline. Ale okazało się, że to jego ojciec był krewnym babki Caroline.

- To jeszcze nie było takie straszne. - Przełknęłam koniak. - To znaczy, oczywiście, było straszne. Ale załamała mnie ta ich potworna, karłowata świętobliwość i forma, w jakiej obwiniają Louise. Czy ty wiesz, jak oni ją wychowali? Jak rygorystycznie pilnowali? Żadnych flirtów, żadnych chłopców, żadnych rozmów o seksie. A potem brat jej matki. Napastował jedną dziewczynkę, a oni pozwolili mu kręcić się w pobliżu, żeby mógł napastować drugą. A potem ją ukarali. - Mój głos podnosił się; nie mogłam go opanować. - Nie może tak być, Lotty. Nie powinno tak być. Muszę jakoś powstrzymać tę podłość przed trwaniem, ale nie mam w sobie żadnej mocy.

Lotty wzięła mnie w ramiona i trzymała, nic nie mówiąc. Po jakimś czasie wyschły mi łzy, ale dalej opierałam się na jej ramieniu.

- Nie można uleczyć całego świata, *Liebchen*. Wiem, że to rozumiesz. Można tylko opiekować się pojedynczą osobą przez jakiś czas, w bardzo ograniczony sposób. I z jednostkami, którym pomagasz, możesz odnieść duże efekty. Tylko tacy megalomani, Hitlerzy i im podobni, mogą myśleć, że mają dla każdego receptę na życie. Ale ty jesteś w świecie zdrowych zmysłów, Victorio, w świecie ograniczeń.

Zabrała mnie do kuchni i nakarmiła resztką kurczaka, którego upiekła dla Maxa. Wlewała we mnie koniak dopóty, dopóki nie poczułam się senna. Następnie wprowadziła do gościnnego pokoju i rozebrała.

- Pan Contreras - powiedziałam ochryple. - Zapomniałam mu powiedzieć, że spędzę tutaj noc. Czy możesz do niego zadzwonić? W innym razie każe Bobby'emu Mallory'emu wyławić mnie ze stawu.

- Oczywiście, moja droga. Zrobię to, jak tylko zobaczę, że śpisz. Ty tylko odpoczywaj i się nie martw.

Po obudzeniu w niedzielę rano poczułam ból głowy, rezultat zbyt dużej ilości koniaku i łez. Ale

był to pierwszy głęboki sen od czasu napadu. Ból w ramionach ustąpił na tyle, że nie czułam go przy każdym ruchu.

Lotty przyniosła *New York Timesa* wraz z talerzem chrupiących bułeczek i słoikiem dżemu. Spędziłyśmy leniwy poranek z gazetami i kawą. W południe, kiedy chciałam zacząć rozmowę o Arcie Jurshaku, o sposobie, w jaki można by ominąć jego wszechobecnych goryli i dostać się do niego - Lotty mnie uciszyła.

- Niech to będzie dla ciebie dzień odpoczynku, Victorio. Jedziemy za miasto na świeże powietrze wyłączyć się kompletnie od zmartwień. Jutro wszystko wyda ci się łatwiejsze.

Poddałam się z taką dozą dobrej woli, do jakiej tylko potrafiłam się zmusić, ale miała rację. Pojechaliśmy nad jezioro Michigan, spędziłyśmy dzień na spacerach po piaszczystych wydmach, pozwalając zimnemu wiatrowi targać nasze włosy. Przesiadaliśmy w małych winiarniach, a w jednej z nich kupiliśmy nalewkę z żurawin w prezencie dla Maxa, który szczycił się swoim podniebieniem. Kiedy ostatecznie wróciliśmy do domu około dziesiątej wieczorem, poczułam się gruntownie odświeżona.

Dobrze się stało, że miałam dzień odpoczynku. Poniedziałek okazał się długi i męczący. Kiedy obudziłam się, Lotty już nie było - ma obchody w Beth Israel przed otwarciem własnej kliniki o ósmej trzydzieści. Pozostawiła kartkę z informacją, że po moim zaśnięciu czytała dzienniki doktora Chigwella, ale nie czuła się pewnie w interpretowaniu wartości, które zapisywał. Zabrała je do koleżanki specjalizującej się w nefrologii.

Zadzwoiłam do pana Contrerasa. Meldował, że noc minęła spokojnie, i dodał, że młody Art zaczyna robić się nerwowy. Pożyczył mu maszynkę do golenia i zmianę bielizny, ale nie był pewien, jak długo zdoła utrzymać chłopaka na miejscu.

- Jak chce sobie iść, niech go pan puści - powiedziałam. - To on szukał schronienia. Nie obchodzi mnie za bardzo, co z sobą pocznie.

Powiedziałam, że wpadnę spakować małą walizkę, że zamierzam zostać u Lotty, dopóki nie poczuję się bardziej zabezpieczona przed nocnymi maruderami. Zgodził się z żalem - wolałby raczej, abym wysłała młodego Arta do Lotty, a sama zamieszkała z nim i Peppy.

Po powrocie do siebie wzięłam prysznic, przebrałam się i zesłam na dół, aby pobyć parę minut z Peppy i panem Contrerasem. Napięcie ostatnich tygodni zaczęło żłobić głębokie zmarszczki na twarzy młodego Arta. A może był to tylko rezultat spędzenia trzydziestu sześciu godzin z

gospodarzem.

- Czy... zrobiła pani coś? - Jego niepewny głos przeszedł w żałosliwy szept.

- Nic nie mogę zrobić, dopóki nie porozmawiam z twoim starym. Możesz pomóc w zorganizowaniu spotkania. Nie wiem, jak mogłabym ominąć jego strażę i zobaczyć się z nim na osobności.

To go zaalarmowało - nie chciał, żeby Art senior dowiedział się, że syn przyszedł do mnie; to doprowadziłoby go do szewskiej pasji. Przekonywałam, przymilałam się - wszystko na nic. W końcu lekko zirytowana ruszyłam do drzwi.

- Muszę zadzwonić do twojej matki i powiedzieć jej, że wiem, gdzie się ukrywasz. Jestem pewna, że zorganizuje spotkanie między mną a twoim starym w zamian za informację, że jej bezcenny skarb jest cały i zdrowy.

- Szlag by cię trafił, Warszawski - zapiszczał. - Przecież pani wie, że nie chcę, by pani z nią rozmawiała.

Pan Contreras poczuł się znieważony rzuconymi na mnie przekleństwami i chciał się wtrącić. Wyciągnęłam rękę i gest ten na szczęście go powstrzymał.

- W takim razie pomóż mi skontaktować się z twoim ojcem.

W końcu piorunując mnie wzrokiem, zgodził się zadzwonić do niego i powiedzieć, że chce porozmawiać na osobności oraz ustalić spotkanie przed Fontanną Buckinghamską.

Powiedziałam Artowi, żeby postarał się umówić nas dzisiaj na drugą i że zadzwonię o jedenastej potwierdzić ten termin. Wychodząc słyszałam, jak pan Contreras karci go za nieprzyzwoite odzywanie się do mnie. Wsiadałam do samochodu, śmiejąc się jedyny raz tego dnia.

Moi rodzice korzystali z usług bankowych Ironworkers Savings & Loan. Moja matka zał ożyła tam dla mnie pierwszą książeczkę oszczędnościową, kiedy miałam dziesięć lat, więc mogłam chomikować luźne centy i datki za opiekę nad dzieckiem z myślą o przyszłych studiach, które mama od dawna mi obiecywała. W mojej pamięci bank ten pozostał imponującym, połączanym pałacem.

Kiedy podeszłam do ponurej kamiennej budowli przy Dziewięćdziesiątej Trzeciej i Commercial, wydała mi się po upływie lat tak podupała, że sprawdziłam napis nad wejściem, aby upewnić się, czy trafiłam pod właściwy adres. Półkoliste sklepienie, które wzbudzało we mnie grozę, gdy byłam dzieckiem, teraz robiło wrażenie brudnego. Zamiast wspinać się na palce, aby zajrzeć do okienka kasjera, spojrzałam z góry na przyszczatą panienkę za kontuarem.

Nie wiedziała nic o rocznym bilansie banku, lecz skierowała mnie obojętnie do urzędnika na tyłach. Historia, którą wymyśliłam na poczekaniu, aby uzasadnić moje zainteresowanie bilansem, okazała się niepotrzebna. Mężczyzna w średnim wieku, z którym przyszło mi rozmawiać, był aż zanedo ucieszony, że trafił na kogoś, kogo zainteresowały podupadające interesy firmy. Opowiadał mi wyczerpująco o silnym morale tutejszej ludności, gdzie robiono wszystko, aby utrzymać swe domostwa w czystości i porządku, i jak bank samorzutnie renegecował pożyczki swoich długoletnich klientów, kiedy nastąpiły dla nich ciężkie czasy.

- Nie mamy rocznego bilansu, takiego, jaki zwykle kontrolujecie, ponieważ jesteśmy prywatną własnością - skonkludował. - Ale jeżeli pani chce, to można zajrzeć do naszych zeznań finansowych z końca roku.

- Właściwie interesowałyby mnie tylko nazwiska waszego zarządu - odpowiedziałam.

- Oczywiście. - Poszperał w swojej szufladzie i wyciągnął plik papierów: - Jest pani pewna, że nie interesuje pani kontrola naszych zeznań? Jeżeli myśli pani o inwestowaniu, to mogę zapewnić, że jesteśmy w doskonałej kondycji z wyjątkiem upadku paru okolicznych fabryk.

Gdybym miała na zbyciu parę tysięcy, poczułabym się zmuszona do wpłacenia ich tutaj, aby pokryć moje zakłopotanie. A tak mruknęłam tylko coś mało zobowiązującego i wzięłam listę zarządu. Zawierała trzynaście nazwisk, ale znałam tylko jedno spośród nich: Gustava Humboldta.

- Ach, tak - potwierdził z dumą mój informator - pan Humboldt zgodził się zostać dyrektorem jeszcze w latach czterdziestych, kiedy dopiero zaczynał robić tutaj interesy. Nawet teraz, gdy jego przedsiębiorstwo stało się jednym z największych na świecie, a on zasiada w radach kilkunastu z pięciuset przedsiębiorstw pisma *Fortune*, wciąż pozostaje w zarządzie Ironworkers. Pan Humboldt opuścił tylko osiem spotkań w ciągu ostatnich piętnastu lat - dokończył.

Mruknęłam coś, co mogłoby zostać wzięte za rodzaj przesadnego zachwyty wobec poświęcenia tego wielkiego człowieka. Obraz stawał się dla mnie stosunkowo jasny. Istniały jakieś problemy z ubezpieczaniem siły roboczej w Xerxesie, których Humboldt zdecydowanie nie chciał ujawnić. Nie potrafiłam dostrzec, co to miało wspólnego z procesem i śmiercią Ferraro i Pankowskiego. Ale może Chigwell wiedział, co oznaczały dane z raportu, który znalazłam - zapewne to właśnie mogły wykazać medyczne zapiski w jego dziennikach. Ta część sprawy nie niepokoiła mnie bardzo. Natomiast osobista rola Humboldta zarówno mnie przerażała, jak i irytowała. Miałam już dość poniewierania mną. Przyszedł czas, aby otwarcie stawić mu czoło.

Uwolniłam się od pełnego nadziei urzędnika Ironworkers i ruszyłam do centrum.

Nie byłam w nastroju, aby marnować czas na uganianie się za tanim miejscem do parkowania. Wjechałam na plac tuż obok Humboldt Building przy Madison. Spędziwszy tylko chwilę na uczesaniu włosów we wstecznym lusterku, ruszyłam do jaskini lwa.

Humboldt Building był siedzibą dyrekcji przedsiębiorstwa. Jak w większości przemysłowych gigantów prawdziwe interesy dokonywały się w zakładach rozrzuconych po całym globie, więc nie byłam zdziwiona, że centrala mogła się pomieścić jedynie na dwudziestu pięciu piętrach. Był to gmach ściśle użytkowy, bez drzew i rzeźb w holu. Posadzkę pokrywały zwykłe płytki, które widywało się we wszystkich drapaczach chmur, zanim Helmut Jahn i jego koledzy zaczęli wyklądać je marmurem.

Staroświecka czarna tablica informacyjna na parterze nie zawierała nazwiska Gustava Humboldta, ale dowiedziałam się z niej, że biura dyrekcji były na dwudziestym drugim piętrze. Ściągnęłam jedną z wind o drzwiach z brązu i powoli wjechałam na górę.

Korytarz, w którym się znalazłam, wyglądał surowo, lecz ton jego wystroju był subtelnie zmieniony. Dolną część ścian pokrywała boazeria z ciemnego drewna. Drewniana była również podłoga, na której leżał bladozielony dywan. Nad boazerią wisiały w ramach ryciny przedstawiające średniowiecznych alchemików z retortami, ropuchami i nietoperzami.

Ruszyłam po miękkiej zielonej materii do otwartych drzwi po prawej, za którymi dywan rozciągał się w rozległą ławkę. Ciemne drewno powtarzało się tu w wymuskany biurku. Siedziała za nim kobieta zaopatrzona w konsolę telefoniczną i komputer. Ona też była nieskazitelnie wymuskana, z ciemnymi włosami spiętymi z tyłu w kok, aby ukazać wielkie perły w muszlach uszu. Odwróciła się od komputera i przywitała mnie z wyćwiczoną grzecznością.

- Przyszłam porozmawiać z Gustavem Humboldtem - powiedziałam, starając się aby zabrzmiało to autorytatywnie.

- Rozumiem. Czy mogę prosić panią o nazwisko?

Wręczyłam jej wizytówkę, a ona sięgnęła po telefon. Po skończonej rozmowie usmiechnęła się przepraszająco.

- Zdaje się, że nie widnieje pani w kalendarzu spotkań, panno Warszawski. Czy pan Humboldt oczekuje pani?

- Tak. Zostawiał mi wiadomości po całym mieście. Ale dopiero teraz mam okazję go

odwiedzić.

Wróciła do telefonu. Tym razem skończywszy rozmowę, poprosiła, abym usiadła. Spoczęłam w za twardo wypchanym fotelu i zaczęłam kartkować kopię rocznego bilansu troskliwie ułożonego obok. Brazylijskie operacje Humboldta wykazywały oszałamiający wzrost zysków, obliczany na sześćdziesiąt procent zagranicznych dochodów. Jego inwestycje kapitałowe w rejonie Amazonki sięgające pięciuset milionów dolarów zaczęły teraz z nadwyżką się zwracać. Nie mogłam powstrzymać się przed rozważaniami, ile potrzeba by było kapitału, aby Amazonka wyglądała jak Calumet.

Studiowałam właśnie analizę zysków poszczególnych produktów, odczuwając gospodarską satysfakcję z dobrej pozycji kserksyny, kiedy wymuskana recepcjonistka mnie wezwała - zobaczy się ze mną pan Redwick. Przeszliśmy do trzecich drzwi w małym korytarzyku za jej biurkiem. Zapukała i otworzyła je, po czym wróciła na swoje stanowisko.

Pan Redwick wstał zza biurka, aby wyciągnąć do mnie rękę. Był wysokim, zadbanym mężczyzną, mniej więcej w moim wieku, z szarymi, obojętnymi oczami. Przyglądał mi się bez uśmiechu, gdy podawaliśmy sobie dłonie, wypowiadając konwencjonalne uprzejmości, a potem wskazał gestem małą sofę pod ścianą.

- Rozumiem, że sądzi pani, iż pan Humboldt życzy sobie zobaczyć się z panią.

- Ja wiem, że pan Humboldt życzy sobie zobaczyć się ze mną - poprawiłam go. - Nie przyjąłby pan mnie, gdyby było inaczej.

- A jak się pani wydaje, w jakiej sprawie chciałby się z panią widzieć? - Zetknął razem koniuszki palców.

- Przekazał mi parę zaproszeń. Jedno przez biuro ubezpieczeniowe Arta Jurshaka, drugie przez bank Ironworkers w South Chicago. Oba zaproszenia są bardzo natarczywe. Dlatego zjawiłam się osobiście.

- Dlaczego pani mi nie powie, co pani przekazał? Wtedy mógłbym rozważyć, czy musi porozmawiać z panią osobiście, czy też ja mogę załatwić tę sprawę.

Uśmiechnęłam się.

- Albo jest pan w absolutnej konfidencji z panem Humboldtem i w takim razie doskonale pan wie, co mi przekazał, albo nie - a w takim wypadku zdecydowanie wolałby, aby nie było panu o tym wiadomo.

Jego obojętne oczy zrobiły się zimne.

- Może pani bezpiecznie przyjąć, że cieszę się zaufaniem pana Humboldta, jestem jego asystentem.

Ziewnęłam i podniosłam się, aby spojrzeć na grafikę wiszącą na przeciwległej ścianie. Była to praca Nasta przedstawiająca Oil Trust i jak moje niewprawne oko mogłoby stwierdzić, wydawała się oryginałem.

- Jeśli nie ma pani zamiaru ze mną rozmawiać, będzie pani musiała wyjść - ostro oznajmił Redwick.

Nie odwróciłam się.

- Dlaczego pan po prostu nie sprawdzi u szefa - niech pan mu powie, że czekam i zaczynam się niecierpliwić.

- On wie, że pani tu jest i prosił mnie, abym spotkał się z panią.

- Jakie to przykre, kiedy ludzie o silnych charakterach tak gwałtownie się nie zgadzają - powiedziałam z żalem i wyszłam z pokoju.

Szłam prędko, otwierając każde drzwi, które napotkałam, zaskakując zastępy ciężko zapracowanych urzędników. Drzwi na końcu były wejściem do jaskini lwa. Sekretarka, zapewne panna Hollingsworth, podniosła wzrok zaskoczona moim pojawieniem się. Zanim zdołała wyrazić swój protest, weszłam do wewnętrznej groty. Redwick był tuż za mną i chwycił mnie za ramiona.

Za mahoniowymi drzwiami, pośrodku kolekcji biurowych antyków, siedział Gustav Humboldt z otwartą teczką dokumentów na kolanach. Spojrzał ponad moją głowę na swego asystenta.

- Redwick. Wydawało mi się, że powiedziałem jasno, aby ta kobieta mi nie przeszkadzała. Czy doszedłeś do wniosku, że moje decyzje już nie obowiązują?

Ze znacznym uszczerbkiem dla swej chłodnej pozy Redwick usiłował wyjaśnić, co się stało.

- Naprawdę dawał z siebie wszystko - przyszedł mi w sukurs. - Ale wiedziałam, że gdzieś w głębi duszy będzie pan do końca życia żałował, gdybyśmy nie porozmawiali. Widzi pan, ja właśnie wracam z Ironworkers Savings & Loan, więc wiem, że pan jest osobą, która wywierała naciski na Caroline Djiak, aby mnie odsunęła. A dalej, ta sprawa ubezpieczeń, które załatwia dla pana Art Jurshak. Nie jest dla mnie ideałem powiernika człowiek, który koleguje się ze Steve'em Dresbergiem, i stanowy komisarz ubezpieczeniowy zapewne zgodziłby się ze mną.

Tutaj byłam na grząskim gruncie, bo nie miałam pewności, co zawierał raport. Oczywiście, dla

Nancy posiadał całą orkiestrę znaczeń, ale ja tylko słyszałam, że gdzieś dzwoniło. Lawirowałam pomiędzy możliwościami, rzucając odniesienia do Joeya Pankowskiego i Steve'a Ferraro, lecz Humboldt nie dał się złapać na przynętę. Podeszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Dlaczego okłamał mnie pan, mówiąc o procesie? - ciągnęłam ze swadą, kiedy się rozłączył. - Wiem, że silne ego jest warunkiem sine qua non dla sukcesu na skalę, którą pan osiągnął, ale trzeba naprawdę być krótkowzrocznym, aby pomyśleć, że przyjmę na wiarę pańskie niepoparte niczym słowa. Zbyt wiele rzeczy dzieje się w South Chicago, żebym nie była podejrzliwa wobec takich bonzów, którzy...

Przerwało mi pojawienie się paru nowych osób - trzech goryli. Nie zaprzeczam, Humboldt pochlebił mi, sądząc, że będzie potrzeba aż tylu mężczyzn, aby wyrzucić mnie z jego siedziby - nawet jeden o tych rozmiarach i widocznym wytrenowaniu mógł gładko sobie poradzić, zważywszy mój stan. Nie czułam się na siłach odgrywać pokazu brawury, więc wyszłam bez awantur.

Kiedy wyprowadzali mnie z pokoju z użyciem większej siły, niż było potrzeba, zawołałam przez ramię:

- Musisz mieć lepszych ludzi, Gustav. Ci faceci, którzy wrzucili mnie do Stawu Martwych Konarów, siedzą już w areszcie i jest tylko kwestią czasu, kiedy się stamtąd wywiną mówiąc policji, kto ich nasłał.

Nie odpowiedział mi. Gdy Redwick zamykał za mną drzwi, usłyszałam jeszcze słowa Humboldta:

- Ktoś musi utłuc tę wścibską sukę.

Niestety! To kładło kres nadziei, że kiedykolwiek będę jeszcze sączyć jego wyśmienity koniak.

ROZDZIAŁ 35

Rozmowa przy fontannie

Było nieco po jedenastej, kiedy wielkie człekokształtne małpy wyprowadziły mnie pod swą eskortą z zoo; czas, aby potwierdzić u młodego Arta umówione spotkanie. Byłam w takiej odległości od mojego biura, że mogłam dojść tam na piechotę, ale wolałam trzymać się z daleka od Humboldt Building. Zapłaciłam osiem dolarów za przywilej godzinnego parkowania obok i przeprowadziłam samochód do podziemnego garażu.

Zapomniałam już o włamaniu pana Contrerasa do mojego biura w piątkową noc. Drzwi załatwił dokumentnie. Najpierw wybił szybę, licząc, że sięgnie ręką do zamka i przekręci zasuwę. Kiedy zorientował się, że drzwi z obu stron zamykane są na klucz, metodycznie wykuł drewno wokół zamka i wyciągnął go z ramy. Zgrzytnęłam zębami, ale nie pisnęłam słowa na ten temat, gdy zadzwoniłam do staruszka. Lepiej byłoby zamówić kogoś do naprawy niż narażać się na wysłuchiwanie długiego potoku samooskarżeń. Wolałam również nie przeżywać katuszy, obserwując, jak pan Contreras zabiera się do dzieła.

Art niechętnie podszedł do telefonu. Rozmawiał z ojcem, i jak mi dał do zrozumienia, wiele mu zawdzięczam. Negocjacje z Wielkim Artem były prawdziwym piekłem. Ach, tak, nakłonił starego do spotkania pod fontanną, ale przyjdzie tam dopiero o drugiej trzydzieści. Wymagało to wielu zabiegów i pochlebstw; ojciec niesamowicie naciskał żeby mu powiedzieć, gdzie syn się znajduje. Gdybym miała pojęcie, jak ciężko sobie poradzić z Wielkim Artem, traktowałabym go z trochę większym szacunkiem.

- I czy nie może pani pomyśleć o jakimś lepszym miejscu dla mnie? Ten stary nie chce zostawić mnie w spokoju. Traktuje mnie jak jakieś dziecko.

Odpowiedziałam bardziej pojednawczo, niż zamierzałam.

- Jeżeli naprawdę chcesz się przenieść gdzie indziej, nie ma żadnych przeszkód. Zobaczę, czy uda mi się coś załatwić z Murrayem Ryersonem z *Herald-Star*, kiedy będę z nim rozmawiała po południu. Oczywiście w zamian będzie chciał jakichś informacji.

Wyłączyłam się, gdy krzyczał, że muszę mu obiecać, iż nie podam do prasy jego nazwiska.

Zadzwoiłam do Murraya, ale o młodym Arcie nie wspomniałam.

- Wiesz co, Warszawski, jesteś jak wrzód na dupie - powitał mnie. - Czy ty nigdy nie sprawdzasz nagrań przy swoim telefonie? W ciągu weekendu dzwoniłem z dziesięć razy. Coś ty zrobiła tej siostrze Chigwella? Zahipnotyzowałaś ją? Nie będzie gadać z prasą - powiada, że ty możesz odpowiedzieć na wszystkie pytania o jej bracie, które chcemy zadać.

- To taki kurs, który dostałam pocztą - powiedziałam mile zaskoczona. - Wysła się wypełnione katalogi z talonami, a oni przysyłają ci zestaw lekcji, jak stać się niewidzialnym, jak przenikać myśli drugiej osoby - te sprawy. Przedtem po prostu nigdy nie miałam okazji spróbować.

- W porządku, mądralo - powiedział zrezygnowany. - Czy jesteś teraz gotowa do ujawnienia całej prawdy społeczeństwu Chicago?

- Powiedziałaś mi, że mnie nie potrzebujesz, że zdobywasz swoje wiadomości bezpośrednio od ludzi z Xerxesu. Chcę z tobą porozmawiać o czymś znacznie bardziej ekscytującym - o moim życiu. Albo o jego możliwym zakończeniu.

- To stara sprawa. Pisaliśmy już o tym w zeszłym tygodniu. Tym razem będziesz musiała naprawdę je zakończyć, żeby nas ruszyło.

- W porządku, bądź w pogotowiu - twoje życzenie może się spełnić. Mam na karku paru ciężkozbrojnych chłopaków.

Patrzyłam na stadko gołębi walczących o miejsce na parapecie okna. Zaprawione w bojach, brudne miejskie ptaki - lepsza dekoracja dla mojego biura niż oryginalne grafiki Nasta czy Daumiera.

- Dlaczego teraz mi to mówisz? - dopytywał się podejrzliwie.

Zadudniła elektryczna kolejka na Wabash. Gołębie poderwały się z trzepotem natychmiast, gdy zadrżała szyba, ale po chwili znowu wypełniły parapet.

- W razie gdybym nie przeżyła tej nocy, chcę, żeby ktoś, kto będzie szedł moim śladem, wiedział, dokąd zmierzałam. Chciałabym, żebyś ty był tą osobą, ponieważ łatwiej ci przychodzi pomyśleć brzydko o bogach niż policji, ale szkopał w tym, że muszę porozmawiać z tobą przed pierwszą trzydziestą.

- Co będzie o pierwszej trzydziestą?

- Przypasuję moje kołty i wychodzę na główną ulicę miasteczka.

Murray zadał jeszcze parę pytań kontrolnych, żeby sprawdzić, czy sprawy zaszły aż tak daleko,

jak twierdziłam, i wreszcie zgodził się na spotkanie w południe w knajpcie obok redakcji. Przed opuszczeniem Pulteney przejrzałam pocztę, wyrzuciłam wszystko z wyjątkiem czeku od jednego z klientów, dla którego wykonałam kwerendę, a potem zadzwoniłam do kolegi z prośbą o naprawienie drzwi mojego biura. Powiedział, że upora się z tym do środy po południu.

Ponieważ dochodziła już niemal dwunasta, popędziłam na północ, w stronę rzeki. Powietrze przesyciła lekka mżawka. Ból w ramionach ustał, choć Lotta twierdziła, że będzie inaczej. Jeszcze parę dni - jeżeli uda mi się utrzymać o krok przed Gustavem Humboldtem - i będę mogła wznowić bieganie.

Gmach *Herald-Star* wznosi się na wprost *Sun-Timesa* od południowej strony rzeki Chicago. Teren ten zaczyna być modny i wśród hałaśliwych uliczek mnożą się szpanerskie restauracyjki, ale CarPs nadal serwuje solidne kanapki dla ludzi prasy. Pociąge siedzenia i stoły z surowego drewna stłoczone są w obskurnym budynku przy Wacker nad rzeką poniżej głównej arterii.

Murray wpadł do knajpki parę minut po mnie, w przyćmionym świetle jego rude włosy połyskiwały od kropel deszczu. Lucy Moynihan, córka Carla, która przejęła lokal po śmierci ojca, lubi Murraya. Dała nam stolik na zapleczu, żebyśmy nie musieli się tłoczyć, i została parę minut. Przekomarzała się z Murrayem w sprawie pieniędzy, które przegrał do niej w zakładach koszykarskich zeszłego tygodnia.

Zamówiłam hamburgera i opowiedziałam z grubsza, co robiłam przez ostatnie trzy tygodnie. Murray, mimo że jest próżny i zrozumiał, potrafi słuchać i chłonie wiadomości każdym porę. Istnieje opinia, że można zapamiętać tylko trzydzieści procent tego, co ktoś mówi, ale ja nigdy nie musiałam nic Murrayowi powtarzać.

Kiedy skończyłam, powiedział:

- Okay. Jesteś w niezłych tarapatach. Masz smarkulę z dzieciństwa, która chce, żebyś dowiedziała się, kto stuknął koleżankę z drużyny, masz niestrawnego młodego Jurshaka i dziwnie zachowujące się przedsiębiorstwo. I może jeszcze Króla Śmieci. Musisz uważać, jeśli Steve Dresberg rzeczywiście jest w to zamieszany. Ten gość, gdy fauluje w grze, to na amen. Mogę sobie wyobrazić jego powiązania z Jurshakiem, ale co ma z tym wspólnego Humboldt?

- Chciałabym to wiedzieć. Jurshak prowadzi jego ubezpieczenia, co nie jest takim przestępstwem, jak nieobyczajne prowadzenie się, ale nie przestaje mnie nurtować, czym Jurshak odwzajemnia się Humboldtowi.

Ulotne wspomnienie, które usiłowałam złowić od niedzieli, znowu przepłynęło po powierzchni myśli i znikło.

- Co? - Murray dopytywał się podejrzliwie.

- Nic. Myślałam, że coś mi się przypomniało, ale nic z tego. Chciałabym wiedzieć, dlaczego Humboldt kłamie, mówiąc o Pankowskim i Ferraro. To musi być coś naprawdę ważnego. Kiedy przyszedłam dzisiaj do jego biura spytać go, zostałam wyrzucona przez jakieś ogromne małpoludy.

- Może po prostu nie podoba mu się że bręczysz mu nad uchem - złośliwie powiedział Murray. - Bywają chwile, kiedy żałuję, że nie mam pod ręką goryli, którzy mogliby ci dołożyć.

Udałam, że chcę mu dać kuksańca, ale on chwycił moją rękę i przytrzymał.

- Dawaj, Warshawski. Ciągle jeszcze nie ma prawdziwej historii. Tylko spekulacje, które nie mogą przejść do druku. Po co w takim razie jemy razem ten lunch?

Wyrwałam rękę.

- Prowadzę śledztwo. Kiedy osiągnę jakieś rezultaty, może będę wiedziała, dlaczego Humboldt kłamie, ale teraz wychodzę spotkać się z Artem Jurshakiem. Mam na niego strasznego haka, więc liczę, że wykrztusi z siebie wszystko, co wie. Tyle ci chciałam powiedzieć. Jeśli wykituję, porozmawiaj z Lotty, Caroline Djiak i Jurshakiem. Ta trójka jest kluczem.

- Poważnie mówisz o grożącym ci niebezpieczeństwie?

Obserwowałam Murraya, jak osusza swój kufel i woła o następny.

Ważąc sto dziesięć, może sto piętnaście kilo, mógł spokojnie wchłonąć taką ilość. Ja zostałam przy kawie - chciałam zachować jak najlżejszą głowę na spotkanie z Jurshakiem.

- Poważniej, niżbym sobie tego życzyła. Pięć dni temu próbowali utopić mnie na bagnach. W piątek dwójka z tej samej bandy oprychów czekała na mnie pod drzwiami mieszkania. A dzisiaj Gustav Humboldt dziwnie przypominał Petera O'Toole'a namawiającego swych baronów do zajęcia się Thomasem Becketem. Tak, to dość realne.

Oczywiście Murray chciał się dowiedzieć, jaki to hak miałam na Jurshaka, ale byłam absolutnie zdecydowana nie ujawniać tego publicznie. Spieraliśmy się aż do piętnaście po pierwszej, kiedy wstałam i położywszy piątkę na stole, wyszłam z knajpki. Murray wrzeszczał za mną, ale miałam nadzieję, że złapię autobus jadący na południe, zanim zdąży wygramolić się zza stołu i ruszyć w pogoń.

„147” właśnie zamykało drzwi, kiedy wskakiwałam na stopień. Kierowca, rzadki przypadek

człowieczeństwa, otworzył je znowu, zobaczywszy, jak biegłam po chodniku. Art ustalił drugą trzydzieści, zamiast drugiej - chciałam się tylko upewnić, czy nie pojawi się wcześniej z jakąś zbrojną eskortą. Nie znałam dobrze młodego Arta, a już na pewno mu nie ufałam. Mógł okłamać mnie, mówiąc, że oszukał swego ojca. A może Wielki Art nie wierząc swojemu chłopakowi przejrzał jego zamiary. Na wszelki wypadek chciałam być tam przed zastawieniem pułapki.

Przejechałam do Jackson i przeszłam do fontanny na piechotę trzy przecznice w kierunku wschodnim. Latem Fontanna Buckinghamska jest nadbrzeżną atrakcją. Oceniają ją wtedy drzewa, a wokół tłoczą się turyści. Zimą, kiedy drzewa są nagie, a woda zakręcona, jest to dobre miejsce do rozmowy. Ludzie odwiedzają je sporadycznie, a ci, którzy przychodzą, widoczni są z daleka.

Dzisiaj, pod mętnym zimowym niebem, Grant Park był wyludniony. Puste torby po chipsach i butelki po whisky walające się wśród zeschniętych liści były jedynymi znakami ludzkiej obecności na tym terenie. Schroniłam się w ogrodzie różanym od południowej strony fontanny i przysiadłam na cokole jednego z posągów w rogu. Umieściłam Smitha & Wessona w kieszeni kurtki i położyłam kciuk na zabezpieczeniu. Od południa mżył z przerwami drobny kapuśniaczek. Mimo że było stosunkowo ciepło jak na zimę, cała byłam skostniała od siedzenia bez ruchu w wilgoci. Nie miałam ze sobą rękawiczek, bo utrudniałyby posługiwanie się bronią, więc do czasu, kiedy pojawił się Jurshak, palce mi tak zgrabiały, że nie byłam pewna, czy potrafiłabym wystrzelić.

Mniej więcej kwadrans przed trzecią na Lake Shore Drive zatrzymała się limuzyna. Wysiadł z niej radny wraz z towarzyszącą osobą. Samochód ruszył dalej do Monroe, gdzie zakręcił i zatrzymał się jakieś czterysta metrów od fontanny. Kiedy upewniłam się, że nikt nie wysiadł, aby wziąć nas na muszkę, zlaźłam z mej grzędy i ruszyłam w stronę parku.

Jurshak rozglądał się, szukając syna. Zerknął na mnie przelotnie i dopiero po chwili zorientował się, że mam zamiar z nim pomówić.

- Art nie mógł przyjść, panie Jurshak, przysłał mnie w zastępstwie. Nazywam się Victoria Warszawski. Sądzę, że słyszał pan już moje nazwisko od swojej żony. Albo od Gustava Humboldta.

Jurshak miał na sobie czarny kaszmirowy płaszcz zapięty pod szyję. Jego twarz jaskrawo kontrastowała z czarnym kołnierzem i była uderzająco podobna do twarzy Caroline; te same okrągłe policzki, krótki nos, długa górna warga. Nawet oczy miały ten sam kolor, trochę wyblakły z powodu wieku, ale taki głęboki błękit rzadko się zdarza. Na dobrą sprawę był bardziej podobny do

niej niż do młodego Arta.

- Co zrobiłaś z moim synem? Gdzie go trzymasz? - zaczął dopytywać się mocnym, chrapliwym głosem.

- Przyszedł do mnie w niedzielę. Bał się o swe życie. Powiedział, że oznajmił pan swojej żonie, iż należałoby ukręcić mu głowę za udostępnienie mi raportu, który sporządził pan w imieniu Xerxesa dla Marynarskiej Przystani. Art jest w bezpiecznym miejscu. Nie chcę z panem rozmawiać o pańskim synu, ale o pańskiej córce. Może zechciałby pan poprosić swego przyjaciela o odejście na bok, kiedy będziemy rozmawiać.

- O czym ty mówisz? Art jest moim jedynym dzieckiem! Żądam, abyś natychmiast zabrała mnie do niego, albo wezwę policję prędzej, niż zdążysz mrugnąć.

Zaciął usta w gniewnym grymasie, który tysiące razy oglądałam na twarzy Caroline.

Art był potęgą w Chicago już w czasach, kiedy zaczęłam chodzić do college'u. Nawet bez pomocy kliki w Radzie Miejskiej miał w policji dostatecznie wielu dłużników, którzy byliby szczęśliwi, gdyby mogli wsadzić mnie do paki, gdyby tylko ich o to poprosił.

- Niech pan się cofnie w myślach o ćwierć wieku - powiedziałam łagodnie, starając się nie dopuścić, aby opanował go gniew. - Do córek pańskiej siostry. Do tych cudownych popołudniowych chwil, kiedy pańska siostrzenica tańczyła dla pana, a szwagier był w pracy. Nie mógł pan przecież zapomnieć, jak ważne to było w życiu tych dwóch dziewczynek.

Wyraz jego twarzy, tak ruchliwej jak Caroline, zmienił się z wściekłości w strach. Wiatr zarumienił mu policzki, ale pod różową powłóczką twarz wydawała się szara.

- Przejdź się trochę, Manny - powiedział do przysadzistego mężczyzny obok. - Idź i zaczekaj w samochodzie. Będę za parę minut.

- Jeśli ona ci grozi, Art, powinienem zostać.

Jurshak potrząsnął głową.

- Po prostu stare rodzinne problemy. Myślałem, że będą jakieś interesy, kiedy prosiłem ciebie i chłopców, żebyście ze mną podjechali. Idź sobie - niech przynajmniej jeden z nas nie marznie.

Krępy facet przyjrzał mi się z ukosa. Widocznie uznał, że wypukłość w mojej kieszeni musiały tworzyć rękawiczki albo notes, i wycofał się do limuzyny.

- Okay, Warszawski, czego chcesz? - syknął Jurshak.

- Całej masy odpowiedzi. W zamian nie podam do gazet faktu, że napastuje pan seksualnie

nioletnich i jest pan ojcem dziecka własnej siostrzenicy.

- Niczego nie możesz udowodnić. - Zabrzmiało to groźnie, ale Wielki Art nie odchodził.

- Niech pan da spokój - odparłam niecierpliwie. - Ed i Martha wczoraj wieczorem opowiedzieli mi całą historię. A pańska córka jest tak bardzo do pana podobna, że łatwo to udowodnić. Murray Ryerson z *Herald-Star* załatwi to w minutę jeśli go poproszę, albo Edie Gibson z *Trib.* - Podeszłam do jednej z żelaznych ławek ustawionych w alejce wokół fontanny. - Mamy sobie wiele do powiedzenia. Więc może pan też skorzysta i usiądzie? - Zobaczyłam, jak spogląda w kierunku limuzyny. - Niech pan nawet o tym nie myśl. Mam broń. Wiem, jak się z nią obchodzić, ale nawet gdyby pańscy chłopcy mnie wykończyli, Murray Ryerson wie, że się z panem spotykam. Proszę usiąść i zabierajmy się do rzeczy.

Podszedł ze spuszczoną głową i z rękami wbitymi w kieszenie płaszcza.

- Niczego nie potwierdzam. Uważam, że to puste gadanie, ale kiedy prasa bierze na ząb taką historię, może zrujnować mnie samymi insynuacjami.

Uśmiechnęłam się w sposób, który miał podziałać zachęcająco.

- Mógłby pan powiedzieć jedynie, że pana szantażuję. Oczywiście rozpowszechniłabym zdjęcie Caroline, a oni zrobiliby wywiad z jej matką i tak dalej, ale mógłby pan zawalczyć. A teraz spójrzmy - mamy do porozmawiania o tylu rodzinnych sprawach, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Czy od hipoteki Louisy Djiak, czy ode mnie w bagnach Stawu Martwych Konarów, czy od Nancy Cleghorn.

Mówiłam z roztargnieniem, obserwując go kątem oka. Wydawał się trochę bardziej poruszony przy nazwisku Nancy niż Louisy.

- Wiem! Ten raport, który wysłał pan do Marynarskiej Przystani w imieniu u Xerxesa. Robi pan kombinacje z ubezpieczeniami, prawda? Ale co konkretnie - płaci pan wyższe stawki, niż panu liczą, i zgarnia do kieszeni różnicę? Ale co to za problem, jeśli ktoś pana nakryje? Przecież w South Chicago od tego się nie bankrutuje. Oskarżali pana o gorsze rzeczy, a został pan ponownie wybrany.

Nagle wspomnienie, które majaczyło na horyzoncie od czasu, kiedy rozmawiałam z Caroline w niedzielę, ujawniło się w pełni. Pani Pankowski stojąc w drzwiach swego domu opowiadała mi o swoich finansowych niedolach i wspomniała, że Joey nie zostawił jej żadnych ubezpieczeń. Może nie wpisał się na grupową listę? Ale przecież ubezpieczenia na życie w wypadkach niezawinionych

przez zakład były czystym zyskiem dla Xerxes. Ale może był tam warunek; ponieważ zmarł, nie pracując już w zakładzie, jego rodzina nie otrzymała odszkodowania. Wciąż jednak warto było zapytać.

- Kiedy Pankowski zmarł, dlaczego jego rodzina nie dostała odszkodowania z tytułu ubezpieczenia na życie?

- Nie wiem, o czym ty, do cholery, mówisz.

- O Joeyu Pankowskim. Pracował kiedyś w Xerxesie. Jest pan powiernikiem ich interesów ubezpieczeniowych, więc musi pan wiedzieć, dlaczego spadkobiercom pracownika nie wypłacono ubezpieczenia, kiedy umrze.

Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby otrzymał cios między oczy. Myślałam gorączkowo nad dalszymi kąśliwymi pytaniami, chcąc wykorzystać przewagę. Ale on był starym wygą i mógł zorientować się, że tak naprawdę to nie wiem nic o ubezpieczeniach. Odzyskał równowagę na tyle, żeby uparcie wszystkiemu zaprzeczyć.

- Okay. Zostawmy to. Mogę się tego dość szybko dowiedzieć, rozmawiając z ubezpieczalnią. Albo z paroma innymi pracownikami. Wróćmy do Nancy Cleghorn. Widziała pana razem ze Steve'em Dresbergiem w pańskim biurze, a wie pan równie dobrze jak ja, że żaden komisarz ubezpieczeniowy nie pozwoli panu zatrzymać licencji, skoro zadaje się pan z mafią.

- Ach, daj spokój, Warszawski. Ja nie wiem, kto to jest ta Nancy Cleghorn, poza wiadomościami z prasy, z których wynika, że została zabita. Z Dresbergiem mogę od czasu do czasu rozmawiać, prowadzi wiele interesów w mojej gminie, a ja jestem radnym dla wszystkich obywateli. Nie mogę sobie pozwolić na bycie wykwinną paniusią zatykającą nos, kiedy poczuje śmieci. Komisarz ubezpieczeniowy nie będzie sobie tym zaprzętał głowy, nie mówiąc już o cofaniu licencji.

- Więc nie przejąłby się pan ujawnieniem informacji, że spotykacie się z Dresbergiem po nocy w pańskim biurze?

- Udowodnij to.

Ziewnęłam.

- A jak pan myśli, skąd w ogóle o tym wiem? Jest świadek, oczywiście. Wciąż żywy.

Nawet to nie wstrząsnęło nim dostatecznie, abym mogła cokolwiek z niego wyciągnąć. Kiedy zakończyliśmy rozmowę, czułam się nie tylko sfrustrowana, ale też zbyt zielona jak na tę robotę.

Art był po prostu o wiele bardziej doświadczony. Miałam ochotę wyszczerzyć zęby i powiedzieć: „Czekaj no tylko, spryciarzu, jeszcze cię dopadnę”. Zamiast tego zapowiedziałam, że będę w kontakcie.

Odeszłam w stronę Lake Shore Drive. Po przebiegnięciu sprintem przed falą samochodów zatrzymałam się i obserwowałam Jurshaka z drugiej strony. Stał przez długą chwilę wpatrzony w pustkę, po czym potrząsnął głową i ruszył w stronę swojej limuzyny.

ROZDZIAŁ 36

Zła krew

Odebrałam swój samochód z parkingu i pojechałam z powrotem do Lotty. Właściwie wszystko, co uzyskałam w rozmowie z Jurshakiem, to informacja, że dokonywał jakichś oszustw z ubezpieczeniami Xerxesa. I to poważnych, sądząc po jego minie. Ale nie wiedziałam, jakich. A dowiedzieć się musiałam szybko, zanim wszyscy ludzie pałający do mnie nienawiścią zbiorą się razem i raz na zawsze zadbają o mój wieczny odpoczynek. Ten pośpiech wywoływał skurcz żołądka i ścinanie się mózgu.

Zbliżały się godziny szczytu i na głównych ulicach śródmieścia ruch zaczynał gęstnieć. W uszach pobrzmiwał mi dzisiejszy złowrogi głos Humboldta. Jechałam ostrożnie w lutowej szarówce, starając się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi. Przejechałam aż do Montrose i skręciwszy przy parku objechałam go dwa razy. Wreszcie uznałam, że nie mam obstawy, i ruszyłam w stronę domu Lotty.

Nie zdziwiło mnie, że byłam na miejscu przed nią - dla wygody pracujących matek Lotty najczęściej pracuje do szóstej. Wyszłam kupić trochę jedzenia - jeśli już mogłam coś zrobić w podzięce za jej gościnność, choćby przygotować obiad. Znów zabrałam się do kurczaka z czosnkiem i oliwkami, którego robiłam w wieczór przed napadem, mając nadzieję, że jeśli zajmę czymś jedną półkulę, to druga zacznie tryskać pomysłami. Tym razem przygotowałam całą potrawę bez przerywania i postawiłam na małym ogniu. Zanim się z tym uporałam, dochodziła siódma trzydzieści, a Lotty ciągle nie wracała. Zaczynało mnie to niepokoić i zastanawiałam się, czy powinnam zadzwonić do jej kliniki lub do Maxa. Mógł zatrzymać ją jakiś nagły wypadek w klinice albo w szpitalu. Ale mogła być też łatwym celem dla kogoś, kto postanowił zemścić się na mnie.

O ósmej trzydzieści, kiedy nie dodzwoniłam się ani do kliniki, ani do szpitala, wyruszyłam na poszukiwania. Jej samochód zajechał przed dom w momencie, gdy zamykałam drzwi wejściowe.

- Lotty! Zaczynałam się niepokoić - krzyknęłam, biegnąc na powitanie.

Weszła za mną do budynku ciężkim krokiem, niepodobnym do jej zwykłego zwawego chodu.

- Naprawdę, kochanie? - spytała zmęczona. - Powinnam pamiętać, jaka zrobiłaś się nerwowa

przez ostatnie dni. To do ciebie niepodobne, żeby robić panikę z powodu kilku godzin spóźnienia.

Miała rację. Jeszcze jeden dowód, że straciłam zdrowe zmysły, zajmując się takimi sprawami, jak obecne. Weszła powoli do mieszkania, zdjęła płaszcz i zawiesiła go starannie w rzeźbionej, orzechowej szafie stojącej w przedpokoju. Poprowadziłam ją do fotela w salonie. Pozwoliła nalać sobie małą brandy - jedyny alkohol, który pije, i tylko wtedy, kiedy jest w poważnym stresie.

- Dziękuję ci, moja droga. To bardzo mi się przyda. - Zsunęła buty; znalazłam jej kapcie, starannie ustawione obok łóżka, i przyniosłam do salonu. - Ostatnie dwie godziny spędziłam z doktor Christopherson, jest nefrologiem. Jak ci wspomniałam, miałam zamiar pokazać jej zapiski z fabryki chemicznej. - Dokończyła brandy, ale odmówiła ruchem głowy, gdy zaproponowałam jej następny kieliszek. - Podejrzewałam coś, kiedy przejrzałam te notatki, ale chciałam, żeby specjalista dokonał gruntownej interpretacji. - Otworzyła teczkę i wyciągnęła kilka stron fotokopii. - Dzienniki zostawiłam zamknięte, w sejfie Maxa w Beth Israel. Są zbyt... zbyt przerażające, żeby obnosić się z nimi po mieście, gdzie każdy mógłby położyć na nich łapę. Tu jest streszczenie uwag Ann, to znaczy doktor Christopherson. Mówi, że gotowa jest dokonać szczegółowej analizy, jeśli będzie potrzebna.

Odebrałam od niej kartki i spojrzałam na kanciaste, drobne literki postawione przez doktor Christopherson. Analizowała wyniki badań krwi zanotowane w dziennikach doktora Chigwella, przytaczając przykłady z zapisków dotyczących Louisy Djiak i Steve'a Ferraro. Szczegóły chemiczne nie były dla mnie zrozumiałe, natomiast wnioski u dołu strony zapisane były zwykłą angielszczyzną i do tego przerażająco jasną:

„Niniejsze zapiski przedstawiają przebieg procesów zachodzących we krwi panny Louisy Djiak (biała, panna, jeden poród), od roku 1963 do 1982, z której pochodzą ostatnie dane; oraz pana Steve'a Ferraro (biały, kawaler) od roku 1957 do 1982. Istnieją również dane dotyczące około pięciuset innych pracowników fabryki Humboldt Chemicals Xerxes, obejmujące okres od roku 1955 do 1982. Dane te wykazują zmiany w wartościach kreatyniny, ureazy, bilirubiny, hematokrytu i hemoglobiny oraz białych ciałek krwi konsekwentnie z pogłębianiem się dysfunkcji nerek, wątroby i szpiku kostnego. Rozmowa z doktorem Danielem Petersem, obecnym lekarzem panny Djiak, potwierdziła, że pacjentka po raz pierwszy zjawiała się u niego w 1984 roku, i to tylko ze względu na usilne nalegania córki. Stwierdził wtedy chroniczną niedoczynność nerek, która

obecnie rozwinęła się w ostrej postaci. Inne powikłania wykluczają u panny Dziak możliwość przeprowadzenia transplantacji.

Wyniki badań krwi wskazują, że zauważalne uszkodzenie nerek nastąpiło już w roku 1967 (KR = 1.9; UREA = 29), a poważne zmiany zaczęły zachodzić od 1969 (KR = 2.4; UREA = 30). Sama pacjentka zaczęła odczuwać typowe symptomy - swędzenie, zmęczenie, bóle głowy - około roku 1979, ale sądziła, że związane jest to z okresem przekwitania i nie uznała za stosowne konsultować się z lekarzem”.

Dalszy komentarz zawierał podobne podsumowanie wyników Steve'a Ferraro, zakończone informacją o jego śmierci na skutek aplazji szpiku kostnego w roku 1983. Reszta listu poświęcona była wyszczególnieniu toksycznych własności kserksyny i wykazywała, że zmiany w chemicznej strukturze krwi były konsekwencją kontaktu z kserksyną. Przeczytałam dokument dwukrotnie, odłożyłam go i z przerażeniem wpatrzyłam się w Lotty.

- Doktor Christopherson wykonała wielką pracę, dzwoniąc do lekarzy Louisy i Steve'a Ferraro i wszystko sprawdzając.

To był jedyny komentarz, na jaki mogłam zdobyć się w pierwszej chwili.

- Ona była przerażona, wprost przerażona tym, co zobaczyła. Dałam jej nazwiska tych dwóch pacjentów, o których wiedziałam, że mogą być sprawdzeni, i zajęła się tym dziś po południu. Przynajmniej jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę i pana Ferraro, wydaje się najzupełniej jasne, że nie mieli pojęcia, co się z nimi dzieje.

Przytaknęłam.

- Tkwi w tym pewna koszmarna logika. Louisa zaczyna mieć jakieś nieokreślone dolegliwości, o których sądzi, że to menopauza, w wieku trzydziestu czterech lat! Ale nie przeszła żadnej edukacji seksualnej i dlatego nie jest to nie do pomyślenia. W każdym razie nie rozpowiadałaby tego po fabryce. Wiele osób wychowanych było w podobnej kulturze w ona- gdzie wszystko, co miało związek z funkcjonowaniem organizmu, było wstydlive i nie należało o tym mówić.

- Ależ Victorio! - wybuchła Lotty. - Jaki jest sens tego wszystkiego? Kto poza Mengele może być tak zimny, tak skrupulatny w prowadzeniu tego typu notatek, nie wyrażając przy tym ani jednego słowa sprzeciwu wobec faktu doprowadzania ludzi do śmierci?

Potałam czoło. Miejsce, gdzie zostałam uderzona, było już dość dobrze zagojone, ale teraz,

kiedy znajdowałam się w takim napięciu, czułam ból, jak pulsuje przytępiony, tętni niczym bęben w dżungli mojego mózgu.

- Nie wiem. - Udzielił mi się bezwład Lotty. - Ale teraz widzę, dlaczego nie chcę, żeby cokolwiek z tego wyszło na jaw.

Lotty niecierpliwie potrząsnęła głową.

- A ja nie. Wytłumacz mi.

- Odszkodowania. Pankowski i Ferraro procesowali się o wypłatę odszkodowań, sądząc, że im się słusznie należą - usiłowali zbudować oskarżenie, twierdząc, że ich choroby były rezultatem kontaktu z kserksyną. Humboldt obronił się z powodzeniem. Według prawnika prowadzącego ich sprawę dlatego że, po pierwsze, obaj faceci dużo palili i pili, więc nikt nie mógł udowodnić, iż to kserksyną ich zatrąła. A po drugie, co zdaje się przesądziło sprawę, ich kontakt z kserksyną nastąpił, zanim poznana została jej toksyczność. Tak więc...

Umilkłam. Znaczenie raportu Jurshaka dla Marynarskiej Przystani stało się dla mnie przytłaczająco jasne. Jurshak pomagał Humboldtowi ukryć wysoką śmiertelność i poziom zachorowań w Xerxesie, aby uzyskać korzystne stawki w ubezpieczalni. Można było sobie wyobrazić parę sposobów, w jaki mogli to załatwić, ale najprawdopodobniejszy wydawał się taki, że kupowali od Marynarskiej Przystani lepszą ofertę, niż później proponowali pracownikom. Mówiło się im, że nie mają gwarantowanej opłaty na pewne badania czy pobyt w szpitalu. Potem nadsyłane rachunki przechodziły przez powiernika, który poprawiał je przed wysyłką do ubezpieczalni. Przeanalizowałam to na kilka różnych sposobów i dalej trzymało się kupy. Podniosłam się i ruszyłam do telefonu w kuchni.

- Tak więc, co? - zawołała niecierpliwie Lotty zza moich pleców. - Dokąd idziesz?

- Zakręcam gaz pod kurczakiem.

Zapomniałam, że nasz obiadek buzował sobie wesoło na ogniu. Oliwki zmieniły się w małe węgielki, a sam kurczak wydawał się dobrze przyspawany do dna brytfanny. Zdecydowanie nie było to najszcześniejsze danie w moim repertuarze. Próbowалам zeskrobać spaleniznę do kosza na śmieci.

- Och, daj spokój z obiadem - powiedziała zirytowana Lotty. - Wstaw to po prostu do zlewu i mów dalej. Humboldt argumentował, że nie mogą być odpowiedzialni za zachorowania swoich pracowników, jeśli miało to miejsce przed 1975 rokiem, kiedy toksyczność kserksyny została

ustalona przez Cibę-Geigy. Czy o to chodzi?

- Tak, z tym, że nie wiedziałam nic o Cibile-Geigy ani o roku 1975 jako dacie krytycznej. Założę się, że deklarowali niższe stężenia kserksyny od dozwolonego poziomu, jakkolwiek by był, i że to właśnie wykazują ich raporty do Waszyngtonu. Te, które Jurshak wysyłał w imieniu Humboldta. Ale analizy, dokonane w fabryce przez SCRAP, ujawniają znacznie wyższe poziomy. Muszę zadzwonić do Caroline Djiak i dowiedzieć się...

- Ale, Vic. - Lotty obojętnie zeskrobywała z brytfanny zwęglonego kurczaka - wciąż nie wyjaśniłaś, dlaczego nie powiadomili swoich pracowników, że ich organizmy były narażone na niebezpieczeństwo. Skoro limity zostały wyznaczone dopiero w 1975 roku, to co powstrzymywało ich wcześniej?

- Ubezpieczenia - odpowiedziałam krótko, szukając numeru Louisy w książce telefonicznej. Nie był zamieszczony. Klnąc pod nosem, poszłam do gościnnego pokoju, aby wygrzebać z mojej walizki notes z adresami. Wróciwszy do kuchni, zaczęłam wykręcać numer. - Jediną osobą, która mogłaby nam na to ostatecznie odpowiedzieć jest doktor Chigwell, ale w tej chwili gdzieś wyparował. Nawet gdybym go znalazła, nie jestem pewna, czy udabby mi się skłonić go do rozmowy - Humboldta boi się znacznie bardziej niż mnie.

Caroline podniosła słuchawkę po piątym sygnale.

- Vic Cześć. Właśnie kładłam mamę do łóżka. Możesz trochę zaczekać? Czy mam oddzwonić?

Powiedziałam, że zaczekam.

- Ale, widzisz - zwróciłam się do Lotty - te dzienniki oznaczają bankructwo. Nie dla całego przedsiębiorstwa, ale z pewnością dla Xerxesa. Dobry prawnik zabiera się do rzeczy, kontaktuje z pracownikami albo ich rodzinami i idzie po swoje. Ma w ręku wszystkie ustalenia, aby posłużyć się precedensem Manville'a.

Nic dziwnego, że Humboldt był na tyle zdesperowany, aby osobiście mnie poszukiwać. Jego małe imperium było zagrożone najazdem barbarzyńców. Frederick Manheim miał rację - im wszystkim musiało się wydawać niewiarygodne, żeby jakiś detektyw mógł węszyć wokół Pankowskiego i Ferraro, nie interesując się przy tym świadectwami ich zdrowia.

Dlaczego Chigwell chciał się zabić? Ogarnięty wyrzutami sumienia? Czy zastraszony przez kogoś losem gorszym od śmierci w wypadku, gdyby powiedział cokolwiek Murrayowi albo mnie? Ludzie, do których prysnął w piątek, mogli go do tej pory śmiało zabić, gdyby uznali, że zamierza

ich sypnąć.

Nie sądziłam, aby kiedykolwiek udało mi się dokładnie dowiedzieć, co zaszło. Nie widziałam też możliwości, by udowodnić wielkiemu rekinowi, że zabił Nancy. Jediną nadzieją było to, że te dwa zbiry, których trzymał w areszcie Bobby, wygadają się na tyle, aby móc wskazać na Humboldta. Ale zbytnio na to nie liczyłam. Nawet gdyby zaczęli mówić, ktoś taki jak Humboldt znał zbyt wiele sposobów na odcięcie się od bezpośrednich konsekwencji swych poczynań. Dokładnie tak jak Henryk II. Wzdrygnęłam się.

Kiedy Caroline wróciła do telefonu, zapytałam, czy Louisa posiada broszurkę opisującą należne jej świadczenia z Xerxesu.

- Boże, Vic, nie wiem - odpowiedziała zniecierpliwiona. - Co to ma do rzeczy?

- Bardzo dużo - rzuciłam krótko. - Mogłoby wyjaśnić, dlaczego Nancy została zabita oraz wiele innych nieprzyjemnych spraw.

Caroline westchnęła przesadnie. Odparła, że zapyta Louise i odłożyła słuchawkę na bok.

Nancy znalazłyby rzeczywistość prawdziwych strat w Xerxesie, ponieważ monitorowała to jako dyrektor do spraw ekologii i zdrowia w SCRAP-ie. Więc kiedy zobaczyła list do Marynarskiej Przystani i poznała strukturę stawek ubezpieczeniowych w przedsiębiorstwie, zorientowała się natychmiast, że Jurshak robił jakieś szwindle. Ale kto zabrał jej akta z biura SCRAP-u? A może miała je ze sobą, gdyż przygotowywała się do konfrontacji z Jurshakiem, a on już dopilnował, żeby je znaleźć i zniszczyć. Ale inne papiery pozostawiła w samochodzie i nikt tam nie sprawdzał.

Caroline po powrocie do telefonu oznajmiła, że Louisie wydaje się, iż przyniosła ulotkę do domu i musi być zagrzebana gdzieś w papierach. Czy zechciałabym zaczekać, aż poszuka? Poprosiłam, żeby tylko ją znalazła i odłożyła dla mnie, abym rano mogła odebrać. Zaatakowała mnie kanonadą pytań. Nie mogłam znieść nachalnej presji w jej głosie.

- Pozdrów serdecznie Louise - przerwałam i znużona odłożyłam słuchawkę mimo jej pełnych oburzenia wrzasków.

Wyszliśmy z Lotty na skromną kolację do Dortmundera. Obie czułyśmy się zbyt przytłoczone potwornością odkrytą w notatkach Chigwella, aby mieć duży apetyt albo chęć do rozmowy.

Po powrocie do domu zameldowałam się telefonicznie u pana Contrerasa. Młody Art wyfrunął. Staruszek zabierając Peppy na wieczorny spacer, zamknął frontowe i tylne drzwi, ale Art otworzył okno i wyskoczył. Pan Contreras był niepokieszony, wydawało mu się, że zawiódł mnie, kiedy

szukałam u niego konkretnej pomocy.

- Niech się pan tym nie martwi - powiedziałam szczerze. - Nie można go było pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przyszedł do nas po opiekę - jeśli jej nie chce, to naraża w końcu własną skórę. Pan i ja nie możemy spędzać życia na wiecznym rozglądaniu się za nożyczkami, skoro facet usiłuje tkwić z głową na stryczku.

To go nieco pocieszyl. Chociaz usprawiedliwial się jeszcze kilkakrotnie, gotów był do rozmowy o czymś innym, na przykład, jak samotnie czuła się beze mnie Peppy.

- Tak, ja też stęskniłam się za waszą dwójką - powiedziałam. - Nawet za pańskim deptaniem mi po piętach, kiedy pragnę być sama.

Słyszac to roześmiał się zachwycony i zakończył rozmowę w znacznie lepszym nastroju niż ja. Mimo że naprawdę miałam w nosie, co będzie z młodym Artem, nie byłam pewna, ile potrafił odgadnąć z tego, co wiedziałam. Nie uśmiechała mi się myśl, że przekaże to swemu ojcu.

Z automatu przy telefonie dowiedziałam się, że kilkakrotnie próbował mnie dopaść Murray. Dodzwoniłam się do niego i oznajmiłam, że nic się jeszcze nie wypichciło. Nie wierzył mi zaudto, ale nie miał żadnego sposobu, aby udowodnić, że bujałam.

ROZDZIAŁ 37

Rekin zastawia pułapkę

Mój umysł był w tak pulsującym, gorączkowym transie, że spałam jak po narkotyku - głęboko, lecz nie zaznając wytchnienia. Tragedia życia Louisy przetaczała się nieustannie w moim śnie, a Gabriella strofowała mnie ostro po włosku, że nie otaczałam naszej sąsiadki należyłą opieką.

O piątej obudziłam się na dobre i kręciłam niespokojnie po kuchni Lotty, żalując, że nie mam przy sobie psa, żalując, że nie mogę wykonywać moich ćwiczeń, żalując, że nie potrafię wymyślić sposobu, aby zmusić Humboldta do tego, by mnie wysłuchał. Na krótko przed szóstą dołączyła do mnie Lotty. Jej wydłużona twarz zdradzała oznaki nieprzespanej nocy. Położywszy swą mocną dłoń na moim ramieniu, uścisnęła je lekko i bez słowa zabrała się do robienia kawy.

Kiedy Lotty wyruszyła do szpitala Beth Israel na ranny obchód, ja jeszcze raz wybrałam się na południe, aby odwiedzić Louise. Jak zwykle ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła, ale wyglądała na bardziej wyczerpaną niż w czasie poprzednich moich wizyt. Zapytałam ją tak delikatnie i subtelnie, jak potrafiłam, o początki jej choroby oraz kiedy po raz pierwszy zaczęła źle się czuć.

- Pamiętasz to pobieranie krwi przez starego Chigwella Pluskwę?

Roześmiała się chrapliwie.

- O, tak. Widziałam, jak stary Pluskwa chciał się zabić. W zeszłym tygodniu pokazywali na wszystkich kanałach. On był zawsze małym, słabym człowieczkiem, bojącym się własnego cienia. Nie dziwiło mnie, że nie był żonaty. Żadna kobita nie chce mieć koło siebie takiego mięczaka, który nie umie bić się o swoje.

- Co on wam mówił, kiedy pobierał krew?

- Jeden z naszych przywilejów, jak to nazywali, polegał na corocznym badaniu przez lekarza z pobraniem krwi i takimi rzeczami. Taka sprawa, o której sama nie pomyślałabym. Nie wiedziałam, że ludziska chodzą sobie to robić. Ale szef związków był zadowolony, a reszty to nie obchodziło. Zabierali nas z hali raz do roku, płacili dniówkę, no wiesz.

- Nigdy nie dali wam żadnych wyników? Ani nie przesłali ich poprzez waszego lekarza?

- Daj spokój, dziewczyno. - Louisa machnęła ręką i zakaszła głośno. - Gdyby dali nam

wyniki i tak nie wiedzielibyśmy, co one znaczą. Doktor Chigwell pokazał mi kiedyś moją kartę i powiadam ci, po mojemu wyglądało to jak arabskie bazgroły - no wiesz, takie kręcone linijki, co wypisują sobie na swoich flagach. Tak wyglądają dla mnie badania lekarskie.

Zmusiłam się do śmiechu razem z nią i siedziałam jeszcze przez chwilę, gawędząc. Zmęczyła się jednak szybko i zapadła w sen w pobliżu wypowiedzianego zdania. Zostałam z nią, kiedy spała, bo trafiły mnie oskarżenia Gabrielli z nocnych majaków.

Co za życie. Dorosnąć w domu zabijającym duszę, być zgwałconą przez własnego wujka, otrutą przez pracodawcę i umierać powoli w bóleściach. A jednak nie była osobą nieszczęśliwą. Kiedy wprowadziła się do domu obok nas, była przestraszona, ale nie zła. Wychowywała Caroline z radością i czerpała przyjemność ze swobody życia z dala od swych rodziców. Więc może moje uzalenie się było nie tylko źle adresowane, ale i protekcyjne.

Patrząc na piersi Louisy, jak unoszą się i opadają w charczącym rytmie, zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć Caroline o jej ojcu.

Ciągle rozważałam to w myślach, kiedy w południe wpadła jak burza przygotować Louisie lunch, lekki dietetyczny posiłek bez soli. Caroline ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła, ale nie miała czasu na rozmowę, bo pędziła na kolejne zebranie.

- Znalazłaś broszurkę? Położyłam ją obok dzbanka z kawą. Szkoda, że nie powiedziałaś mi, dlaczego tak jesteś tym zaaferowana. Jeżeli to dotyczy mamy, chyba mam prawo wiedzieć.

- Gdybym wiedziała dokładnie, jaki to ma związek, powiedziałabym ci natychmiast - tymczasem dopiero przedzieram się przez gąszcz niewiadomych.

Znalazłam broszurkę i zaczęłam ją studiować, podczas gdy Caroline zaniósł Louisie lunch. Lektura jeszcze bardziej mnie zdezorientowała: wszystkie rodzaje świadczeń, z których regularnie korzystała Louisa, nie były tam uwzględnione. Usługi ambulatoryjne, dializa, podawanie w domu tlenu. Kiedy wróciła Caroline, spytałam ją, kto płaci za to wszystko, podejrzewając, że ona wykrobuje skądś pieniądze.

- Xerxes jest dla mamy naprawdę dobry. Płaci bez szemrania wszystkie rachunki. Jeśli nie potrafisz mi powiedzieć nic o mamie, to lecę do biura. I może znajdę sobie kogoś, kto mi powie. Może wynajmę własnego detektywa. - Pokazała mi język.

- Spróbuj, smarkulo - wszyscy prywatni detektywi w mieście są już ostrzeżeni, że praca dla ciebie to kiepski interes.

Roześmiała się i wyszła. Zaczekałam, aż Louisa zje swój postny lunch i znowu zaś nie. Pozostawiając przyciszony telewizor, wyszłam na palcach z pokoju i odniosłam zapasowe klucze na półeczkę nad gankiem z tyłu domu.

Chciałabym zrozumieć powód, dla którego wykonywano te wszystkie badania krwi na długo przedtem, zanim ktokolwiek był zainteresowany procesowaniem się z przedsiębiorstwem. Przypuszczalnie łączyło się to z machinacjami ubezpieczeniowymi, ale nie potrafiłam dostrzec konkretnego związku. Nie znałam nikogo w Xerxesie, kto chciałby ze mną rozmawiać. Może jedynie panna Chigwell, ale jej znajomości były nieistotne i niezbyt sympatyczne. Ale miałam na podorędziu tylko ją, więc udałam się w długą podróż do Hinsdale.

Panna Chigwell była w garażu i malowała łódkę. Przywitała mnie ze zwykłą sobie szorstkością, ale ponieważ zaprosiła mnie na herbatę, przyjąłam, iż ucieszyła się na mój widok.

Nie miała pojęcia, dlaczego rozpoczęto badania krwi w Xerxesie.

- Przypominam sobie tylko, że Curtis był strasznie przejęty, bo musieli wysyłać te wszystkie próbki do jakiegoś laboratorium i prowadzić odrębną kartotekę, numerując poszczególnych pracowników i tak dalej. Dlatego miał swoje własne notatki, aby mieć ich uporządkowanych według nazwisk i nie martwić się o numerację.

Siedziałam w wyściełanym suknie fotelu przez ponad godzinę, jedząc stos ciasteczek, i przysłuchiwałam się rozważaniom panny Chigwell o tym, co zrobiłaby, gdyby jej brat się nie odnalazł.

- Zawsze chciałam pojechać do Florencji - mówiła. - Ale zdaje się, że teraz jestem już za stara. Nigdy nie potrafiłam nakłonić Curtisa do podróży za granicę. Podejrzewał, że nabawi się jakiejś strasznej choroby od pożywienia lub wody albo że obcokrajowcy go oszukają.

- Ja też zawsze chciałam pojechać do Florencji. Moja matka pochodziła z małego miasteczka w południowo-wschodniej Toskanii. Tłumaczę się tym, że nigdy nie miałam naraz tylu pieniędzy, aby opłacić przelot. - Pochyliłam się do przodu i dodałam: - Poświęciła pani bratu większość życia. Nie musi pani spędzać reszty, wyczekując w oknie z zapaloną świeczką. Gdybym ja miała siedemdziesiąt dziewięć lat, trochę gotówki i była dobrego zdrowia, to jeszcze zdążyłabym z walizką i paszportem na wieczorny lot z O'Hare.

- Zapewne - przyznała. - Jesteś dzielną dziewczyną. Wkrótce potem pożegnałam się i wróciłam do miasta. Znowu bolały mnie ramiona. Rozmowa z panną Chigwell była ryzykownym pomysłem.

Mogłabym przeprowadzić ją przez telefon, gdyby nie to, że te wizyty sprawiały mi przyjemność, lecz bezowocny rezultat wyprawy w końcu długiego tygodnia zupełnie mnie zniechęcił. Może nadszedł już czas, aby przekazać policji to, co miałam. Próbowałam sobie wyobrazić, jak przedstawiłabym moją historię Bobby'emu:

- Widzisz, oni robili te wszystkie badania krwi swoim pracownikom, a teraz boją się, że ktoś je ujawni i zaskarży do sądu o ukrywanie dowodów, jak bardzo toksyczna jest w rzeczywistości kserksyna.

A Bobby uśmiechnie się pobłaźliwie i powie:

- Wiem, że spodobała ci się ta starsza dama, ale to oczywiste, że żywi niechęć do swego brata po tylu spędzonych z nim latach. Nie brałbym jej zeznań za dobrą monetę. Skąd wiesz, że te dzienniki były jego? Ona ma przecież trochę wiedzy medycznej i mogła je sfalszować, aby wpakować doktora w tarapaty. Wtedy on znika, a ona je ujawnia. Cholera... - Nie, Bobby nie używałby w mojej obecności brzydkich słów. - Hej, Vicki, może mieli ze sobą o jedną sprzeczkę za dużo i łupnęła go w głowę, a potem spanikowała i utopiła ciało w Salt Creek. Następnie zadzwoniła do ciebie z informacją, że zniknął. Jesteś zauroczona staruszką i wierzysz w tę historię w taki sposób, jaki ona ci narzuca.

I kto mógł zaprzeczyć, że tak się nie działo? W każdym razie byłam raczej pewna, że Bobby spojrzałby w ten sposób, zanim uderzyłby w kogoś tak ważnego w Chicago, jak Gustav Humboldt. Mogłabym przekazać całą historię Murrayowi, ale daleki od niechęci w tropieniu Humboldta przedzierałby się przez życiorysy wplątanych w sprawę ludzi, pozostawiając za sobą pas spalonej ziemi niczym generał Sherman. Po prostu nie chciałam dawać mu niczego, co zaprowadziłoby go do Louisy.

Zatrzymałam się pod własnym domem, aby pocieszyć pana Contrerasa po stracie młodego Arta i zobaczyć sukę. Było już zbyt ciemno, abym czuła się pewnie, wychodząc z nią na spacer, ale wyraźnie potęgowała się w niej nerwowość, którą odczuwają aktywne zwierzęta pozbawione odpowiedniej ilości ruchu. Jeszcze jeden powód do rozprawienia się z Humboldtem - aby móc biegać z psem.

Ponownie rozejrzałam się po ulicy wokół, ale nadal wyglądało na to, że nie mam za sobą ogona. W gruncie rzeczy cieszyło mnie to mniej niż bardziej. Może moi koledzy po prostu czekali na Troya i Bagiennego, żeby zastawić pułapkę. Lecz mogli też uznać, że zwyczajne załatwienie

mnie nie wystarczy i zastanawiali się nad czymś bardziej spektakularnym, jak na przykład bomba w samochodzie albo w mieszkaniu Lotty. Na wszelki wypadek zaparkowałam w pewnym oddaleniu od jej domu i przejechałam autobusem z powrotem do Irving Park.

Na obiad zrobiłam frittate z większym powodzeniem niż kurczaka, ponieważ nie była przypalona, ale nie potrafiłam orzec, czy miała jakiś smak. Opowiedziałam Lotty o różnych moich dylematach. O tym, że chciałabym doprowadzić do konfrontacji z Jurshakiem i Humboldtem i wątpliwościach, czy wyjawić Caroline, że znalazłam jej ojca.

Zacisnęła usta.

- Nie potrafię doradzić ci w sprawie Humboldta. Będziesz musiała wymyślić jakiś plan. Ale jeśli chodzi o ojca Caroline, muszę ci powiedzieć na podstawie własnego doświadczenia, że zawsze jest lepiej dla ludzi, kiedy wiedzą. Powiadasz, że to potworna wiadomość, bo taka jest. Ale Caroline nie jest wymoczką. A tobie nie wolno za nią decydować, co może wiedzieć, a czego nie powinna. Jeden powód jest taki, że może odkryć prawdę w daleko straszniejszy sposób przez kogoś innego. A inny powód - ona łatwo potrafi wyobrazić sobie rzeczy, które wydają się jej jeszcze bardziej koszarne. Więc na twoim miejscu powiedziałabym jej wszystko.

To było pełniejsze odzwierciedlenie moich własnych myśli. Kiwnęłam głową.

- Dziękuję, Lotty.

Resztę wieczoru spędziłyśmy w milczeniu. Lotty przegłała poranne gazety. Światło tworzyło małe pryzmaty w połówkach szkieł, które nosiła do czytania. Ja nic nie robiłam. Wydawało mi się, jakby mój mózg zamknięty był w ołowianym pojemniku - w ochronnej kapsule broniącej dostępu wszelkim myślom, pozostałościom mojego strachu. Nieustannie kąsałam wielkiego rekina, ale bałam się znaleźć harpun i zaatakować go wprost. Nie mogłam znieść myśli, że on potrafił mnie zastraszyć, a w odpowiedzi nie tryskałam strumieniem pomysłów.

Okolo dziewiątej telefon wyrwał mnie z ponurych rozważań. Ktoś z personelu Beth Israel nie był pewny, jak postąpić z pacjentem Lotty. Rozmawiała przez chwilę, a potem zdecydowała, że lepiej będzie, jak sama tego dopilnuje, i wyszła.

Wczoraj robiąc zakupy, włożyłam do koszyka butelkę whisky. W jakieś pół godziny po wyjściu Lotty nalałam sobie drinka i próbowałam zainteresować się telewizyjną ramotą z Johnem Wayne'em.

Kiedy koło dziesiątej znowu zadzwonił telefon, wyłączyłam telewizor, sądząc, że to mógł być

jeden z pacjentów Lotty.

- Mieszkanie doktor Herschel.

- Szukam kobiety o nazwisku Warszawski. - Był to męski głos, zimny, obojętny. Ostatni raz słyszałam go, jak mówił mi, że taki się jeszcze nie narodził, co potrafiłby pływać w bagnie.

- Jeśli się z nią zobaczę, miło mi będzie przekazać wiadomość - powiedziałam z takim spokojem, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć.

- Może ją pani zapytać, czy zna Louise Djiak - zimny głos ciągnął beznamiętnie.

- A jeśli zna? - zapytałam z drzeniem mimo desperackich wysiłków, aby się kontrolować.

- Louisa Djiak nie ma już przed sobą długiego życia. Mogłaby umrzeć w domu, w swoim własnym łóżku. Albo mogłaby zniknąć w lagunach za fabryką Xerxes. Pani przyjaciółka, Warszawski, może dokonać wyboru. Louisa jest teraz w Xerxesie. Głęboko usypiona. Wszystko, co musi pani zrobić - wszystko, co ma pani przekazać swojej przyjaciółce Warszawski - to, aby przyjechała tutaj i jej się przyjrzała. Jeśli tak zrobi, Djiak obudzi się jutro w swoim łóżku, nie wiedząc nawet, że je w ogóle opuszczała. Ale jeżeli pojawi się tu razem z policją, to chcąc wyprawić przyjaciółce chrześcijański pochówek będzie musiała znaleźć jakiegoś pletwonurka, który lubi pływać się w kserksynie. - W słuchawce zaległa cisza.

Zmarnowałam parę minut na jałowe samooskarżenia. Byłam tak skupiona na sobie, na mojej bliskości z Lotty, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż Louisa może być w niebezpieczeństwie. Pomimo że powiedziałam Jurshakowi, iż znam jego sekret. Gdyby ją i mnie zlikwidowano, nie pozostałby nikt, kto mógłby o tym mówić, a on byłby bezpieczny.

Zmusiłam się do chłodnej kalkulacji - przeklinanie siebie nie tylko zabierało czas, ale też zaciemniało trzeźwy osąd. Teraz musiałam się ruszyć - mogłam poczekać z wymyśleniem jakiejś błyskotliwej strategii na czas długiej jazdy na południe. Załadowałam drugi magazynek, wetknęłam go do kieszeni kurtki, a potem skrobnęłam kartkę do Lotty. Zdumiona byłam widokiem swego pisma, jak czerni się w takich samych zamasztych pociągnięciach co zazwyczaj.

Zamykałam właśnie drzwi Lotty, kiedy przypomniałam sobie podstęp, którym parę dni temu wywabiono z naszego domu pana Contrerasa. Nie chciałam wpaść w pułapkę. Wróciłam do mieszkania, aby upewnić się, że Louisy rzeczywiście nie było w domku przy Houston. Na telefon nikt nie odpowiadał. Po kilku gorączkowych rozmowach - pierwszą odbyłam z panią Cleghorn, aby uzyskać nazwiska i numery paru innych ludzi ze SCRAP-u- dowiedziałam się, że Caroline

wróciła do biura około czwartej. Siedziała teraz z paroma prawnikami z EPA w mieście i zanosilo się na całonocną imprezę.

Kobieta, z którą rozmawiałam, miała numer telefonu do ludzi mieszkających w dawnym domu moich rodziców, małżeństwa o nazwisku Santiago. Caroline na wszelki wypadek dała ich numer każdemu, z kim pracowała. Kiedy tam zadzwoniłam, pani Santiago usłownie poinformowała mnie, że około ósmej trzydzieści Louisa została zabrana przez ambulans. Podziękowałam jej mechanicznie i odłożyłam słuchawkę.

Minęło prawie pół godziny od chwili otrzymania wiadomości. Czas, by się ruszyć. Chciałam, aby ktoś mi towarzyszył w tej wyprawie, ale zabieranie z sobą pana Contrerasa byłoby absurdalne - tak ze względu na niego, jak i na Louise. Myślałam o przyjaciółach, o policji, o Murrayu, ale nie znalazł się nikt, kogo mogłabym poprosić, aby narażał się ze mną na takie niebezpieczeństwo.

Rozejrzałam się uważnie po klatce schodowej. Ktoś wiedział, że jestem u Lotty. Mogli wybrać najprostszy sposób i zwyczajnie zastrzelić mnie, kiedy będę schodzić w dół. Przesuwałam się skulona z plecami przy ścianie. Zamiast pójść do frontowych drzwi, zesłam do piwnicy. Ostrożnie przebrnęłam ciemne wnętrze, przebierając nerwowo w pęku kluczy Lotty w poszukiwaniu tego jednego, który otwierał podwójny zamek piwnicznych drzwi na zewnątrz. Przeszłam piechotą do Irving Park Road.

Autobus zajechał, jak tylko doszłam do głównej ulicy.

Sięgnęłam do kieszeni, aby wygrzebać żeton spod zapasowego magazynka i w końcu wydobyłam jeden, bez konieczności demonstrowania mojego arsenału całemu światu. Przejechałam osiem kwartałów wzdłuż Irving Park na stojąco, nie widząc ani pasażerów, ani wieczoru za oknem. Wskoczyłam przy Ashland i znalazłam swój samochód.

Rzęzący diesel autobusu stworzył hałaśliwe tło, które potrzebne mi było do zupełnego rozluźnienia się i uruchomienia przepływu myśli. Jeśli po Louise przyjechał ambulans, jeśli była zupełnie uśpiona, to musieli mieć jakiegoś lekarza. I istniała tylko jedna ewentualność, kim mógł być lekarz gotów do wzięcia udziału w tak haniebnym procederze. A więc była też jedna osoba, która dzieliła moje zaangażowanie, i poproszenie jej o wzięcie udziału w tej ryzykownej wyprawie nie byłoby przestępstwem. Po raz drugi dzisiaj wyruszyłam przez Eisenhower do Hinsdale.

ROZDZIAŁ 38

Toksyczny szok

Welony mgły unosiły się znad rowów melioracyjnych i pokrywały szosę smugami, które sprawiały, że inne samochody jawiły się tylko jak ukłucia czerwieni. Utrzymywałam wskazówkę szybkościomierza na stu trzydziestu, mimo że gęsta mgła ograniczała widoczność. Chevy wibrował głośno, uniemożliwiając rozmowę. Od czasu do czasu odkręcałam boczną szybę i wystawiałam rękę, aby sprawdzić mocowanie lin. Obluzowały się lekko, ale ponton trzymał się na dachu.

Zjechałyśmy z autostrady przy Sto Dwudziestej Siódmej i ruszyłyśmy na wschód. Brakowało nam około trzynastu kilometrów do Xerxesa, ale tak daleko na południu żadna z autostrad nie łączy wschodniej i zachodniej części Chicago.

Zbliżała się północ. Strach i niecierpliwość zawładnęły mną tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Całą siłą woli skupiałam się na samochodzie i manewrowaniu wśród innych pojazdów, przeskakiwaniu przez skrzyżowania na zmieniających się światłach, wypatrywaniu przejeżdżających patroli policyjnych, kiedy jechałam osiemdziesiątką przez strefy z ograniczeniem do pięćdziesięciu. W czternaście minut po zjechaniu z autostrady skręcałyśmy na północ w małą dróżkę, na wysokości której zaczyna się Stony Island.

Byłyśmy teraz na prywatnym terenie przemysłowym, ale nie mogłam wyłączyć świateł na szlaku pełnym kolein i potłuczonego szkła. Wybrałam zrujnowaną z wyglądu fabrykę w nadziei, że nie natkniemy się na nocnego stróża albo psa. Podjechałyśmy do wielkiej barki służącej do przewozu cementu. Spojrzałam na pannę Chigwell. Skinęła głową z zawziętą miną.

Otworzyłyśmy drzwi samochodu, starając się poruszać spokojnie, skupione na szybkości działań. Panna Chigwell trzymała mocno ręczną latarkę, a ja przecinałam liny. Na masce samochodu rozpostarła koc, abym mogła zsunąć ponton możliwie bezgłośnie, a potem zepchnąć w stronę barki. Panna Chigwell szła za mną, niosąc latarkę i wiosła.

Barka była zacumowana obok stalowych szczebli wtopionych w betonową ścianę. Spuściłyśmy ponton na wodę. Ja trzymałam cumę, a panna Chigwell sprawnie zeszła w dół po drabinie. Szybko ruszyłam jej śladem.

Chwyciliśmy za wiosła. Mimo swego wieku starszka pracowała mocnymi, pewnymi pociągnięciami. Dostosowywałam się do niej, próbując zapomnieć o bólu, który zaczynał rwać w podleczonej ramionach. Panna Chigwell wiosłowała obiema rękami, więc ja wzięłam latarkę. Trzymałyśmy się lewego brzegu; co jakiś czas zapalałam światełko, aby omijać barki i kontrolować napisy na pochylniach, obok których przepływałyśmy. Brzeg rzeki był od dawien dawna obetonowany. Nazwy firm wymalowano wielkimi literami obok stalowych drabin prowadzących do zatok przeładunkowych.

Noc była spokojna, a ciszę zakłócał jedynie delikatny plusk naszych wiosł uderzających o powierzchnię wody. Ale gęsta mgła unosząca w sobie rzeczne wyziewy była cierpkim przypomnieniem przemysłowego labiryntu, przez który przepływałyśmy. Od czasu do czasu snop światła przedzierał się przez tuman i oświetlał gigantyczne stalowe rury, barki, dźwigary. Byłyśmy jedynymi ludzkimi stworzeniami na rzece, Ewą i jej matką w groteskowej karykaturze Edenu.

Kierowałyśmy się na północ, mijając nabrzeże Glow-Rite, hut, elektrowni, drukarni, fabryk narzędzi i pił i przemykając obok ciężkich barek. W końcu mała latarka panny Chigwell wydobyła z ciemności podwójne X i wielką koronę połyskującą czarno we mgle.

Złożyłyśmy wiosła. Spojrzałam na zegarek. W dwanaście minut przepłynęłyśmy prawie kilometr. Miałam wrażenie, że trwało to znacznie dłużej. Chwyciłam za stalowy szczebel i ostrożnie przyciągnęłam ponton. Panna Chigwell zręcznie zawiązała cumę. Serce waliło mi tak mocno, że niemal się dławiałam, ale ona wyglądała na absolutnie spokojną.

Naciągnęłyśmy nisko na czoła ciemne czapki. Krótco uścisnęłyśmy sobie dłonie, a mocny chwyt panny Chigwell ujawniał to, co ukrywała beznamiętna twarz. Wskazałam na zegarek nerwowym ruchem, a ona skinęła spokojnie głową.

Wyjawszy broń, odbezpieczyłam ją i wdrapałam się po drabinie. Na prawej dłoni nie miałam rękawiczki, aby czuć spust mojego smitha & wesson. Na samej górze przystanąłam, ostrożnie wysunęłam głowę w ciemnej czapce tyle tylko, aby sięgnąć wzrokiem ponad krawędź. Gdybym krzyknęła, panna Chigwell miała wrócić jak najprędzej do samochodu i podnieść alarm.

Znajdowałam się na tyłach fabryki przy betonowej platformie, do której podczas ostatniego mojego pobytu tutaj przycumowana była barka. Dzisiejszej nocy stalowe wrota otaczające stację przeładunkową były zasunięte i pozamykane na kłódki. Dwa reflektory na rogach budynku rozpraszały mglisty mrok. Na tyle, na ile potrafiłam to stwierdzić, nikt nie oczekiwał na nasze

przybycie od strony rzeki.

Wysunęłam rękę z bronią na wierzch rampy i trzymając przed sobą smitha & wessona, dźwignęłam się w górę. Przetoczyłam się po betonie i znieruchomiałam, licząc do sześćdziesięciu. To był sygnał dla panny Chigwell do rozpoczęcia wspinaczki. Kiedy jej głowa wychynęła zza krawędzi, przyzwyczaiłam się już do ciemności - z oddali nikt nie potrafiłby nas dostrzec. Odczekała kolejne liczenie do dwudziestu i przyłączyła się do mnie.

Stalowe wrota tonęły w cieniu rzucanym przez wystający dach. Podeszliśmy do bramy, starając się jej nie dotykać - odgłos uderzenia o blachę mógł w głuchej ciszy zawibrować jak kapela rastamanów. Przed nami światła reflektorów zmieniały mgłę w grubą kurtynę. Wykorzystując jej draperie do osłony, powoli ruszyliśmy w stronę północnego rogu fabryki, za którym znajdowały się laguny otoczone gliniastymi wałami. Panna Chigwell poruszała się w milczeniu, do którego nawykła, grając przez całe życie rolę kobiety drugiego planu.

Kiedy obeszliśmy narożnik, otoczyła nas gęstsza mgła i bardziej smrodliwe zapachy. Na lagunach nie paliło się żadne światło. Czuliśmy ich ostrą woń z prawej strony, ale nie ośmieliliśmy się użyć latarki. Panna Chigwell trzymała się blisko mnie. Niosła tłumik. Słyszałam w ciemności za sobą jej koci chód. Po całej wieczności stawiania ostrożnych kroków, powolnym przechodzeniu przez koleiny, omijaniu kawałków złomu, dobrnęliśmy do przedniego krańca fabryki.

Mgła była tu rzadsza. Przykucnęliśmy za jakimiś stalowymi kotłami, rozglądając się ostrożnie dookoła. Przy bramie wjazdowej na placu palił się pojedyncze światełko. Po długiej chwili wypatrywania zdołałam odróżnić sylwetkę mężczyzny pilnującego wjazdu. Strażnik albo czujka. Ambulans stał na środku placu. Szkoda, że nie wiedziałam, czy Louisa wciąż jeszcze w nim trzymano.

- Czy ona w końcu się pokaże, czy nie?

Nieoczekiwany głos tuż obok po lewej zaskoczył mnie tak bardzo, że niemal uderzyłam o stalowy kocioł. Oprzytomniałam, trzęsąc się i próbując uspokoić oddech. Obok mnie panna Chigwell pozostała tak niewzruszona jak zawsze.

- Minęło trochę ponad dwie godziny. Damy jej czas do pierwszej. Potem musimy zdecydować, co dalej z tą Djiakową - Ten drugi głos należał do mojego anonimowego telefonicznego rozmówcy.

- Będzie musiała pójść w lagunę. Nie możemy sobie pozwolić na zostawienie nowych śladów.

Teraz, kiedy serce biło mi mniej zgiełkowym rytmem, rozpoznałam pierwszego osobnika. To Art Jurshak okazywał silne uczucia rodzinne wobec swojej siostrzenicy.

- Tak, ty nie możesz sobie pozwolić. - Drugi głos przemawiał ze zwykłym sobie bezosobowym chłodem. - Ta kobieta i tak niedługo umrze. Każemy doktorowi dać jej małą szprycę i odwieziemy do domu. Jej córka uzna, że umarła w nocy.

Na wzmiankę o doktorze panna Chigwell lekko zadrżała.

- Głupstwa opowiadasz - stwierdził rozszoszczony Art. - Jak chcesz ją przywieźć z powrotem do domu, żeby nie zauważyła cię córka? Zresztą ona i tak się zorientuje, że matka zniknęła - do tej pory na pewno zdążyła podnieść krzyk na całą okolicę. Lepiej po prostu utopić ją tutaj, a na tę Warszawski zastawić pułapkę gdzie indziej. Najlepiej by było, gdyby obie zniknęły.

- Zrobię to dla ciebie - odparł obojętnie zimny głos. - Załatwię je, załatwię też córkę, jak chcesz. Ale nie mogę tego wykonać, jeżeli nie dowiem się, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy. To nie byłoby etyczne. - Tego ostatniego słowa użył bez cienia ironii.

- Idź w cholere, sam zadbam o swoje sprawy - mruknął Art rozwścieczony.

- W porządku - i drugi głos był zirytowany. - I tak, i tak dla mnie w porządku. Powiesz mi, co one wiedzą, i dostanę swoje albo zabijesz je sam i też dostanę swoje. Dla mnie absolutnie bez różnicy.

Przez chwilę Jurshak milczał.

- Lepiej zobaczę, jak radzi sobie doktor.

Odgłos jego kroków odbił się echem i ucichł. Jurshak wszedł do środka. A więc Louisy nie było w ambulansie. Zapewne jeden z kompanów osobnika o zimnym głosie czekał w jego wnętrzu zamiast Louisy - postawili pojazd na placu, abym skusiła się na podejście wprost do niego.

Jak ominąć człowieka stojącego przy wejściu? Gdybym wysłała pannę Chigwell na przynętę, byłaby to martwa przynęta. Zastanawiałam się właśnie, czy mogłybyśmy wyważyć gdzieś z boku drzwi albo okno, kiedy problem sam się rozwiązał. Strażnik przeszedł spacerkiem na środek placu i przystanął stukając w tylne drzwi ambulansu. Gdy uchyliły się lekko, zaczął rozmawiać z kimś przez szparę.

Klepnęłam pannę Chigwell w ramię. Wstała razem ze mną i powoli cofnęłyśmy się bokiem w cień rzucany przez ścianę. Drzwi ambulansu zatrzęsły się znowu i człowiek o zimnym głosie powędrował w stronę bramy wjazdowej. Kiedy tylko zniknął za pojazdem, pochyliłam się nisko i

wyskoczyłam sprintem zza rogu do fabrycznego wejścia. Z tyłu dochodził mnie odgłos lekkich kroków panny Chigwell. Ambulans osłaniał nas przed wzrokiem strażnika przy bramie i dostałyśmy się do wnętrza, nie słysząc żadnych alarmujących okrzyków.

Byłyśmy w betonowym przedsiönku hali fabrycznej. Odsuwana stalowa kurtyna, która oddzielała teren produkcyjny od głównego wejścia, była zamknięta, ale znajdujące się obok drzwi o normalnych wymiarach stały otwarte na oścież. Szybko wbiegłyśmy do środka, zamykając je za sobą, i znalazłyśmy się w hali.

Stapałyśmy na palcach, chociaż hałasy wokół zagłuszyłyby każdy wydany przez nas dźwięk. Z rur dobywały się nieregularne czknięcia, a kotły bulgotały złowrogo w mętnej poświacie zielonych lampek kontrolnych. Tę scenerię wymyślił Fritz Lang. Obecnie mogłybyśmy dokończyć jego dzieła, sprowadzając tylko kamerzystów i aktorów. Spadła na mnie kropla jakiejś cieczy i podskoczyłam przerażona w przeświadczeniu, że zostałam otruta toksyczną dawką kserksyny.

Zerknęłam na pannę Chigwell. Patrzyła prosto przed siebie, traktując kapanie z góry tak obojętnie, jak obsceniczne graffiti nabazgrane na wielkich planszach „Palenie wzbronione”. Nagle z trudem powstrzymała się od krzyku. Poszłam za jej wzrokiem skierowanym na drugi koniec hali. Leżała tam na wózku Louisa. Po jednej stronie stał doktor Chigwell, po drugiej Art Jurshak. Obaj wpatrywali się w nas z rozdziawionymi gębami.

Doktor Chigwell pierwszy odzyskał głos.

- Clio! Co ty tutaj robisz?

Z pasją ruszyła naprzód. Chwyciłam ją za ramię, aby zatrzymać poza zasięgiem Jurshaka.

- Przyszłam cię odszukać, Curtis. - Jej głos był ostry i przebijał się doniosłe przez syk świszczących rur. - Wdałeś się w towarzystwo jakichś nieprzyzwoitych ludzi. Przypuszczam, że spędziłeś z nimi cały tydzień. Nie wiem, co powiedziałby ojciec, gdyby widział cię tutaj, ale myślę, że czas najwyższy, byś wracał do domu. Pomożemy pannie Warshawski zanieść tę biedną schorowaną kobietę z powrotem do ambulansu, a potem ty i ja wracamy do Hinsdale.

Wycelowałam pistolet w Artę. Twarz miał oblaną potem, ale odezwał się wojowniczo:

- Nie możesz strzelać. Chigwell ma dla Louisy gotową strzykawkę. Jak mnie zastrzelisz, jej śmierć jest pewna.

- Jestem pod wrażeniem twoich rodzinnych uczuć, Art. Jeśli widzisz swą siostrzenicę pierwszy raz od dwudziestu siedmiu lat, twoja reakcja wzruszyłaby do łez nawet Klause Barbie.

Art wykonał gwałtowny gest. Próbował na mnie krzyknąć, ale splot okoliczności - przypomnienie dawno zapomnianej winy kazirodztwa, obawa, że wyjdzie ona na jaw, wściekłość, że widzi mnie żywą - nie pozwolił mu powiedzieć niczego sensownego.

- Czy ta kobieta jest jego siostrzenica? - Panna Chigwell zażądała ode mnie odpowiedzi.

- Tak, bez wątpienia - powiedziałam głośno. - Jej związki z tobą są nawet bliższe, prawda, Art?

- Curtis, nie pozwolę ci zabić tej nieszczęsnej kobiety. A skoro ona jest siostrzenicą twego przyjaciela, to zupełnie nie do pomyślenia, abyś to zrobił. To byłoby nieetyczne i absolutnie niegodne ciebie jako dziedzica ojcowskiej praktyki.

Chigwell spozrzał strapiiony na siostrę. Skurczył się w swym płaszczu, a ręce zwisły luźno po bokach. Gdybym teraz zaczęła działać, nic nie zrobiłby Louisie.

Spinałam się do skoku na Arta, kiedy zobaczyłam, jak frustracja na jego twarzy ustępuje złowrogiej minie - obserwował kogoś, kto podchodził do nas z tyłu.

Bez oglądania się za siebie, porwałam pannę Chigwell i potoczyłam się z nią za najbliższy kocioł. Podniósłszy wzrok, zobaczyłam mężczyznę w ciemnym płaszczu, jak sunie do miejsca, gdzie stałyśmy. Znałam jego twarz - widziałam ją w telewizji albo w gazetach, albo w sądzie, kiedy byłam obrońcą z urzędu - nie mogłam jej właściwie zlokalizować.

- Gdzie ty, kurwa, chodzisz, Dresberg - warknął Jurshak. - Po pierwsze, dlaczego wpuściłeś tutaj tę dziwkę Warshawski?

Oczywiście. Steve Dresberg. Król Śmieci. Wszchemocny zabójca małych muszek brzęczących wokół jego śmierdzącego imperium.

Przemówił zimnym, obojętnym głosem, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie.

- Musiała wczolgać się pod przeciętym ogrodzeniem i wejść, kiedy rozmawiałem z chłopcami. Każę im zaopiekować się jej samochodem, kiedy załatwimy tutaj sprawę.

- Jeszcze niczego tutaj nie załatwiliśmy, Dresberg - ogłosiłam z mojego kącika. - Sukcesy uderzyły ci do głowy, stałeś się nieostrożny. Nie powinienes próbować zabić mnie w ten sam sposób, co Nancy. Robisz się miękki, Dresberg. Jesteś skończony.

Moje szyderstwa nie poruszyły go. Był zawodowcem, mimo wszystko. Wyciągnął lewą rękę z kieszeni płaszcza i wycelował duży pistolet - może kolta 358 - w Louise.

- Wychodź teraz, panienko, albo twoja schorowana przyjaciółka umrze kilka miesięcy przed terminem. - Nie patrzył w moim kierunku - byłam zbyt mało ważna, aby zwracać na mnie

bezpośrednio uwagę.

- Słuchałam ciebie i Arta na zewnątrz - krzyknęłam. - Obaj uznaliście, że i tak jest już po niej. Więc lepiej będzie, jak wezmiesz się za mnie, bo jeśli strzelisz do Louisy, to zrobię z ciebie padlinę.

Obrócił się tak szybko, że nie zdążyłam paść na ziemię, gdy wystrzelił. Kula przeszła bokiem, a huk zadudnił w ogromnej hali. Panna Chigwell skuliła się, twarz miała pobladłą, lecz zachowała groźną minę. Wyjęła z kieszeni swetra pęk kluczy. Przesunęła się na jedną stronę naszego ochronnego kotła, a ja na drugą. Kiedy dałam jej znak, wyskoczyła i cisnęła klucze w twarz Dresberga.

W tym momencie wypalił. Kątem oka widziałam, jak panna Chigwell pada. Nie mogłam teraz do niej podejść. Wyskoczyłam zza kotła i strzeliłam. Pierwsza kula chybiła, ale kiedy Dresberg odwrócił się do mnie twarzą, trafiłam go dwukrotnie w pierś. Padając, wypalił jeszcze dwa razy.

Podbiegłam do niego i z całą siłą rzuciłam się na uzbrojone ramię. Jego palce rozluźniły chwyt rewolweru. Jurshak ruszył w moim kierunku, licząc, że uda mu się wyrwać broń Dresberga, zanim ją dostanę. Opanowała mnie furia zatykająca oddech i zasnuwająca oczy mgłą. Strzeliłam Jurshakowi w pierś. Wydał z siebie wściekły okrzyk i upadł mi pod nogi.

W trakcie całej rozróby Chigwell stał obok noszy Louisy, z rękami obwisłymi wzdłuż ciała i głową wciśniętą w kołnierz płaszcza. Podeszłam do niego i uderzyłam go w twarz. Początkowo chciałam go po prostu obudzić z odrętwienia, ale wściekłość pożerała mnie tak bardzo, że okładałam go raz po razie, krzycząc, że był zdrajcą własnej przysięgi, nędzną wszą, i biłam go, biłam, jeszcze i jeszcze. Mogło to tak trwać, aż jego ciało znalazłoby się na ziemi obok Jurshaka i Dresberga, ale jak w malignie poczułam szarpnięcie za ramię.

To panna Chigwell podeszła do mnie chwiejnym krokiem, pozostawiając za sobą na brudnym betonie krwawy ślad.

- On jest tym wszystkim, panno Warszawski. Tym wszystkim i jeszcze gorzej. Ale niech go pani zostawi. Jest stary i w tym wieku już się chyba nie zmieni.

Potrząsnęłam głową, wyczerpana i ogarnięta obrzydzeniem. Robiło mi się niedobrze od fabrycznego smrodu, od plugawości tych ludzi, od mojej własnej niszczącej furii. Mdliło mnie coraz bardziej; uskokczyłam za kocioł, aby zwymiotować. Wycierając twarz chusteczką, wróciłam do panny Chigwell. Kula drasnęła jej ramię, pozostawiając krwawą szramę na osmalonej skórze, lecz rana nie była głęboka. Poczułam lekki przyływ ulgi.

- Musimy dostać się do biura, gdzieś, gdzie możemy być bezpieczni i skąd można wezwać policję. Na zewnątrz jest przynajmniej trzech innych, a pani i mnie wystarczy już na dzisiaj bandziorów. Musimy prędko stąd iść, zanim zaniepokoją się o Dresberga i przyjdą go szukać. Czy wytrzyma pani jeszcze trochę?

Skinęła dzielnie głową i pomogła mi nakłonić brata, aby wskazał nam drogę do swego dawnego biura. Pchałam za nimi Louise na wózku. Nadal żyła, słychać było jej płytki urywany oddech.

Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie za zamkniętymi drzwiami, przeniosłam Louise do małego pokoju przyjęć znajdującego się obok. Resztką sił przysunęłam ciężkie metalowe biurko pod drzwi. Opadłam na podłogę i ściągnęłam na dół telefon.

- Bobby? To ja. Przepraszam, że cię budzę, ale potrzebuję twojej pomocy. Bardzo poważnej i bardzo pilnej. - Wyjaśniłam, co się wydarzyło, tak jasno, jak tylko potrafiłam. Trzeba było jednak paru podejść, aby mnie zrozumiał, ale nawet wtedy pozostał sceptyczny. - Bobby! - Głos mi się załamał. - Musisz przyjechać. Mam tu staruszkę z raną od kuli i Louise Djiak z jakimś wstrzykniętym świństwem oraz trzech zbirów krążących na zewnątrz. Potrzebuję cię.

Moja udręka wreszcie do niego przemówiła. Wysłuchał wskazówek, jak dojechać do fabryki, i rozłączył się, zanim zdołałam cokolwiek jeszcze powiedzieć.

Siedziałam przez chwilę z twarzą w dłoniach, nie pragnąc niczego więcej, jak tylko położyć się na ziemi i płakać. Zamiast tego zmusiłam się do wstania i wymieniłam na wpół zużyty magazynek na pełny.

Chigwell zabrał siostrę do pokoiku przyjęć, aby opatrzyć jej ramię. Weszłam tam, aby spojrzeć na Louise. Kiedy nad nią stanęłam, zamrugła powiekami.

- Gabriella? - odezwała się chrapliwie. - Gabriella. Wiedziałam, że nie zapomnisz o mnie w kłopotach.

ROZDZIAŁ 39

Oczyszczanie fabryki

Przytrzymywana za rękę Louisa zapadła z powrotem w sen. Kiedy rozluźniła słaby uścisk, zwróciłam się do Chigwella i ostro zapytałam, co jej wstrzyknął.

- Tylko... tylko środek nasenny - odpowiedział, oblizując nerwowo usta. - Tylko morfinę. Będzie spała prawie cały dzień, to wszystko.

Ze swego miejsca za biurkiem panna Chigwell zmierzyła go wzrokiem pełnym pogardy, lecz wyglądała na zbyt wyczerpaną, aby wyrazić swe uczucia słowami. Przygotowałam dla niej posłanie w pokoju przyjęć, ale należała do pokolenia o zbyt surowych obyczajach, aby pobzyć się w obecności innych. Zamiast tego siedziała wyprostowana, z pobladłą twarzą, na starym biurowym krześle i ze znużenia opadały jej powieki.

Zmęczenie pomieszane z napięciem oczekiwania wprowadzało mnie w stan nerwowej irytacji. Nieustannie sprawdzałam barykadę, wychodziłam do pokoju przyjęć posłuchać płytkiego, sapiącego oddechu Louisy i wracałam do biura, aby spojrzeć na pannę Chigwell.

W końcu dobrałam się do doktora, wkładając całą gasnącą energię w próbę wydobywania od niego zeznań. Była to krótka, mało budująca opowieść. Prowadził przez tyle lat badania krwi w Xerxesie, że zdążył zapomnieć o jednym drobnym szczególe: nie dzielił się z pacjentami swym podejrzeniem, że mogą zapadać na choroby. Kiedy pojawiłam się, pytając o Pankowskiego i Ferraro, przestraszył się. A gdy stanęli przed nim reporterzy Murraya, przeraził się na dobre. Co będzie, jeśli prawda wyjdzie na jaw? Oznaczałoby to nie tylko procesy o sprzeniewierzenie się zasadom lekarskim, ale straszliwe upokorzenie wobec Clio - nigdy nie pozwoliłaby mu zapomnieć, że nie osiągnął wzoru ich ojca. Ten komentarz wzbudził we mnie odruch sympatii - surowe zasady moralne jego siostry musiały być na co dzień piekłem.

Kiedy nie powiodła się próba samobójstwa, nie wiedział, co dalej począć. Wtedy zadzwonił Jurshak - Chigwell znał go z czasów, kiedy pracował w South Chicago. Gdyby Chigwell zechciał oddać im małą przysługę, to oni zatuszowaliby wszystkie dowody świadczące przeciwko niemu.

Nie miał wyboru, mamrotał do mnie, nie do siostry. Kiedy dowiedział się, że wszystko, czego

oczekiwali od niego, to wstrzyknięcie Louisie Djiak silnego środka nasennego i opieka nad nią przez parę godzin pobytu w fabryce, o chocz na to przystał. Nie pytałam go, co myślał o posunięciu się jeden krok dalej i zaaplikowaniu jej dawki śmiertelnej.

- Ale dlaczego? - dopytywałam się. - Dlaczego od początku wdał się pan w te szarady, skoro nie zamierzał pan podać pracownikom wyników badań?

- Humboldt mi zakazał - wymamrotał, wpatrując się w swoje dłonie.

- Tego mogłam się domyślać - warknęłam. - Ale dlaczego, na Boga, zakazał?

- To... eee... to związane było z ubezpieczeniami - wybąkał ze ściśniętym gardłem.

- Wyduś to z siebie, Curtis. Nie wyjdiesz stąd, dopóki się nie dowiem, więc gadaj i załatwmy to.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na siostrę, ale ona siedziała pobladła i nieporuszona, pogrążona w półśnie z wyczerpania.

- Ubezpieczenia - ponagliłam.

- Obserwowaliśmy - Humboldt wiedział o tym - zbyt wielką liczbę skarg zdrowotnych, zbyt wielu ludzi otrzymywało zwolnienia lekarskie. Najpierw zaczęły rosnać nam stawki ubezpieczeniowe, potem rzucił nas Ajax i musieliśmy poszukać nowej firmy. Zrobili ekspertyzę i powiedzieli nam, że nasze żądania są wygórowane.

Z wrażenia otworzyłam usta.

- Więc kazaliście Jurshakowi zostać powiernikiem, żeby przeinaczał dane dla wykazania innej firmie, że ubezpieczanie was nie niesie z sobą żadnego ryzyka?

- To był tylko sposób zyskania na czasie, dopóki nie mogliśmy ustalić, na czym polega problem i jak go usunąć. Wtedy właśnie rozpoczęliśmy przeprowadzanie testów krwi.

- A co się działo z rekompensatami dla pracowników?

- Nic. Żadna z tych chorób nie podlegała odszkodowaniom.

- Ponieważ nie były związane z pracą? - Skronie pulsowały mi z wysiłku podążania za jego pokrętnym wywodem. - Ale przecież były. Udowadniał pan to wszystkimi wynikami badań krwi.

- W żadnym wypadku, młoda panno. - Przez chwilę wrócił do swej pompatycznej manieri. - Te dane nie określały wypadkowości. Pozwalały nam jedynie planować wydatki na opiekę lekarską i określać przypuszczalną wymianę siły roboczej.

Byłam zbyt wstrząśnięta, aby mówić. Wypowiedział te słowa tak gładko, że musiały padać

setki razy na zebraniach zarządu lub naradach dyrekcji. Zobaczymy, jaki będzie koszt naszej siły roboczej, skoro wiemy, że X procent naszych pracowników będzie chorych przez Y roboczogodzin. Przeliczanie różnych wariantów kosztów na papierze było nudnym zajęciem przed nastaniem komputerów. Wtedy ktoś wpadł na świetny pomysł - zbierzmy konkretne dane lekarskie i będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

Potworność całej zasady obudziła we mnie mordercze instynkty. Chrapliwy oddech Louisy w sąsiednim pokoju rozpałał tylko moją furię. Miałam ochotę zastrzelić Chigwella, tak jak siedział, a potem pojechać do miasta i ukatrupić Humboldta. Tego sukinsyna. Tego cynicznego, zwyrodniałego mordercę. Gniew miotał mną falami, doprowadzając do szlochów.

- A zatem nikt nie otrzymał należnego odszkodowania za utratę życia lub zdrowia tylko dlatego, że kilku facetów chciało zaoszczędzić trochę nędznych, głupich dolarów.

- Paru dostało - wymamrotał Chigwell. - Wystarczająco dużo, żeby powstrzymać nieodpowiednich ludzi od zadawania pytań. Ta kobieta tutaj dostała. Jurshak powiedział, że znał jej rodzinę, więc czuł się zobowiązany do opieki nad nią.

Słyszając to, pomyślałam, że naprawdę gotowa jestem popełnić morderstwo, ale przyciągnął moją uwagę ruch panny Chigwell. Jej wychudła twarz była niezmienną, ale najwyraźniej słuchała naszej rozmowy mimo pozornego odrętwienia. Próbowwała zatrzymać mnie gestem ręki, ale było to ponad jej siły. Zamiast tego przemówiła z groźbą w głosie.

- To, co opisujesz, jest zbyt ohydne, aby o tym dyskutować, Curtis. Jutro porozmawiamy o naszych układach. Po tym wszystkim nie możemy już dłużej ze sobą mieszkać.

Znowu oklapł, kurcząc się w sobie bez słowa. Zapewne nie potrafił myśleć o niczym innym poza dzisiejszymi wydarzeniami oraz groźbą aresztu i więzienia. Być może jeszcze inne obawy przyczyniały się do powstania szarej obwódki wokół jego ust, ale nie podejrzewałam go o posiadanie dostatecznej wyobraźni, aby uzmysłowić sobie, w czym naprawdę uczestniczył jako lekarz w Xerxesie. Może wykopanie na bruk przez siostrę, która zawsze go chroniła, będzie wystarczającą karą - może to dotknie go bardziej niż wszystko, co ja mogłam zrobić.

Wróciłam wyczerpana do pokoju przyjęć, aby spojrzeć na Louise. Jej płytki oddech wydawał się niezmienny. Mamrotała przez sen coś o Caroline, ale nie mogłam zrozumieć co.

Wtedy właśnie zaczęła się strzelanina. Spojrzałam na zegarek: trzydzieści osiem minut po telefonie do Bobby'ego. To musiała być policja. Musiała. Spięłam moje obolałe ramiona do

działania, odsuwając biurko spod drzwi. Kazałam mojej trzodzie zostać na miejscu, wyłączyłam światło i skradając się wróciłam do hali. Minęło kolejnych pięć minut i cały teren zappełnił się niebieskimi mundurami. Wysłałam zza zasłony jednego z kotłów, aby pogadać z chłopakami.

Potrwało dłuższą chwilę, zanim sprawy się wyjaśniły - kim byłam, dlaczego radny leżał w kałuży krwi obok Steve'a Dresberga na fabrycznej posadzce, co robili tu Louisa Djiak i Chigwellowie. Wiadomo - cały ten kram.

Kiedy o trzeciej pojawił się Bobby Mallory, zaczęliśmy radzić sobie szybciej. Przez jakieś trzydzieści sekund wysłuchiwał moich obaw o Louise, a potem kazał jednemu z ludzi sprowadzić ambulans straży pożarnej, aby zabrać ją do Pomocy Chrześcijan. Druga karetka zabrała już Dresberga i Jurshaka do Szpitala Miejskiego. Obaj nadal żyli, lecz ich przyszłość była niepewna.

W zamieszaniu wykorzystałam chwilę, aby zadzwonić do Lotty, opowiedzieć jej z grubsza, co się wydarzyło, i upewnić ją, że nic mi nie jest. Powiedziałam, żeby na mnie nie czekała, ale w głębi duszy o to ją błagałam.

Po przybyciu policji stanowej przydzielono samochód do odwiezienia Chigwellów do domu. Pannę Chigwell chciano wysłać do szpitala na obserwację, ale ona twardo obstawała przy powrocie do własnego domu.

Zanim pojawił się Bobby, mówiłam wszystkim, że Jurshak zwabił Chigwella do fabryki historyjką, jakoby znalazł na jej terenie na wpół żywego pracownika. Panna Chigwell nie chciała go puścić samego o tak późnej porze i oboje wpadli w wir walki. Bobby spoglądał na mnie krzywo, ale w końcu przystał na moją wersję, kiedy stało się jasne, że niczego więcej nie zdoła wydobyć od doktora i jego siostry.

Zostawił mnie przykucniętą na posadzce, gdzie opierałam się ciężko o filar, a sam zaczął naradzać się z komendantem Piątego Dystryktu. Kręciło mi się w głowie od światła odbijanego w odblaskowych kurtkach mundurów i na powierzchni metalowych urządzeń; zamknęłam oczy, ale nie potrafiłam odgrodzić się od zgiełku i ciężkiego zapachu kserksyny. Jaki byłby po dzisiejszym wieczorze poziom mojej kreatyniny? Wyobraziłam sobie moje nerki ogarnięte patologicznymi zmianami - krwistoczerwone z czarnymi dziurami, przez które wyciekała kserksyna. Ktoś potrząsnął mną gwałtownie. Otworzyłam oczy. Stał nade mną sierżant McGonnigal, jego kanciasta twarz wyrażała niezwykle zatroskanie.

- Wyprowadzę cię na zewnątrz, potrzeba ci trochę świeżego powietrza, Vic.

Przyjęłam jego pomoc przy wstawaniu i chwiejnym krokiem ruszyłam za nim w stronę stacji przeładunkowej, gdzie policja rozsunęła już stalowe wrota prowadzące nad rzekę. Mgła podniosła się; przez chmury dymu na niebie prześwitywały ogniki gwiazd. Powietrze nadal było przesiąknięte ostrym zapachem różnych chemikaliów, ale zimno czyniło je świeższym niż wewnątrz fabryki. Spojrzałam w dół na smolistą wodę połyskującą w świetle księżyca i wzdrygnęłam się.

- Miałaś dzisiaj niezłe przejścia.

Głos McGonnigala zawierał jak najwłaściwszy poziom współczucia. Próbowałam nie wyobrazić sobie, jak uczył się postępowania z takimi trudnymi świadkami jak ja na seminarium w Springfield - chciałam wierzyć, że naprawdę przejął się koszmarem, który przeżyłam. Mimo wszystko znaleźliśmy się od sześciu czy siedmiu lat.

- Trochę wyczerpujące - przyznałam.

- Chcesz mi o nich opowiedzieć, czy wolisz poczekać na porucznika?

A więc jednak była to rola wyuczona w szkole. Przygarbiłam się jeszcze bardziej.

- Jeżeli ci opowiem, czy będę musiała ją powtarzać Mallory'emu? To nie jest historia, którą miałabym ochotę przerabiać po raz drugi.

- Znasz gliny, Warszawski, my nigdy nie przerabiamy żadnej historii tylko raz. Ale jeśli teraz dasz mi główny zarys i upewnię się, że na razie wystarczy, to zawiozę cię do domu, bo zostab jeszcze trochę nocy, żeby się przespać.

Może była w tym odrobina osobistej troski. Nie na tyle jednak, aby skłonić mnie do opowiedzenia całej prawdy bez żadnego ale, to znaczy, nie zamierzałam wyjaśnić mu sprawy testów medycznych doktora. A już na pewno związków Jurshaka z Louisa. Ale kiedy przysunęłam sobie skrzynkę nad krawędź nabrzeża i usiadłam, ujawniłam więcej szczegółów, niż początkowo planowałam. Zaczęłam od telefonu od Dresberga.

- Wiedział, że zależy mi na Louisie, że moja matka opiekowała się nią, kiedy dziewczyna była w ciąży, i bardzo się przyjaźniły. Więc musieli wykalkulować, że była jedyną osobą, której pośpieszyłabym na pomoc.

- Dlaczego wtedy nas nie wezwałaś? - niecierpliwie spytał McGonnigal.

- Nie wiedziałam, jak sobie poradzę z cichym podejściem. Trzymali ją tutaj, na tyłach fabryki. Zwyczajnie zamordowaliby ją, gdyby zorientowali się, że są atakowani. Chciałam wejść w pojedynkę.

- A właściwie jak ty to zrobiłeś? Mieli wystawioną czujkę przy końcu drogi dojazdowej i jeszcze jednego faceta przy bramie. Nie mów mi tylko, że rozpyliłeś w powietrzu jakiś czar i przemknęłaś obok.

Potrząsnęłam głową i wskazałam na ponton kołyszący się pod nami. Światło reflektorów znad naszych głów wydobyło wyraz niedowierzania na jego twarzy.

- Wiosłowałaś tym po rzece? Daj spokój, Warszawski, mów poważnie.

- To prawda - powiedziałam z uporem. - Możesz mi wierzyć albo nie. Panna Chigwell była ze mną, to jej ponton.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, że oni przyjechali tutaj razem.

Skinęłam głową.

- Wiedziałam, że jak powiem ci prawdę, będziesz trzymać tutaj ją i jej brata przez całą noc, a oni są tacy starzy. Zresztą postrzelono ją w ramię. Nawet jeśli to było draśnięcie, powinna być już od dawna w łóżku.

McGonnigal uderzył w skrzynkę otwartą dłonią.

- Ty nie masz monopolu na ludzkie uczucia, Warszawski. Nawet policja jest zdolna okazać zrozumienie parze tak wiekowych ludzi, jak Chigwellowie. Czy mógłabyś porzucić choć na pięć minut swoje hippisowskie poglądy z lat sześćdziesiątych w stylu „Świnie precz” i pozwolić nam na wykonywanie naszej roboty? Mogłaś zostać zabita, a na dodatek załtwić Dżiakową oraz tę parę twoich starszych przyjaciół.

- Dla informacji - odparłam chłodno - mój ojciec był patrolowym policjantem i nigdy w życiu nie określiłam policji jako świnie... W każdym razie nikt nie został zabity, nawet te dwa kawałki gówna, które na to zasłużyły. Chcesz wysłuchać mojej relacji do końca, czy raczej pozostaniesz na swojej mównicy i dalej będziesz prawil mi kazania?

Przez chwilę siedział usztywniony.

- Zdaje mi się, że pojąłem, dlaczego z Bobby'ego Mallory'ego wychodzi przy tobie zwierzę. Przechwalałem się przed samym sobą, że pokażę porucznikowi, jak młody funkcjonariusz z odpowiednią wrażliwością może poradzić sobie z takim świadkiem, jak ty, ale poddaję się po pięciu minutach. Dokończ swoją historię - nie będę krytykował twoich metod.

Dokończyłam. Powiedziałam mu, że nie wiedziałam, jak Chigwell pokumał się z Jurshakiem i Dresbergiem, ale zmusili go do przyjazdu tutaj dziś w nocy, aby zaopiekował się Louisa. I to, że

panna Chigwell bała się o niego, więc kiedy przyjechałam do niej z moim szalonym pomysłem, abyśmy powiosłowały w górę Calumetu i wśliznęły do fabryki od tyłu, ochoczo przystała.

- Wiem, że ona ma siedemdziesiąt dziewięć lat, ale pływanie było jej hobby od dziecka i doskonale poradziła sobie z wiosłami. A potem dostałyśmy się tutaj i dopisało nam szczęście - Jurshak wszedł do fabryki, a Dresberg oddalił się, aby pogadać z ludźmi w ambulansie. Kto tam był w środku? Czy ten, co do was zaczął strzelać?

- Nie, strażnik - wyjaśnił McGonnigal. - Chciał dać nogę. Ktoś trafił go w brzuch.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że Caroline Djiak nie wiedziała, gdzie znajduje się jej matka. Wyjaśniłam to McGonnigalowi.

- Do tej pory prawdopodobnie zerwała z łóżka samego burmistrza. Powinnam do niej zadzwonić, jeśli dałabym radę wrócić do któregoś z biur.

Potrząsnął głową.

- Sądzę, że jak na jeden wieczór, wystarczy ci biegania. Wyślę do niej jakiegoś mundurowego - jak zechce, będzie mogła dostać eskortę do szpitala. Odwiozę cię do domu.

Przemyślałam to. Wołałam już chyba nie włączać spotkania z Caroline do programu swych nocnych przygód.

- Czy moglibyśmy podjechać po mój samochód? Został koło Stony jakiś kilometr stąd.

Wyciągnął walkie-talkie i wezwał umundurowaną policjantkę, moją koleżankę Mary Louise Neely. Zasalutowała mu służbiście, ale widziałam, jak zerka na mnie ciekawie. Więc może mimo wszystko była ludzkim stworzeniem.

- Neely, zawieziesz nas w dół rzeki, do samochodu. Potem jedź pod adres na Houston, który da ci panna Warshawski. - Opisał szkieletowo sytuację Caroline i Louisy.

Funkcjonariuszka Neely skinęła głową z entuzjazmem - to wyróżnienie zostać wybranym spośród tak wielu do wykonania zadania specjalnego. Mimo że było to tylko szoferowanie, miała szansę wykazać się przed przełożonym. Ruszyła za nami, gdy McGonnigal udał się do Bobby'ego powiedzieć mu, co zamierzamy.

Bobby zgodził się niechętnie - nie chciał spierać się z sierżantem w obecności mojej i policjantki.

- Ale jutro porozmawiasz ze mną, Vicki, czy ci się podoba, czy nie. Słyszysz?

- Aha. Słyszę, Bobby. Tylko poczekaj z tym do popołudnia. Będę znacznie bardziej spolegliwa,

kiedy się wyśpię.

- Dobrze, księżniczko. Twoje wewnętrzne motorki działają, kiedy masz taki kaprys, a glinom pozostawiasz tylko śmieci do uprzątnięcia. Będziesz ze mną rozmawiać, gdy ja znajdę czas dla ciebie.

Przed oczami znowu tańczyły mi ogniki. Doszłam już do etapu takiego zmęczenia, że gdybym się nie pilnowała zaczęłabym mieć halucynacje. Ruszyłam za McGonnigalem i Neely w ciemność, nie próbując silić się na odpowiedź.

ROZDZIAŁ 40

Nocne dreszcze

Kiedy funkcjonariuszka Neely dowiozła nas do mego samochodu, wyciągnęłam z kieszeni dzinsów kluczyki i wręczyłam je bez słowa McGonnigalowi. Zawrócił wóz na wyboistym placyku, a ja wyciągnęłam się na siedzeniu obok, obniżwszy oparcie fotela niemal do pozycji horyzontalnej.

Byłam pewna, że zasnę, jak tylko się położę, ale obrazy nocnych wydarzeń nieustannie eksplodowały w mej głowie. Nie wracałam do milczącej podróży w górę Calumetu, to wyblakłe wspomnienie przeniosło się już w sferę na wpół zapomnianych snów. Widziałam Louise leżącą na wózku na końcu fabrycznej hali, zimną obojętność Dresberga, oczekiwanie na policję w biurze Chigwella. Nie bałam się w trakcie wydarzeń, ale teraz powracające obrazy przyprawiły mnie o dreszcze. Kurczowo trzymając się brzegów fotela, starałam się powstrzymać drzenie.

- Odraagowujesz szok - z ciemności dobiegł trzeźwy głos McGonnigala. - Nie wstydź się tego.

Podciągnęłam siedzenie do góry.

- To obrzydzenie - powiedziałam. - Wstrętne motywy, dla których Jurshak to robił, i fakt, że Dresberg nie jest człowiekiem, jest bezduszną maszyną do zabijania. Gdyby byli po prostu parą zbirów napadających w ciemnej uliczce, nie czułabym tego w taki sposób.

McGonnigal wyciągnął rękę i położył ją na mojej lewej dłoni. Uścisnął ją pokrzepiając mnie, ale się nie odezwał. Po chwili jego palce zeszytywniały; zabrał rękę i skoncentrował się na skręcie w autostradę Calumet.

- Dobry policjant skorzystałby z twojego osłabienia i wyciągnął od ciebie opis tych, jak powiedziałeś, wstrętnych motywów Jurshaka.

Skupiłam się w sobie, zmyślając w ciemności jakieś fortele. Nigdy nie mów, dopóki nie pomyślisz. Kardynalna zasada wpajana klientom w czasach mojego adwokatowania. Gliny najpierw cię zmęczą, potem okażą trochę sympatii, a w końcu sprawią, że będziesz sypał bez opamiętania.

McGonnigal starał się rozpędzić mojego chevy do stu trzydziestu, ale zwolnił na sto dziesięć, kiedy samochód zaczął wibrować. Policyjny przywilej.

- Przewiduję, że masz już gotową jakąś opowiadkę - ciągnął - i byłoby to rzeczywiście brutalne ze strony policji, abyś ją musiała rozwijać przy takim zmęczeniu.

Po tych słowach pokusa powiedzenia mu wszystkiego, co wiedziałam, stawała się prawie nie do odparcia. Zmusiłam się do obserwacji krajobrazów widocznych w ciemności z kanionu autostrady i odpychałam obraz błędnych oczu Louisy, które myliły mnie z Gabriellą.

McGonnigal nie odezwał się do czasu, kiedy minęliśmy wyjazd na Loop, a zrobił to tylko po to, aby zapytać o adres Lotty.

- Chciałabyś może wrócić ze mną na Jefferson Park? - spytał nieoczekiwanie. - Na małą brandy, odgiąć się?

- I po drugim drinku wypaplać w łóżku wszystkie sekrety? Nie... nie bierz tego poważnie, to miał być dowcip. Nie mogłeś tego zauważyć w ciemności. - To brzmiało pociągająco, ale Lotty niepokoiłaby się, czekając na mnie; nie mogłam trzymać jej w niepewności. Spróbowałam wyjaśnić to McGonnigalowi. - Ona jest jedyną osobą, której nigdy nie okłamuję. Ona jest... nie tyle moim sumieniem, co osobą, która pomaga mi zobaczyć, kim naprawdę jestem.

Nic nie odpowiedział, dopóki nie wjechaliśmy w Kennedy'ego przy Irving Park.

- Tak, rozumiem. Mój dziadek był podobny. Próbowałem postawić się w twojej sytuacji, wyobrażając sobie jego, jak czeka na mnie. Ja też musiałbym wrócić.

Tego nie uczono na żadnym seminarium w Springfield. Spytałam go o jego dziadka. Zmarł pięć lat temu.

- Na tydzień przed uzyskaniem promocji. Byłem tak załamany, że niemal zrezygnowałem - dlaczego nie wręczyli mi jej, kiedy jeszcze żył, żeby móc to zobaczyć? Ale potem przypomniałem sobie, jak mówił: „Co ty sobie myślisz, Johnnie, że Bóg ma tylko ciebie na głowie?” - Roześmiał się pod nosem. - Wiesz, Warshawski, że nigdy tego nikomu nie mówiłem?

Zajechał przed dom Lotty.

- Jak zamierzasz wrócić do domu? - spytałam.

- Eee, wezwę jakiś patrol. Ucieszą się, jak będą mieli wymówkę, żeby oderwać się od jakiegoś mordobicia i mnie podwieźć.

Wręczył mi kluczyki. W sodowym świetle latarni mogłam dostrzec, jak uniósł pytająco brwi. Przechyliłam się ze swego siedzenia i pocałowałam go, zarzuciwszy mu ręce na szyję. Pachniał skórą swej kurtki i potem, czbwieczym zapachem, który sprawił, że przytuliłam się do niego

jeszcze bliżej. Trwaliśmy tak przez kilka minut, ale popielniczka w progu między siedzeniami wpijała mi się w biodro.

Wysiadłam z samochodu.

- Dzięki za podwiezienie, sierżancie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Warshawski. Wiesz, służymy i chronimy.

Zaprosiłam go na górę, aby zadzwonił po samochód od Lotty, ale powiedział że zrobi to z automatu i przyda mu się trochę świeżego powietrza. Obserwował mnie, jak otwieram kluczem drzwi, potem machnął mi na pożegnanie i odszedł.

Lotty siedziała w salonie, wciąż w ciemnej sukience i swetrze, który włożyła wychodząc do szpitala siedem godzin wcześniej. Przerzucała stronicie *Guardiana*, tylko udając zainteresowanie dla szkodkich problemów ekonomicznych. Odłożyła gazetę, gdy mnie zobaczyła.

Poczułam się jak w domu, gnieźdząc w jej ramionach. Cieszyło mnie, że zdecydowałam się wrócić tutaj zamiast jechać z McGonnigalem. Kiedy obmyła mi twarz i napoiła gorącym mlekiem, opowiedziałam jej o nocnych wydarzeniach, dziwnej wyprawie po rzece, moim strachu i niepokromionej odwadze panny Chigwell. Zadumała się głęboko, słysząc o sprzeniewierzeniu się lekarskiej przysiędze Chigwella. Lotty wie, że istnieją nieetyczni lekarze, ale nigdy nie lubi dowiadywać się tego na nowo.

- W pewnym sensie najgorzej był w chwili, kiedy Louisa obudziła się i myślała, że jestem Gabriellą - powiedziała Lotty, gdy prowadziła mnie do gościnnego pokoju. - Nie chcę tam wracać, wiesz, do South Chicago, i czyścić brudów po starych Djiakach, tak jak to robiła moja matka.

Lotty zdjęła mi ubranie z lekarską wprawą.

- Trochę za późno, żeby rozpamiętywać te sprawy, kochanie - robiłaś to przecież przez cały ostatni miesiąc.

Skrzywiłam się - może, mimo wszystko, lepiej bym zrobiła, zostając z sierżantem.

Lotty otuliła mnie kołdrą. Zasnęłam, zanim jeszcze zgasiła światło.

Zapadłam w sen o szalonych wyprawach na łodzi, wdzieraniu się na skalisty brzeg, atakowana przez orły, o Lotty czekającej na górze ze słowami „Trochę za późno, żeby rozpamiętywać, nieprawdaż, Vic?”

Kiedy nazajutrz obudziłam się o pierwszej po południu, nie czułam wcale świeżości. Leżałam

w sennym letargu, ociążała na ciele i umyśle. Chciałam tak trwać w nieskończoność, odpływać w sen, dopóki nie wróci Lotty i mną się nie zaopiekuje. Ostatnie parę tygodni odebrało mi wszelką zdolność znajdowania przyjemności w tym, czym się zajmowałam, a co więcej, powodów do kontynuowania swej pracy.

Gdybym potrafiła spełnić marzenia mojej matki, byłabym Geraldiną Farrar mojej generacji, dzieląc intymne wzruszenia na scenie operowej z Jamesem Levinem. Próbowałam wyobrazić sobie, jak by to było: być utalentowaną, rozpieszczoną i bogatą. Gdyby ktoś taki jak Gustav Humboldt zaatakował mnie, kazałabym mojemu agentowi prasowemu cyknąć parę zdjęć dla *Timesa* i wezwała superintendenta policji - który byłby moim kochankiem - aby dołożył mu kilka sierpowych.

A gdybym była zmęczona, jakaś inna osoba wtaczałaby się do łazienki na opuchniętych nogach i wsadzałaby głowę pod kran z zimną wodą, żeby być gotową na moje rozkazy. Załatwiałaby moje telefony, wypełniała zlecenia, cierpiała ode mnie straszne udręki. Gdybym znalazła czas, dziękowałabym jej laskawie.

Pod nieobecność mojej bezinteresownej służącej sama zadzwoniłam do swojego mieszkania sprawdzić automatyczny zapis. Pan Contreras dzwonił jeden raz. Murray Ryerson zostawiał wiadomość siedmiokrotnie, za każdym razem w bardziej stanowczym tonie. Nie chciałam z nim rozmawiać. Nigdy więcej. Ale ponieważ musiałam, postanowiłam załatwić to z marszu. Znalazłam go w ferworze pracy redakcyjnej.

- Uzgodniliśmy to, Warszawski. Nie dostaniesz pomocy od prasy bez dostarczenia twojej części transakcji. Ta strzelanina w South Chicago to już stara historia. Faceci z radia już ją mają. Pomagałem ci rozumiejąc, że dasz mi materiał na zasadach wyłączności.

- Wsadź sobie gdzieś tą swoją pomoc - odparowałam brzydtko. - Nie kiwnąłeś dla mnie w tej sprawie nawet palcem. To ja dawałam ci moje tropy, a ty odwdzięczałeś mi się zerem. Wyprzedziłam cię na linii mety i jesteś wkurzony. Jedyne powód, dla którego w ogóle dzwonię, to chęć zachowania kontaktów na przyszłość, bo wierz mi, w tej chwili nie jestem zainteresowana rozmową z tobą.

Murray zaczął mi się odgrażać, ale jego dziennikarski instynkt wziął górę. Pohamował się i zaczął zadawać pytania. Myślałam o opisanu nocnej wyprawy pontonowej po mglistym, cuchnącym Calumecie, albo o kompletnym załamaniu, które poczułam po rozmowie z Curtisem

Chigwellem. Ale nie chciałam roztrząsać własnych rozterek wobec Murraya Ryersona. Zamiast tego powiedziałam mu to samo co policji, włącznie z żywym opisem pojedynku wokół kotłów z rozpuszczalnikiem. Chciał, żebym pojechała z fotografem do Xerxesa i pokazała mu tę sytuację, i wściekł się, słysząc moją odmowę.

- Jesteś pieprzonym wampirem, Ryerson - powiedziałam. - Typem faceta, który pyta ofiary katastrofy, co czuły widząc swych ojców lub dzieci, jak giną w płomieniach. Nie zamierzam wracać już do tej fabryki, nawet gdyby dawali mi za to Pokojową Nagrodę Nobla. Im szybciej zapomnę o tym miejscu, tym bardziej będę szczęśliwa.

- W porządku, święta Victorio, idź karmić głodnych i leczyć chorych. - Trzasnął słuchawką, aż zadzwieczało mi w uchu. Wciąż miałam ołowianą głowę. Poszłam do kuchni i zrobiłam sobie dzbanek kawy. Lotty zostawiła obok niego notatkę sporządzoną swym grubym czarnym pismem - przed wyjściem wyłączyła telefon, ale wcześniej dzwonili Murray i Mallory. O Murrayu oczywiście już wiedziałam, natomiast Bobby miłosiernie nie niepokoił mnie więcej po pozostawieniu pierwszej wiadomości. Podejrzewałam, że to McGonnigal interweniował i byłam mu wdzięczna. Poszperałam w lodówce, ale nie zainteresował mnie żaden ze zdrowych produktów żywnościowych Lotty. W końcu usadowiłam się przy kuchennym stole z samą kawą. Sięgnęłam po telefon z kontuaru i zadzwoniłam do Fredericka Manheima.

- Panie Manheim, tu mówi Victoria Warshawski. Jestem detektywem, który odwiedził pana kilka tygodni temu w sprawie Joeya Pankowskiego i Steve'a Ferraro.

- Pamiętam panią, panno Warshawski - pamiętam wszystko, co wiąże się z tymi ludźmi. Było mi przykro czytać o ataku na panią w zeszłym tygodniu. To nie miało nic wspólnego z Xerxesem, prawda?

Oparłam się na krzesło, próbując znaleźć wygodną pozycję dla obolałych mięśni ramion.

- Przez dziwny zbieg okoliczności, miało. Co by pan powiedział na dostarczenie mu fury materiałów wskazujących, że Humboldt Chemicals wiedziało o toksycznych właściwościach kserksyny już od roku 1955?

Przez długą chwilę trwała cisza, a potem odezwał się ostrożnie:

- Rozumiem, że nie jest to pani styl uprawiania dowcipu, panno Warshawski? Nie znam pani na tyle, aby odgadnąć, co panią śmieszy.

- Nigdy nie miałam mniejszej ochoty do śmiechu. Mam do czynienia z tak niewiarygodnym

przykładem cynizmu, że za każdym razem, kiedy o tym myślę, pożera mnie wściekłość. Moja dawna sąsiadka z South Chicago w tej chwili umiera. W wieku czterdziestu dwóch lat wygląda jak babcia zniszczona przez wojnę - Przerwałam na chwilę - Chciałabym naprawdę wiedzieć, panie Manheim, czy jest pan gotowy do zorganizowania i kierowania akcją na rzecz setek byłych pracowników Xerxes. Może również obecnych. Powinien pan to gruntownie przemyśleć. Byłoby to całym pańskim życiem przez najbliższe dziesięć lat. Nie mógłby pan zajmować się tym w pojedynkę w swoim kantorku - trzeba by było zaangażować ludzi od grzebania w aktach, asystentów i prawników, a pan musiałby walczyć z grubymi rekinami, które chciałyby pana pożreć, czując groźbę płacenia odszkodowań.

- Przedstawiła to pani naprawdę atrakcyjnie. - Roześmiał się cicho. - Powiedziałem pani o pogrożkach, które otrzymałem przygotowując apelację. Nie wydaje mi się żebym miał wiele do wyboru. To znaczy, nie widzę, jak mógłbym żyć z samym sobą, gdybym miał teraz szansę wygrać tę sprawę i nie skorzystał z niej tylko dlatego, żeby nie rezygnować z zacisznej praktyki. Kiedy mógłbym dostać tę furę materiałów?

- Dziś wieczór, jeśli podjedzie pan na North Side. Siódma trzydzieści, okay? - Podałam mu adres Lotty.

Kiedy wyłączył się, zadzwoniłam do Maxa, do szpitala. Po paru minutach poświeconych mojej nocnej przygodzie - dla których relacja porannych gazet była szkieletową formą - zgodził się skopiować dokumenty Chigwella. Na moje słowa, że wpadnę pod koniec dnia zabrać oryginały, zaprotestował wytwornie: cała przyjemność będzie leżeć po jego stronie, gdyby mógł mi je przynieść do mieszkania Lotty.

Teraz już naprawdę nie mogłam odwlekać spotkania oko w oko z Bobbym. Wytropiłam go telefonicznie w Centrali i umówiłam się na spotkanie za godzinę. To dawało mi czas na odmoczenie się w wannie Lotty, aby ulżyć moim zbolałym ramionom, i na telefon do pana Contrerasa, upewniający go, że żyję, jestem w znośnej formie i rano wrócę do domu. Zaczął długi, bezładny wywód o tym, co poczuł zobaczywszy poranne wiadomości. Przerwałam mu delikatnie.

- Mam teraz randkę z policją. Będę dzisiaj nieźle zabiegana, ale jutro spotkamy się na późnym śniadanku, to sobie pogadamy.

- Brzmi to obiecująco, lalczko. Francuskie tosty czy naleśniki?

- Francuskie tosty. - Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Przywiodło mnie to do

siedziby policji w na tyle pogodnym nastroju, aby stawić czoło Bobby'emu.

Jego duma była poważnie urażona faktem, że to ja przyłapałam Króla Śmieci. Dresberg od lat bawił się w ciuciubabkę z najlepszym z chicagowskich policjantów. Każdy prywatny detektyw, który przyłapałby Dresberga na gorącym uczynku, uraziłby Mallory'ego. Ale ponieważ to byłam ja, więc moja osoba musiała sprawić, że był tak zły, aby trzymać mnie przez cztery godziny.

Przesłuchiwał mnie osobiście, a Neely protokołowała, następnie robili to na zmianę ludzie z Wydziału Zorganizowanej Przeszłości, komórki do zadań specjalnych, a skończyli wywiadem z paroma facetami z policji federalnej.

Do tego czasu moje zmęczenie powróciło z całą intensywnością. Pomiędzy pytaniami opadała mi głowa i zaczęłam mieć trudności z pamiętaniem, co ujawniałam, a co postanowiłam zachować dla siebie. Za trzecim razem, kiedy musieli szturchnąć mnie, abym się ocknęła, uznali, że wystarczy im tego dobrego i nakłonili Bobby'ego do wysłania mnie do domu.

- No, zdaje się, że mamy wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć. - Zaczekał, aż biuro opróżni się, a potem zapytał rozdrażniony: - Co ty zrobiłaś w nocy McGonnigalowi, Vicki? Otwarcie powiedział, że nie zamierza być obecny przy twoim przesłuchaniu.

- Nic nie zrobiłam - odparłam unosząc brwi. - Czy zmienił się w odyńca, albo coś takiego?

Bobby spojrzał na mnie groźnie.

- Jeśli masz zamiar kierować jakieś oskarżenia przeciwko Johnowi McGonnigalowi, który jest jednym z najlepszych...

- Circe - ucięłam popędliwie. - To właśnie uczyniła z załogą Odyseusza. Przypuszczam, że o tym myślałeś. Albo o czymś w tym rodzaju.

Bobby zmrużył oczy, ale powiedział tylko: - Wracaj do domu, Vicki. Nie mam teraz nastroju na twoje dowcipy.

Stałam w drzwiach, kiedy odpalił swój ostatni fajerwerk. - Jak dobrze znasz Rona Kappelmana? - W jego głosie brzmiała wystudiowana obojętność, która nakazała mi rozwagę.

Odwróciłam się do niego, pozostawiając rękę na klamce.

- Rozmawiałam z nim trzy czy cztery razy. Nie jesteśmy kochankami, jeśli o to pytasz.

Szare oczy Bobby'ego przeszły mnie na wylot.

- Wiesz, że Jurshak zrobił mu kilka przysług, kiedy Kappelman został radcą prawnym SCRAP-u?

Poczułam skurcz w żołądku.

- Na przykład jakich?

- Och, dopomógł mi w przeprowadzeniu renowacji domu. Tego rodzaju sprawy.

- A w zamian?

- Informacje. Nic niemoralnego. Nie naraziłby na szwank interesów swoich klientów. Pozwalał tylko radnemu zorientować się w posunięciach podejmowanych przez SCRAP. Albo w posunięciach, jakie mógł wykonywać taki bystry detektyw jak ty.

- Rozumiem. - Z trudem dobywałam z siebie słowa, nie mówiąc już o utrzymaniu spokojnego tonu. Wsparłam się o drzwi. - Skąd to wszystko wiesz?

- Jurshak był rano bardzo rozmowny. Nic tak nie skłania do gadania jak strach przed śmiercią. Oczywiście sąd to wszystko odrzuci jako zeznania skł adane pod przymusem. Ale uważaj, z kim rozmawiasz, Vicki. Jesteś bystrą dziewczyną - bystrą młodą kobietą. Przyznam nawet, że wykonałaś kawał dobrej roboty. Ale działasz w pojedynkę. Nie możesz zrobić tego wszystkiego, za co płacą glinom.

Byłam zbyt wyczerpana i rozgoryczona, aby się spierać. Z obwisłymi ramionami powlokłam się wzdłuż długich korytarzy do parkingu i wróciłam do Lotty.

ROZDZIAŁ 41

Roztropne dziecko

Kiedy przyjechałam do Lotty, Max już tam był. Czułam się tak przygnębiona rozmową z Mallorym, że wolałabym odwołać spotkanie - z Manheimem: zresztą co można zrobić w pojedynkę? Jak się okazało, miałam tylko czas na wyjaśnienie Lotty, kim był Frederick Manheim i dlaczego go zaprosiłam, kiedy wszedł. Jego okrągła, namaszczona twarz kipiała podnieceniem, ale uprzejmie przywitał się z Maxem i Lotty, wręczając jej butelkę wina. Było to Gruaud-Larose rocznik 78. Max uniósł brwi z uznaniem, więc przyjął, że to dobra marka.

Podczas rozmowy w kuchni moja podpadająca pewność siebie zaczęła odzyskiwać rumieńce. W gruncie rzeczy martwiłam się przez cały czas rolą Kappelmana. Nie był to błąd z mojej strony. Bobby starał się wbić mi szpilę, bo zatrzymałam Steve'a Dresberga, podczas gdy on i jego tysiące pomagierów nie potrafili go nawet tknąć.

Roztrzepywałam jajka na omlety, a Max otworzył butelkę. Jedząc przy kuchennym stole rozmawialiśmy na ogólne tematy - wino było zbyt wyborne, aby zanieczyszczać je kserksyną.

Potem jednak przenieśliśmy się do salonu. Opowiedziałam całą historię Maxowi i Manheimowi. Wyciągnięta na leżance, zrelacjonowałam wiadomości od Chigwella - że robili testy, ponieważ zauważali wysoki procent zachorowań już w 1955 roku.

- Powinien pan porozmawiać z Ajaxem. W tym czasie zajmowali się ubezpieczeniami Xerxesa. Wiem, że do Marynarskiej Przystani przenieśli się w 1963 z zaświadczeniem, jacy to są dobrzy i czysti, ale jeżeli się pan dowie, z jakiego powodu Ajax ich porzucił w latach pięćdziesiątych, może wyniknie stamtąd wskazówka, dlaczego zdecydowali się badać krew, a nie na przykład... nie wiem, no, coś innego.

Manheim leżał wyciągnięty na podłodze i podpierał się na łokciach.

Naturalnie najbardziej zainteresowany był tym, co zawierają notatniki Chigwella. Lotty streściła mu wyniki analiz, ostrzegając przy tym, że dla przeprowadzenia właściwych badań konieczny będzie cały zastęp specjalistów.

- Wie pan, ja jestem tylko internistką. Więc to, co panu mówię, to tylko informacje od doktor

Christopherson. Będzie pan potrzebował wielu ludzi - ekspertów od badania krwi i dobrego patologa nerek. A przede wszystkim zespołu znawców chorób zawodowych.

Manheim wysłuchawszy rad, skinął poważnie głową. Jego różowe policzki cherubina płonęły jeszcze głębszą czerwień, gdy zapełniał uwagami stronicę swego notatnika. Od czasu do czasu zadawał mi pytania dotyczące fabryki i pracowników.

Lotty ostatecznie położyła kres naszej rozmowie - musiała wstać wcześniej rano, ja byłem jej pacjentką i nie nadawałam się do odbycia następnej całonocnej sesji. Manheim podniósł się niechętnie.

- Nie zamierzam niczego robić na łapu-capu - zastrzegł się. - Muszę potwierdzić dane, znaleźć to laboratorium, które robiło dla nich badania, i tak dalej. Muszę też skonsultować się ze specjalistami prawa dotyczącego środowiska naturalnego.

Podniosłam rękę.

- Teraz to pańskie niemowlę. Niech pan je niańczy, jak pan chce. Trzeba tylko pamiętać, że Gustav Humboldt nie zamierza leżeć z nogami do góry, kiedy pan będzie gromadził fakty - z tego, co o nim wiem, na pewno znalazł już sposób, aby położyć łapę na laboratorium. Ma pan ostatnią szansę, żeby się wycofać.

Pomyślał przez krótką chwilę, po czym skrzywił się w niechętnym uśmiechu.

- Spędziłem już dość czasu w mojej klitce przy Beverly na przelewaniu z pustego w próżne - nie mogę tego odpuścić. Jeżeli tylko zgodzi się pani okazywać mi od czasu do czasu moralne wsparcie.

- Jasne, dlaczego nie - zgodziłam się tak ochoczo, jak tylko potrafiłam. Nie chciałam, żeby nadal oplatały mnie macki South Chicago.

Kiedy Manheim sobie poszedł, zaczęłam szykować się do spania, a Maxa zostawiłam w salonie z butelką koniaku Lotty. W chwilę po tym, jak umyłam zęby, weszła Lotty, aby powiedzieć mi, że gdy byłam na policji, dzwoniła Caroline.

- Chce, żebyś się z nią skontaktowała. Ale ponieważ była wściekła i zaczęła nawet do mnie odnosić się wulgarnie, pomyślałam, że nie zaszkodzi jej, jak poczeka.

Skrzywiłam się w uśmiechu.

- Cała Caroline. Mówiła coś o Louisie?

- Przypuszczam, że skoro przespała te wszystkie przejścia, nie mogło się jej pogorszyć. Śpij

dobrze, moja kochana.

Kiedy obudziłam się rano, już nie było jej w domu. Kręciłam się bez celu po kuchni, popijając kawę. Zaczęłam robić tosty i wtedy przypomniałam sobie o obietnicy zjedzenia śniadania z panem Contrerasem. Powoli spakowałam torbę. Im dłużej przebywałam u Lotty, tym mniej o sobie dbałam. Postanowiłam odejść, dopóki nie dopadła mnie jeszcze niezwalczalna gnuśność.

Z szacunku dla zamiłowania Lotty do porządku zdjęłam pościel z gościnnego łóżka i zwinęłam razem z używanymi ręcznikami. Napisałam karteczkę, że zabieram ze sobą brudne rzeczy, aby uprać je w domu. Usunęłam pozostałe ślady mojej bytności tak starannie jak się dało, i pojechałam na Racine.

Radość pana Contrerasa z mojego widoku dorównywała radości psa. Peppy skakała do góry, aby polizać mi twarz, jej złocisty ogon tłukł o drzwi na tyle mocno, że się zamknęły. Mój sąsiad odebrał ode mnie brudy do prania.

- Czy to rzeczy doktor Lotty? Upiorę je dla ciebie, laleczko. Po śniadaniu będziesz na pewno chciała się odprężyć, przejrzeć pocztę, czy coś tam sobie porobić. A więc sprawa zamknięta? Wszystko skończyło się na tych dwóch łajdakach w szpitalu? Mogłem przewidzieć, że zaopiekujesz się tymi kolesiami, laleczko. Nie powinienem tak bardzo się o ciebie martwić. Inaczej przecież byś nie zaczynała.

Objęłam go ramieniem.

- Tak, teraz, kiedy bitwa jest na ukończeniu, wszystko zgrabnie wygląda. Ale ustrzelenie kogoś w takiej sytuacji to po prostu łut szczęścia, nie można wycelować. Gdyby szczęście odwróciło się ode mnie, mogłabym być na intensywnej terapii zamiast Dresberga.

- Na ukończeniu? - W jego wyblakłych piwnych oczach czaił się niepokój. - Chcesz powiedzieć, że ci faceci ciągle chcą się z tobą strzelać?

- Na odwrót. Jest taki wielki biały rekin, który panoszy się po tutejszych wodach. Dresberg i Jurshak byli jego sojusznikami. Kto wie, co jeszcze ma w zanadrzu w głębinach. - Staralam się mówić pogodnym głosem. - W każdym razie wróciłam tu na francuskie tosty. Został jeszcze trochę?

- Jasne, laleczko, jasne. Wszystko jest gotowe, czekam tylko na ciebie, żeby rozgrzać patelnię.

Zatarł ręce i wciągnął mnie pośpiesznie do środka.

Gdzieś z zakamarków, gdzie zawierało się całe jego życie, wydobył białe lniane serwetki.

Wcześniej usunął ze stołu w jadalni pisma i różne szpargały, które zazwyczaj na nim zalegały, i nakrył go obrusem. W wazonie na środku stały czerwone goździki. Byłam wzruszona.

Nadał się dumnie, słysząc moje komplementy.

- To były rzeczy Clary. Nigdy wiele dla mnie nie znaczyły, ale kiedy umarła, nie mogłem się zdobyć na oddanie ich Ruthie; Clara miała do nich taki nabożny stosunek, a ja po prostu nie dostrzegałem, żeby Ruthie ceniła je tak, jak powinna... - Pośpieszył do kuchni i wrócił ze szklanką świeżego soku pomarańczowego. - A teraz siadaj tutaj, laleczko, i w te pędy podaję śniadanko.

Upiekł górę boczku i gargantuiczną stertę francuskich tostów. Jadłam, ile mogłam, odwdzięczając się opowiedzeniem historii o nocnej wyprawie w górę Calumetu. Rozdarty był pomiędzy podziwem dla bohaterskiego wyczynu a zazdrością, że nie zabrałam go z sobą, razem z jego francuzem i resztą.

Taktownie skłaniałam go do porzucenia takiej myśli.

- Nie sądzę, żeby było to w porządku wobec Peppy - wyjaśniłam. - Gdybyśmy oboje zostali zabici albo poranieni, kto by się nią opiekował?

Przyjął to niechętnie - i trochę podejrzliwie - po czym poprosił mnie, abym jeszcze raz opowiedziała mu, jak postrzeliłam Dresberga. Wreszcie, około południa, poczułam, że posiedziałam wystarczająco długo, i uciekłam na górę. Staruszek ułożył moją pocztę starannie pod drzwiami, listy na jednej kupce, gazety na drugiej. Przerzuciłam szybko korespondencję - nic osobistego. Ani jednego słowa. Tylko rachunki i namolne reklamy. Zirytowana, wrzuciłam całą makulaturę do kosza, z moim rachunkiem telefonicznym włącznie. Gazety chciałam zatrzymać - przejrzałabym je później, aby zobaczyć, jak opisywano sprawę Xerxes.

Mój pokój miał dziwny wygląd, jak miejsca przez jakiś czas nieodwiedzane. Wydają się obce, jakby znany był tylko ich opis. Niespokojnie chodziłam z kąta w kąt, od nowa próbując usadzić się w mojej własnej egzystencji. Usiłowałam też nie zaprzętać sobie głowy pytaniem, jaki następny krok mógł zaplanować Humboldt. Nie odniosłam całkowitego sukcesu. O drugiej zadzwonił dzwonek u drzwi i wzdrygnęłam się nieco. To musi się skończyć, Victorio, napominałam siebie samą. Podeszłam zdecydowanie do domofonu.

Z głośnika dobiegł blaszany głos Caroline. Jeśli potrzebowałam czegoś dla poprawienia sobie pewności siebie, to właśnie małej utarczki z nią. Przygotowałam się do walki i nacisnęłam brzęczek, wpuszczając Caroline do środka.

Słyszałam, jak wchodzi po schodach powolnym, ciężkim krokiem, zupełnie niepodobnym do jej zwykłego tupotu. Kiedy wyszła zza zakrętu schodów, zobaczyłam, że jest posępna. Zabiło mi gwałtownie serce. Louisa. Wtorkowa nocna eskapada okazała się dla jej osłabionego organizmu zbyt wielkim wysiłkiem i zmarła.

- Cześć, Caroline. Wejdz, proszę.

Stała w drzwiach.

- Czy ty mnie nienawidzisz, Vic?

Podniosłam w zdumieniu brwi.

- Dlaczego, na Boga, o to pytasz? Myślałam, że przyjechałaś, aby znieść się nade mną za narażenie Louisy na takie niebezpieczeństwo dwa dni temu.

- To nie była twoja wina. Tylko moja. Gdybym powiedziała ci, co się działo... Nieomal zabiło cię przeze mnie. Dwa razy. A ja tylko wrzeszczałam na ciebie jak rozkapryszona smarkula, i tak mnie zresztą nazywałaś.

Objęłam ją ramieniem i wprowadziłam do mieszkania - ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, było to, żeby usłyszał nas pan Contreras i przyszedł zawracać głowę. Caroline oparła się o mnie i pozwoliła zaprowadzić na kanapę.

- Co z Louisa?

- Jest z powrotem w domu. - Caroline oplótła się rękami. - Właściwie to dzisiaj nawet lepiej wygląda. Niczego nie pamięta, a dzięki temu, co jej wstrzyknęli, lepiej spała niż zwykle.

Chwyliła numer *Fortune* i zaczęła zwijać go w tubę. - Policja przyjechała zaraz po moim powrocie i odkryciu, że mamy nie ma. Miałam maratońską nasiadówkę w mieście z paroma miejscowymi prawnikami z EPA na temat przerebu śmieci. Myślałam, że mamie się pogorszyło, że sąsiedzi albo ciotka Connie zabrali ją do szpitala. Wtedy pojawiła się policja i trochę mnie poniosło.

Skinęłam głową.

- Lotty mówiła mi, że dzwoniłaś wczoraj z jakąś złowrogą przemową. Nie miałam po prostu siły, żeby oddzwonić.

Spojrzała mi prosto w oczy po raz pierwszy od swego przyjścia.

- Nie miej do mnie żalu - byłam do tego stopnia rozwścieczona, że mogłam utoczyć komuś krwi. Jadąc do Pomocy Chrześcijan wyrzaskiwałam na ciebie do zdarcia gardła. Ale kiedy znalazłam się na miejscu, pomyślałam, że ty i twoja matka opiekowałyście się Louisa i mną przez te

wszystkie lata. A potem uzmysłowiłam sobie, co przeszłam w ciągu ostatnich trzech tygodni za nas obie. I poczułam się okropnie zawstydzona. Nigdy nie zdarzyłoby się to, gdybym nie popchnęła cię do poszukiwań mojego ojca, choć tego nie chciałaś.

Wzięłam ją za rękę i uścisnęłam.

- Byłam na ciebie strasznie zła - i pewnie przeklinałam bardziej niż ty. Nie mam jeszcze nad głową aureoli - gdybym siedziała na tyłku, kiedy mnie o to prosiłaś, nigdy nie porzucono by mnie na bagnach i Louisa nie zostałaby porwana.

- Ale nie sądzę, że policja kiedykolwiek odkryłaby prawdę - upierała się. - Nigdy nie znaleźliby mordercy Nancy, a Jurshak i Dresberg dalej rządzą w South Chicago. Nie powinnam być taką gęsią, należało powiedzieć ci o pogroźkach pod adresem Louisy, żebyś nie działała na ślepo.

Wiedziałam, że muszę powiedzieć jej o moim odkryciu, z kim Louisa zaszła w ciążę, ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. A może była to po prostu kwestia odwagi. Kiedy zbierałam się w sobie, Caroline powiedziała zniechęta:

- Kupiłam mamie papierosy. Pamiętałam, co powiedziałaś pierwszego wieczoru u nas, że nie pogorszą już jej stanu, a mogą poprawić nastrój. Dostrzegłam, że wszystko, co próbowałam robić, polegało na wykorzystaniu władzy, trzymaniu mamy z dala od tego, co mogłoby sprawić jej przyjemność.

Ostatnie słowa jeszcze mocniej potwierdziły radę Lotty. Nabrałam tchu i powiedziałam:

- Caroline, muszę ci wyznać - odkryłam, kim był twój ojciec.

Jej niebieskie oczy zrobiły się granatowe.

- Nie Joey Pankowski, prawda?

Potrząsnęłam głową.

- Obawiam się, że nie. Nie jest łatwo to powiedzieć ani tego wysłuchać, ale byłoby z mojej strony naprawdę źle, gdybym ukryła to przed tobą - najbardziej szkodliwy sposób kontrolowania twojego życia.

Popatrzyła na mnie odważnie.

- Mów śmiało, Vic. Ja... ja myślę, że jestem bardziej dojrzała niż kiedyś. Mogę to znieść.

Chwyliłam ją za obie ręce i powiedziałam łagodnie:

- To był Art Jurshak. On był twoim...

- Art Jurshak! - wybuchła. - Nie wierzę ci. Mama nie spotkałaby go w ciągu miliona lat!

Zmyślasz to, prawda?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Chciałabym, żeby tak było. Art... on... twoja babka Djiak jest jego siostrą. Spędzał z Connie i z Louisa wiele czasu, kiedy były małe, a Djiakowie postanowili nie zauważać, że je napastował. Twoi dziadkowie są oboje przerażeni seksem, a Ed boi się kobiet, więc stworzyli dla siebie nikczemną bajeczkę i obarczyli Louise winą za fakt zajścia w ciążę. Mimo że zerwali stosunki z Artem, Louisa została ukarana. Ed i Martha Djiak to odrażająca para ludzi.

Jej piegi wystąpiły jak nakrapiany ścieg wzorzystego haftu na bladej twarzy.

- Art Jurshak. On moim ojcem? Jestem z nim spokrewniona?

- Dał ci jakieś chromosomy, dziecko, ale nie jesteś z nim spokrewniona, w żaden sposób. Jesteś osobą stworzoną przez samą siebie, nie przez niego, wiesz? Ani przez Djiaków. Masz własny charakter, własną godność i przede wszystkim męstwo. Żadna z tych cech nie pochodzi od Arta Jurshaka.

- Ja... Art Jurshak. - Roześmiała się krótkim histerycznym chichotem. - Przez te wszystkie lata myślałam, że moja matka zaszła w ciążę z twoim ojcem. Sądziłam, że dlatego Gabriella tyle dla nas robiła. Sądziłam, że naprawdę jestem twoją siostrą. Teraz widzę, że już zupełnie nie mam nikogo.

Wstała i rzuciła się do wyjścia. Pobiegłam za nią i chwyciłam ją za ramię, ale wyrwała się i szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Caroline! - Rzuciłam się biegiem na dół. - To niczego nie zmienia! Zawsze będziesz moją siostrą, Caroline!

Stałam na chodniku w samej koszuli, patrząc bezradnie, jak rusza szaleńczo samochodem w stronę Belmont.

ROZDZIAŁ 42

Prezent Humboldta

Myślę, że ostatni raz czułam się tak podle w dzień po pogrzebie mojej matki, kiedy jej śmierć nagle stała się dla mnie rzeczywista. Próbowałam dodzwonić się do domu i do biura Caroline. Zarówno Louisa, jak i sekretarka zgodziły się przekazać wiadomość, ale gdziekolwiek była, nie chciała ze mną rozmawiać. Tysiąc razy przemyślałam, czy zadzwonić do McGonnigala z prośbą o wzięcie jej pod obserwację, ale co oni mogli poradzić na rozstrój nerwowy jakiejś obywatelki?

Okolo czwartej wypożyczyłam Peppy od pana Contrerasa i pojechałam z nią nad jezioro. Nie byłam gotowa do biegania, na co ona z pewnością miała ochotę, ale potrzebowałam jej milczącego oddania oraz przestrzeni nieba i wody, aby ukoić nerwy. Nie było wykluczone, że Humboldt, wielki przegrany, miał jakieś odwody poza Dresbergiem, więc trzymałam dłoń w kieszeni kurtki na smisie & wessonie.

Lewą ręką rzucałam patyki suce. Nie zastanawiała się wiele nad odległością, na którą leciały, lecz przynosiła je z powrotem, aby wykazać swą sprawność. Kiedy wybiegała już część swej energii, usiadłyśmy, gapiąc się w wodę. Prawą rękę wciąż trzymałam na pistolecie.

W dalekich zakamarkach mojego umysłu tkwiła myśl, że powinnam szukać sposobu na przejście inicjatywy, abym nie musiała do końca życia chodzić z jedną ręką w kieszeni. Mogłam pójść do Rona Kappelmana i zmusić go do zeznań, dowiedzieć się, jak dalece nakarmił Jurshaka informacjami o moim śledztwie. Może nawet wiedział, jak dosięgnąć Humboldta.

Cała perspektywa moich poczynań wydawała mi się tak niemożliwa do zrealizowania, że od samego myślenia na ten temat powieki ciążyły mi jak ołów, a mózg zasnuwała mgła. Nawet pomysł wstania i powrotu do samochodu wymagałby więcej wysiłku, niż potrafiłam z siebie wykrzesać. Mogłam tak siedzieć i gapić się w fale aż do wiosny, gdyby nie Peppy, która miała już dość i zaczęła trącać mnie nosem.

- Nie łapiesz tego, co? - powiedziałam do niej. - Złociste setery nie mają wyrzutów sumienia wobec szczeniaków z dawnego sąsiedztwa. Nie czują się w obowiązku otaczania ich opieką aż do śmierci.

Zgodziła się ze mną radośnie, wywieszając jęzor. Cokolwiek bym powiedziała, było w porządku, jeśli tylko towarzyszyło temu działanie. Przeszliśmy do samochodu, a ściśle ją przesłama, a ona przetańczyła wokół mnie dla pewności, że nie zabłądzę albo nie ulegnę powtórnemu atakowi katatonii.

Kiedy wróciliśmy do domu, pan Contreras wypadł z czystymi prześcieradłami i ręcznikami Lotty. Podziękowałam mu jak najgoręcej, zaznaczając przy tym, że chcę zostać sama.

- Chciałabym zatrzymać u siebie psa. Okay?

- Tak, jasne, lalczko, jasne. Kiedy tylko sobie życzysz. Ona tęskni za bieganiem z tobą na pewno będzie też zadowolona, kiedy zostanieie razem, upewni się, że o niej nie zapomniłaś.

Wróciwszy do siebie, zadzwoniłam znowu do Caroline, ale wciąż albo jej nie było, albo odmawiała ze mną rozmowy. Rozgoryczona, usiadłam przy pianinie i zaczęłam brzdąkać „*Ch'io mi scordi di te*”. To była ulubiona aria Gabrielli i pasowała do mojego nastroju melancholii. Grałam ją więc, użalając się nad sobą, a potem próbowałam zaśpiewać. Poczułam, jak ze smutku i rozrzewnienia zbierają mi się pod powiekami łzy. Wróciłam do środkowej części, gdzie linia sopranu jest najbardziej melodyjna.

Kiedy zadzwonił telefon, poderwałam się ochoczo, pewna, że to Caroline chce w końcu ze mną porozmawiać.

- Panna Warshawski? - To był drżący głos lokaja Humboldta.

- Tak, Anton? - Byłam spokojna, ale uderzenie adrenaliny obudziło mnie z letargu, jak słońce rozpędza mgłę.

- Pan Humboldt chciałby z panią rozmawiać. Proszę poczekać. W jego głosie brzmiała surowa dezaprobata. Myślał zapewne, że Humboldt chciał zrobić mnie swoją kochanką, i obawiał się, że byłam zbyt niskiej klasy jak na standard Roanoke.

Minęło około minuty. Próbowałam skłonić Peppy, aby podeszła do telefonu i przyjęła rolę mojej sekretarki, ale nie była tym zainteresowana. W końcu w słuchawce zawibrował soczysty baryton Humboldta.

- Panno Warshawski. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciała pani złożyć mi wizytę dziś wieczorem. Nie pożałuje pani spotkania z kimś, kogo tu goszczę.

- Zastanówmy się - powiedziałam. - Dresberg i Jurshak są w szpitalu. Troy siedzi w areszcie. Ron Kappelman niezbyt mnie już interesuje. Kto panu jeszcze został?

Zarechotał serdecznie, aby pokazać, że poniedziałkowa wpadka była tylko niemiłym wspomnieniem.

- Pani jest zawsze taka bezpośrednia, panno Warshawski. Zapewniam, że nie będzie tu żadnej strzelaniny, jeśli zaszczydzi mnie pani wizytą.

- Noże? Strzykawki? Kotły chemikaliów?

Roześmiał się znowu.

- Powiedzmy sobie tylko, że będzie pani tego żałowała przez całe życie, jeśli nie zobaczy się pani z moim gościem. Przyślę samochód na szóstą.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - odparłam oficjalnie - ale wolę przyjechać sama. I zabiorę ze sobą przyjaciółkę.

Odłożyłam słuchawkę. Serce zaczęło mi walić jak młotem, a przez głowę przebiegały najdziksze przypuszczenia. Wziął na zakładnika Caroline albo Lotty. Nie mogłam sprawdzić Caroline, ale zadzwoniłam do kliniki. Kiedy Lotty podeszła do telefonu, zaskoczona moim pośpiechem, wyjaśniłam jej, dokąd się wybieram.

- Jeśli do siódmej nie dam ci znaku o sobie, wzywaj policję. - Podyktowałam jej telefony Bobby'ego do domu i biura.

- Nie idziesz chyba sama, prawda? - spytała z niepokojem.

- Nie, nie. Zabieram kogoś.

- Vic! Tylko nie tego wścibskiego staruszka! Zamiast cię chronić, narobi jeszcze kłopotu.

Roześmiałam się cicho.

- Nie, zgadzam się z tobą absolutnie. Biorę kogoś, kto milczy i można na nim polegać.

Dopiero kiedy obiecałam zadzwonić do niej, jak tylko wyjdę z Roanoke, zgodziła się na moją wyprawę bez policyjnej eskorty. Po odłożeniu słuchawki zwróciłam się do Peppy:

- Chodź, maleńka. Jedziemy do meliny bogatych i potężnych. Suka wyraziła swoje zainteresowanie, jak zawsze każdą wyprawą.

Obserwowała z uniesionym łbem, jak sprawdzam po raz ostatni smitha & wessona, żeby upewnić się, czy kula tkwiła w komorze, i zbiegła po schodach przede mną. Zdołaliśmy wyjść na zewnątrz, unikając kontroli pana Contrerasa - musiał być w kuchni i przygotowywać kolację.

Rozejrzałam się uważnie dookoła, by sprawdzić, czy nie pakuję się w pułapkę, ale nikt na mnie nie dybał. Peppy wskoczyła na tylne siedzenie chevroleta i ruszyliśmy na południe.

Odźwierny w Roanoke pozdrowił mnie z tą samą dobrotliwą kurtuazją co poprzednio. Widocznie Anton nie powiedział mi, że jestem wrogiem społeczeństwa. A może pamięć o pięciodolarowym napiwku przeważyła nad brzydkimi doniesieniami z dwunastego piętra.

- Czy ten pies pani towarzyszy, madame?

Uśmiechnęłam się.

- Pan Humboldt na nią czeka.

- Doskonale, madame. - Przekazał nas Fredowi przy windzie.

Z wypraktykowaną gracją usiadłam na ławeczce pod ścianą. Peppy warowała czujnie u moich nóg, z wywieszonym jęzorem, dysząc lekko. Nie była przyzwyczajona do wind, ale ruchomą podłogę potraktowała z chłodną rezerwą championa. Kiedy zostałyśmy wysadzone, obwąchała marmurową posadzkę foyer u Humboldta, ale gdy tylko Anton otworzył zdobione drewniane drzwi, podbiegła warując u nogi. Spojrzał zimno na Peppy.

- Wolimy nie wpuszczać tu psów, bo ich zachowanie jest trudne do przewidzenia i kontroli.

Poproszę Marcusa, żeby zatrzymał go w holu do czasu pani wyjścia.

Skrzywiłam się lekko w okrutnym uśmiechu.

- Niekontrolowanie zachowanie doskonale pasuje do stylu twojego bossa. Bez psa nie wchodzę, więc proszę rozstrzygnąć, jak bardzo zależy Humboldtowi na zobaczeniu się ze mną.

- Dobrze, madame. - Temperatura lodu w jego głosie przesunęła się w dolną strefę skali Kelvina. - Proszę iść za mną.

Humboldt siedział w bibliotece przed kominkiem. Z tego, co mogłam dostrzec, popijał whisky z wodą w szklance z grubo rżniętego szkła. Na jego widok skręciło mnie, powrócił gniew, wytrącając z równowagi.

Humboldt spojrzał surowo na Antona, kiedy Peppy stanęła przy mojej lewej nodze, ale majordomus oznajmił powściągliwie, że odmówiłam widzenia się z nim bez psa. Humboldt natychmiast zmienił rolę, serdecznie pytając o imię sukki i wychwalając jej urodę. Ona jednak wyczuła jego niechęć i nie odpowiadała. Ostentacyjnie obeszłam z nią pokój, zachęcając do węszenia po zakamarkach. Odchyliłam ciężkie zasłony z brokatu, ale okno wychodziło na jezioro - nie było tam miejsca na ukrycie snajpera. Zasupełam kotarę.

- Spodziewałam się raczej ognia karabinów maszynowych. Niech pan tylko nie mó wi, że moje życie ugrzęźnie w monotonii.

Humboldt zarechotał doniosłe.

- Nic nie robi na pani wrażenia, prawda, panno Warshawski? Pani jest zaiste wyjątkową młodą kobietą.

Usiadłam w fotelu naprzeciwko Humboldta; Peppy stanęła przede mną spoglądając z niepokojem to na mnie, to na niego, z nisko opuszczonym ogonem. Poklepał am ją po łbie i usiadła na zadzie w ciągłej gotowości.

- Pana tajemniczy gość jeszcze nie przybył?

- Mój gość zaczeka. - Zaśmiał się cicho pod nosem. - Pomyślałem, że moglibyśmy uciąć sobie wcześniej małą pogawędkę. Może się okazać, że przedstawianie mojego gościa nie będzie konieczne. Whisky?

Potrząsnęłam głową.

- Wyrafinowane trunki pańskich piwnic uprzytamniają mi wielkość mojego dochodu. Nie mogę sobie pozwolić na przyzwyczajanie się do nich.

- Ależ mogłaby pani, panno Warshawski. Mogłaby, gdyby tylko przestała pani tak krwiożerczo traktować bliźnich.

Rozparłam się w fotelu i skrzyżowałam nogi.

- Nie, to naprawdę poniżej pańskiego poziomu. Oczekiwałam wspanialszego, a przynajmniej bardziej subtelnego zagajenia.

- Zaraz, zaraz, panno Warshawski. Jest pani zbyt pochopna w swoich reakcjach. Żle by pani zrobiła, gdyby nie zechciała mnie pani wysłuchać.

- Tak, zdaje się, że mogłabym skończyć jak Cubsi na wyjazdowym meczu. Ale niech pan to powie otwarcie, a będę wiedziała, czy do końca życia mam uskakiwać przed kulami pańskich pacholków.

Nie dał się sprowokować.

- Ostatnio poświęciła pani wiele uwagi moim sprawom, panno Warshawski. Więc odwzajemniłem ten zaszczyt i poświęciłem sporo uwagi pani osobie.

- Założę się, że moje poszukiwania były znacznie bardziej pasjonujące od pańskich. - Trzymałam dłoń na łbie Peppy.

- Zapewne mamy różne poglądy na to, co mogłoby okazać się pasjonujące. Na przykład, niezwykle zaintrygowała mnie informacja, że pani mieszkanie obłożone jest długiem wynoszącym

pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i że spłata hipoteki nie jest dla pani łatwa.

- O Boże, Gustav. Chyba nie zamierzasz włączyć tej zgranej płyty każe-bankowi-wejść-na-twoją-hipotekę, prawda? To staje się dość nudne.

- Pani rodzice - ciągnął, jakbym w ogóle się nie odezwała - oboje zmarli. Ale istnieje za to dobra przyjaciółka, która znaczy dla pani tyle co matka. Jak są dżę, to doktor Charlotte Herschel. Czy tak?

Tak mocno zacisnęłam palce na sierści Peppy, że zaskomlała cicho.

- Jeżeli cokolwiek przydarzy się doktor Herschel - cokolwiek - od przebitej gumy w samochodzie do rozbitego nosa - umrze pan w ciągu dwudziestu czterech godzin. To żelazne proroctwo.

Zachichotał rozbawiony.

- Pani jest taka pobudliwa, panno Warshawski, że wyobraża sobie, iż wszyscy inni muszą być podobni. Nie, martwiłbym się bardziej o praktykę lekarską doktor Herschel. Czy mogłaby zachować swą licencję.

Zawiesił głos, czekając na moją reakcję, ale zdołałam na tyle odzyskać samokontrolę, aby zachować się spokojnie. Wzięłam *New York Timesa* z małego stolika stojącego pomiędzy nami i otworzyłam na dziale sportowym. Islandersi odpadali z rozgrywek - jaka szkoda.

- Nie jest pani ciekawa, panno Warshawski? - zapytał w końcu.

- Niespecjalnie. - Zajęłam się dyskusją nad perspektywami Metsów udających się na obóz treningowy. - Chodzi o to, iż istnieje tyle przerażających rzeczy, które mógłby pan zrobić, że szkoda zachodu na zastanawianie się, z czym konkretnie wyskoczy pan tym razem.

Odstawił głośno szklanekę z whisky i pochylił się do przodu. Peppy wydobyła z gardzieli głuchy pomruk. Położyłam na niej rękę, co mogło wyglądać, jakbym ją powstrzymywała - trudno sobie wyobrazić, żeby złocisty seter kogoś atakował, ale jeśli nie lubi się psów, można tego nie wiedzieć.

Nie odrywał od niej wzroku.

- Więc jest pani gotowa poświęcić własne mieszkanie i karierę doktor Herschel dla swojej zatwardziałej dumy?

- A co chciałby pan, żebym zrobiła? - spytałam zirytowana. - Paść plackiem na podłogę, wierzcąc i krzycząc? Gotowa jestem uwierzyć, że ma pan o wiele więcej wpływów, pieniędzy i

czego tam jeszcze niż ja. Chce mi pan utrzyć nosa, proszę bardzo. Proszę tylko nie oczekiwać, że naprawdę się tym przejmę.

- Niech pani nie przeskakuje tak szybko do konkluzji, panno Warshawski - odparł pojednawczo. - Pani ma możliwość wyboru, tylko nie chce usłyszeć, jaki on jest.

- Okay. - Uśmiechnęłam się pogodnie. - Słucham.

- Najpierw proszę kazać położyć się psu.

Dałam Peppy znak ręką, a ona posłusznie przysiadła na podłodze, choć tylne łapy wciąż miała napięte i była gotowa do skoku.

- Ja tylko przedstawiam ewentualności. Nie trzeba się tak śpieszyć z reakcją jak przy tej pierwszej. To po prostu jeden scenariusz, pani hipoteka, licencja doktor Herschel. Są inne. Mogłaby pani spłacić swój dług, a pieniędzy pozostałoby jeszcze tyle, aby sprawić sobie samochód bardziej odpowiadający pani osobowości niż ten stary chevy - bo wie pani, ja przeprowadziłem swoje dochodzenie. Czym jeździłaby pani, gdyby trafiła się okazja?

- Ojej, nie wiem, panie Humboldt. Nie myślałam o tym wiele. Może pokusiłabym się o buicka.

Westchnął jak rozczarowany ojciec.

- Powinnaś słuchać mnie uważnie, młoda panno, bo w innym razie wkrótce nie będziesz miała żadnego wyboru.

- Okay, okay. Chciałabym jeździć ferrari, ale może być ostatecznie magnum. Albo alfa... Więc pan spłaca moje długi, ofiaruje sportowy samochód i zachowuje licencję doktor Herschel. Czego oczekiwałby pan ode mnie w dowód wdzięczności za taką wspinałomyślność?

Uśmiechnął się: każdego można przycisnąć albo kupić.

- Doktor Chigwell. Pełen dobrej woli, zapracowany człowiek, choć, niestety, bez wielkich zdolności. Jaka szkoda, że posiadanie zakładowego lekarza nie oznacza dostępu do specjalisty kalibru doktor Herschel.

Odłożyłam gazetę i przestałam głaskać sukę, aby pokazać, że zamieniłam się w słuch.

- Przez całe lata prowadził jakieś notatki o naszych pracownikach w Xerxesie. Bez mojej wiedzy, oczywiście - nie mogę zajmować się wszystkimi szczegółami przedsięwzięcia rozmiarów Humboldt Chemicals.

- Pan i Ronald Reagan - mruknęłam z sympatią.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale zachowałam na twarzy wyraz skupionej uwagi.

- Dopiero niedawno dowiedziałem się o tych notatnikach. Informacje w nich zawarte są bezużyteczne z uwagi na ich kompletną nieścisłość: Ale w niepowołanych rękach mogłyby stać się dla Xerxesa niezwykle szkodliwe. Byłoby mi trudno udowodnić, że te wszystkie dane, które zebrał, są fałszywe.

- Zwłaszcza że gromadził je przeszło dwadzieścia lat - powiedziałam. - Ale jeśli odzyskałby pan te notatniki, spłaciłby pan mój dług? I cofnął wszelkie groźby wobec doktor Hersehel?

- Byłaby także gratyfikacja za pewne nieprzyjemności, które spotkały panią ze strony kilku moich nadgorliwych przyjaciół.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej pergaminową kartkę. Po rzuceniu na nią przelotnie okiem upuściłam ją na stolik między nami. Dużo kosztowało mnie zachowanie spokoju - dokument był tytułem własności dwóch tysięcy preferowanych akcji Humboldt Chemical. Sięgnęłam znowu po *Timesa* i spojrzałam na zestawienia giełdowe.

- Wczorajsza cena na koniec dnia 101 3/8. Dwustutysięczna gratyfikacja bez brokerskiej marży. Jestem oszołomiona. - Rozparłam się w fotelu i spojrzałam na niego spod oka. - Kłopot w tym, że mogłabym podwoić tę sumę przez zwyczajny szantaż pańskiej firmy. Gdyby pieniądze miały dla mnie znaczenie. Ale nie mają. Swoją drogą ma pan cholernego pecha z tymi notatnikami - przekazane zostały już zarówno adwokatowi, jak i zespołowi specjalistów medycznych. Jest pan skończony. Nie wiem, jaki będzie koszt przyszłych odszkodowań, ale prawdopodobnie suma pół miliarda nie jest przesadzona.

- Więc raczej pozbawiłaby pani własną przyjaciółkę, kobietę, która jest dla pani jak matka, możliwości prowadzenia praktyki lekarskiej w imię interesów jakichś ludzi, których nigdy pani nie spotkała i którzy niewarci są poświęcaniej im uwagi?

- Jeśli prowadził pan dochodzenie na mój temat, to pan wie, że Louisa Djiak nie jest jakimś człowiekiem - warknęłam. - I wzywam pana do przedstawienia jakiegokolwiek zarzutu doktor Hersehel, który mógłby podważyć jej reputację.

W swym uśmiechu rzeczywiście przypominał rekina.

- Doprawdy, panno Warshawski. Musi pani odczytać się takiej popędliwości. Nie przedstawiałbym zarzutów, co do których nie miałbym pewności ich udowodnienia.

Nacisnął dzwonek ukryty w ramie kominka. Anton pojawił się tak szybko, że musiał warować pod drzwiami.

- Przeprowadź naszego gościa, Anton.

Lokaj skłonił głowę i wyszedł. Powrócił w chwilę później z kobietą w wieku około dwudziestu pięciu lat. Jej ondulowane kasztanowe włosy układały się na głowie w mocno skręcone korkociągi, zbyt eksponujące pryszczatą szyję. Najwyraźniej dołożyła starań, aby dobrze wyglądać; przypuszczałam, że marszczona sukienka ze sztucznego jedwabiu była jej najlepszym strojem, bo wysokie klockowate obcasy zostały pomalowane na podobny do sukienki niebieski kolor. Pod grubą warstwą tynku kryjącego trądzik wyglądała na wojowniczą i nieco przestraszoną.

- To jest pani Portis, panno Warshawski. Jej córka była pacjentką doktor Herschel. Czy nie tak, pani Portis?

Przytaknęła skwapliwie.

- Moja Mandy. I doktor Herschel zrobiła to, czego powinna się wstydzić, dorosła kobieta z małą dziewczynką. Mandy płakała i krzyczała, wychodząc w gabinetu przyjęć. Potrzebowałam paru dni, żeby ją uspokoić i dowiedzieć się, co się stało. Ale kiedy dowiedziałam się...

- Poszła pani do prokuratora i złożyła pełne sprawozdanie - dokończyłam gładko pomimo wściekłości, która rozpałała mi policzki.

- Była naturalnie zbyt zbulwersowana, aby wiedzieć, co robić - powiedział Humboldt z obłudą, która skłaniała mnie do zastrzelenia go. - To bardzo trudne wnieść oskarżenie przeciwko lekarzowi rodzinnemu, który potrafi zyskać sobie taką sympatię, jak doktor Herschel. Dlatego cieszę się z mojej własnej pozycji, która pozwala mi udzielać pomocy takiej kobiecie, jak ta.

Gapiałam się na niego z niedowierzaniem.

- Czy pan naprawdę sądzi, że zdoła postawić przed sądem kogoś o reputacji doktor Herschel z powodu takiej kobiety, występującej jako pański świadek? Doświadczony adwokat obali jej oskarżenia w proch. Jesteś nie tylko megalomanem, Humboldt - jesteś po prostu głupi.

- Uważaj, kogo nazywasz głupim, młoda panno - doświadczony prawnik każdego może zniszczyć. A żadne inne oskarżenie nie usposabia sądu tak wrogo. Zresztą, jaki skutek dla praktyki doktor Herschel przyniosłby sam rozgłos? Nie wspominając o stanowej Izbie Lekarskiej? Zwłaszcza że do pani Portis dołączają inne zatroskane matki, których córki leczyła doktor Herschel. Poza wszystkim ma już prawie sześćdziesiątkę i nigdy nie była zamężna - sąd nieuchronnie musiałby podejrzewać odmienność jej seksualnych preferencji.

Puls na mojej szyi tętnił tak gwałtownie, że z trudem mogłam oddychać, a co dopiero myśleć.

Suka warczała cicho u moich stóp. Zmusiłam się, aby delikatnie ją pogłaskać; pomogło mi to uspokoić nieco bicie serca. Wstałam i podeszłam do telefonu na stoliku w rogu biblioteki. Peppy nie odstępowała mnie na krok.

Lotty wciąż była w klinice.

- Vic! Nic ci nie jest? Dochodzi już prawie siódma.

- Fizycznie czuję się dobrze, doktor Herschel. Ale umysłowo jestem lekko rozstrojona. Muszę ci coś wyjaśnić i usłyszeć twoją reakcję. Czy masz pacjentkę o nazwisku Portis?

Lotty była zaskoczona, ale nie zadawała żadnych pytań. Po chwili wróciła do telefonu.

- To kobieta, która przyszła do mnie dwa lata temu. Jej córka Amanda miała w tym czasie osiem lat i często wymiotowała. Oceeniłam to jako problemy psychologiczne, co spowodowało, że wyniosła się poirytowana.

- Dobra, Humboldt wyciągnął ją gdzieś z rynsztoka. I skłonił, żeby zgodziła się oskarżyć cię o napastowanie jej córki. Seksualne, rozumiesz? Chyba że zwrócimy mu notatniki Chigwella.

Lotty milczała przez chwilę. - Moja licencja za notatniki, innymi słowy? - odezwała się w końcu. - A ty uznałaś, że musisz zadzwonić, żeby poznać moją odpowiedź?

- Nie czułam się upoważniona do zabierania głosu w twoim imieniu. On proponuje mi także dwieście tysięcy w akcjach, tak więc znasz rozmiar łapówki. Oraz spłacenie mojego długu hipotecznego.

- Czy on jest tam z tobą? Sama z nim porozmawiam. Ale wiedz, że zamierzam mu powiedzieć, że nie po to patrzyłam na moich rodziców zabijanych przez hitlerowców, aby kłaniać się im jeszcze na starość.

- Doktor Herschel chciałaby z panem mówić - zwróciłam się do Humboldta.

Podniósł się ze swego fotela. Niemal jedyną oznaką jego wieku był wysilek, który musiał włożyć w powstanie. Stałam obok niego, gdy rozmawiał. Mój oddech przeszedł w krótkie głośne posapywanie. Mogłam słyszeć, jak zdecydowanym altowym tonem Lotty poucza go niczym nieprzygotowanego studenta, ale nie potrafiłam rozróżnić poszczególnych słów.

- Robi pani błąd, bardzo poważny błąd, pani doktor - powiedział z naciskiem Humboldt. - Nie, nie, nie pozwolę się dalej obrażać w tej rozmowie, madame.

Odłożył słuchawkę i wpatrzył się we mnie z pasją.

- Będziecie tego bardzo żałować. Obie. Wydaje mi się że nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką

władzę mam w tym mieście, młoda panno.

Puls na szyi wciąż łomotał.

- Jest tyle rzeczy, z których ty nie zdajesz sobie sprawy, Gustav, że nie wiem, od czego zacząć. Jesteś skończony. W mieście jest już po tobie. *Herald-Star* rozpracowuje twoje związki ze Steve'em Dresbergiem i wierz mi, doszukają się. Może ci się wydawać, że ukryłeś je pod pięćdziesięcioma warstwami, ale Murray Ryerson jest dobrym archeologiem i pali się do roboty.

Ale co więcej, twoje przedsiębiorstwo jest skończone. Twoje małe chemiczne imperium nie jest na tyle potężne, żeby opanować szok, który nastąpi po rozmnożeniu się procesów w sprawie kserksyny. Może za sześć miesięcy, może za dwa lata, ale czeka cię wypłata pół miliarda dolarów odszkodowań, co najmniej. A wykazanie złej woli z twojej strony, ze strony Humboldta, będzie przypominać strzelanie do szczurów w beczce. A firma, którą zbudowałeś, będzie jak krzew rycynusowy Jonasza, który urósł przez noc i zmarniał przez noc. Przypominasz trupa, Humboldt, w dodatku jesteś tak szalony, że nawet nie czujesz wokół siebie odoru zgnilizny.

- Mylisz się, ty mała polska dziwko! Ja ci pokażę, jak bardzo się mylisz! - Cisnął swą szklanką z whisky przez pokój i roztrzaskała się o jedną z półek. - Rozwałę cię tak łatwo, jak tę szklankę. Gordon Firth nigdy cię już nie zatrudni. Stracisz licencję Nigdy nie znajdziesz żadnego klienta. Zobaczą cię na West Madison, jak szlajasz się z pijaczkami i inną hołotą, i będę się śmiał. Będę ryczał ze śmiechu.

- Zrób to - powiedziałam zajadle. - Jestem pewna, że twoje wnuki będą bardzo ubawione tym spektaklem. Założę się, że chciałyby usłyszeć prawdziwą historię o tym, jak truć ludzi, żeby powiększyć swoje cholerne dochody.

- Moje wnuki! - zawył. - Jeżeli ośmielisz się do nich zbliżyć, ani ty, ani żadna z twoich przyjaciółek nie przeżyje spokojnie jednej nocy w tym mieście!

Dalej krzyczał, a jego groźby nie dotyczyły tylko Lotty, ale rozszerzały się na innych przyjaciół, których nazwiska wydobyli jego informatorzy. Peppy uniosła zad i zawarczała złowrogo. Jedną ręką trzymałam ją za obrożę, a drugą przycisnęłam dzwonek przy kominku. Kiedy pojawił się Anton, wskazałam rozbite szkło.

- Może zechcesz to sprzątnąć. Sądzę też, że pani Portis poczułaby się zręczniejsz, gdybyś odesłał ją na dół do Marcusa, aby sprowadził jej taksówkę. Chodź, Peppy.

Wyszliśmy tak szybko, jak było można, ale zdawało mi się, że słyszę maniackalny wrzask

Humboldta przez całą drogę do windy.

ROZDZIAŁ 43

Dochodzenie z tym wszystkim do ładu

Następne dni Lotty i ja spędziłyśmy z moim prawnikiem. Nie wiem, czy to dzięki wysiłkom Cartera Freemana czy Antona, czy po prostu scena w Roanoke tak ją przeraziła, w każdym razie pani Portis straciła zainteresowanie dla wnoszenia oskarżeń przeciwko Lotty. Gorzej było z moim długiem hipotecznym - przez parę tygodni wyglądało na to, że będę musiała poszukać sobie jakiegoś mieszkania do wynajęcia. Ale Freeman również i to zdołał jakoś załatwić. Zawsze podejrzewałam, iż sam złożył za mnie gwarancje, ale kiedy próbuję to wyjaśnić, podnosi tylko brwi i udaje, że o niczym nie wie.

Po jakimś czasie moje życie wróciło na utarte tory - biegałam z Peppy, spędzałam wolny czas z przyjaciółmi, przeżywałam wzloty i upadki chicagowskich zespołów sportowych - w tym sezonie w szczególności Black Hawksów. Wróciłam również do normalnych zajęć, badania defraudacji, kontroli przeszłości kandydatów na szczególnie newralgiczne stanowiska w świecie finansów, i tym podobnych spraw.

Bardzo się starałam nie dopuszczać do siebie myśli o Humboldcie i South Chicago. Przy normalnym stanie rzeczy nie pozwoliłabym na wypuszczenie z ręki sprawy przed jej zakończeniem, ale po prostu nie potrafiłam już znieść jakichkolwiek związków z moją dawną dzielnicą. Zdecydowałam więc pozostawić bez odpowiedzi pytanie o rolę Rona Kappelmana w tym ambarasie. Gdyby oskarżenie Bobby'ego było prawdziwe, powinnam dla porządku pojechać do Pullman i przedstawić mu zarzuty. Nie miałam jednak siły, żeby to ciągnąć. Niech wyjaśnia to prokurator, kiedy Jurshak i Dresberg staną przed sądem.

Sierżant McGonnigal był jeszcze jednym luźnym wątkiem, który nigdy nie doczekał się umocowania. Widziałam go kilka razy z Bobbym w czasie składania niekończących się oświadczeń i zeznań. Był wobec mnie zupełnie oziębły, dopóki nie zorientował się, że nie zamierzałam trąbić na prawo i lewo o jego nocnym porzuceniu roli twardego policjanta. Jeszcze raz wyszło na to, że rozsądniej jest nie wdawać się w romanse z gliniarzem, nawet najbardziej pociągającym.

W maju, kiedy Cubsi walczyli już o ostatnie miejsce w lidze, Humboldt Chemical sprzedawał

się w górnej granicy pięćdziesięciu dolarów za akcję. Frederick Manheim przeprowadził konsultacje z dostatecznie dużą liczbą prawników i lekarzy, żeby pogłoski o możliwych kłopotach dotarły niesione przez handlową famę na wschód, do Wall Street. Parę razy Manheim przychodził do mnie po radę, ale miałam powyżej uszu związków z Humboldtem.

Oświadczyłam Manheimowi, że będę zeznawać na każdym procesie na temat mojej roli w ujawnieniu tego oszustwa, ale żeby nie liczył na żadną inną pomoc z mojej strony. Nie wiedziałam więc, jaki kontratak przygotowywał Humboldt. W parę dni po naszym ostatnim spotkaniu pojawił a się w prasie notatka informująca, że przez parę dni leczył nerwy w Passavant, ale ponieważ *Herald-Star* opublikował jego zdjęcie, jak rzuca pierwszą piłkę dla Soxów w dniu otwarcia, więc sądzę, że się wykaraskał.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Cubsi wędrowali na północ z Tempe, otrzymałam pocztówkę z Florencji. „*Nie czekaj, aż będziesz miała siedemdziesiąt dziewięć lat, żeby to zobaczyć*”, głosiła zwięzła wiadomość naskrobana pajęczastą ręką panny Chigwell. Kiedy wróciła do domu parę tygodni później, zadzwoniła.

- Chciałam panią tylko powiadomić, że nie mieszkam już razem z Curtisem. Spłaciłam jego część domu, a on przeprowadził się do przytułku w Clarendon Hills.

- Jak się pani podoba samotne mieszkanie?

- Bardzo. Żałuję tylko, że nie zrobiłam tego sześćdziesiąt lat temu, ale wtedy nie miałam odwagi. Chciałam to powiedzieć, ponieważ pani jest osobą, która pokazała mi, że kobieta potrafi wieść niezależne życie. To wszystko.

Odwiesiła słuchawkę, nie słuchając moich niezbornych protestów. Uśmiechnęłam się pod nosem - gburowata do samego końca. Miałam nadzieję, że za czterdzieści lat będę również tak twarda.

Jedyną sprawą, która rzeczywiście mnie martwiła, była Caroline Djiak; nie mogłam skłonić jej do rozmowy. Wynurzywszy się na powierzchnię po dniu nieobecności, nie chciała podejść do telefonu, a kiedy pojechałam na Houston Street, zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, nie pozwalając nawet na zobaczenie Louisy. Zaczęłam uważać, że popełniłam straszny błąd - nie tylko powiedziałam jej o Jurshaku, ale wcześniej nie ustawałam w zacieklej poszukiwaniach, podczas gdy ona starała się mi w tym przeszkodzić.

Lotty potrząsnęła surowo głową, kiedy zwierzyłam jej się ze swych rozterek.

- Nie jesteś Bogiem, Victorio. Nie możesz decydować i wybierać, co jest najlepsze dla ludzi. A jeśli zamierzasz spędzać godziny na lamentowaniu, proszę, rób to gdzie indziej - nie jest to smakowity spektakl. Albo znajdź sobie inną pracę. Twoje zaciekle poszukiwania, jak się wyraziłaś, wynikały z zasadniczej jasności twoich poglądów. Jeżeli straciłaś taką perspektywę, nie nadajesz się już do wykonywania swojej pracy.

Jej mocne słowa nie zlikwidowały wątpliwości, ale z czasem mój niepokój o Caroline ustąpił. Kiedy więc zadzwoniła na początku czerwca z wiadomością o śmierci Louisy, potrafiłam przyjąć jej dosadny styl ze względny spokojem.

Poszłam na pogrzeb do St. Wenceslaus, ale nie uczestniczyłam w stypie na Houston. Przyjęcie organizowali rodzice Louisy i czy stoiliby miny pobożnego smutku, czy wyrzekali na świętą opatrność, byłoby mi trudno powstrzymać się przed pokusą skrócenia ich o głowę.

Caroline nie wykonała w czasie pogrzebu żadnego gestu, który wskazywałby na chęć rozmowy ze mną zanim dotarłam do domu, mój lament nad jej smutnym losem ustąpił dawniejszemu, bardziej znajomemu uczuciu - irytacji z powodu jej smarkaterii. Więc kiedy mniej więcej miesiąc później zastałam ją czekającą pod moimi drzwiami, nie przywitałam jej ze szczególnym entuzjazmem.

- Czekam tu od trzeciej - zaczęła bez wstępów. - Bałam się, że wyjechałaś z miasta.

- Przepraszam, że nie zostawiłam planu zajęć twojej sekretarce - odparłam kąśliwie. - Ale wtedy, oczywiście, zepsułabym niespodziankę.

- Vic, nie bądź złośliwa - błagała. - Wiem, że zasługuję, przez ostatnie cztery miesiące zachowywałam się jak świnia. Ale chcę się usprawiedliwić albo wyjaśnić, albo... no dobra, w każdym razie chcę, żebyś nie tylko wściekała się, myśląc o mnie.

Przekreśliłam klucz w drzwiach wejściowych.

- Wiesz, Caroline. To mi nieodparcie przypomina Lucy i Charlie Browna, jak grają w piłkę. Wiesz, że ona zawsze obiecuje, że tym razem nie ruszy piłki, kiedy on kopie, ale zawsze to robi, a on zawsze ląduje z hukiem na tyłku. Mam takie przeczucie, że jeszcze raz, ostatni, skończę wyciągnięta jak długi, ale wejdź.

Wróciły jej rumieńce.

- Vic, proszę - ja wiem, że zasłużyłam sobie na wszystko, co mówisz, ale przyjechałam się wytłumaczyć. Nie stawiaj mnie w trudniejszej sytuacji, niż już jestem.

To zamknęło mi usta, ale nie wyciszyło podejrzliwości. Wprowadziłam Caroline w milczeniu do mieszkania, nalałam jej coli, a sobie rumu z tonikiem i usiadłyśmy w małej łodzi, który służy mi za werandę. Pan Contreras pomachał nam spośród swych pomidorów, ale został na dole. Peppy weszła po kuchennych schodach i przyłączyła się do imprezy.

Caroline polechtała ją za uszami i wypila swój napój, a następnie wzięła głęboki oddech i przemówiła.

- Vic, jest mi naprawdę bardzo przykro, że tak napadałam na ciebie ostatniej zimy, a potem... a potem cię unikałam. Jakoś... jakoś dopiero od czasu, kiedy umarła Louisa, mogłam spojrzeć na to z twojego punktu widzenia. Dostrzec, że nie robiłaś sobie ze mnie żartów.

- Że nie robiłam sobie żartów? - Byłam zdumiona.

Znow zrobiła się purpurowa.

- Widzisz, ja myślałam... miałas takiego wspaniałego ojca. Kochałam go tak bardzo, że chciałam, żeby był i moim ojcem. Leżałam w łóżku i wyobrażałam to sobie, wyobrażałam, jak byłoby świetnie, gdybyśmy wszyscy razem byli rodziną, on i ja, i mama, i Gabriella. A ty byłbyś moją prawdziwą siostrą, więc nie czułabyś się tak podle, musząc się mną opiekować.

Teraz przyszła kolej na moje zakłopotanie. Próbowałam coś wymamrotać i w końcu powiedziałam:

- Żadna jedenastolatka nie chce być obciążona opieką nad niemowlęciem. Przypuszczam, że gdybyś naprawdę była moją siostrą, wściekałoby mnie to bardziej, a nie mniej. Ale nie robiłam sobie żartów z ciebie, z powodu... posiadania innego ojca niż ja. Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

- Teraz to wiem - powiedziała. - Tylko zauważenie tego zajęło mi sporo czasu. Wiesz, ja poczułam się upokorzona faktem, że Art Jurshak był... zrobił to mamie. Potem, kiedy umarła, nagle zobaczyłam, czym to musiało być dla niej. I to mi uzmysłowilo, jaką wyjątkową była kobietą, taką dobrą matką, tak żywotną, tak kochającą życie i wszystko. A tak łatwo byłoby jej obrócić to w złość i zgorzknienie, i obarczyć tym mnie. - Spojrzała na mnie z przejęciem. - A potem, w zeszłym tygodniu, poszłam zobaczyć się z... z młodym Artem. Moim bratem, na to wychodzi. Był dość miły, mimo że widziałam, iż dla niego to po prostu piekło. Mam na myśli rozmowę ze mną. Dorastał w strasznej atmosferze. Art nie był żadnym ojcem. Ożenił się tylko po to, aby powstrzymać Djiaków od zniszczenia jego kariery politycznej, a po narodzinach młodego Arta

przeniósł się do osobnej sypialni. Nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z własnym synem. Więc w jakiś idiotyczny sposób widzę, że wyszłam na tym lepiej. No wiesz, tylko z mamą. Nawet gdyby... nawet gdyby on nie był jej wujkiem, życie z nim mogłoby być znacznie gorsze niż dorastanie bez ojca.

Miałam ściśnięte gardło.

- Przez te ostatnie cztery miesiące byłam pełna potępienia dla siebie. Myślałam, że popełniłam kolosalny grzech egoizmu, drażąc tę sprawę, kiedy ty prosiłaś mnie, żebym ją przerwała. A potem mówiąc ci o Jurshaku.

- Niepotrzebnie. Dobrze, że wiem. Lepiej dowiedzieć się na pewno, niż wyobrażać sobie niestworzone rzeczy, nawet jeśli to, co zmyślałam, było tysiąc razy milsze niż rzeczywistość. Zresztą gdyby Tony Warshawski był naprawdę moim ojcem, wyszedłby na niezłego sukinsyna, sprowadzając sobie mamę i mnie do sąsiedniego domu. - Roześmiała się, a ja wzięłam ją za rękę i przytrzymałam. Po chwili powiedziała z wahaniem: - Ja... o następnej sprawie trudno mi mówić po tych wszystkich obelgach, które wykrzyczałam na ciebie, kiedy wyprowadzałaś się z dzielnicy. Ale ja też się wyprowadzam. Właściwie to wyjeżdżam z Chicago. Zawsze chciałam żyć poza miastem, na prawdziwej wsi, więc jadę do Montany, żeby studiować leśnictwo. Nigdy nikomu nie przyznałam się do tego, bo myślałam, że jak nie będę taka jak ty, zajęta sprawami społecznymi, no wiesz, to będziesz mną pogardzać.

Wydałam z siebie nieartykułowany jęk, który poderwał Peppy na równe nogi.

- Poważnie, Vic. Ale po przemyśleniu tych wszystkich rzeczy widzę, że ty nigdy nie chciałaś, żebym była do ciebie podobna. To była tylko część mojej fiksacji, kiedy sądziłam, że jeśli będę robiła to samo co ty, polubisz mnie na tyle, żeby pozwolić mi naprawdę zostać częścią twojej rodziny.

- W żaden sposób, dziecino - chcę, żebyś robiła to, co jest dobre dla ciebie, a nie dla mnie.

Skinęła głową.

- Więc zapisałam się tam, w te pędy pozałatwiałam wszystko tutaj i wyjeżdżam za dwa tygodnie. Namawiam rodzinę mamy, żeby kupiła dom przy Houston, co da mi pieniądze na początek. Ale chciałam ci to powiedzieć osobiście i mam nadzieję, że mówiłaś poważnie, że zawsze będziesz moją siostrą, ponieważ... no... W każdym razie, mam nadzieję, że mówiłaś poważnie.

Przysiadłam na jej krześle i otoczyłam ją ramieniem.

- Dopóki śmierć nas nie rozdzieli, dzieciaku.